



SREBRNA ZATOKA



Jojo Moyes



RS

Dla Lockiego -za to, kim jest i kim będzie

Prolog



Kathleen

Nazywam się Kathleen Whittier Mostyn. Gdy miałam siedemnaście lat, stałam się sławna dzięki złowieniu największego rekina piaskowego w Nowej Południowej Walii: samicy o tak nienawistnych oczach, że jeszcze kilka dni później sprawiała wrażenie, jakby chciała rozerwać mnie na strzępy. To było w czasach, kiedy cała Srebrna Zatoka żyła z połowów, i przez trzy bite tygodnie rekin był na ustach wszystkich. Dziennikarz przyjechał aż z Newcastle i zrobił nam zdjęcie (ta w kostiumie to ja). Rekin jest ode mnie sporo większy, chociaż fotograf poprosił, żebym włożyła buty na obcasie.

Zdjęcie przedstawia wysoką dziewczynę o dość surowym wyglądzie, ładniejszą, niż jej się wtedy wydawało. Szerokie ramiona doprowadzały moją matkę do rozpacz, za to dzięki żeglowaniu talię miałam tak smukłą, jakbym założyła gorset. Stoję pełna dumy, jeszcze nieświadoma, że bestię i mnie połączy więź silna jak małżeństwo. Na zdjęciu nie widać, że rekin wisi na dwóch linach trzymany przez mojego ojca i jego współnika, Brenta Newhavena. Podczas holowania zerwałam więzadła w prawym ramieniu - nie mogłam unieść kubka herbaty, a co dopiero taką wielką rybę.

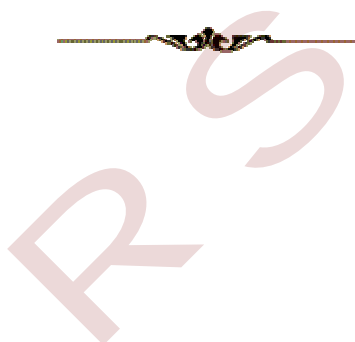
Zdobycz przypieczętowała moją reputację. Przez lata byłam znana jako Dziewczyna Rekina, nawet gdy dziewczęce lata miałam już dawno za sobą. Moja siostra Nora zawsze żartowała, że wciąż wyglądam raczej na morskiego łobuza. Jednak ojciec zawsze powtarzał, że hotel „Zatoka” zaistniał dzięki mojemu sukcesowi. Dwa dni po publikacji zdjęcia mieliśmy komplet rezerwacji, co pozostało normą aż do pożaru w zachodnim skrzydle w 1962. Mężczyźni przyjeżdżali pobić mój rekord. A może zakładali, że skoro „nawet dziewczyna” mogła złowić taką bestię, to co dopiero „prawdziwy wędkarz”? Niektórzy chcieli mnie poślubić, ale ojciec twierdził, że wyczuwa ich na milę, i wyrzucał na zbity łeb. Kobiety przyjeżdżały, ponieważ nigdy wcześniej nie wierzyły, że mogą złowić drapieżną rybę, zaś rodziny - ponieważ Srebrna Zatoka o spokojnych wodach, strzeżonym wybrzeżu i całych kilometrach piaszczystych plaż była idealnym miejscem wypoczynku.

Dobudowano w pośpiechu dwie nowe przystanie, żeby pomieścić dodatkowe łodzie, zatoka i pobliskie morze tętniły wodniackim życiem. Hałas silników, dźwięki muzyki i brzęk kieliszków nie milkły nawet nocą. Swego czasu, w latach pięćdziesiątych, nie byłoby przesadą powiedzieć, że u nas po prostu *wypadało* bywać.

Dziś nadal mamy łodzie i przystanie, choć używamy tylko jednej, a ludzie wybierają się na zupełnie inne połowy Nie miałam w ręce wędki od ponad dwudziestu lat. Nie zależy mi już na zabijaniu żywych istot. Jest dość spokojnie, nawet latem. Większość turystów trafia do luksusowych hoteli i klubów, wybiera bardziej oczywiste uciechy Wybrzeża Coffsa czy Zatoki Byrona i, szczerze mówiąc, większości z nas to odpowiada.

Nikt nie pobił jeszcze mojego rekordu. Jest odnotowany w tych olbrzymich książkach, które świetnie się sprzedają, choć nie kupuje ich nikt, kogo znamy. Wydawcy zaszczycają mnie od czasu do czasu telefonem z informacją, że moje nazwisko znajdzie się w wydaniu na kolejny rok. Czasami dzieci z pobliskiej szkoły przychodzą i mówią, że znalazły mnie w bibliotece, a ja zawsze udaję zaskoczoną, żeby im było miło.

Ale wciąż jestem rekordzistką. Nie chcę się chwalić. Nie chodzi również o to, że mam siedemdziesiąt sześć lat i cieszę się, że kiedyś czegoś dokonałam. Po prostu kiedy człowieka otacza tak wiele sekretów, od czasu do czasu dobrze jest powiedzieć o czymś wprost.



Rozdział 1

Hanna

W puszcze na biszkopty na *Moby I* można znaleźć co najmniej trzy rodzaje ciastek. Yoshiko mówiła, że na innych jachtach oszczędzają na ciastkach - kupują najtańsze hurtem w supermarkecie. Ona sama twierdzi jednak, że ktoś, kto płaci prawie sto pięćdziesiąt dolarów za wycieczkę, by popatrzeć na delfiny, ma prawo przynajmniej do godziwych ciastek. Więc kupuje i maślane anizaki w podwójnej czekoladzie, i szkockie paluszki, i miętowe pakowane w folię, a czasem, gdy wie, że ujdzie jej to na sucho - domowe ciasteczka. Sternik Lance powiedział, że Yoshiko kupuje dobre ciastka, bo głównie nimi się żywi. Dodał, że gdyby szef się dowiedział, ile na nie wydaje, stłukłby ją na kwaśne jabłko.

Wpatrywałam się w ciastka, kiedy *Moby I* wypływał na wody Zatoki. Trzymałam tacę, a Yoshiko serwowała pasażerom kawę i herbatę. Miałam nadzieję, że nie zjedzą wszystkich anizaków, zanim nie uszczknę co nieco dla siebie. Wyszłam z domu bez śniadania i wiedziałam, że będę mogła się poczęstować dopiero w kokpicie.

- *Moby I* do *Suzanne*, ile piw obaliłeś wczoraj? Sterujesz jak jednonogi pijak.

Lance rozmawiał przez radio. Kiedy weszliśmy, od razu sięgnęłam do puszek i wyciągnęłam ostatnie maślane. Aparatura za trzeszczała, jakiś głos wymamrotał coś, czego nie zrozumiałam. Sternik spróbował po

nownie: *Moby I* do *Sweet Suzanne*. Stary, wyprostuj łajbę. Czwooro pasażerów wywiesiło się za burtę. Dekorują ci okna od zawietrznej.

Głos Lance'a MacGregora brzmiał, jakby był powleczony wełną mineralną. Zdjął jedną dłoń ze steru, a Yos-hiko podała mu kubek z kawą. Wcisnęłam się za nią. Krople wody na jej granatowym uniformie błyszcząły jak cekiny.

- Widziałas Grega? - spytał Lance.

- Napatrzyłam się, zanim wypłynęliśmy. - Kiwnęła głową.

- Załatwił się tak, że nie może utrzymać kursu. - Sternik machnął ręką w kierunku mniejszej łódki za usianym kropelkami oknem. - Zobaczysz, Yoshiko, jego pasażerowie zażądają zwrotu. Ta w zielonym kapeluszu nie zmieniała pozycji, odkąd minęliśmy Złamany Nos. Co w niego wstąpiło?

Yoshiko Takamura ma najpiękniejsze włosy, jakie w życiu widziałam. Opadają czarną falą wokół twarzy i nigdy się nie plączą mimo wiatru i słonej wody. Chwyciłam w palce jeden z własnych mysich kosmyków - był szorstki, chociaż wypłynęliśmy przed niespełną półgodziną. Moja koleżanka Lara mówi, że kiedy skończy czternaście lat, mama pozwoli jej zrobić sobie pasemka.

- Co tu robisz, Mała? - Nagle Lance mnie zauważył. - Twoja mama wypruje mi flaki. Nie powinnaś być w szkole czy co?

- Są wakacje. - Ukryłam się za Yoshiko odrobinę zawstydzona. Lance zawsze rozmawiał ze mną, jakbym była co najmniej pięć lat młodsza.

- Schowa się - dodała Yoshiko. - Chciała tylko zobaczyć delfiny.

Wbiłam wzrok w Lance'a i opuściłam ręce. Odwzajemnił się tym samym i wzruszył ramionami.

- Założysz kapok? Przytaknęłam.

- I nie będziesz płatać się pod nogami? Pokręciłam głową, że nie. „Jakbym nie miała nic lepszego do roboty” - spojrzałam wymownie.

- Bądź dla niej miły, już dwa razy zwymiotowała.

- To tylko nerwy - wyjaśniłam. - Mój brzuch już tak ma.

- Ech... do diabła z tym! Tylko, Mała, powiedz mamie, że to nie był mój pomysł. Aha, i następnym razem wybierz *Moby 'ego II*, a najlepiej jakiś cudzy jacht.

- Nie widziałeś jej - powiedziała Yoshiko. - Zresztą Greg tak dobrze nie steruje. - Uśmiechnęła się. - Zaczekaj na zwrot, to zobaczysz, co zrobił z burzą.

Była idealna pogoda na pływanie - jak stwierdziła Yoshiko, gdy wracałyśmy. Morze trochę kołysało, ale wiatr był łagodny, a powietrze tak czyste, że widziałyśmy białe grzywy fal nawet w oddali. Poszłam za nią na pokład restauracyjny, z łatwością dostosowując krok do kołysania kataramaru. Byłam już trochę spokojniejsza, skoro sternik wiedział, że jestem na pokładzie.

Teraz czekała nas najbardziej pracowita część wycieczki - czas między wypłynięciem a przybyciem do osłoniętej części zatoki, gdzie często pojawiały się delfiny butlonose. Kiedy pasażerowie siedzieli na górnym pokładzie, chroniąc się przed majowym chłodem wełnianymi szalikami, Yoshiko przygotowywała poczęstunek, serwowała napoje, a jeżeli pogoda była niepewna, jak to często przed zimą, szykowała środki dezynfekujące i wiadra na wypadek choroby morskiej.

- Wciąż im powtarzam - mruknęła pod nosem, patrząc na dobrze ubranych Azjatów, którzy stanowili większą część wycieczki - ale oni i tak siedzą pod pokładem, jedzą i piją za szybko, i zamiast wywiesić się za burtę, chodzą wymiotować do łazienki. Przez to nikt inny nie może z niej skorzystać. A Japończycy - dodała z mściwą satysfakcją - do końca rejsu wiją się z upokorzenia, milczą, kryją się za ciemnymi okularami i stawiają kołnierz płaszcza, zwracając ku morzu poszarzałe twarze. Napiją się państwo kawy, herbaty? Może ciasteczko?

Poszłam za nią na pokład dziobowy, zapinając polar pod szyję. Wiatr osłabł, ale wciąż czułam chłód w powietrzu, szczypał w nos i policzki. Większość pasażerów nie miała ochoty na nic do picia ani na słodczyce - rozmawiali głośno, przekrzykując silniki, wpatrywali się w horyzont i robili sobie nawzajem zdjęcia. Od czasu do czasu sięgałam do puszki po ciastko, które i tak by przecież w końcu zjedli.

Moby I był największym katamaranem w Srebrnej Zatoce. Przeważnie wypływał z dwiema dziewczynami do pomocy, ale gdy robi się chłodno, turystów jest mniej, więc została tylko Yoshiko. I dobrze - ona zwykle daje się namówić, by zabrała mnie na łódź. Pomogłam jej odstawić dzbanki po herbacie i kawie, a potem wróciłyśmy na wąski pokład boczny, stanęłyśmy przy oknie i patrzyłyśmy na mniejszy jacht prujący fale nierównym kursem. Nawet z daleka widziałyśmy, że coraz więcej ludzi wywiesza się za burtę. Trzymali głowy poniżej ramion. Nie zwracali uwagi na koślawy napis na burcie nabazgrany czerwoną farbą.

- Mamy dziesięć minut dla siebie. Trzymaj! - Yoshiko podała mi puszkę coli. - Słyszałaś o teorii chaosu?

- Uhm. - Staralam się, żeby zabrzmiało to przekonująco.

- Gdyby tylko ci ludzie wiedzieli - wskazała palcem - że ich długo wyczekiwana wyprawę na delfiny zrujnowała była dziewczyna sternika i jeden facet z Sydney, dwieście pięćdziesiąt kilometrów stąd...

Upiłam łyk napoju. Od bąbelków oczy zaszły mi łzami.

- To turyści u Grega wymiotują z powodu teorii chaosu? Myślałam, że dlatego, że poprzedniego wieczoru znów się upiłam.

- Mniej więcej - uśmiechnęła się Yoshiko.

Silniki umilkły, morze prawie ucichło, tylko turyści rozmawiali jak wcześniej, a fale uderzały o burty. Uwielbiałam być na morzu, patrzeć na nasz dom - białą kropkę na tle wąskiej plaży, widzieć, jak znika za którymś z wielu półwyspów. Może uwielbiałam to tak bardzo, bo było mi to zakazane. Na ogół słuchałam się mamy, ale w tym wypadku chodziło o morze i delfiny!

Lara miała niewielką żaglówkę i mogła wypływać sama aż do boi wyznaczających dawne miejsca połowu ostryg. Bardzo jej tego zazdrościłam. Moja matka nigdy nie pozwoliłaby mi pływać samej po zatoce, chociaż miałam prawie jedenaście lat. „Wszystko w swoim czasie” - mruczała pod nosem. Nie było sensu się z nią spierać.

Lance pojawił się obok - właśnie skończył pozować do zdjęcia z dwiema chichoczącymi nastolatkami. Często go o to proszono, a on nigdy nie odmawiał. Dlatego lubił nosić kapitańską czapkę z daszkiem. Yoshiko żartowała, że nie zdejmuje jej nawet pod prysznicem.

- Co Greg nabazgrał na burcie? - spytał, wpatrując się w łódź w od-
dali. Zdawało się, że zapomniał o mojej obecności na pokładzie.

- Powiem ci, jak wrócimy na brzeg - odparła Yoshiko. Zauważyłam
wymowne spojrzenie w moją stronę.

- Ale przecież ja widzę, co napisał - powiedziałam. Druga łódź, do
niedawna znana jako *Słodka Suzanne*, teraz nazywała Suzanne z... no
wiecie, brzydkim słowem.

Yoshiko odwróciła się do Lance'a i zniżyła głos, jakby myślała, że jej
nie usłyszę.

- Powiedziała mu w końcu, że jest ktoś inny. Sternik gwizdnął prze-
ciągle.

- On też tak twierdził, ale ona zaprzeczała.

- Nie chciała się przyznać. Wiedziała, jak Greg zareaguje. A on sam
też nie był niewiniątkiem... - Zerknęła na mnie. - Dość powiedzieć, że
wyjechała do Sydney i podobno chce połowę łodzi.

- A co mówi Greg?

- Jego łódź mówi sama za siebie.

- Nie mogę uwierzyć, że wypłynął z tą nazwą. I że zabrał turystów. -
Lance chwycił lornetkę, żeby lepiej się przyjrzeć koślawym czerwonym
literom.

- Rano był w takim stanie, że chyba nie pamiętał, co zrobił. - Yoshiko
wyciągnęła rękę. Najwyraźniej też chciała przyjrzeć się łodzi przez
przybliżające szkła.

Podeksycytowane okrzyki turystów na górnym pokładzie przerwały
nam rozmowę. Wszyscy tłoczyli się na pokładzie dziobowym.

- Zaczyna się - mruknął Lance, odchylając od barierki. Puścił
do mnie oko. - Mała, to nasze kieszonkowe. Czas wracać do pracy

Yoshiko mawiała, że czasem można przepłynąć zatokę wzdłuż i wszerz, a butlonosy i tak się nie pojawią. Łódź pełna zawiedzionych obserwatorów delfinów to żądania drugiej wycieczki za darmo i zwrotu połowy kosztów, a co za tym idzie - zły humor szefa.

Turyści tłoczyli się jednak na dziobie podekscytowani. Pstrykały aparaty, gdy starali się uwiecznić długie, szare kształty tuż pod powierzchnią wody. Sprawdziłam, kto przyszedł się bawić. Yoshiko pokryła ścianę kokpitu zdjęciami płetw wszystkich delfinów z okolicy. Nadała im imiona: Zygzak, Cięty, Kobziarz... Inne załogi najpierw się z niej śmiały, ale teraz wszyscy rozpoznawali delfiny po płetwach. „Rondel podpłynął już drugi raz w tym tygodniu” - mawiali. Też znałam ich imiona na pamięć.

- To chyba Polo i Brolly - stwierdziła Yoshiko, wychylając się za burzę.

- Czy Polo to dziecko Brolly?

Szare ciała delfinów zataczały spokojne łuki wokół łodzi, jakby to one były turystami. Za każdym razem, kiedy któryś wyskoczył ponad powierzchnię wody, powietrze wypełniało się trzaskiem migawek aparatów. Co o nas myślały? Wiedziałam, że są mądre jak ludzie. Wyobrażałam sobie, że spotykają się potem za skałą i wyśmiewają po delfiniemu tę w niebieskim kapeluszu albo tego w zabawnych okularach.

Z głośników dobiegł głos Lance'a:

- Szanowni państwo, proszę nie tłoczyć się przy jednej burcie. Powoli zrobimy zwrot, żeby każdy mógł spokojnie popatrzeć. Jeżeli wszyscy staną po jednej stronie, możemy się wywrócić, a delfiny nie lubią wywróconych łodzi.

Podniosłam głowę i dostrzegłam dwa albatrosy. Zawisły w powietrzu, zwinęły skrzydła, po czym zanurkowały, niemal bezszelestnie przecinając wodę. Jeden wynurzył się chwilę później i zaczął krążyć w poszukiwaniu niewidocznej dla mnie zdobyczy. Drugi dołączył do niego, poszybował nad zatoką i zniknął. Patrzyłam, jak odlatują. Potem, gdy *Moby I* powoli zmienił pozycję, wychyliłam się za burtę i wbiłam stopy pod barierkę relingu, tak że widziałam czubki nowych trampek. Kiedy zrobi się cieplej - obiecała Yoshiko - pozwoli mi usiąść w koszu za burtą, żebym mogła dotknąć któregoś delfina, a może nawet popływać razem z nimi, ale tylko jeżeli mama się zgodzi. Ładnie z jej strony, ale wszyscy wiedzieli, że mama najchętniej zamknęłaby mnie w domu na klucz.

Potknęłam się, gdy łódź niespodziewanie drgnęła. Dopiero po chwili zauważyłam, że silniki wznowiły pracę. Zdumiona chwyciłam za reling. Dorastałam w Srebrnej Zatoce i wiedziałam, jak postępować z delfinami. Wyłącz silnik, jeżeli chcesz, żeby się bawiły. Kiedy płyną, trzymaj kurs równoległy do nich. Jeżeli delfiny kogoś lubią, podchodzą blisko albo utrzymują równy dystans. Jeżeli nie chcą towarzystwa, odpływają.

Yoshiko zmarszczyła brwi, gdy katamaran przyspieszył. Przytrzymałyśmy się rzutek. Była równie zdumiona co ja.

Łódź wystrzeliła do przodu, na górnym pokładzie turyści z krzykiem opadli na krzesła. Zdawało mi się, że lecimy.

Lance rozmawiał przez radio. Gdy wgramoliłyśmy się do kokpitu, zobaczyłyśmy, że *Suzanne* również przyspiesza. Greg w ogóle nie zwracał uwagi, że coraz więcej jego pasażerów wywiesza się za burty.

- Lance, co ty wyprawiasz? - Yoshiko złapała za uchwyt, by nie stracić równowagi.

-Wiem, co robię, pączuszk... Szanowni państwo - Lance wykrzywił się w stronę łodzi Grega i włączył nagłośnienie. - Potrzebuję tłumaczenia - wyszeptał, po czym zaczął głośno: - Dziś mamy dla was coś naprawdę specjalnego. Już podziwiali państwo niezwykle widowisko, delfiny Srebrnej Zatoki, ale proszę się mocno trzymać, bo mamy dla was dużą niespodziankę. Dostaliśmy informację, że nieopodal widziano pierwsze w tym sezonie wieloryby. Są to humbaki, które co rok odwiedzają nasze wody w toku długiej migracji z Antarktydy na północ. Zapewniam, że to niezapomniany widok. Proszę zająć miejsca i mocno się trzymać, bo może trochę kołysać, południowy wiatr się wzmacnia. Chcę dotrzeć do nich na czas. Jeżeli ktoś ma ochotę usiąść na dziobie, radzę założyć sztormiak, leżą w tylnej części kokpitu.

Skręcił sterem i kiwnął głową w kierunku Yoshiko. Ta przejęła mikrofon i powtórzyła jego słowa po japońsku, a potem na wszelki wypadek po koreańsku. Później twierdziła, że mogła równie dobrze wyrecytować menu z poprzedniego dnia, taka była przejęta. Dotarło do niej tylko jedno słowo, tak samo zresztą jak do mnie: „wieloryby”!

- Daleko jeszcze? - Wpatrywała się z napięciem w migotliwą powierzchnię wody. Leniwy nastrój sprzed kilku minut należał już do przeszłości. Czułam ucisk w dołku.

- Z dziesięć mil? Nie mam pojęcia. Helikopter przelatywał nad zatoką, pilot widział dwa wieloryby niedaleko Torn Point. Trochę na nie za wcześnie, ale...

- W zeszłym roku pojawiły się czternastego czerwca. My jesteśmy trochę bliżej brzegu - weszła mu w zdanie Yoshiko. - Na litość boską, spójrz, co wyprawia Greg! Pogubi pasażerów, jeżeli nie zwolni. Jego łódź jest za mała na takie fale.

- Bardzo chce do nich dotrzeć przed nami. - Lance pokręcił głową i spojrzał na licznik obrotów. - Pełna moc. Zrobimy wszystko, żeby *Moby I* był pierwszy w tym roku, chociaż raz.

Niektórzy członkowie załogi musieli przepracować wymaganą liczbę godzin przed dłuższym rejsem na większej jednostce. Inni, jak Yoshiko, zaczęli w ramach praktyk studenckich i po prostu zapomnieli wrócić do domu. Jednak przekonałam się już dawno, że na wszystkich działała magia pierwszego spotkania z przepływającymi wielorybami. Zupełnie jakby trudno było uwierzyć, że naprawdę wrócili.

W gruncie rzeczy to wszystko jedno, kto zobaczy je pierwszy - wiadomości szybko się rozchodzą, a wtedy wszystkie pięć łodzi porzuca delfiny i rusza na spotkanie wielorybów. Ale najwyraźniej przy tych olbrzymach nawet dorośli czują się jak dzieci. I zaczynają się ścigać.

- Spójrzcie na tego idiotę. Teraz, o dziwo, trzyma kurs - warknął Lance. Greg był za nami, ale nabierał prędkości.

- Nie może znieść myśli, że będziemy przed nim. - Yoshiko chwyciła sztormiak i rzuciła go w moją stronę. - Masz! Na wszelki wypadek, jakbyśmy miały wyjść na dziób. Będzie dość mokro.

- Kurwa, nie wierzę własnym oczom! - Lance wypatrzył na horyzoncie kolejną łódź. Chyba zapomniał o mojej obecności, skoro zaklął. - To Mitchell! Założę się, że cały dzień warował przy radiu, a teraz przylatuje na gotowe z kompletem turystów. Któregoś dnia w końcu mu przywalę.

Mitchell Dray zawsze był cwaniakiem. Nigdy nie szukał delfinów na własną rękę - po prostu czekał na informacje z innej łodzi, a potem płynął tam, gdzie reszta.

- Naprawdę zobaczę wieloryba? - spytałam.

Kadłub z hukiem rozbijał fale, pokład drżał. Musiałam trzymać się barierki. Przez otwarte okno słyszałam podniecone krzyki turystów i śmiechy tych, których zmoczyły fale.

- Trzymam kciuki. - Yoshiko utkwiała wzrok w horyzoncie.

Prawdziwy wieloryb! Widziałam go tylko raz, z ciotką Kathleen. Nic nie powiedziała mamie, że wypływamy tak daleko.

-Tam... tam jest! Nie, to tylko fontanna. - Yoshiko podniosła lornetkę.

- Nie możesz zmienić kursu? Jesteśmy za bardzo pod słońce.

- Jak mamy być pierwsi, to nie - burknął Lance, ale wprowadził łódź w przechył, tak żeby słońce świeciło na fale pod innym kątem.

- Powinniśmy połączyć się z wybrzeżem, sprawdzić, gdzie dokładnie je widziano.

- To nic nie da - odpowiedział sternik. - Mogły odpłynąć o wiele dalej. Poza tym Mitchell waruje na nasłuchu. Nie dość, że całe lato podkradał nam pasażerów?

- Po prostu wypatruj fontanny

- Taaa, i małej flagi z napisem „wieloryb”.

- Lance, próbuję pomóc.

- Tam! - krzyknęłam. Zauważyłam tylko kształt: coś jak czarny głaz wpadający do wody - Północ-północny wschód. Płynię za wyspę, na Złamany Nos. Właśnie zanurkował!

Myślałam, że umrę z przejęcia. Usłyszałam, jak Lance zaczął odliczać za moimi plecami: „Raz, dwa, trzy, cztery... wieloryb!” - i charakterystyczny słup wody wzbił się radośnie w niebo. Yoshiko pisnęła z zachwytu, sternik zerknął w stronę łodzi Grega, który ze swojego kursu niczego nie zauważył.

- Mamy ją! - syknął Lance. Dla niego wszystkie wieloryby były samcami, tak jak wszystkie dzieciaki miały na imię Mała albo Mały

Wieloryb! Napawałam się brzmieniem tego słowa. Nie spuszczałam wzroku z powierzchni wody. *Moby I* zmienił kurs, rozbryzgując ciężko fale. Wyobraziłam sobie, jak humbak przewraca się na grzbiet, odsłaniając białe podbrzusze - pokaz bez publiczności.

- Wieloryb - szepnęłam.

- Będziemy pierwsi - mruknęła z przejęciem Yoshiko. - Przynajmniej raz będziemy pierwsi.

Patrzyłam, jak Lance robi zwrot, odliczając sekundy od ostatniej fontanny. Jeżeli upłynęłoby ich ponad trzydzieści, prawdopodobnie humbak zszedłby głęboko pod wodę i byłby dla nas stracony.

- Siedem... osiem... mamy ją! - Lance uderzył otwartą dłońią w koło steru i chwycił głośnik. - Szanowni państwo, proszę spojrzeć na prawo, wieloryb kieruje się w stronę wyspy.

- Greg załapał, w którą stronę płyniemy - uśmiechnęła się Yoshiko. - Teraz już nas nie dogoni, ma za słaby silnik.

- *Moby I* do *Błękitnego Horyzontu*. Mitchell! - ryknął Lance. - Jak chcesz zobaczyć to maleństwo, musisz zejść mi z ogona.

- *Błękitny Horyzont* do *Moby 'ego I* - dobiegł głos z radia. - Jestem tu tylko po to, żeby pozbierać pasażerów Grega.

- I nie polujesz na wielką rybę? - spytał ostro Lance.

- *Błękitny* do *Moby'ego I*. Lance, morze jest duże, starczy miejsca dla wszystkich.

- Co ty nie powiesz?

Chwycałam drewniany blat stolika tak mocno, że zbiegały mi kłykcie. Półwysep rósł w oczach. Chciałam, żeby wieloryb pozwolił nam się zbliżyć. Może podniesie głowę i popatrzy na nas. Może podpłygnie i pokaże swoje ciele.

- Za dwie minuty będziemy przy półwyspie - powiedział sternik. - Mam nadzieję, że wypłygnie w pobliżu.

- No, pokaż się! - Yoshiko mówiła do siebie, nie wypuszczając lornetki z rąk.

„Wielorybie, zaczekaj na nas!” - prosiłam w myśli. Zastanawiałam się, czy mnie zobaczy. Czy wyczuje, że to właśnie ja najbardziej kocham wszystkie delfiny i wieloryby. Na pewno, wieloryby są mądre...

- Jasna cholera, nie wierzę własnym oczom. - Lance zdjął czapkę kapitana i wyjrzał przez okno.

- Co jest? - Yoshiko wychyliła się obok niego.

- Spójrz!

Popatrzyłam tam, gdzie oni. Gdy *Moby* /opłynął półwysep, wszyscy umilkli. Jakies pół mili od porośniętego chaszczami brzegu cumował *Izmael*. Świeżo odmalowane burty połyskiwały w słońcu.

Na dziobie stała oparta o reling moja matka. Tak, sama pływała, gdzie chciała, a mnie ledwie pozwalała biegać po plaży! Zupełnie jakby była zazdrosna i nie chciała mnie nauczyć. A teraz to ona pierwsza spotkała wieloryba. Wiatr rozwiewał jej włosy mimo spranej czapki z daszkiem, którą zawsze nosiła na morzu. Jedną nogę miała lekko ugiętą, a suka Milly leżała koło steru i chyba spała. Wyglądały, jakby po prostu umówiły się tu z humbakiem i wcale nie musiały go szukać.

-Jak, do cholery, jej się to udało? - Lance zauważył ostrzegawcze spojrzenie Yoshiko i zmitygował się. - To nic osobistego, ale...

-Zawsze jest pierwsza - odpowiedziała dziewczyna na poły z rozbiawieniem, na poły z rezygnacją. - Odkąd tu jestem, co roku. Lizy McCullen zawsze pierwsza.

-Przegrać z cholerną Angielką... Nie może być gorzej. - Lance zapalił papierosa i zniesmaczony wyrzucił zapalnik.

Wysłałam na pokład. W tej samej chwili wieloryb wynurzył się na powierzchnię. Gdy uderzył ogonem w wodę, opryskując *Izmaela*, zaparło nam dech w piersiach. Turyści na górnym pokładzie głośno krzyczeli z radości. Był ogromny i podpłynął tak blisko, że widzieliśmy nieregularne narośle na jego skórze, białe podbrzusze w bliznach, a ja przez chwilę spojrzałam wprost w jego oko. Olbrzym sprawiał wrażenie niezwykle zwinnego, choć przy jego rozmiarach wydawało się to niemożliwością.

Odetchnęłam przez zaciśnięte gardło. Jedną ręką chwyciłam się liny ratunkowej, drugą podniosłam do oczu lornetkę. Spojrzałam nie na wieloryba, tylko na mamę. Ledwo słyszałam okrzyki podziwu, nie czułam, jak pokład gwałtownie zafalował, zapomniałam nawet, że powinnam się schować. Mimo dzielącej nas odległości widziałam szeroki uśmiech i zmrużone z radości oczy. Na łądzie prawie nigdy tak nie wyglądała.



Ciotka Kathleen weszła na werandę z wielką misą krewetek i ćwiartkami cytryny. Postawiła ją na stole obok koszyka z chlebem. Tak naprawdę to moja cioteczna babka, ale mówi, że nie chce się czuć jak zabytek, więc najczęściej nazywam ją ciocią K. Słońce zachodziło, biała ściana hotelu cioci lśniła, a na podłodze odbijało się osiem szkarłatnych prostokątów. Szyld hotelu poskrzy-pywał na łańcuchach kołysany wiatrem.

- Po co to przyniosłaś? - spytał Greg. Podniósł głowę znad czule obejmowanego kufła. Wreszcie zdjął ciemne okulary; wory pod oczami zdradzały prawdę o wydarzeniach ubiegłego wieczora.

- Podobno musisz wrzucić coś na żołądek - odpowiedziała i rzuciła mu serwetkę.

- Mówił ci, że czworo pasażerów zażądało zwrotu pieniędzy, kiedy zobaczyli burzę? - zaśmiał się Lance. - Wybacz, stary, ale to było wyjątkowo durne z twojej strony. Już nie miałaś czego pisać?

- Kathleen, jesteś aniołem. - Greg zignorował go i sięgnął po chleb.

- Przestaną nim być, jeżeli jeszcze raz napiszesz coś podobnego w zasięgu wzroku Hanny. - Ciotka rzuciła mu jedno ze swoich spojrzeń.

- Pani Rekinów wciąż potrafi kąsać. - Lance kłapnął zębami w kierunku Grega.

Ciotka nie zareagowała.

- Hanno, wcinaj. Założę się, że nie zjadłaś obiadu. Przyniosę sałatkę.

- Jadła ciastka. - Yoshiko zręcznie obrała krewetkę.

- Ciastka! - prychnęła ciotka Kathleen.

Zebraliśmy się, jak zwykle pod wieczór, przed kuchnią hotelu. Załoga rzadko rozchodziła się bez wypitego wspólnie piwa czy dwóch. Ciotka

mawiała, że młodszy załoganci wypijali ich nieraz tyle, że z trudem docierali do domów.

Gdy wbiłam zęby w pierwszą soczystą krewetkę tygrysią, zauważyłam, że grzejniki zostały wystawione na zewnątrz. W czerwcu niewielu hotelowych gości chciało tu przesiadywać, za to załogi omawiały wydarzenia minionego dnia niezależnie od pogody, no chyba że lało. Ich skład zmieniał się z roku na rok, ludzie przenosili się, szukali innej pracy, lecz Lance, Greg, Yoshiko i kilkoro innych byli tu zawsze, odkąd przyjechałam. Ciotka Kathleen zwykle włączała grzejniki na początku miesiąca i odtąd płonęły niemal co wieczór aż do września.

- Miałeś komplet? - spytała, wracając z sałatką. Postawiła ją na stole szybkim, zręcznym ruchem i nałożyła mi solidną porcję, zanim zdążyłam zaprotestować. - W muzeum dzisiaj pustki.

- *Moby I* był prawie pełny. Sporo Koreańczyków. - Yoshiko wzruszyła ramionami. - Greg prawie zgubił połowę, tak się wywieszali za burtę.

- Za to dobrze się przyjrżeli wielorybowi. - Skacowany sternik sięgnął po kolejny kawałek chleba. - Żadnych skarg. Żadnych reklamacji. Jest jeszcze piwo, panno M.?

- Wiesz, gdzie jest bar. Hanno, a ty widziałaś humbaka?

- Był olbrzymi. Widziałam jego naroślą. Myślałam, że będzie gładki, tymczasem miał pomarszczoną, chropowatą skórę pełną uczepionych skorupiaków. Jak żyjąca wyspa!

- Byliśmy bardzo blisko - dodała Yoshiko. - Powiedziałam jej, że przeważnie nie pozwalają tak do siebie podejść.

Greg zmarszczył brwi.

- Gdyby była na łodzi matki, mogłaby wyszorować mu zęby.

- No cóż, im mniej będziemy o tym mówić... - Ciotka potrząsnęła głową. - Ani słowa - szepnęła w moją stronę. - To był pierwszy i ostatni raz.

Przytaknęłam gorliwie. Rzeczywiście, to był już trzeci pierwszy i ostatni raz w tym miesiącu.

- Mitchell się pojawił? Uważajcie na niego. Słyszałam, że zamierza przyłączyć się do tych z Sydney na wielkich łodziach.

Wszyscy podnieśli głowy.

- Myślałem, że straż ochrony przyrody i ci z parków narodowych ich przepłoszyli.

- Byłam na targu rybnym - powiedziała ciotka Kathleen - słyszałam, że znów wypłynęli. Muzyka na cały regulator, tańce na pokładzie. Jak w klubie nocnym. Zrujnowali rybakom połów. Zanim straż dotarła na miejsce, dawno ich nie było. Niczego nie da się udowodnić.

Ciocia tłumaczyła mi, że życie w Srebrnej Zatoce opiera się na kruchej równowadze. Jak jest za mało turystów, którzy chcą oglądać delfiny i wieloryby, to nie ma pieniędzy. Jak zbyt wielu - zwierzęta uciekają. Lance i Greg burzyli się przeciwko trzypoziomowym katamaranom z drugiego końca zatoki. W sprawie zbyt głośnej muzyki i zbyt wielu turystów też byli wyjątkowo zgodni.

- Wykończą nas - zauważył Lance. - Są nieodpowiedzialni i chciwi. Powinniśmy podać Mitchella do sądu.

Nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo byłam głodna. Zjadłam sześć dużych krewetek jedną po drugiej, niemal wyciągałam je Gregowi spod palców. Uśmiechnął się i udał, że chce we mnie rzucić oderwaną głową krewetki. Pokazałam mu język. Chyba jestem w Gregu trochę zakochana, choć nie powiedziałabym o tym nikomu.

- Patrzcie, kto nadchodzi! Księżna Walii we własnej osobie - usłyszałam naraz.

- Bardzo zabawne. - Mama rzuciła klucze na stół i skinęła na Yoshiko, żeby się posunęła. Usiadła koło mnie i cmoknęła mnie w głowę. - Miałaś dobry dzień, słonko? - Pachniała kremem przeciwsłonecznym i solą.

Zerknęłam z ukosa na ciotkę.

- Tak. - Pochyliłam się i podrapałam Milly za uszami. Byłam wdzięczna nadchodzącemu zmrokowi, że mama nie widzi rumieńca na mojej twarzy. W duszy wciąż przeżywałam spotkanie z wielorybem. Wydawało mi się, że ona jakoś to wyczuje, ale nie, sięgnęła po szklankę i nalała sobie wody.

- Co dziś robiłaś? - spytała.

- No właśnie, Hanno, opowiedz nam, co robiłaś. - Greg mrugnął do mnie.

- Pomogła mi ścielić łóżka. - Ciotka posłała mu znaczące spojrzenie. - A jak tobie minęło popołudnie?

- Nieźle. - Matka opróżniła szklankę. - Uff, ależ jestem spragniona! Hanno, czy piłaś dziś tyle, ile powinnaś? Kathleen, dopilnowałaś tego? - Mimo lat spędzonych w Australii wciąż mówiła z brytyjskim akcentem.

- Piła wystarczająco dużo. Ile zobaczyłaś?

- Nigdy nie pije tyle, ile trzeba. Tylko jednego, dużą samicę. Opryskała mi pół pokładu. Zobacz! - Podniosła przemoczoną książeczkę czekową.

- Typowy błąd amatora. - Ciotka westchnęła zde gustowana. - Byłaś sama?

Matka kiwnęła głową.

- Chciałam wypróbować nowy ster, zobaczyć, jak będzie działał w trudniejszych warunkach. Sprzedawca ostrzegał, że może ciężko chodzić.

- I ot tak natknęłaś się na wieloryba - zauważył ironicznie Lance.

Upiła kolejny łyk wody.

- Mniej więcej. - Zamknęła się w sobie, jej twarz zastygła, jakby to nie była moja mama, ale jakaś rzeźba. Jakby spotkanie z wielorybem nie miało miejsca.

Przez kilka minut jedliśmy w milczeniu. Słońce powoli zachodziło nad horyzontem. Dwóch rybaków minęło hotel, pozdrowili nas skinieniem dłoni. W jednym rozpoznałam ojca Lary, ale nie jestem pewna, czy mnie zauważył.

Matka zjadła kromkę chleba i niewielki talerz sałatki - nawet mniej niż ja, a przecież to ja nie lubię sałatki najbardziej na świecie. Potem spojrzała na Grega.

- Słyszałam o *Suzanne*.

- Połowa Port Stephens też o niej słyszała. - Sternik podniósł zmęczone oczy Wyglądał, jakby przez tydzień się nie golił.

- Tak. No, cóż, przykro mi.

- Aż tak, że wybierzemy się gdzieś razem w piątek?

- Nie! - Wstała, spojrzała na zegarek, wcisnęła przemoczoną książeczkę czekową do torby i skierowała się w stronę kuchni. - Coś jest nie tak z tym sterem. Muszę zadzwonić do skutni, zanim ją zamkną. Załóż sweter, Hanno, wiatr się wzmaga.

Patrzyłam, jak odchodzi. Pies poszedł za nią.

Siedzieliśmy w milczeniu, dopóki nie kłapnęły zamykane drzwi. Potem Lance wyciągnął się na krześle i spojrzał na ciemniejącą zatokę. Na horyzoncie pojawił się mglisty zarys promu.

- Widzieliśmy pierwszego w tym sezonie wieloryba, a Greg po raz pierwszy miał przerwę w życiorysie. Jest w tym jakaś harmonia, nie uważacie?

Uchylił się przed kawałkiem chleba, który poleciał prosto w jego stronę.



RS

Rozdział 2



Kathleen

Muzeum Wielorybnictwa mieści się w starej przetwórni ryb niedaleko hotelu „Srebrna Zatoka”, odkąd na początku lat sześćdziesiątych zaniechano w Port Stephens połowów handlowych. Obecnie to żadna atrakcja dla turystów: zaniedbany budynek, podłoga w podejrzanym brązowoczerwonawym odcieniu, drewniane ściany wciąż przesycone zapachem solonych ryb. Na tyłach stoi wygodka z desek. Przed wejściem wisi tabliczka, że spragnieni mogą się napić świeżej lemoniady, a na głodnych czeka obiad w hotelu. Cóż, z drugiej strony turystycznych udogodnień mamy i tak dwa razy więcej, niż kiedy hotel prowadził jeszcze mój ojciec.

Najważniejszym eksponatem jest część pokładu *Maui II*, statku wielorybniczego. W 1935 kadłub pękł na dwie części po niespodziewanym ataku płetwala karłowatego. Wieloryb wynurzył się pod łodzią, a potem bił w nią ogonem, dopóki się nie rozpadła. Na szczęście załoga kutra rybackiego, który akurat był w pobliżu, uratowała rozbitków i potwierdziła ich wersję. Mieszkańcy okolicznych wiosek odwiedzali muzeum jeszcze wiele lat później, by zobaczyć na własne oczy, że natura może zwrócić się przeciwko człowiekowi, gdy uzna, że przeholował.

Odkąd w 1970 roku umarł mi ojciec, muzeum jest pod moją opieką. Zawsze pozwalałam odwiedzającym wspinać się na wrak, dotykać splekanego drewna. Widziałam ich ożywienie, gdy wyobrażali sobie tę podróż na grzbiecie wieloryba. Przed laty pozowałam do zdjęć, kiedy co bardziej spostrzegawczy rozpoznawali we mnie „dziewczynę rekina” z artykułów w gazetach, i opowiadałam o wypchanych drapieżnikach w szklanych gablotach ściennych.

Teraz jednak zainteresowanie zmalało. Hotelowi goście spędzali z grzeczności piętnaście minut w zakurzonych salach muzeum, niekiedy kupowali plakaty z wielorybami albo podpisywali petycję przeciwko wznowieniu połowów handlowych. Jednak przeważnie czekali już wtedy na taksówkę albo zachodzili, kiedy wiał wiatr i padało, więc i tak nie można było wypłynąć.

Tego dnia, stojąc za ladą, pomyślałam, że im się nie dziwię. *Maui II* przypominał stos drewna wyrzuconego na brzeg przez morze, no i trudno zachwycać się kośćmi wieloryba czy fragmentem pyska humbaka, gdy czeka na ciebie minigolf albo automaty do gier w klubie surfingowym. Sąsiedzi powtarzali mi od lat, że trzeba iść z duchem czasu, ale nie zwracałam na to uwagi. Po co? Połowa odwiedzających czuła się niezręcznie w miejscu poświęconym nielegalnemu już zawodowi. Czasami tak sobie myślałam, czy jest jakiś inny powód, by nie zamykać muzeum, niż ten, że wielorybnictwo należy do historii Srebrnej Zatoki, a historia jest tym, czym jest, choćby nie wiem jak trudna do przełknięcia.

Poprawiłam harpun z *Maui II* wiszący na haku. Z nieznanym mi bliżej powodów nazywano go „Starym Harrym”. Następnie przetałam leżącą pod nim wędkę i nakręciłam kołowrotek. Nie miało to wprawdzie żadnego znaczenia, ale lubię mieć poczucie, że sprzęt działa jak należy. Z

lekkim wahaniem, jednak skuszona znajomym kształtem w dłoni, zamachnęłam się szeroko wędziskiem.

- Za wiele tu nie złowisz. Odwróciłam się, podnosząc dłoń do serca.

- Nino Gainesie, przez ciebie prawie upuściłam wędkę!

-Marne szanse. - Zdjął kapelusz i wszedł do sali. - Jeszcze nie widziałem, żebyś straciła zdobycz. -Uśmiechnął się, odsłaniając nierówne zęby

- Przywiozłem kilka butelek wina. Może masz ochotę zjeść ze mną obiad i spróbować? Byłbym ciekaw twojej opinii.

-O ile pamiętam, zamawiałam wino dopiero na przyszły tydzień. - Odstawiłam wędkę na miejsce i wytarłam dłonie o zamszowe spodnie. Wstydziałam się, że zastał mnie w roboczym ubraniu i z rozczochranymi włosami, choć jestem za stara, żeby się tym przejmować.

-Jak mówiłem, to dobry rocznik. Ciekaw jestem, jak ci się spodoba. - Znów się uśmiechnął. Zmarszczki na jego twarzy świadczyły o latach spędzonych w winnicy, a lekko zaróżowiony nos o tym, jak spędzał wieczory po pracy

-Muszę przygotować pokój dla gościa na jutro.

-Kobieto, ile czasu zamierzasz ścielić łóżko?

-O tej porze nie ma zbyt wielu gości. Darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby... - Zobaczyłam zawód na jego twarzy i uległam. - Chyba znajdę chwilę, o ile nie oczekujesz wystawnego posiłku. Czekałam na dostawę warzyw. Zawsze się spóźnia.

- Przewidziałem to. - Podniósł papierową torbę. -Kupiłem paszteciki i kilka pomidorów na deser. Wiem, jak to jest z pracującymi kobietami. Praca, praca, praca... coś musi was trzymać przy życiu.

Wybuchnęłam śmiechem. Nino Gaines zawsze mnie rozbrajał, nawet przed wojną, kiedy przyjechał do Srebrnej Zatoki i oświadczył, że zamierza się tu osiedlić. W tym czasie pełno tu było australijskich i amerykań-

skich żołnierzy, a ich niewybredne zaloty doprowadzały mojego ojca do szewskiej pasji - wciąż opowiadał, niby mimochodem, jak celnie potrafi strzelać. Natomiast Nino był dżentelmenem: zawsze zdejmował czapkę, czekając, aż zostanie obsłużony, a do mojej matki nigdy nie zwracał się inaczej niż „proszę pani”. „I tak mu nie ufam” - mruzczał pod nosem ojciec, a ja myślałam, że prawdopodobnie ma rację.

Na zewnątrz świeciło słońce, morze było spokojne -idealny dzień na obserwowanie wielorybów. Gdy usiedliśmy, zobaczyłam, że *Moby I* i 77 wypływają z zatoki. Mój wzrok nie był tak dobry jak dawniej, ale wyglądało na to, że wiozą całkiem sporo pasażerów. Liza wypłynęła wcześniej; zabrała grupę emerytów z klubu kombatantów, jak zwykle za darmo, choć tłumaczyłam jej, że to głupota.

- Zamykasz muzeum na zimę? Potrząsnęłam głową i nadgryzłam pasztecik.

- Nie. Załogi *Moby*ch proponują transakcję związaną. Noclegi, wyżywienie i morska wycieczka w pakiecie, w tym wizyta w muzeum. Tak jak robimy z Lizą. Wydrukowali już ulotki i wrzucą ogłoszenie na serwis turystyczny Nowej Południowej Walii. Mówią, że tak się robi w wielkim biznesie.

Miałam nadzieję, że mruknie coś o swoim braku zrozumienia współczesnych technologii, ale odpowiedział:

-Dobry pomysł. Ostatnio sprzedaję w sieci około czterdziestu skrzynek wina miesięcznie.

-Masz Internet? - Zerknęłam na niego znad okularów.

Podniósł kieliszek. Nie potrafił ukryć satysfakcji, że udało mu się mnie zaskoczyć.

- Mało o mnie wiesz, Kathleen Whittier Mostyn, choć pewnie myślisz, że jest inaczej. Od dobrych osiemnastu miesięcy jestem w wirtual-

nej przestrzeni. Frank mi to załatwił. Szczerze mówiąc, lubię serfować po Internecie. Sam kupiłem kilka butelek. - Skinął dłonią w stronę mojego kieliszka. - To bardzo praktyczne, warto znać ofertę dużych winnic z Hunter Valley

Staralam się skupić na winie, nie przyznawać się przed sobą, jak duże wrażenie zrobiło na mnie obycie Nina z komputerem. Czułam się zbita z tropu jak w rozmowach z młodzieżą. Zupełnie jakby na świecie pojawiła się nowa, niezbędna wiedza, a ja byłam w tym czasie zajęta czymś innym. Powąchałam zawartość kieliszka i upiłam niewielki łyk, zatrzymując smak na podniebieniu. Wino było jeszcze młode, ale mimo to znakomite.

- Bardzo dobre, Nino. Wyczuwam delikatną nutę porzeczeki. - Tyle dobrego, że znam się przynajmniej na winie!

Kiwnął głową ucieszony.

- Podejrzywałem, że ją zauważysz. Wiesz, że masz wynik?

- Jaki znowu wynik?

- „Dziewczyna Rekina”. Frank wpisał cię w wyszukiwarke i jesteś w Sieci: twoje zdjęcie, artykuły. Jesteś w archiwach gazet.

- W Internecie jest moje zdjęcie?

- W kostiumie kąpielowym. Zawsze ci pasował. Jest też kilka artykułów. Jakaś studentka z Victorii pisała o tobie w pracy magisterskiej, coś o kobietach i polowaniu. Kawał dobrej roboty: symbolika, odniesienia do antyku i Bóg wie co jeszcze. Poprosiłem Franka, żeby to wydrukował, ale zapomniałem przynieść. Pomyślałem, że nada się do muzeum.

To mnie naprawdę wytrąciło z równowagi. Odstawiłam kieliszek.

- W Internecie jest moje zdjęcie w kostiumie kąpielowym?

Nino wybuchnął śmiechem.

- Uspokój się, Kate, przecież to nie „Playboy”! Wpadnij jutro, to ci pokażę.

- Nie jestem pewna, czy mi się to podoba. Żeby tak każdy mógł sobie mnie oglądać...

- To to samo zdjęcie, które masz tutaj. - Machnął ręką w kierunku muzeum. - Przecież ci nie przeszkadza, że każdy może je obejrzeć.

- To co innego. - Nawet gdy wypowiadałam te słowa, czułam, że nie mają sensu. Jednak muzeum było moim królestwem. Mogłam decydować, kogo do niego wpuszczę i komu co pokażę. Myśl, że nieznani ludzie mogą szperać w moim życiu i przeszłości, zupełnie jakby obstawiali zakłady...

- Powinnaś zamieścić w Sieci zdjęcie Lizy i jej łodzi. Przyciągnęłoby więcej turystów. *Moby I* i *II* nie sprawdzają się jako reklama, ale piękna kobieta owszem.

- Przecież znasz Lizę. Wiesz, że lubi wybierać, kogo zabierze, a kogo nie.

- To żaden interes. Dlaczego nie skupisz się na własnej działalności? Nocleg, wyżywienie i wycieczka z Lizą na *Izmaelu*. Dobijałoby się do niej turyści z całego świata.

- Nie. - Zaczęłam zbierać naczynia. - Nie sędzę, że to dobry pomysł. Dziękuję ci, Nino, ale to naprawdę nie dla nas.

- Kto wie, może znalazłaby sobie faceta... Najwyższy czas, żeby zaczęła się z kimś spotykać.

Dopiero w chwilę później zauważył, że atmosfera wyraźnie ochłodziła. Gdy ujrzał mój wyraz twarzy, zamarł zmieszany z pasztecikiem w pół drogi do ust. Najwyraźniej starał się zrozumieć, co złego powiedział.

- Kate, nie chciałem cię urazić.

- Nic takiego nie miało miejsca.

- Coś jest nie tak, cała się trzęsiesz.

- Nieprawda!

- Spójrz na siebie. - Wskazał na moją dłoń podrygującą nerwowo na surowym drewnianym blacie.

- Odkąd to bębnienie palcami o stół jest przestępstwem? - Położyłam dłoń na kolanach.

- Co się stało?

- Nino Gainesie, muszę przygotować pokój dla gościa. Przepraszam, ale muszę iść, zmarnowałam już pół dnia.

- Chyba jeszcze nie pójdziesz? Daj spokój, nawet nie zjadłaś. Kate, co jest grane? Chodzi o twoje zdjęcie?

Nikt prócz Nina nie nazywał mnie Kate. Nie wiedzieć czemu ta pufałość dołała oliwy do ognia.

- Mam coś do zrobienia, daj mi spokój!

- Wyślę im e-mail, poproszę, żeby je usunęli. Może uda się to podczepić pod prawa autorskie.

- Przestaniesz w końcu gadać o tych przeklętych zdjęciach? Idę, muszę wreszcie sprzątnąć ten pokój. Do zobaczenia wkrótce. - Strzepnęłam ze spodni wyimaginowane okruchy -1 dziękuję za obiad.

Patrzył na mnie - kobietę, którą kochał i podziwiał przez ponad pół wieku. Widział, jak wstaję - nie tak ciężko, jak inne w moim wieku - i idę rażno w stronę kuchni, zostawiwszy go z dwoma niedojedzonymi pasztecikami i winem z jego najlepszych zbiorów, też prawie nietkniętym. Czułam jego wzrok na karku przez całą drogę do domu.

Myslałam, że choć raz poczuje frustrację, że został niesprawiedliwie potraktowany i pochopnie osądzony. Byłam pewna, że zaraz usłyszę go przekrzykującego wiatr. Rzeczywiście, nie mógł się powstrzymać.

- Kathleen Whittier Mostyn, jesteś najbardziej przekorną kobietą, jaką znam!

- Nikt nie każe ci tu przychodzić! - zawołałam. Ze wstydem przyznaję, że nawet nie odwróciłam głowy.



Dawno temu, kiedy moi rodzice zmarli, a ja przejęłam hotel, wiele osób powtarzało mi, że powinnam skorzystać z okazji i go wyremontować - urządzić łazienki w pokojach, zainstalować telewizję satelitarną tak jak w Port Stephens i w Zatoce Byrona. Mówili, że powinnam rozreklamować hotel i piękno naszej części wybrzeża. Słuchałam ich przez jakieś dwie minuty - mały ruch w interesie dawno przestał mi przeszkadzać, podobnie jak większości mieszkańców Srebrnej Zatoki. Napatrzyliśmy się, jak sąsiednie miejscowości padają ofiarą własnego sukcesu: tłok, pijani goście, błędne koło remontów i modernizacji. Utrata spokoju.

Lubiłam myśleć, że w Srebrnej Zatoce panuje równowaga - dość turystów, by zarobić na życie, ale nie aż tylu, by komuś przewróciło się w głowie. Od lat obserwowałam wzmożony ruch latem i senną atmosferę zimą. Od czasu do czasu nagły wzrost zainteresowania wielorybami przynosił niespodziewany najazd gości, ale przeważnie był to stabilny interes - jednakowo niewielkie szanse na nagłe wzbogacenie się i na nagłe bankructwo. Tylko my, delfiny i wieloryby.

Srebrna Zatoka nigdy nie była szczególnie gościnna dla obcych. Pierwsi przybysze z Europy pod koniec osiemnastego stulecia uznali, że nie da się tu osiedlić - skaliste wybrzeże, busz i wędrujące wydmy to nie miejsce dla ludzi (w tych czasach Aborygeni najwyraźniej się nie liczyli jako ludzie). Jednak piaszczyste plaże i brzegi wzbudzały aż za duże za-

interesowanie - dopóki nie wzniesiono pierwszych latarni morskich, rozbił się tu niejeden statek. Potem, jak to zwykle bywa, chciwość zwyciężyła tam, gdzie ciekawość poniosła porażkę - na wulkanicznych wzgórzach odkryto lasy czekające tylko na piłę i siekierę, a na wieść o ławicach ostryg zatoka zarośla się od ludzi. -

Drzewa wycięto. Wzgórza zostały niemal nagie. Ostrygi odławiano najpierw jako źródło wapnia, potem w celach spożywczych, aż w końcu proceder został zakazany, zanim całkiem je wytępiono. Szczerze mówiąc, mój ojciec, gdy tu przyjechał, wcale nie był lepszy od innych - w morzu pełnym drapieżnych ryb: marlinów, tuńczyków, rekinów i pił, widział źródło zysków, nic więcej. Łowieckie trofea. Tak oto w odległym zakątku skalistego wybrzeża powstał hotel „Srebrna Zatoka”. Budowa pochłonęła wszystkie oszczędności ojca i pana Newhavena.

W owych czasach moja rodzina miała do dyspozycji osobny budynek. Nie mieszkaliśmy w hotelu. Matka nie chciała, by goście widzieli ją „w stroju domowym” (to chyba oznaczało „nieuczesaną”), ojciec zaś wolał mieć pewność, że ani ja, ani moja siostra nie mamy zbyt wiele kontaktu ze światem zewnętrznym (Nory to nie powstrzymało: wyjechała do Anglii, zanim skończyła dwadzieścia jeden lat). Zawsze podejrzewałam, że rodzice po prostu chcieli móc kłócić się w spokoju.

Od pożaru w zachodnim skrzydle mieszkaliśmy, to znaczy ja mieszkałam, w ocalałej części hotelu jak w prywatnym domu. Goście zajmowali pokoje w głównym korytarzu, my - od tyłu, salon zaś stanowił wspólną przestrzeń. Jedynie kuchnia była sanktuarium - reguła ta weszła w życie, odkąd wprowadziły się dziewczynki. Matka i córka, a zupełnie przeciwnie! Liza, gdy nie była na morzu, spędzała w kuchni całe dni, nie lubiła pogawędek o niczym i unikała salonu oraz jadalni. Wolała, by od niespodzianek dzieliły ją zamknięte drzwi. Hanna, jak to dzi-

siejsze dzieciaki, większość czasu spędzała wyciągnięta na sofie w salonie z Milly u stóp, czytając albo oglądając telewizję. Ostatnio prowadziła też długie rozmowy przez telefon z przyjaciółmi. Nie wiem, jakim cudem, u licha, zostawały im jeszcze jakieś tematy do rozmowy po sześciu godzinach spędzonych wspólnie w szkole!

- Mamo, byłaś kiedyś w Nowej Zelandii? - Hanna weszła do kuchni. Na jej policzku ujrzałam czerwone odgniecenie od poduszki na kanapie.

Liza w zamyśleniu wyciągnęła dłoń, jakby próbując zetrzeć ślad z jej twarzy.

- Nie, skarbie.

- Ja byłam - powiedziałam. Cerowałam akurat starą parę skarpet. Liza stwierdziła, że marnuję czas i energię, przecież można kupić kilka par za parę dolarów w supermarkecie. Jednak nie należę do osób, które potrafią usiedzieć beczynn timer. - Przed kilkoma laty pojechałam na ryby do Lake Taupo.

- Nie przypominam sobie - zdziwiła się Hanna.

- No, cóż... - zaczęłam liczyć - to było ze dwadzieścia lat temu. Więcej, jakieś dwadzieścia pięć, około czternastu przed twoim narodzeniem.

Hanna wyglądała jak dziecko, które nie potrafi sobie wyobrazić, że coś istniało przed jego narodzeniem, a co dopiero aż tyle lat wcześniej. Nie winałam jej - pamiętam jeszcze, jak sama byłam w tym wieku, gdy wieczór bez towarzystwa przyjaciół zdawał się ciągnąć w nieskończoność jak odsiadanie wyroku w więzieniu. Teraz całe lata mijają jak okamgnienie.

- A byłaś w Wellington? - Usiadła przy stole.

- Tak. Wybudowano tam sporo domów na stromych wzgórzach nad zatoką. Nie mogłam pojąć, jakim cudem nie spadły

- Stoją na palach?

- Chyba tak. Ale to głupota. Słyszałam, że całe miasto rozciąga się wzdłuż uskoku geologicznego. Nie chciałabym się znaleźć w domu na palach podczas trzęsienia ziemi.

Hanna przez chwilę rozważała moje słowa.

- Skarbie, dlaczego pytasz? - Liza klepięciem zachęciła Milly, by wskoczyła jej na kolana. Suka nigdy nie dawała się prosić.

- Szkoła organizuje wycieczkę. - Hanna okręciła kosmyk włosów wokół palca. - Po świętach Bożego Narodzenia. Zastanawiałam się, czy mogłabym pojechać. - Patrzyła to na matkę, to na mnie, jakby już znała odpowiedź. - Nie jest taka droga. Będziemy nocować w schroniskach, a wiecie, jacy są nauczyciele. Nie pozwalają nam się oddalać nawet na krok. - Mówiła coraz szybciej. - I będzie bardzo edukacyjna. Mamy poznawać kulturę Maorysów i uczyć się o wulkanach...

To okropne patrzeć na twarz dziecka, które wie, że prosi o niemożliwe.

- Mogę dołożyć swoje oszczędności, jeżeli będzie za droga.

- To niemożliwe, kochanie. - Liza wyciągnęła rękę. - Naprawdę mi przykro.

- Cała reszta jedzie.

Była za dobrym dzieckiem, żeby się rozgniewać. To była prośba, nie bunt. Czasami wolałabym, żeby się rozzłościła.

- Proszę!

- Nie mamy pieniędzy.

- Ale ja mam prawie trzysta dolarów oszczędności i zostało jeszcze dużo czasu. Możemy zaoszczędzić.

Liza spojrzała na mnie i wzruszyła ramionami.

- Zobaczymy - odpowiedziała takim tonem, że nawet ja wiedziałam, że nie ma żadnej nadziei.

- Hanno, mam dla ciebie propozycję. - Odłożyłam skarpetę. I tak nie umiem cerować. - Mam trochę inwestycji, które przyniosą zysk w przyszłym roku na wiosnę. Pomyślałam, że możemy wybrać się we trzy na wycieczkę na północ. Zawsze chciałam zwiedzić Park Narodowy Kakadu, może zobaczyć krokodyle. Co ty na to?

Jej twarz mówiła sama za siebie: nie chciała podróżować po Australii z matką i starą kobietą, wolałaby wybrać się za granicę samolotem z przyjaciółmi. Chichotać, chodzić późno spać i wysyłać do domu pełne tęsknoty pocztówki. Jednak tej jednej rzeczy nie mogliśmy jej dać.

Próbowałam, Bóg mi świadkiem, próbowałam!

- Możemy wziąć też Milly - powiedziałam. - A jak wystarczy pieniędzy, może spytamy mamę Lary, czy pozwoli jej wybrać się z nami.

Hanna wpatrywała się w stół.

- Byłoby miło - odparła w końcu i spróbowała się uśmiechnąć. Nie bardzo jej to wyszło. - Idę do koleżanki - dodała. - Zaraz zacznie się nasz ulubiony program.

Spojrzenie Lizy mówiło samo za siebie: Srebrna Zatoka jest pięknym miasteczkiem, ale nawet Raj traci urok, jeżeli nie można go opuścić choćby na chwilę. Obie o tym wiedziałyśmy.

- Nie ma co się obwiniać - zaczęłam, gdy byłam pewna, że Hanna nas nie usłyszy - Nic na to nie poradzisz. Przynajmniej na razie.

W ciągu ostatnich kilku lat wielokrotnie widziałam na jej twarzy wyraz zwątpienia.

- Przejdzie jej. - Wyciągnęłam dłoń, a Liza ucisnęła ją z wdzięcznością, choć obie czułyśmy, że to nieprawda.



Rozdział 3



Mike

Tina Kennedy miała na sobie fioletowy stanik wykończony koronką w różyczki. Zwykle w pracy nie obchodzą mnie takie rzeczy. Nie miałem zamiaru zaprzętać sobie głowy bielizną Tiny Kennedy, a zwłaszcza nie teraz. Jednak podając szefowi dokumenty, których zażądał, pochyliła się nisko nad jego ramieniem i wyzywająco spojrzała mi w oczy.

Fioletowy stanik niósł pewne przesłanie. Wraz z nawilżoną, lekko opaloną zawartością przypominał o imprezie sprzed dwóch tygodni, z okazji mojego awansu.

Niełatwo mnie przestraszyć, ale dekolt Tiny Kennedy był jednym z najbardziej przerażających widoków w moim życiu. Mimo woli chwyciłem za telefon w kieszeni. Moja dziewczyna, Vanessa, przez ostatnie pół godziny wysłała mi trzy SMS-y, chociaż zapowiedziałem jej, że to bardzo ważne spotkanie i że ma mi nie przeszkadzać. Przeczytałem pierwszą wiadomość i starałem się zignorować kolejne:

*NieZapomnijKupićMensVogueGamituryStrona46 Pasowałby Ci Ten
Ciemny XXX,*

Koch Zadzwoń Musimy Omówić Plan Stołu,

*Ważne Zadzwonił Przed Mmuszę Dać Odp W sprawie Butów CZE-
KAM XXX.*

Westchnąłem. Poczułem tę szczególną mieszaną niepokoju i rezygnacji, jaką przynosi spędzenie dwóch godzin w dusznej sali konferencyjnej wśród innych mężczyzn w garniturach.

- Podstawą, jak we wszystkich przedsięwzięciach tego typu, są możliwości kompleksu. Uważamy, że stworzony przez nas plan rozwoju przyniesie potencjał wzrostu równy starszym rynkom luksusowych kurortów, przy zaletach młodszych rynków, co spowoduje maksymalizację zysków nie tylko w sezonie letnim, ale przez cały rok.

Telefon zabrzączał mi w kieszeni spodni. Zastanowiłem się przelotnie, czy głos Dennisa Beakera zdołał go zagłuszyć. To jedno trzeba było przyznać Nessie: nigdy nie rezygnowała. Rano sprawiała wrażenie, jakby ledwo słyszała, gdy tłumaczyłem jej, że nie dam rady wyjść wcześniej z pracy ani nawet oddzwonić. Właściwie to ostatnio nic do niej nie docierało z wyjątkiem hasła „ślub” i ewentualnie „dziecko”.

W dole za oknem ołowiana ulica Liverpool ciągnęła się w stronę City. Gdy przechylałem głowę, widziałem sylwetki na chodniku: mężczyzn i kobiety w granatowych, czarnych i szarych garniturach zdążających różnym krokiem do pokrytych sadzą restauracji, gdzie kupią lunch w plastikowych pudełkach, by zjeść go przy biurku. Ze „wyścig szczurów”? Ja nigdy tak się nie czułem, uniformizacja i wspólny cel dawały mi poczucie bezpieczeństwa. Nawet jeżeli tym celem były pieniądze.

W luźniejsze dni Dennis wskazywał okno i pytał: „Jak myślisz, ile zarabia ten facet? A ta kobieta?”. I odgadywał ich dochody na podstawie takich zmiennych, jak krój marynarki, rodzaj obuwia i stopień wypro-

stowania sylwetki. Dwa razy wysłał nawet kogoś, żeby sprawdził, czy szef dobrze zgadł. Ku mojemu zaskoczeniu, trafiał bez pudła.

Dennis Beaker mawiał, że wszystko i wszystkich na tym bożym świecie można przeliczyć na pieniądze. Po czterech latach wspólnej pracy byłem skłonny się z nim zgodzić.

Na lśniącym stole przede mną leżała oferta - lśniący folder, owoc zmudnych tygodni pracy Dennisa, innych partnerów i mojej. Wczoraj wieczorem, gdy sprawdzałem ją po raz ostatni w poszukiwaniu ostatnich niedoróbek, Nessa narzekała, że poświęcam ofercie więcej energii niż o wiele ważniejszym sprawom. Zaprotestowałem, ale niezbyt przekonująco. W przypadku oferty wiedziałem, na czym stoję. Pewniej się czułem ze stopą wzrostu i zyskami przyszłymi niż z nieokreślonymi, wciąż zmieniającymi się pragnieniami co do kwiatowych dekoracji czy kolorystyki stroju. Nie mogłem się jednak przyznać, że wolę zostawić ślub na jej głowie, choć kilka okazji, gdy rzeczywiście się zaangażowałem, doprowadziło ją bez mała do hysterii - tyle było rzeczy, których najwyraźniej nie rozumiałem, jakbyśmy mówili innymi językami.

- Teraz chcę więc poprosić mojego współnika o krótką prezentację, żeby pokazać państwu potencjał naszej oferty.

Tina przeszła na drugą stronę sali. Stała obok stolika na kawę w złudnie rozluźnionej pozycji. Wciąż widziałem fioletowe ramiączko. Zamknąłem oczy i spróbowałem wyrzucić z pamięci natrętne wspomnienie jej piersi w męskiej toalecie baru „Brazylia”, jej bluzki ściąganej z miękką nonszalancją.

- Mike?

Znów patrzyła. Zerknąłem na nią przelotnie i odwróciłem głowę, żeby jej przypadkiem nie zachęcać.

- Mike, jesteś z nami? - W głosie Dennisa dało się wyczuć zniecierpliwienie.

Wstałem z fotela i przejrzałem notatki.

-Tak - odpowiedziałem stanowczo. Posłałem uśmiech naszym spostrzegawczym gościom z Vallan-ce Equity. Miałem nadzieję, że choć w części emanuję, jak Dennis, pewnością siebie i jowialnością. - Po prostu kilka kwestii, które poruszyłeś, zwróciło moją uwagę. -Wzięłem głęboki oddech i machnąłem dłonią w stronę kontaktu. - Tino, wyłącz, proszę, światło.

Sięgnąłem po pilota do przełączania slajdów i gdy telefon znów zawi-brował, pożałowałem, że go nie wyjąłem z kieszeni. Chwilę w niej po-grzebałem, próbując wyłączyć komórkę. Niestety, gdy zerknąłem na Ti-nę, zdałem sobie sprawę, że uznała to za komplement pod swoim adre-sem. Uśmiechnęła się leniwie i spojrzała prosto na moje krocze.

- No dobrze - wypuściłem powietrze i starannie ominąłem ją wzro-kiem - chciałyby przedstawić panom inwestycję, która, naszym skrom-nym zdaniem, zasługuje na miano największej szansy ostatniej dekady

Przy stole okazano subtelne rozbawienie. Kupili mnie. Szczery entu-zjasm Dennisa stanowił dobrą zaprawę, teraz czekali na moją długą listę faktów i liczb. Uważni, czujni, a jednak chcieli dać się przekonać. Ojciec często powtarzał, że jestem stworzony do biznesu - miał jednak na myśli pewność i zaufanie spod znaku szarych garniturów, niekoniecznie agre-sywną przedsiębiorczość czy twarde negocjacje. Choć ostatecznie wyłą-dowałem właśnie w tym segmencie, muszę przyznać, że nie byłem uro-dzonym ryzykantem - raczej jednym z tych ostrożnych, wyważonych analityków, którzy zawsze muszą dokonać ekspertyzy i sprawdzić wszystko wielokrotnie w najdrobniejszych szczegółach.

Jako dziecko, zanim wydałem kieszonkowe, spędzałem całe godziny w sklepie z zabawkami i rozważałem zalety Action Mana i jego rywali w obawie przed rozczarowaniem wynikłym z błędnej decyzji. Często wany ciastem ważyłem rzadkość występowania cytrynowego placka przeciwko solidnej wiarygodności czekoladowego tortu i sprawdzałem po dwa razy, czy aby któreś z nich nie zawiera malinowej galaretki.

Nie chcę przez to powiedzieć, że brakowało mi ambicji. Wiedziałem dokładnie, czego chcę i nauczyłem się, że „cicho jadąc, dalej zajadę”. Błyskotliwe kariery kolegów po fachu nabierały tempa i kończyły się tyleż nagle, co niespodziewanie, a ja zyskałem stabilność finansową dzięki skrupulatnemu monitorowaniu odsetek i stóp wzrostu. Po sześciu latach w Beaker Holdings awans na stanowisko młodszego wspólnika pozornie nie miał nic wspólnego z zaręczynami z córką szefa. Byłem ceniony jako ktoś, kto potrafi trafnie ocenić zyski każdego wyboru - geograficzne, społeczne czy ekonomiczne - jeszcze zanim się go dokona. Dwie duże umowy i byłbym starszym wspólnikiem. Kolejnych siedem lat, a Dennis przeszedłby na emeryturę, a ja byłbym gotów zająć jego miejsce. Zaplanowałem to bardzo dokładnie.

Tym bardziej moje zachowanie tamtej nocy było do mnie zupełnie niepodobne.

- Chyba ostatnio przechodzisz fazę młodzieńczego buntu, odłożonego w czasie, rzecz jasna - zauważyła moja siostra Monika dwa dni wcześniej, kiedy to w ramach prezentu urodzinowego zaprosiłem ją na lunch do najlepszej znanej mi restauracji. Pracowała w dużej gazecie, ale zarabiała mniej, niż ja wydawałem w delegacjach.

- Nawet jej nie lubię - przyznałem.

- Od kiedy to seks wymaga sympatii?! - prychnęła. - Wezmę dwa desery. Nie mogę zdecydować, czy wziąć czekoladowy pudding, czy *crème*

brûlée. - Zignorowała moje spojrzenie. - To reakcja na ślub. Podświadomie próbujesz zapłodnić kogoś innego.

- Nie bądź śmieszna! - wzdrynąłem się. - Boże, na samą myśl...

- W porządku. Ale w oczywisty sposób wierzgasz przeciw czemuś. Dosłownie wierzgasz. - Przesłała mi uśmiech. - Powinieneś powiedzieć Vanessie, że nie jesteś jeszcze gotowy.

- Ale ona ma rację. Nigdy nie będę gotowy. Nie jestem gościem tego typu.

- Więc wolisz, żeby to ona zdecydowała za ciebie?

- W życiu osobistym tak. To się sprawdza.

- Tak dobrze, że musiałeś przelecieć kogoś innego?

- Mów ciszej, dobrze?

- Wiesz, wezmę jednak czekoladowy pudding, najwyżej spróbuję od ciebie kremu.

- Co będzie, jeżeli powie Dennisowi?

- Będziesz miał duże kłopoty, ale chyba o tym wiesz, skoro spałeś z jego sekretarką. Mike, daj spokój, masz trzydzieści cztery lata, nie jesteś już niewiniątkiem.

Ukryłem twarz w dłoniach.

- Nie wiem, co mnie napadło. Monika nagle przybrała wojowniczy ton.

- Dobrze to słyszeć z twoich ust. Nawet nie wiesz, jaka to ulga, ta świadomość, że potrafisz namieszać w swoim życiu tak, jak my wszyscy. Mogę powiedzieć mamie i tacie?

Na wspomnienie radości siostry przez chwilę zapomniałem, gdzie jestem, i musiałem zerknąć do notatek. Wzięłem głęboki oddech, podniosłem wzrok na pełne oczekiwania twarze naszych gości. W pokoju nieoczekiwanie zrobiło się gorąco, ale jakoś nikt nie był nawet lekko zaró-

zowiony. Dennis zawsze powtarzał, że przedsiębiorcy mają lód w żyłach. Może się nie mylił.

-Jak zauważył Dennis, w tym projekcie kładziemy nacisk na rynek jakościowy - zacząłem wreszcie. - Konsumenci, do których chcemy dotrzeć, są głodni wrażeń. To ludzie, którzy przez ostatnich dziesięć lat zwiększali stan posiadania i których to nie uszczęśliwiło. Mają duże majątki, mało czasu i szukają nowych sposobów wydawania pieniędzy. A prawdziwy obszar wzrostu to, jak wynika z naszych badań, ich samopoczucie.

Kliknąłem pilotem zdjęcia dostarczone przez artystę fotografa dopiero rano (Dennis mało nie dostał zawału).

- Nasze przedsięwzięcie nie tylko zapewni im wysokiej jakości kwatery, które spowodują automatyczne wejście w najwyższy segment rynku, ale również szeroki wachlarz atrakcji dostosowanych do otoczenia. Na przykład spa, klejnot architektury o sześciu różnych basenach, ze sztabem terapeutów na pełen etat i ofertą najnowszych zabiegów holistycznych. Na stronie trzynastej znajdują się bardziej szczegółowe propozycje rozwiązań oraz funkcji. Dla tych zaś, którzy dobre samopoczucie czerpią z bardziej aktywnych sposobów spędzania wolnego czasu, a spójrzmy prawdzie w oczy, najczęściej są to mężczyźni... - tu uczyniłem pauzę na rozbawione, pełne aprobaty przytakiwania - mamy *pièce de resistance* całego kompleksu, czyli zintegrowany ośrodek sportów wodnych: surfing, skutery, narty wodne i motorówki. Przewidziane są połowy drapieżnych ryb. Wykwalifikowani instruktorzy zabiorą klientów na indywidualnie zaplanowane rejsy morskie. Jesteśmy przekonani, że połączenie najwyższej jakości wyposażenia i profesjonalnej obsługi zapewni klientom wyjątkowy wypoczynek i szanse na zdobycie nowych umiejętności.

- W ośrodku, który stanie się synonimem luksusu i profesjonalizmu - dodał Dennis. - Mike, pokaż nam projekty kompleksu. Jak panowie widzą, zapewnimy trzy rodzaje zakwaterowania, dostosowane do potrzeb zamożnych singli oraz rodzin, z wydzielonym penthousem dla VIP-ów. Zapewne zauważyliście, że nie ma opcji budżetowej. Kilka instytucji już wykazało zainteresowanie...

- Słyszałem, że straciliście lokalizację - przerwał mu głos z głębi sali.

Zapadła cisza.

„Do diabła!” - pomyślałem.

- Tino, zapal światło. - To był głos Dennisa. Zastanawiałem się, czy odpowie, on jednak patrzył na mnie.

Przybrałem twarz pokerzysty. Jestem w tym dobry.

- Przepraszam, nie dosłyszałem. O co pytałeś, Neville?

- Słyszałem, że planowaliście umieścić ośrodek w Afryce Południowej, ale straciliście tę lokalizację.

Dokument nie zawiera żadnych informacji o położeniu. Nie możecie oczekiwać, że rozważymy inwestycję w kompleks wypoczynkowy, który jeszcze nie ma lokalizacji.

Szczęka Dennisa drgnęła z zaskoczenia. Skąd, u licha, dowiedzieli się o Afryce Południowej?

Usłyszałem swoją odpowiedź, nim zdążyłem ją sformułować w myślach:

- Nie mam pojęcia, skąd pochodzą wasze informacje, ale tę lokalizację rozważaliśmy jedynie przez krótki czas. Po dokładniejszych analizach uznaliśmy, że nie spełni oczekiwań naszych i naszych klientów. Rynek jest bardzo specyficzny, a...

- Dlaczego?

- Co dlaczego?

- Dlaczego Afryka Południowa się nie nadaje? O ile mi wiadomo, to jeden z najszybciej rozwijających się rynków turystycznych na świecie.

Koszula od Turnbulla & Assera przyłgnęła mi do pleców cała mokra. Zawahałem się. Czyżby Neville naprawdę wiedział o fiasku naszej poprzedniej umowy?

- Z powodów politycznych - wtrącił Dennis.

- Jak mam to rozumieć?

- Podróż z lotniska do kompleksu trwałaby około pół godziny. Niezależnie od trasy prowadziłyby przez... jak by to ująć, mniej zamożne obszary. Z naszych badań wynika, że gdy klient płaci za luksusowe wakacje, nie życzy sobie konfrontacji z nędzą. Czuje się... - „Nie uśmiechaj się przepraszająco do ich sekretarki” - błagałem w myślach. Za późno. Współczujący uśmiech Dennisa był równie szeroki, co nie na miejscu. - ...nieswojo. A to ostatnie uczucie, na które chcielibyśmy go narazić.

Radość jak najbardziej. Entuzjazm i oczywiście satysfakcja. Lecz nie zażenowanie czy poczucie winy w stosunku do jego... kolorowych braci.

Zamknąłem oczy. Bardziej poczułem, niż zauważyłem, że czarnoskóra sekretarka naszych gości zrobiła to samo.

- Nie, Neville'u, polityka i wypoczynek w luksusie nie stanowią pary.

- Dennis potrząsnął głową z powagą jak wyrocznia. - A my w Beaker Holdings szcycimy się wykonywaniem analiz, które pozwalają nam uniknąć tego typu ryzyka, nim zaangażujemy się w poważny projekt.

- Więc pomyśleliście o alternatywnej lokalizacji?

- Nie tylko pomyśleliśmy, ale mamy ją zagwarantowaną - odpowiedziałem. - Trochę się różni od pierwotnej koncepcji, ale pozwala uniknąć wszystkich niewypałów Afryki Południowej i innych krajów trzeciego świata. Mówi się tam po angielsku, świetny klimat i mogę z pełnym przekonaniem powiedzieć, że to jeden z najpiękniejszych zakąt-

ków, jakie widziałem. A w mojej pracy, Neville, ty wiesz o tym dobrze, widuje się nie byle jakie miejsca.

A prawda była taka, że RJW Land sprzątnął nam lokalizację sprzed nosa. Ktoś od nich musiał zawiadomić Vallance. Myśli galopowały - jeżeli RJW próbował podobnej inwestycji, czy także starał się podjąć współpracę z Vallance? Czy próbowali storpedować naszą umowę?

- Nie mogę zdradzić zbyt wielu szczegółów - ciągnąłem gładko. - Mogę wam powiedzieć w zaufaniu, że również inne względy przemawiają przeciwko lokalizacji w Afryce Południowej. Z naszych źródeł wynika, że wygeneruje ona znacznie niższe dochody A jak wiecie, chcemy zmaksymalizować zyski.

Tymczasem o nowej lokalizacji nie wiedziałem prawie nic. W akcie desperacji skorzystaliśmy z usług agenta nieruchomości, dawnego kumpla Dennisa, i sfinalizowaliśmy umowę zaledwie dwa dni wcześniej. Nie znoszę kupować kota w worku.

- Timie - uśmiechnąłem się - wiesz, że jestem wyjątkowym nudziarzem, gdy chodzi o badania, że nie ma dla mnie miłszej lektury na wieczór niż sterta analiz. Uwierz mi, gdybym uważał, że Afryka Południowa na dłuższą metę będzie lepsza, łatwo bym z niej nie zrezygnował. Ja jednak lubię zagłębić się w problem...

- Twoje wieczorne lektury bardzo nas ciekawią, Mike, ale chcielibyśmy..

- Tu chodzi o marże, to podstawa...

- Nikt nie dba o nie bardziej niż my, ale... Dennis podniósł pulchną dłoń.

- Tim, wystarczy, ani słowa! Muszę wam pokazać coś jeszcze, zanim przejdziemy do szczegółów. Zanim podamy wam dokładną lokalizację, panowie będą uprzejmi przejść do drugiej sali. Czas na chwilę zabawy

Przedstawiciele agresywnych funduszy kapitałowych nigdy nie wyglądali mi na osobników chętnych do zabawy, ci także. Kilku sprawiało wrażenie niezadowolonych, że pozbawiono ich komfortu stołu konferencyjnego i skórzanych foteli. Wymienili między sobą kilka mruknięć. Ponieważ spóźniłem się pół godziny, nie miałem pojęcia, co planuje Dennis. „Oby tylko nie kazał Tinie wystąpić w bikini” - błagałem w duchu. Wciąż prześladowało mnie wspomnienie wieczoru w „Hawaiian Hula”.

Jednak wymyślił coś innego. Druga sala konferencyjna została opróżniona z krzeseł, stołu i ekranu do prezentacji. Zniknął sprzęt do telekonferencji i wózek do rozwożenia napojów. Środek zajmowała wielka maszyna, na środku której umieszczono nadmuchiwane niebieskie poduchy, a wśród nich jaskrawożółtą deskę surfingową.

Cała ta instalacja robiła tak absurdalne wrażenie, że wszyscy znieruchomieli.

- Panowie, zdejmujcie buty i przygotujcie się na *hang ten*^{*1} - Dennis machnął ręką w stronę maszyny. - To symulator - wyjaśnił. - Wszyscy możecie spróbować.

Ciszę zakłócało jedynie monotonne brzęczenie maszyny. W oszczędnym wystroju sali, zdominowanym przez szarości wyglądała jak statek kosmiczny z obcej planety. Napisy na podświetlanych guzikach informowały radośnie, że gdyby ktoś miał ochotę, może zdobywać doświadczenie w surfingu w rytmie przebojów Beach Boys.

Zobaczyłem miny gości i uznałem, że najlepsze, co mogę zrobić, to odwrócić ich uwagę.

¹ * *W surfingu: wystawić palce u nóg poza krawędź deski. [Przyp. tłum.]*

- Może woleliby panowie najpierw coś zjeść lub wypić? Tino, mogłabyś się tym zająć?

- Czego tylko sobie życzysz, Mike - odparła, rzucając mi powłóczyście spojrzenie. Przysiągłbym, że wyszła, kołysząc biodrami, ale Dennis nic nie zauważył.

- Chcę panom po prostu pokazać, że naszej oferty nie sposób odrzucić. Sam już próbowałem - powiedział, zrzucając buty. - To naprawdę świetna zabawa. Jeżeli nikt nie ma odwagi, sam pokażę, jak to działa. Stajemy w tym miejscu i... - zdjął marynarkę, odsłaniając okazały brzuch nad paskiem spodni. Nie po raz pierwszy poczułem wdzięczność, że Vanessa odziedziczyła urodę po matce. - Zacznę od niewielkich fal. Widzicie? To łatwe.

Przy dźwiękach „I Get Around” mój szef, który przez ostatnie trzy lata nadzorował inwestycje warte przeszło siedemdziesiąt milionów funtów i miał na biurku swoje zdjęcia z Henrym Kissingerem i Alanem Greenspanem, teraz stanął na desce. Podniósł ramiona w atletycznej pozie, ujawniając dwie ciemne plamy potu pod pachami. Był znany z tego, że pokrywa bufonadą umysł jak brzytwa i talent do interesów - choć czasami ogarniały mnie wątpliwości.

- Włącz go, Mike.

Zerknąłem na zgromadzonych mężczyzn i spróbowałem się uśmiechnąć. Nie byłem pewien, czy to dobry pomysł. Uważałem, że firmy nie powinny się utożsamiać z takim widokiem.

- Po prostu włącz wtyczkę, Mike, a ja zajmę się resztą. Tim, Neville, nie udawajcie, że nie chcecie spróbować.

Deska przebudziła się do życia z niskim, przeciągłym świstem. Dennis ugiął kolana i wysunął dłoń do przodu, machając palcami.

- Nie-powiedziałem-wam-panowie, że symulatory też-będą... ups! - walczył o równowagę - dostępne dla naszych klientów na miejscu, zanim wyjdą nad wodę. W-cenie-pobytu. Nawet osoby - wysapał - które w życiu nie surfowały, będą mogły poćwiczyć z dala od ciekawskich spojrzeń, zanim wystawią się na ocenę towarzystwa z wakacji.

Nie wiem, czy sprawiła to obecność w naszej ofercie tej dziwacznej maszyny, czy wyraźna przyjemność, jaką Dennis czerpał z demonstracji, ale po kilku minutach nawet ja widziałem, że ich przekonał. Patrzyłem, jak Tim i Neville podchodzą bliżej do symulatora, sącząc przyniesionego właśnie szampana. Ich dyrektor finansowy, grubas nazwiskiem Simons, już ściągnął buty, odsłaniając parę zdumiewająco przetartych skarpet, a dwaj młodszy członkowie ekipy przerzucali się surfingowym slangiem z broszury przygotowanej przez Tinę.

Dennis miał wyobraźnię, to musiałem mu przyznać.

- Co się stanie, gdy ją podkreścimy? - uśmiechnął się Neville. Nie wiedziałem, czy to dobry znak.

- Tina dała wam listę - wydyszał mój przyszły teść. -To chyba będzie... uuups!... złapać wieloryba.

Neville podszedł bliżej. Ściągnął marynarkę i podał swój kieliszek sekretarce.

- Na który poziom dojdiesz, Dennis? Przeczynałem, że uwielbiał współzawodnictwo. Dobrali się z moim szefem!

- Na który chcesz, Nev. Podkreść ją! - krzyknął, spływając potem. - Zobaczymy, kto utrzyma się na większej fali, co?

- Przełącz, Mike! - ponaglił Neville. Uśmiechnąłem się. Dennis miał rację - symulator odwrócił ich uwagę od pogłosek o Afryce Południowej.

- Zawsze chciałem spróbować surfingu - przyznał Tim, ściągając marynarkę. Maszyna gwizdała i drżała pod ciężarem Dennisa. - Który to poziom, stary?

- Trzeci - odpowiedziałem, zerkając na wskaźnik. - Nie sądzę, żeby..

- No, dalej, jestem pewien, że stać nas na więcej. Podkręć go, Mike! Zobaczymy, kto dłużej się utrzyma.

- Tak, podkręć go! - zaintonowała reszta szarych garniturów z Vallance Equity Financing. Ich zwykły dystans ustąpił miejsca rozbawieniu.

Zerknąłem na Dennisa. Kiwnął głową i machnął ręką w stronę przełącznika.

- Stary, włącz większe fale.

- *Surf* na pianie. - Tim zerknął do spisu terminów surfingowych - Dennis, jesteś na pianie!

Dobry humor mojego szefa był jednak tylko pozorny. Pocił się coraz bardziej. Próbował uśmiechów, ale w jego oczach rosła desperacja, gdy walczył o równowagę na rozchybotanej desce.

- Chcesz trochę zwolnić? - spytałem.

- Nie! Złapałem... falę! Jak długo jestem na czwórce, chłopaki?

- Dajcie mu piątkę! - krzyknął Neville, chwytając przełącznik. - Zobaczymy, jak radzi sobie na - zerknął w spis - grzywaczach.

- Nie wydaje mi się... - zacząłem.

Potem nikt nie był pewien, co właściwie zaszło. Dennis nie wypił wprawdzie ani kropli szampana, jednak gdy symulator został przełączony na najwyższą prędkość, stracił równowagę i z okropnym krzykiem runął na podłogę. Wylądował ciężko na biodrze, a głośny trzask pękającej kości nie pozostawiał żadnych złudzeń. Nigdy nie zapomnę tego odgłosu. Pozbawił mnie najmniejszej choćby chęci, by kiedykolwiek wypróbować tę maszynę. Jak już wspominałem, nie lubię ryzyka.

W sali rozpętało się piekło. Wszyscy stłoczeni wokół Dennisa, wyrazy współczucia i ponaglenia, by wezwać karetkę, mieszały się z wyciem symulatora i dźwiękami przebojów Beach Boys.

- Nie ma jak Australia, he? - spytał Neville, gdy mojego szefa wynoszono z sali. - Niezapomniana prezentacja. Zdecydowanie jesteśmy zainteresowani. Gdy wyjdiesz ze szpitala, pogadamy o szczegółach.

- Mike wyśle wam kopię raportu o lokalizacji. Zrobisz to, Mike? - spytał Dennis przez zaciśnięte z bólu zęby Jego twarz przybrała barwę popiołu.

- Oczywiście. - Starąłem się wyglądać tak pewnie, jak on.

Gdy przenoszono go do karetki, przywołał mnie bliżej.

- Wiem, o czym myślisz - wyszeptał. - Będziesz musiał tam jechać.

- To kiepski moment. Ślub...

- Załatwię to z Vanessa. Zresztą i tak lepiej, żebyś nie plątał się jej pod nogami podczas przygotowań. Zarezerwuj lot na dziś po południu. I na miłość boską, Mike, wróć z planem, który wypali!

- Nie mamy nawet...

- Przetrzymam ich, dam ci tyle czasu, ile trzeba. Ale to nasz największy projekt jak dotąd. Chcę wiedzieć, że awansując cię, nie popełniłem błędu. Musisz tego dopilnować.

Mojej odmowy nawet nie brał pod uwagę. Nie wyobrażał sobie, że mogę przedkładać życie osobiste nad potrzeby firmy. Prawdopodobnie miał rację. Byłem lojalnym, oddanym pracownikiem, więc zarezerwowałem lot na popołudnie. Klasa business u jednego z azjatyckich przewoźników wyniosła mnie taniej niż ekonomiczna w dwóch znanych liniach, które wyświetliły się pierwsze.



Rozdział 4



Greg

Najlepsza pora na piwo? Mój stary twierdził, że każda pora jest dobra, byle minęło południe. Chlał piwsko jak matka herbatę, podczas pracy na budowie co kilka godzin otwierał kolejną butelkę tooheysa.

Był z niego kawał chłopca, nikt by nie pomyślał, że tyle pił. Mama twierdzi, że to dlatego, że był stale zalany; popołudniami „w humorze”, przy herbacie zaczepny, rano trochę kołowaty po balandze dzień wcześniej. Na szczęście nigdy nie musieliśmy znosić go na trzeźwo.

Dla mnie odpowiednia pora to druga po południu, chyba że pracuję - wtedy piję, jak odstawię *Słodką Suzie* na przystań. Nigdy nie staję za sterem na gazie - mam wiele wad, ale w życiu nie naraziłbym łajby. Jednak zimne piwko u Kathleen to najlepsza rzecz pod słońcem -zwłaszcza w słoneczny dzień, przy misce chipsów. Nie rozumiem, jak można mieć jakieś obiekcje. Tak jak moja była...

Suzanne uważała, że nie ma dobrej pory na piwo. Mówiła, że jestem wstrętnym, obrzydliwym pijakiem, a piję tak często, żeby o tym zapomnieć. Twierdziła, że przez to nie może na mnie dłużej patrzeć, że się staczam, że dlatego nie możemy mieć dzieci - choć uparcie odmawiała, gdy chciałem, abyśmy wybrali się do lekarza;

niech sprawdzi, czy da się coś z tym zrobić. A ja jej powiedziałem: „Nie jestem aniołem i pierwszy przyznam, że niełatwo ze mną wytrzymać, ale niewielu mężczyzn w Australii zgodziłoby się wystawić swój sprzęt na oględziny lekarskie, zwłaszcza gdyby lekarz był mężczyzną”.

Ja jednak bardzo chciałem mieć dzieci. I właśnie dlatego, gdy o jedenastej dwadzieścia pięć wyszedłem z biura mojej adwokat - niesamowite, jak pilnujesz czasu, gdy płacisz za godzinę według sobotniej stawki - uznałem, że jeżeli o mnie chodzi, nadeszła idealna pora na zimną puszkę VB. Chociaż dzień był dość chłodny, miałem na sobie tylko sweter, a wiatr wiał zbyt mocno, by usiedzieć na zewnątrz i nie zsinieć.

To piwo chyba znaczyło, że ją olewam, podobnie jak wszystko inne. Ją i jej cholernego instruktora fitness, i połowę majątku, i głupie żądania. Ponieważ, prawdę mówiąc, w ogóle mi nie smakowało. Chciałem wypić je w pubie, ale kiedy o tym pomyślałem, samotne piwo w pubie o jedenastej dwadzieścia pięć rano wydawało się nieco... smętne. Nawet w sobotę.

Usiadłem więc przed ciężarówką i wypilem je wolniej, niż to mam w zwyczaju. Czekałem, aż przestanie kojarzyć się z wysiłkiem i sprawi, że czas popłynie szybciej. Tego dnia nie miałem żadnych chętnych na wycieczkę. Muszę przyznać, że moje notowania znacznie spadły, od kiedy przemalowałem łódź. Liza pomogła mi doprowadzić ją do porządku i stwierdziła krótko, że jak będę trzymał gębę na kłódkę, za dwa, trzy tygodnie wszyscy zapomną o całej sprawie. Tak też zrobiłem -zresztą musiałem harować jak wół, żeby sprostać majątkowym żądaniom mojej byłej.

„Rozwód na jasnych warunkach” - tak to nazywali. Rzeczywiście, ból niemal oślepił. Gdy za dużo o tym myślałem, czułem się fizycznie chory

Teraz jednak, siedząc w wozie na parkingu, myślałem o turystach na molo mijających *Zuzę*, drepczących na wysokich obcasach, z kamerami i nagraniami głosów wielorybów. Mierzyli moją łajbę ostrożnymi spojrzeniami, jakby miała wyskoczyć z wody i ujawnić jakieś nowe bluźnierstwo.

Gdybym nie miał innych planów, sam bym wypłynął. Nawet po piwie. Zauważyłem, że czasem czuję się lepiej, jak mogę choćby chwilę popatrzeć na butlonosy. Podnoszą głowy z tym głupim uśmiechem, jakby z tobą żartowały, i czasami po prostu nie można powstrzymać się od śmiechu, nawet w dni, kiedy chciałoby się podciąć sobie żyły. Chyba wszystkie załogi tak mają. Wiemy, że to najlepsze, co może człowieka spotkać - chwile sam na sam z delfinami w morskiej ciszy.

- Na szczęście nie mają państwo dzieci - zauważyła adwokat, likwidując wspólne konto. Nie miała pojęcia, o czym mówi.

Kończyłem drugie piwo, gdy go zobaczyłem. Zgniotłem puszkę i już miałem ją cisnąć do kosza, kiedy się pojawił. Nie można go było nie zauważyć. Stał w granatowym garniturze urzędasza, z kompletem dwóch wielkich waliz i patrzył na główną ulicę. Zagapiłem się na niego, aż i on zwrócił na mnie uwagę. Wyjrzałem przez okno z miną: „Wszystko w porządku, stary?”.

Zawahał się, po czym podniósł walizy i postąpił naprzód. Miał czarne sznurowane półbuty wyczyszczone do połysku. Zwykle z takimi nie gadam, ale ten wyglądał na zmarnowanego i chyba zrobiło mi się go żal.

„Jemu też życie dało w kość” - pomyślałem.

Podszedł do okna, upuścił walizy i wyjął z kieszeni kartkę.

- Taksówkarz chyba wysadził mnie w niewłaściwym miejscu. Czy mógłby mi pan wskazać drogę do hotelu?

Angol, mogłem się domyślić. Skrzywiłem się.

- Jest kilka hoteli. Po której stronie zatoki? Znów zerknął na swoją kartkę.

- Napisali tylko... hotel „Srebrna Zatoka”.

- U Kathleen? To już nie jest hotel. Nie w ścisłym sensie.

- Czy to daleko? Można dojść na piechotę? Chyba ciekawość wzięła we mnie górę. Nieczęsto widzi się tu, w tej głuszy, tak odstawionych facetów.

- Kawał drogi, ale wskakuj pan. Mam tam coś do załatwienia, to pana podrzucę. Bagaż może pan wrzucić na skrzynię.

Zauważyłem zwątpienie na jego twarzy, jakby mi nie ufał. A może nie chciał powalać swoich eleganckich walizek. Trochę mnie to wkurzyło i o mały włos nie zmieniłem zdania. Przytargał jednak bagaże i wciągnął je na tył wozu, po czym wdrapał się do szoferki, walcząc o równowagę na pustych puszkach walających się po podłodze.

- Niech pan uważa na puszki - powiedziałem, ruszając. - Powinny być puste, ale nie dam głowy

Nazwa „Srebrna Zatoka” trochę wprowadza w błąd. Tak naprawdę nie jest to jedna zatoka, ale dwie przedzielone półwyspem i Przystanią Wielorybów. Zawsze mawiałem, że na mapie zatoka wygląda jak olbrzymi tyłek. (Słyszając to, Suzanne zwykle unosiła brwi, ale cokolwiek

bym powiedział, zwykle budziło w niej taką właśnie reakcję).

Dom Kathleen stał na najbardziej oddalonym krańcu lądu, niedaleko wyjścia na otwarte morze. Jeszcze stary dom Bullenów, muzeum, a dalej tylko wydmy. Po drugiej stronie przystani był bar i smażalnia MacIvera, targ rybny i reszta miasta.

Powiedział, że na imię mu Mike, nazwiska zapomniałem. Nie był zbyt rozmowny. Spytałem, czy przyjechał w interesach, odpowiedział, że głównie dla przyjemności. Pamiętam, że pomyślałem: „Kto ubiera się tak na urlopie?”. Mówił, że przyleciał rano i miał wynająć samochód, ale firma nawaliła i obiecała mu go dostarczyć z Newcastle dopiero naza- jutrz.

- Długi lot, nie ma co - zauważyłem. Kiwnął głową.

- Był pan już tu kiedyś?

- W Sydney. Raz, niezbyt długo.

Wyglądał na trzydzieści kilka lat. Jak na urlopowicza często patrzył na zegarek. Spytałem, gdzie się dowiedział o domu Kathleen.

- Niewielki tam ruch. - Rzuciłem znaczące spojrzenie na jego drogi garnitur. - Myślę, że komuś takiemu jak pan byłoby wygodniej w bar- dziej... eleganckim miejscu.

Patrzył prosto przed siebie, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Słyszałem, że okolice są ładne. To jedyny hotel, jaki znalazłem.

- Lepiej panu będzie w „Błękitnej Lagunie” - zauważyłem. - To dalej wzdłuż wybrzeża. Niezłe miejsce, apartamenty, basen olimpijski i inne bajery. Od poniedziałku do czwartku mają stół szwedzki, piętnaście do- lców od osoby. W piątki jest trochę drożej. - Wyminąłem psa przebiega-

jącego przez drogę. - A w Zatoce Nelsona jest hotel „Admirał”. Telewizja satelitarna w każdym pokoju, przyzwoite kanały, nie żadne gównno, a poza sezonem sporo spuszcza ją z ceny. Przypadkiem wiem, że akurat prawie nie mają gości.

- Dziękuję za informacje - odparł po chwili - przydadzą się, jeśli ten hotel nie będzie mi odpowiadał.

Potem już się nie odezwał, ja zresztą też nie. Byłem trochę zły, że tak mnie zgasił. Podwiozłem go na miejsce - za taksówkę zapłaciłby dobre dziesięć dolców - dałem namiary na najlepsze kwatery w okolicy, a on ledwie raczył ze mną rozmawiać.

Już miałem mu powiedzieć coś do słuchu - piwo chyba mnie rozgrzało - ale zauważyłem, że zasnął jak dziecko. Nawet biznesmen w garniturze nie wygląda na zwycięzcę, gdy śpi skulony z głową na ramieniu. Nie wiem dlaczego, ale ten widok poprawił mi humor i pogwizdywałem przez całą drogę do Srebrnej Zatoki.



Kathleen pięknie przybrała stół. Najpierw zauważyłem biały adamaszkowy obrus i balony powiewające na wietrze, dopiero potem całą resztę. Na własnoręcznie wykonanym bannerze widniały słowa „Wszystkiego najlepszego dla Hanny”, a pod nim jubilatka i jej przyjaciółki piszczwały, otaczając faceta z węzłem na ramieniu.

Przez chwilę zapomniałem o gościu w moim wozie. Wyszedłem i podszedłem do stołu. W tej chwili przypomniałem sobie, że przyjęcie rozpoczęło się dobrą godzinę temu.

- Greg - Kathleen potrafiła spojrzeć w taki sposób, że człowiek wiedział, że ona wie, przez co przeszedł - miło, że przyszedłeś.

- Kto to? - kiwnąłem w kierunku faceta z węzem.

- Każe się nazywać „Nauczycielem Zwierząt”. Ma wszystko, co obrzydliwe i pełza: wielkie karaluchy, węże, tarantule... Pozwala dzieciom je potrzymać, głaskać i tak dalej. Hanna prosiła o coś takiego. - Wzdrygnęła się. - Nie potrafię sobie wyobrazić nic paskudniejszego.

- Tak, w sam raz pod obcas - zgodziłem się.

Na przyjęcie przyszło ośmioro dzieci i sporo dorosłych, przede wszystkim członków załóg. Nic dziwnego. Hanna była niezwykłą dziewczynką, nad wiek dojrzałą. No i towarzyszyła nam od lat. Tym bardziej cieszyłem się, że widzę ją wśród rówieśników. Za rzadko z nimi przebywała, może z wyjątkiem jej przyjaciółki, Lary. Często zapominało się o jej wieku, a to niedobrze - dzieciak ma być dzieciakiem, drugi raz takiej okazji już mieć nie będzie nigdy w życiu. Liza twierdziła, że jej córka po prostu lubi samotność. Czasami zastanawiałem się, czy nie ma raczej na myśli siebie.

Kathleen podała mi filiżankę herbaty. Wziąłem ją z nadzieją, że gospodyni nie wyczuje ode mnie zapachu piwa. Na urodzinach dziecka wydawało się to niewłaściwe, a ja bardzo lubiłem Hannę.

- Twoja łajba wygląda o wiele ładniej - uśmiechnęła się Kathleen.

- Chyba wiesz, że Liza pomogła mi ją przemaalować.

- Będziesz miał kłopoty przez swoją porywczosć. - Cmoknęła karcąco.

- Stary chłop, a głupi.

- Kathleen, czy to nagana?

- A więc nie jesteś aż tak bardzo pijany?

-Jedno - przyznałem. - Tylko jedno, najwyżej dwa. Zerknęła na zegarek.

- A dopiero minęło południe. No cóż, tym lepiej dla ciebie.

Trzeba przyznać Pani Rekinów, że zawsze waliła prawdę prosto z mostu. Tak było, jest i będzie. Inaczej niż Liza. Liza patrzy na człowieka, a w myślach prowadzi zupełnie inną rozmowę. W końcu pytasz, o czym myśli (jak baba! - do czego ta Liza potrafi człowieka doprowadzić?!), a ona wzrusza ramionami jakby nigdy nic.

- Cześć, Greg! - Hanna podbiegła z uśmiechem. Pamiętam to uczucie, gdy jesteś dzieckiem i masz urodziny, i przez jeden dzień wszyscy traktują cię jak najważniejszą osobę na świecie. Przystanąła tylko na chwilę, a już wypatrzyła nieduży pakunek, który trzymałem pod pachą. To dziecko może i jest aniołem, ale głupie nie jest.

- To dla ciotki Kathleen - zacząłem się z nią droczyć.

Stała przede mną. Na twarzy dziewczynki zagościł psotny wyraz.

- A dlaczego owinięte w papier dla dzieci? - spytała.

- Twierdzisz, że twoja ciotka jest za stara na taki papier?

Tak jak Suzanne nie dała się nabrać. Próbowwała odgadnąć zawartość po kształcie i rozmiarze paczki. Nie starała się jej wyrwać, to nie ten typ. Jest ostrożna, myśli, zanim zacznie działać. Sam nie mogłem już wytrzymać jej oczekiwania, więc wręczyłem jej prezent. Byłem równie podekscytowany co ona.

Rozerwała papier. Przyjaciółki stłoczyły się wokół niej. Zauważyłem, że dojrzewają, tracą chude nóżki i pulchne policzki. W niektórych można się już było dopatrzeć kobiet, którymi niedługo będą. Ogarnął mnie

nagły smutek, że niektóre skończą jak Suzanne - skwaszone, pełne pretensji... niewierne.

- To klucz. - Zaskoczona podniosła prezent. - Nic z tego nie rozumiem.

- Klucz? - spytałem. Starałem się wyglądać na zdezorientowanego. - Jesteś pewna?

- Gregu...

- Naprawdę go nie poznajesz? Potrząsnęła głową.

- To klucz do mojej szopy. Zmarszczyła brwi. Nadal nie rozumiała.

- Tej przy przystani. Cholera, chyba zostawiłem w niej prezent dla ciebie! Może weźmiesz koleżanki i pójdziecie sprawdzić?

Zanim skończyłem mówić, już ich nie było. Biegły z piskiem, wzbijając tumany kurzu. Kathleen spojrzała na mnie wymownie, ale nic nie powiedziałem. Są takie chwile, które chłonie się całym sobą, a ostatnio miałem ich niewiele.

Po kilku minutach były z powrotem.

- To łódka? Ta mała łódka? - Zaróżowiona, z rozwianym włosiem tak bardzo przypominała swoją matkę, że na chwilę straciłem dech.

- Widziałaś, jak się nazywa? - spytałem.

- *Duma Hanny* - wysapała z przejęciem do ciotki. - To niebieska łódka i nazywa się *Duma Hanny*. Naprawdę jest moja?

- Oczywiście, księżniczko.

Rzuciła mi się na szyję, a kiedy się uśmiechnęła, zapomniałem, że to koszmarne dzień.

- Możemy wypłynąć? Mogę, ciociu K.?

- Nie teraz, kochanie, musisz pokroić tort. Ale jestem pewna, że możecie w niej posiedzieć w szopie.

Po chwili beztruską paplaninę słychać było już na ścieżce.

- Łódka. - Kathleen odwróciła się do mnie i uniosła brew, gdy uznała, że Hanna już jej nie usłyszy. - Uzgodniłeś to z Lizą?

- No... jeszcze nie. Ale myślę, że zaraz będę miał szansę.

Liza szła w moją stronę z tortem na talerzu w dłoni i psem u nóg. Wyglądała pięknie. Jak zwykle sprawiała wrażenie, jakby tak naprawdę miała zupełnie inne plany, ale w ostatniej chwili postanowiła się przy tobie zatrzymać, z uprzejmości, oczywiście.

- Cześć. Wieszalam kość wieloryba nad łóżkiem Hanny, tak jak chciała. - Kiwnęła głową na powitanie. - Śmierdzi jak nie wiem co. Dostała cztery książki o delfinach, dwie o wielorybach i wideo. Jak tak dalej pójdzie, niedługo otworzy własne muzeum. Nigdy nie widziałam pokoju tak pełnego rzeczy o delfinach. - Nagle coś ją tknęło. - A gdzie dzieci?

- Greg ci wytłumaczy - Kathleen odeszła, podnosząc rękę, jakby nie chciała być świadkiem naszej rozmowy

- One... oglądają mój prezent. Odstawiła talerz na stół.

- A co jej dałeś? - Zaczęła ściągać z kanapek folię ochronną.

- Stary Carter miał na sprzedaż niewielką łódkę. Przetarłem ją i odmalowałem na nowo. Jest w świetnym stanie.

Nie od razu zrozumiała. Przez chwilę patrzyła na stół, potem przeniosła wzrok na mnie.

- Co jej kupiłeś?

- Małą łódkę, jej własną. Pomyślałem, że jak weźmie kilka lekcji, będzie mogła wypływać z koleżankami popatrzeć na delfiny - Wyraz twa-

rzy Lizy trochę mnie speszył, więc dodałem: - Kiedyś w końcu trzeba jej będzie sprawić łódź.

Podniosła dłonie do ust - jakby w modlitwie, ale na wdzięczną nie wyglądała.

- Greg! -Tak?

- Czyś ty do reszty stracił rozum?

- Co takiego?

- Kupiłeś mojej córce łódź? Mimo że nie wolno jej wypływać na morze? Co ci, do ciężkiej cholery, strzeliło do głowy?! - głos Lizy drżał z wściekłości.

Patrzyłem na nią, nie rozumiejąc, o co jej chodzi.

- Zrobiłem dziecku prezent na urodziny.

- Nie masz prawa dawać jej takich prezentów.

- Mieszka nad morzem. Wszyscy jej przyjaciele mają małe łódki. Dlaczego ona nie może?

- Bo jej zabraniam.

- Dlaczego? Co w tym złego? Przecież powinna się uczyć, nie sądzisz?

- Będzie się uczyć, jak będzie na to gotowa.

- A niby kiedy będzie gotowa? Ma jedenaście lat! Czemu się wściekasz? - Nie odpowiedziała. Wskazałem Hannę stojącą przy szopie - Spójrz na nią, dziecko cieszy się jak diabli. Słyszałem, jak mówiła koleżankom, że to najlepszy prezent, jaki w życiu dostała. Liza nie chciała słuchać.

- Świetnie! Teraz jak zwykle to ja muszę być złą wiedźmą i powiedzieć jej, że nie może go przyjąć. Wielkie dzięki.

- Więc nie bądź złą wiedźmą. Pozwól jej zatrzymać łódkę. Będziemy jej pilnować.

-My?

Wtedy właśnie pojawił się Mike. Zupełnie o nim zapomniałem. Stał z boku trochę zmieszany, z walizami w ręku i ze zmęczeniem na twarzy. Chętnie kazałbym mu spadać. A Liza nawet go nie zauważyła.

- Powinieneś był mnie spytać - piekliła się - ale ty wolałeś pchać nos w nie swoje sprawy i kupić miłość mojej córki cholerną łódką. Jediną rzeczą, której zabraniam jej od przeszło pięciu lat!

- To tylko mała łódź wiosłowa, przecież nie motorówka z napędem na dwieście koni! - Teraz i ja się wkurzyłem. Zupełnie jakby mnie oskarżała, że chcę skrzywdzić jej córkę.

- Przepraszam, czy mógłbym tylko... - znów zaczął Mike, ale Liza podniosła dłoń, nie odwracając ode mnie wzroku.

- Po prostu spadaj z mojego życia, dobra? Mówiłam ci już z dziesięć razy, że nie chcę być z tobą i nie zmienisz tego, wkupując się w łaski mojej córki.

Zapadła cisza. Nie ma co, wiedziała, że te słowa najbardziej mnie zabolą.

- Wkupywać się w łaski? - Ledwo byłem w stanie mówić. - Za kogo ty mnie, do diabła, uważasz?

- Po prostu odejdz, Greg...

- Naprawdę nie chciałbym przeszkadzać, ale...

- Mamo? - Hanna stała obok Angola. Po urodzinowym uśmiechu nie było nawet śladu. Patrzyła to na mnie, to na Lizę. - Dlaczego krzyczysz na Grega? - mówiła cicho, starannie dobierając słowa. Oczy miała szeroko otwarte, jakbyśmy ją przerazili.

Jej matka odetchnęła głęboko.

-Ja, to znaczy... czy ktoś mógłby mi powiedzieć, gdzie jest recepcja? - Mike wyglądał na bardziej zakłopotanego niż ja.

Liza jakby dopiero teraz zauważyła nieproszonego gościa. Odwróciła się do niego z policzkami zaróżowionymi od gniewu.

- Recepcja? Proszę rozmawiać z Kathleen, z tą panią w niebieskiej bluzce.

Facet spróbował się uśmiechnąć, mruknął coś o angielskim akcencie i po chwili zniknął. A Hanna wciąż stała koło mnie. Jej smutny, cichy głosik sprawił, że miałem ochotę uderzyć Lizę w twarz.

- To znaczy, że nie będę mogła zatrzymać łódki? Gdy jej matka odwróciła się do mnie, miała taki

wzrok, że niemal zabiła. Dziwnie się z tym poczułem.

- Porozmawiamy o tym później, kochanie - odpowiedziała.

- Lizo, nie chciałem... - Ze względu na Hannę starałem się mówić spokojnie.

- Nie interesują mnie twoje tłumaczenia - ucięła. - Hanno, zawołaj koleżanki na tort. - Gdy dziewczynka nie poruszyła się, ponagliła ją skinieniem dłoni. - Idź, a ja spróbuję zapalić świece. Nie będzie to łatwe na tym wietrze.

Położyłem dłoń na ramieniu małej.

- Łódka poczeka na ciebie w szopie, dopóki nie będziesz gotowa - powiedziałem obronnym tonem. I odszedłem, mamrocząc pod nosem słowa, z których nie jestem dumny.

Yoshiko czekała przy wozie.

- Nie odjeżdżaj, Greg - prosiła. - Wiesz, jak ona się upiera przy drobiazgach. Nie psuj Hannie jej święta. - Wciąż trzymała w ręku jakieś narzędzie kuchenne. Najwyraźniej wybiegła z domu, żeby mnie zatrzymać.

„To nie ja je zepsułem - chciałem powiedzieć. - To nie ja upieram się, żeby powstrzymać córkę przed tym, na czym jej najbardziej zależy. Ja nie zachowywałem się tak, jakby dzieciństwo mojej córki było normalne, choć nigdy nie wspominałem o rodzinie, z wyjątkiem Kathleen. Ja nie rzucałem się na nią jak wysypka trzy czy cztery razy do roku, a przez resztę czasu nie traktowałem jej jak czegoś, co się przyczepiło do buta. Wiem, kiedy jestem winny, a kiedy po prostu nie”.

- Powiedz jej, że mam jeszcze jeden rejs - odparłem gorzko, choć wcale nie miałem takiego zamiaru. Potem źle się z tym czułem, w końcu Yoshiko nic tu nie zawiniła.

Ale nie wypłynąłem już tego dnia. Poszedłem do najbliższego baru i piłem, dopóki ktoś litościwie nie zwrócił mi uwagi, że zaczął się kolejny dzień.



Rozdział 5



Kathleen

Dziś trudno w to uwierzyć, ale kiedyś wielorybnictwo było głównym zajęciem całej wielkiej Australii. Jeszcze na początku dziewiętnastego wieku z Anglii przyływały statki wielorybnicze, zostawiając kilku skażców, a potem ładowały na pokład nasze wieloryby i odsprzedawały je nam w naszych własnych portach. „Niezły interes” - mawiał Nino. W końcu Australijczycy zmądrzeli i sami zaczęli polować. Z wieloryba można uzyskać niemal wszystko - olej do lamp, świece i mydło, części do gorsetów, mebli, parasolek i batów. Myślę, że w tamtych czasach zwłaszcza na baty zapotrzebowanie było znacznie większe niż dziś. Odławiano głównie wale gładkoskóre, nazywane także właściwymi. Te biedne zwierzęta pływają najwolniej ze wszystkich stworzeń zamieszkujących południową półkulę, a martwe nie toną, więc nietrudno je przyholować do brzegu. Bardziej nie mogły ułatwić harpunnikom pracy - no chyba żeby same się upolowały i przyplłynęły prosto do fabryki.

Teraz są, rzecz jasna, pod ochroną - te, które przetrwały. Ja pamiętam jednak, że gdy byłam małą dziewczynką, dwie niewielkie łodzie przyholowały jednego do portu. Nawet wtedy trudno mi było to zaakceptować.

Widziałam wielkie, spuchnięte ciało wyciągnięte niedbale na brzeg, martwe oko wpatrzone w niebo, jakby zwierzę rozpaczało nad ludzkim okrucieństwem. Choć byłam jeszcze dzieckiem, potrafiłam złowić niemal wszystko - ojciec przechwalał się na prawo i lewo moją skutecznością przy połowach do tego stopnia, że pewnie niektórzy uważali mnie za bezduszną - ale na widok tego wieloryba po prostu płakałam.

Tu, na południowym wybrzeżu, nie rozpętała się taka mania połowów jak na zachodnim. Wyjątkiem był nasz zakątek. Podpływały tak blisko, że można je było zobaczyć z lądu, i pewnie dlatego zatoka stała się bazą wypadową wielorybników. (Nasze załogi statków obserwacyjnych przejęły tę nazwę - coś jak fotografowie przyrody, którzy lubią mówić o „bezkrwawych łowach”). Gdy byłam dzieckiem, zabijano je z małych łodzi. To wydawało się uczciwe i utrzymywało odłowy na stałym, niewielkim poziomie. Później jednak chciwość przeważała.

W latach pięćdziesiątych, aż do roku 1962, w okolicach wysp Norfolk i Moreton odłowiono około 12 500 humbaków. Ludzie wzbogacili się na tłuszczu i mięsie wielorybów, zaś wielorybnicy zaczęli korzystać z coraz bardziej wyrafinowanego sprzętu. Większe i szybsze łodzie zbierały coraz to bardziej szczodre, ponure żniwo. Nim zakazano połowów na wodach Australii, do powszechnego użytku zdążyły wejść sondy, broń maszynowa i działa harpunniczne - czyli „ekwipunek wojenny”, jak mawiał z odrazą mój ojciec.

I oczywiście zabili za dużo. Zdziesiątkowali zwierzęta tak, że prawie nic nie zostało, i w ten sposób stracili źródło utrzymania. Spółki wielorybnicze padały jedna po drugiej, fabryki zamykano albo zmieniano branżę na przetwórstwo żywności. Okolica opustoszała, oznaki dobrobytu znikły, a większość z nas odetchnęła z ulgą. Mój ojciec, który kochał romantyzm wczesnego wielorybnictwa, gdy człowiek był sam przeciw-

ko zwierzęciu, bez pocisków ogłuszających, kupił przetwórnice w Srebrnej Zatoce i urządził w niej muzeum. Dziś naukowcy szacują, że mniej niż dwa tysiące humpaków mijają nas podczas dorocznej wędrówki, a niektórzy są zdania, że ich liczba już nie wzrośnie.

Od czasu do czasu opowiadam o tym załogom ku przestrodze, kiedy chcą kupić więcej łodzi albo zwiększyć liczbę pasażerów, kiedy planują rozreklamować obserwowanie wielorybów jako główną atrakcję Srebrnej Zatoki, żeby przywrócić okolicy dawną świetność. To cenna lekcja dla nas wszystkich, ale i tak nie chcą słuchać.



- Dobry wieczór.

- Wieczór? - Michael Dormer stał w drzwiach z osłupiałym wyrazem twarzy jak ktoś, kto niby widzi, że robi się ciemno, ale ciało upiera się, że to nieprawda. Cóż, skutki zmiany czasu, i to radykalnej, bo aż o całą ziemską półkulę.

-Pukałam wcześniej i zostawiłam kawę przed drzwiami, ale godzinę później znalazłam ją tam lodowato zimną i uznałam, że pozwolę panu spać.

Wyglądał, jakby nie rozumiał. Dałam mu chwilę i zachęciłam, żeby usiadł przy kuchennym stole. Zwykle nie wpuszczam nikogo do kuchni, ale dopiero co skończyłam sprzątać jadalnię na wieczór. Podsunęłam mu talerz i nóż.

- Podobno organizm przestawia się przez tydzień. Często pan się budził?

Potań brodę. Był nieogolony i w sportowym ubraniu - bardziej eleganckim, niż zwykle widuje się w Srebrnej Zatoce, ale i tak bardziej naturalnym od garnituru, w którym przyjechał.

- Tylko raz - uśmiechnął się trochę zawstydzony - ale za to na trzy godziny

Roześmiałam się i nalałam mu kawy. Pan Dormer miał uczciwą twarz kogoś, kto zna samego siebie, a tę cechę rzadko obserwuję u moich gości.

- Ma pan ochotę na śniadanie? Chętnie coś panu przygotuję.

- O szóstej wieczorem? - zerknął na zegarek.

- Nazwijmy to późnym obiadem. Nikomu nie powiemy.

W lodówce miałam jeszcze kilka naleśników. Zdecydowałam, że przyrządzę je z jagodami i podam jeszcze jajecznicę na boczku.

Przez chwilę patrzył na kawę i stłumił ziewnięcie. Nic nie powiedziałam, tylko przysunęłam mu gazetę, uznając, że szybciej dojdzie do siebie, jak wypije swoją porcję kofeiny. Poruszałam się cicho, słuchając radia, planowałam wieczorny posiłek. Hanna była u koleżanki, a Liza jadła tyle co ptaszek, więc musiałam myśleć tylko o gościach.

Pan Dormer aż drgnął, gdy postawiłam przed nim schludny stosik naleśników.

- Ojej, dziękuję.

Założyłabym się, że rzadko ma okazję spróbować domowego jedzenia. Tacy zawsze są najbardziej wdzięczni.

Jadł jak większość tutejszych mężczyzn, z entuzjazmem i swego rodzaju koncentracją, którą rzadko obserwuję u kobiet. Matka często mówiła, że ja sama jem jak chłop, i nie był to komplement. Gość siedział z pochyloną głową, mogłam więc dobrze mu się przyjrzeć. Samotni mężczyźni w jego wieku rzadko nas odwiedzają, najczęściej towarzyszą im żony lub partnerki. Single trzymają się bardziej popularnych miejsc. Przyznaję ze wstydem, że zastanawiałam się, czy byłby odpowiedni dla Lizy. Choć ona bardzo się wzbrania, nie traciłam nadziei, że kiedyś ją wyswatam.

- Wieloryby nie łączą się w pary na całe życie, a ty zawsze powtarzasz, że powinniśmy brać z nich przykład -mawiała na to moja siostrzenica.

Ta dziewczyna miała odpowiedź na wszystko. Gdy raz napomknęłam, że Hanna powinna mieć ojca, spojrzała na mnie z takim bólem i wyrzutem, że od razu się zawstydziałam. Nigdy więcej nie poruszyłam tego tematu. Nie znaczy to jednak, że straciłam nadzieję.

- To było pyszne, dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie, proszę pana. Uśmiechnął się.

- Wystarczy Mike.

Zatem nie był taki sztywny, na jakiego wyglądał. Uznałam, że czas na kawę i usiadłam naprzeciw niego. Napełniłam kubki.

- Masz jakieś plany na dzisiaj? - Chciałam go skierować do folderów w głównym holu, ale nie byłam pewna, czy zależy mu na rozrywkach typu wycieczka do herbaciarni.

Znów spojrzał w kubek.

- Nic konkretnego. Później podstawią mi samochód, ale do tego czasu niewiele mogę zrobić.

-Jak ma się samochód, rzeczywiście jest tu sporo do zwiedzania. Masz rację, niedaleko jest przystanek autobusu do Port Stephens, ale poza tym rzeczywiście utknąłeś tu na dobre. *Wspominałeś, że przyjechałeś na wakacje?*

O dziwo, lekko się zarumienił.

- Coś w tym rodzaju.

Nie dopytywałam się więcej. Jak ktoś nie ma ochoty mówić, zostawiam go w spokoju. Pewnie miał swoje powody - rozstanie, ambicje, decyzje, które należy podjąć w samotności. Nie znoszę ludzi, którzy bombardują innych pytaniami. Mike Dormer zapłacił mi z góry za tygodniowy pobyt i grzecznie podziękował za śniadanie. Tym samym uzyskał prawo do zawodowej uprzejmości z mojej strony

- No, cóż, nie będę pani dłużej przeszkadzał. - Złożył sztucce na talerzu i wstał. - Bardzo pani dziękuję, panno Mostyn.

- Kathleen.

- Kathleen - powtórzył.

Sprzątnęłam po posiłku i nie zaprzętałam sobie nim więcej głowy



W tym tygodniu miałam więcej gości na głowie - parę w średnim wieku obchodzącą dwudziestopięciolecie ślubu. To była nasza pierwsza rezerwacja pokoju i wycieczki przez Internet. *Moby I i II* miały komplet, dlatego to Liza musiała z nimi wypłynąć, co wprawiło ją w fatalny humor - od początku nie chciała mieć nic wspólnego z internetowym biz

nesem. Na dodatek mężczyzna wciąż miał o coś pretensje - a to pokój za mały, a to meble zniszczone, a to w łazience czuć pleśń. Gdy po dwóch dniach skończyły się płatki i dokupiłam nowe pudełko, narzekał, że nie dałam mu wyboru. Ukoronowaniem była skarga, że wypłynęli za późno na wycieczkę, chociaż sami pojawili się na przystani spóźnieni, ponieważ on musiał obejrzeć Muzeum Wielorybnictwa i specjalnie kazał mi je otworzyć.

Jego żona, bardzo elegancko ubrana kobieta, chodziła za nim krok w krok, mamrocząc pod nosem przeprosiny. Łatwość, z jaką jej to przychodziło, wskazywała, że to dla niej nie pierwszozna. Wycieczka była jego „prezenterem z okazji rocznicy”, jak powiedziała błagalnie, rzucając konspiracyjne spojrzenie na męża. Wracał do hotelu z pochyloną głową, przygarbiony. Zastanawiałam się, ile lat wspólnego życia z nim wystarczyło, by wyłobić głębokie zmarszczki na jej czole.

- Ten wyjazd podoba mu się o wiele bardziej niż poprzedni - dodała, a ja pogłaskałam ją ze współczuciem po ramieniu.

- On się nad nią znęca - powiedziała Liza po powrocie. - Popłynęłam tylko ze względu na nią.

Wymieniłyśmy spojrzenia. -I na wiele się to zdało, co?

- Nie, nie było ani jednego. Przedłużyłam rejs o godzinę, ale morze było jak wymarłe.

- Może go wyczuły

- Włączyłam wielorybi radar i kazałam im się przed nim schować.

Czasem dostrzegam w Lizie jej matkę, moją młodszą siostrę. Widzę ją w pochyleniu głowy, gdy się zamyśli,

w silnych palcach, w tym, jak się uśmiecha do Hanny. Wtedy wiem, że obecność siostrzenicy i jej córki w moim życiu jest błogosławieństwem, czuję pierwotną radość z ciągłości rodu, której my, bezdzietni, nie możemy doświadczyć w inny sposób. Ten nagły błysk, w którym rozpoznaję w Lizie nie tylko siostrę, ale i stryja Evana, babkę, a nawet siebie samą. Przez ostatnich pięć lat byłam wdzięczna za tę wiedzę. Okruchy rodzinnego podobieństwa, zmarszczenie brwi, śmiech - to wszystko na swój drobny sposób zrekompensowało mi utratę siostry

Liza miała jednak także inne cechy. Czujność, głęboki smutek, niewyraźna, biała blizna przy lewym uchu są jej własne.

Nie powinnam była się dziwić, że Nino Gaines nie przyszedł w ciągu kolejnych kilku dni - nie po tym, jak go potraktowałam ostatnim razem. Jednak ta niezwykła u niego demonstracja niezależności dała mi się we znaki. Nie posunęłabym się aż tak daleko, by przyznać, że za nim tęsknię, ale po prostu nie chciałabym, aby przesiadywał w Barra Creek i źle o mnie myślał. Wiedziałam lepiej niż ktokolwiek inny, że życie jest za krótkie na urazy.

Po obiedzie zapakowałam cytrynowy placek w papier pergaminowy, położyłam go na przednim siedzeniu samochodu i pojechałam do domu Nina. Dzień był piękny, powietrze tak czyste, że w oddali widziałam szczyty górskie, a bliżej - każdą igłę na przydrożnych cyprysach. Lato mieliśmy wyjątkowo suche, więc gdy wjechałam w głąb lądu, mijałam czerwonawą ziemię, wychudłe konie na pastwiskach bez trawy machające ogonami dla zabicia czasu i odegnania niezliczonych much. Tu odychało się inaczej, pajęczyny i pył wisiały nieruchomo nad ziemią. Nie rozumiem, jak

można żyć w głębi ładu. Wokoło niekończące się brzozy i ugry, monotonne wzgórza i doliny. Do zmienności morza łatwo się przyzwyczaić - tak jak do nastrojów najbliższej osoby. Gdy mijają lata, nawet jeżeli się nie lubi tych humorów, przynajmniej są czymś, co się zna.

Gdy dojechałam na miejsce, właśnie wchodził do domu. Odwrócił się, słysząc silnik, wytarł dłonie o spodnie i uchylił kapelusza, gdy zobaczył, że to ja. Miał na sobie wełnianą kamizelkę - przysięgłabym, że tę samą, którą nosił w latach siedemdziesiątych, kiedy jego chłopcy byli mali.

Zawahałam się, ale wysiadłam z samochodu. Rzadko się kłóciliśmy, więc nie byłam pewna, jak mnie przyjmie. Staliśmy, patrząc na siebie i pamiętam, że pomyślałam, jak jesteśmy żałośni: dwa szkielety mierzące się spojrzeniami jak para nastolatków.

- Dzień dobry - powiedziałam.

- Przyjechałaś odebrać zamówienie? - spytał z figlarnym błyskiem w oku. Rozluźniłam się. Szczerze mówiąc, nie zasłużyłam na to, by pominął moje fochy milczeniem.

- Przywiozłam ci ciasto - sięgnęłam do samochodu.

- Cytrynowe, mam nadzieję.

- Dlaczego? Innego nie przyjmiesz?

- Zobaczymy.

- Od kiedy to jesteś wybredny, Nino Gainesie? Uparty, chciwy i źle wychowany, tak. Wybredny, zdecydowanie nie.

- Masz pomalowane usta.

- I zbyt poufały.

Uśmiechnął się, a i ja nie mogłam powstrzymać uśmiechu. Niby każdy wie, jak wygląda starość, ale mało kto, że nigdy nie wyrasta się z zachowań młodych głupców.

- Wejdz, Kathleen. Zobaczymy, czy Uparty, Chciwy i Żle Wychowany Mark Drugi zrobi nam filiżankę herbaty. A w ogóle to ładnie wyglądasz.

Nino oświadczył mi się po raz pierwszy, gdy miałam dziewiętnaście lat. Drugi raz nastąpił w dwa tygodnie później, a trzeci - po kolejnych czterdziestu dwóch latach. Nie z powodu braku uwagi czy utraty pamięci, ale dlatego, że w międzyczasie dał za wygraną, jeżeli chodzi o mnie, i ożenił się z Jean. Poznał ją dwa miesiące po drugich oświadczeniach, gdy zeszła na ląd ze statku panien młodych, zmieniawszy zdanie co do chłopaka, z którym miała się pobrać. Nino czekał w porcie na kolegę, zauważył jej talię osy i przekrzywione szwy w pończochach i nie minęły dwa miesiące, a miała na palcu pierścionek zaręczynowy. Zawładnęła nim całkowicie jak siła natury. Wiele osób uważało, że dziwna z nich para. Kłócili się jak mało kto, ale aż do śmierci Jean mieszkali razem w winnicy w Barra Creek, którą dla nich kupił. Umarła na raka w wieku pięćdziesięciu siedmiu lat. Mimo niesnasek byli dobrym małżeństwem.

Nie dziwię się jej determinacji. Nino Gaines, o czym wszyscy plotkowali, był jednym z najprzystojniejszych mężczyzn w Srebrnej Zatoce - nawet w damskim kostiumie kąpielowym. Nosił go co roku podczas przedstawienia dla dzieci. Byłam trochę zmieszana, że pożyczył właśnie mój kostium. Pasował na niego - w czasie wojny byłam wysoką dziewczyną o szerokich ramionach i męskiej budowie, od tego czasu niewiele

się zmieniło. Inne kobiety wiek przygiął do ziemi, mają plecy przygarbione jak znak zapytania, artretyzm i osteoporozę, ja jednak trzymam się prosto i zachowałam dość siły. Myślę, że to dzięki pracy przy prowadzeniu starego hotelu o ośmiu pokojach gościnnych praktycznie bez żadnej pomocy. (Członkowie załóg mówią, że chrząstki rekina mają znakomite właściwości konserwujące. Uważają to za zabawne).

Po raz pierwszy ujrzałam go, pracując w barze. Wpadł do środka ubrany w mundur lotnika, zmierzył mnie przeciągłym spojrzeniem, aż spłonęłam rumieńcem, zobaczył oprawiony artykuł z gazety na ścianie i spytał: „Ty też kąsas?”.

To nie samo pytanie sprawiło, że ojciec poderwał się na nogi, ale sposób, w jaki Nino do mnie mrugnął. Co do mnie, byłam jeszcze takim niewiniątkiem, że niewiele zrozumiałam z tej sytuacji.

- Nie - odpowiedział za mnie ojciec. - Ale ja owszem.

- Uważaj na niego - przykazał później matce. - Wyszczekany jak rzadko. A ty trzymaj się z dala, jasne? - Spojrzał na mnie ostro.

W tamtych czasach słowo ojca było dla mnie święte. Ograniczałam do minimum kontakty z Nino Gainesem, starałam się opanować rumieniec, gdy chwalił moje sukienki, tłumiłam chichot z żartów rzucanych ukradkiem w moją stronę. Starłam się nie widzieć, że przychodził do baru w każdy wolny wieczór, choć wszyscy twierdzili zgodnie, że lepiej można się zabawić o dwadzieścia minut drogi stąd. Nora, moja młodsza siostra, miała wówczas dopiero cztery lata (jej przyjście na świat porządnie zaskoczyło rodziców) i była w niego wpatrzona jak w obraz, głównie dlatego że obsypywał ją słodyczami i gumą do żucia.

A potem Nino poprosił, abym została jego żoną. Znając surowe poglądy ojca na żołnierzy, musiałam odmówić. Czasami myślę, że wszystko by się ułożyło, gdyby drugie oświadczyły nie nastąpiły w obecności ojca.

Przed piętnastoma laty, gdy zmarła Jean, bałam się, że załamany Nino Gaines wkrótce pójdzie w jej ślady. U mężczyzn w jego wieku to bardzo częste - przestają dbać o ubrania, zapominają się ogolić, żywią się daniami z puszki. Sprawiają wrażenie kompletnie zagubionych, jakby wciąż mieli nadzieję, że zjawi się ktoś, kto się o nich zatroszczy. Tak już zostali wychowani, całe pokolenie. Jednak Frank i John John dostarczali ojcu zajęć, dbali, by nie był sam, tworzyli nowe projekty prac nad szczepami winogron i kompozycją win. Frank nie wyprowadził się z domu, a żona jego brata przychodziła dwa razy w tygodniu, żeby im gotować. Tak, Nino poradził sobie lepiej, niż ktokolwiek przypuszczał. Po roku nic nie wskazywało, że przeżył taką tragedię. A potem w pewien wieczór, przy butelce niezłego shiraz merlot, wyznał mi, że dwa tygodnie przed śmiercią Jean powiedziała mu, że wstanie z grobu i natrze mu uszu, jeśli zostanie sam i będzie uważał się nad sobą, gdy jej zabraknie.

Po tych słowach zapadła długa cisza. Gdy podniosłam wzrok znad kieliszka, patrzył prosto na mnie. Nawet teraz czuję ciężar tego milczenia, gdy zbyt długo myślę o tamtej chwili.

- Miała rację - odparłam, unikając wzroku Nina. - To byłoby głupie z twojej strony. Wyjdź do ludzi, może odwiedź przyjaciół z północy. Tak będzie dla ciebie najlepiej.

Potem powiedział jeszcze wiele rzeczy, ale więcej nie wracaliśmy do tego tematu. Już dawno przyjął do wiadomości, że będziemy tylko dobrymi przyjaciółmi. Ceniłam tę przyjaźń - bardziej niż przypuszczałam - i rzadko zapraszano nas gdzieś osobno. Nawiązała się między nami pewna żartobliwa intymność, rodzaj słownej szermierki, częściowo dlatego, że uwielbialiśmy walczyć, po części zaś, by ukryć fakt, że czuliśmy się ze sobą trochę niezręcznie. Od kilku lat nie pojawiała się już jednak w jego głosie, co odpowiadało nam obojgu.

- Frank był wczoraj w mieście i wpadł na Cherry Dawson - powiedział Nino.

Patrzyłam na podkładki pod talerze z reprodukcją akwareli przedstawiających zabytki Londynu, które wciąż kładł na stole przed posiłkiem, jak go nauczyła Jean. Ten dom był jej pełen, chociaż nie żyła od tak dawna. Lubiła ciężkie, ozdobne meble, które do Nina zupełnie nie pasowały. Dziwiłam się, że otoczenie go nie przynębia - mnie przypominało dom pogrzebowy. Zawsze gdy wchodziłam do pokoju dziennego, nachodziła mnie chęć, by wyrzucić obitą pluszem kanapę i dwa fotele z narzutą na oparciach, a ściany przemaalować na biało.

- Wciąż pracuje w radzie miejskiej?

- Jasne. Mówiła, że Bullenowie sprzedają starą fermę ostryg. Miasto aż huczy od plotek, co powstanie w jej miejscu.

Upiłam łyk herbaty. Filizanek w kwiatki również nienawidziłam. Zawsze chciałam mu powiedzieć, że wolę kubek, ale bałam się, że odbierze to jako krytykę Jean.

- Ziemię też sprzedają?

- Ładny kawał plaży i starą wylęgarnię. Mnie najbardziej interesują ławice ostryg.

- Co można zrobić z podwodną hodowlą tego typu?

- Właśnie to mnie ciekawi.

Swego czasu, nim Nino zajął się produkcją win, rozważał założenie własnej hodowli ostryg. Myślał właśnie o kupnie ферmy Bullenów, gdy przegrywali z japońskim importem. Poprosił o radę swojego ojca, ale ten prychnął tylko i powiedział, że ktoś, kto wie o morzu tyle co Nino Ganes, powinien zostawić je w spokoju. Myślę, że w głębi duszy zaczął go szanować, gdy jedno z win Nina zdobyło pierwszą nagrodę w Australii, a jego dochód szacowano w sześciocyfrowych liczbach, ale ojciec nie był człowiekiem, który potrafił przyznać się do błędu.

- Wciąż o tym myślisz?

- Nie. Twój ojciec zapewne miał rację. - Dopił herbatę i spojrzął na zegarek. Co wieczór objeżdżał na rowerze swoje włości, sprawdzał system irygacyjny, pilnował, czy na liściach nie pojawiły się ślady chorób i szkodników. Cieszyła go świadomość, że ziemia w zasięgu wzroku jest jego własnością.

- Ta zatoka nadaje się tylko do hodowli ostryg.

- Nie sądzę. - Nino potrząsnął głową. Odniosłam wrażenie, że wie o czymś, ale nie chce o tym mówić.

- No cóż, będą musieli zapewnić łodziom możliwość swobodnego wpływania i wypływania do zatoki, więc dla nas nie ma znaczenia, co tam powstanie - powiedziałam szybko, żeby przerwać ciszę. - A wiesz, że Hanna zobaczyła pierwszego w życiu wieloryba?

- Liza wreszcie zabrała, ją ze sobą? Skrzwiłam się.

- Nie, więc tylko się nie wygadaj. Wyłączyła na *Mobym I* z Yoshiko i Lancem. Była taka szczęśliwa, aż dziw, że Liza się nie domyśliła. O wpół do jedenastej wieczorem przechodziłam pod drzwiami jej pokoju i słyszałam, jak śpiewa do nagrania głosów wieloryba.

- Liza będzie musiała w końcu dać jej trochę swobody - rzekł poważnie Nino. - To trudny wiek. Im bardziej będzie chciała trzymać ją przy sobie, tym większy napotka opór. Ale nie muszę ci tego mówić.

Spojrzałam na zegar na kominku i wstałam. Nie zauważyłam, że zrobiło się późno. Chciałam tylko przywieźć mu ciasto.

- Miło, że wpadłaś, Kate. - Gdy chciałam wyjść, pochylił się i pocałował mnie w policzek, a ja chwyciłam go za ramię, co mogło być oznaką przywiązania... albo sposobem, by trzymać go na dystans.

Wiecie, ojciec uważał, że Nino jest taki jak inni, że interesują go tylko moja sława i hotel. Dopiero teraz widzę, że nie pozwolił mi uwierzyć, że jestem dość dobra, by kochać mnie dla mnie samej.



Gdy wróciłam, byli już przy stole. Liza podała kolację i siedzieli przy piwie i chipsach. Yoshiko i Lance grali w karty, a wszyscy owinęli się kocami i powkładali kapelusze dla osłony przed zimnym południowym wiatrem. Najwyraźniej nikt nie wpadł na pomysł, by zapalić lampy gazowe.

- Przyszło zamówienie od rzeźnika. - Liza podniosła rękę. Czytała lokalną gazetę. - Nie byłam pewna, co chcesz na jutro, więc wcisnęłam wszystko do lodówki.

- Lepiej sprawdzę, co przywiózł, ostatnio pomylił zamówienia - odpowiedziałam. - Dobry wieczór, wcześniej dziś wróciliście.

- Kilkanaście sztuk, za daleko, żeby cokolwiek zobaczyć. Randka z księciem z bajki, panno M.?

Przy tych słowach Greg zerknął na moją siostrzenicę, ale Liza starannie go ignorowała. Chyba jeszcze nie zaczęła z nim rozmawiać. Prawie zrobiło mi się go żal. Miał dobre intencje, ale czasami był swoim najgorszym wrogiem.

W holu napotkałam Mike'a Dormera. Przeglądał gazetę, którą zostawiam dla gości. Gdy weszłam, podniósł głowę i uklonił się.

- Dostałeś swój samochód? - Chciałam zdjąć płaszcz, ale przypomniałam sobie, że zaraz znów wyjdę na zewnątrz.

- Tak, holdena. - Wyjął kluczyki z kieszeni.

- Może być. Lepiej się czujesz? - Wciąż wyglądał na zmęczonego. Przypomniałam sobie, że syndrom *jet lag* nadchodzi falami.

- Trochę. Zastanawiałem się... czy mógłbym zjeść tu dziś kolację?

- Zjedz teraz, jak masz ochotę. Zaraz podam załogom zupę. Załóż kurtkę i przyłącz się do nas.

Dostrzegłam jego wahanie. Nie wiem, dlaczego go namawiałam. Może sama poczułam zmęczenie na myśl o przygotowaniu całego posiłku dla jednego gościa.

A może chciałam, żeby Liza spojrzała na faceta innego niż Greg.

- To jest Mike. Zje dziś z nami - oznajmiłam, zanim zdążył zaprotestować.

Greg spojrział na niego badawczo, a gdy Mike usiadł, zaczął żartować o wiele głośniejszym głosem niż dotychczas. Słyszałam go z kuchni przez otwarte okno, mieszając zupę. Z ledwością powstrzymałam się od śmiechu - jego strategia była tak oczywista!

Wyniosłam jedzenie na dwóch tacach. (Nie daję załogom wyboru - i tak jestem do ich dyspozycji przez cały wieczór). Wszyscy sięgnęli po miski i chleb i podziękowali, nie podnosząc głów znad stołu. Mike wstał jednak i wyszedł z za ławy.

- Może pomogę - powiedział i przejął jedną z tac.
- Oho, od razu widać, żeś nietutejszy - zauważył z uśmiechem Lance.
- Dziękuję, panie Dormer. - Usiadłam obok niego.
- Mike. Przecież mówimy sobie po imieniu - przypomniał.
- Nie dawaj Kathleen fałszywych nadziei - wtrącił Greg.

Liza podniosła wzrok i zobaczyłam, że patrzy na gościa.

Wydawał się zawstydzony całym zamieszaniem wokół niego. Usiadł. Wyglądał trochę nie na miejscu w swojej wyprasowanej koszuli. Pewnie był w wieku Grega, ale miał mniej zmarszczek na twarzy. „Całe lata w biurze” - pomyślałam.

- Nie zimno ci w samej koszuli? - spytała Yoshiko, pochylając się w jego stronę. - Jest prawie sierpień.

- Moim zdaniem jest całkiem ciepło - odpowiedział Mike, patrząc dookoła, jakby chciał odgadnąć temperaturę.

- Lizo, ty, jak przyjechałaś, miałaś tak samo. - Lance pogroził jej palcem.

- Teraz nawet opala się w cieplej bieliźnie.

- Skąd pochodzisz? - spytał, ale udała, że go nie słyszy

- Czym się zajmujesz, Mike? - zagadnęłam, by ratować sytuację.

- Pracuję w finansach - odpowiedział.

- W finansach - powtórzyłam trochę głośniej, żeby Liza usłyszała.

- Kowboj przyjeżdża do baru - Greg podniósł głos - zsiada, obchodzi konia, podnosi mu ogon i całuje w dupę.

- Greg - mitygowałam.

- Podchodzi do niego drugi i pyta: „Stary, ty chyba właśnie pocałowałeś tego konia w dupę?”.

- Greg - powtórzyłam z desperacją.

- „Pewnie”, odpowiada pierwszy „Mogę spytać dlaczego?”, pyta drugi. „Jasne. Mam spierzchnięte wargi”. - Greg zerknął na boki, jakby chciał się upewnić, czy wszyscy go słuchają. - „I to pomaga?”, pyta drugi kowboj. „Nie - odpowiada pierwszy - ale przestaję je oblizywać”. - Uderzył dłońmi w stół i wybuchnął śmiechem. Hanna zachichotała z entuzjazmem. Ja przewróciłam oczami.

- Obrzydliwość - skrzywiła się Yoshiko. - W dodatku opowiadałeś go dwa tygodnie temu.

- Wtedy też nie był lepszy - dodał Lance. Zauważyłam, że zapletli nogi pod stołem. Wciąż łudzili się, że nikt o nich nie wie.

- Świetna zupa - Mike odwrócił się do mnie - sama ją ugotowałaś?

- Prawdopodobnie sama ją złowiła - wtrącił Greg.

- Podoba ci się w Srebrnej Zatoce? - spytała z uśmiechem Yoshiko. - Wyszedłeś dzisiaj z domu?

Przez chwilę przeżuwał kęs chleba.

- Nie dalej niż do kuchni panny Mostyn... to znaczy Kathleen. Z tego, co widziałem, bardzo tu... ładnie. A wy... wszyscy pływacie na statkach wycieczkowych?

- Polujemy na wieloryby - odpowiedział Greg - o tej porze roku chcemy złapać wielkiego mazgaja. Nie człowieka.

- Chociaż Greg nie jest wybredny

- Polujecie na walenie? - Mike zamarł z łyżką w powietrzu. - Myślałem, że to zabronione.

- Obserwują je - wtrąciłam. - Zabierają turystów na morskie wycieczki, żeby mogli je zobaczyć. Do września humbaki płyną na północ, gdzie woda jest cieplejsza i mijają wyspę niedaleko stąd. Kilka miesięcy później odbędą tę samą podróż w drugą stronę.

- Jesteśmy współczesnymi wielorybnikami - wyjaśnił Lance.

Mike wyglądał na zaskoczonego.

- Nienawidzę tej nazwy - dodała z mocą Yoshiko - jest taka... bezduszna. Nie ścigamy ich, tylko obserwujemy z bezpiecznej odległości.

- Gdyby to zależało od ciebie, Yosh, wszyscy zostalibyśmy „licencjonowanymi obserwatorami ssaków morskich z rodziny *Cetacea* coś tam”.

- *Megaptera novaeangliae*, dokładniej mówiąc.

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem - powiedział Lance. - Zawsze nas tak nazywano.

- Myślałam, że po to przyjechałeś - zwróciłam się do Mike'a. - Większość turystów przyjeżdża tu tylko dla wielorybów.

Wbił wzrok w talerz.

- No... na pewno... to chyba dobry pomysł.

Jak popłyniesz z Gregiem, to lepiej uważaj - poradziła Yoshiko, ścierając chlebem sos z talerza. - Zwykle gubi samotnych pasażerów. Rzecz jasna, przypadkiem.

- Ta dziewczyna sama wyskoczyła. To jakaś wariatka - zaprotestował Greg - musiałem rzucić jej koło.

- No, dobra, ale dlaczego wyskoczyła? - podkpiwał Lance. - Bała się, że Greg ją, ehem, ugodzi swoim harpunem.

Yoshiko zachichotała. Greg zerknął na Lizę.

- To nieprawda.

- Więc dlaczego widziałam, jak bierzesz od niej namiary?

- Dałem jej mój numer - odpowiedział z namysłem - bo mówiła, że może będzie chciała mnie zaprosić na prywatną imprezę.

Wszyscy ryknęli śmiechem. Liza nie podniosła wzroku.

- O, prywatna impreza! - wykrzyknął Lance. - Taka jak twoje kwietniowe przyjęcie dla dwóch stewardes?

Mike wpatrywał się w moją siostrzenicę. Jak zwykle milczała, ale spokój wyróżniał ją z tłumu - odwrotnie, niżby sobie tego życzyła. Starałam się spojrzeć na nią jego oczami: wciąż piękna kobieta, zarazem młodsza i starsza niż jej trzydzieści dwa lata, z włosami ściągniętymi do tyłu, jakby dawno przestał ją obchodzić własny wygląd.

- A pani? - pochylił się w jej stronę. - Pani też goni za wielorybami?

- Za niczym nie gonię - odparła z nieodgadnionym nawet dla mnie wyrazem twarzy. - Płynę tam, gdzie mogą być, i trzymam się z daleka. To podejście najlepiej się sprawdza.

Spojrzeli sobie w oczy, a ja zdałam sobie sprawę, że Greg ich obserwuje. Patrzył za nią, gdy wstała od stołu, mówiąc, że musi zabrać Hannę. Potem odwrócił się do Mike'a. Miałam nadzieję, że tylko ja widzę chłód w jego uśmiechu.

- Tak, to najlepsze podejście także w stosunku do Lizy - powiedział, a jego uśmiech był równie przyjazny i szczery jak uśmiech rekina - trzymać się z daleka.



RS

Rozdział 6

Mike

Zatoka rozciąga się na długości 9 km pomiędzy Taree Point a odgraniczającą ją wyspą Złamanego Nosa, kilkanaście minut jazdy samochodem od Port Stephens, głównego kurortu rekreacyjnego. Wody są czyste i strzeżone, doskonale nadają się do sportów wodnych, a w miesiącach letnich także do kąpeli. System prądów morskich nie stanowi zagrożenia dla kąpiących się osób. W okolicy kwitnie uprawiana na niewielką skalę turystyka morską.

Podróż samochodem z Sydney do Srebrnej Zatoki zajmuje około 3-4 godzin, większość czasu po głównej autostradzie. Zatokę dzieli na pół przystań dla łodzi. Północna część jest praktycznie niezagospodarowana, nad drugą, położoną o 10 minut drogi, znajduje się miejscowość Srebrna Zatoka. Tworzą ją niewielkie domy mieszkalne i kilka outletów przyjmujących towar z Sydney i Newcastle. Nieopodal mieści się... - urwałem, patrząc w ekran - ...wciąż działające przedsiębiorstwo gotowe na ulepszenia i wiele budynków bez większej wartości ekonomicznej. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że obecni właściciele uznają uczciwą umowę sprzedaży za korzystną zarówno dla nich, jak i dla lokalnej społeczności.

Jeżeli chodzi o konkurencję, w okolicy nie ma hoteli o rozmiarach i standardzie godnych wzmianki. Jedyne hotel w zatoce został poważnie uszkodzony w pożarze przed kilkudziesięciu laty i obecnie jest o połowę mniejszy niż pierwotnie. Proponuje noclegi ze śniadaniem. Nie zapewnia gościom żadnych atrakcji turystycznych i,

nawet jeśli właściciel nie zgodzi się na sprzedaż, nie będzie stanowił konkurencji.

„Nikogo tym nie przekonam” - pomyślałem. Sprawozdanie było chaotyczne i, mimo nowych faktów oraz liczb z lokalnych planów zagospodarowania terenu i izby handlowej, wciąż miałem poczucie, że piszę o czymś, o czym nie mam pojęcia.

Niemal od razu po przyjeździe zauważyłem, że to nie jest typowy kurtort. Byłem przyzwyczajony do pewnych schematów działania, jak w londyńskim City: nowoczesne apartamentowce, podupadłe biura z lat siedemdziesiątych czekające na rewitalizację jako centra fitnessu, nowe prestiżowe osiedla. W takim otoczeniu mógłbym rozejrzeć się, nie będąc zauważonym, porównać ceny kupna i wynajmu nieruchomości, oszacować dochody okolicznych mieszkańców i zniknąć pod koniec dnia.

Tu miało być inaczej. Poczulem to, odkąd wsiałem do samochodu Grega pełnego puszek po piwie.

Nagle uświadomiłem sobie, że jestem widoczny. Nawet w bluzie i dzinsach czulem się, jakby fakt, że nie są przeżarte solą morską, odsłaniał moje zamiary. A zważywszy na znikomą liczbę mieszkańców, okolica wydawała się za bardzo związana z ludźmi, ze „swoimi” ludźmi. Było to dla mnie nowe doświadczenie, ale wpłynęło na mój sposób patrzenia.

Westchnąłem, otworzyłem nowy dokument i wpisałem nagłówki: ukształtowanie terenu, warunki ekonomiczne, lokalna przedsiębiorczość, konkurencja. Pomyślałem z pewną niechęcią o nowym sportowym samochodzie, który przyrzekłem sobie w nagrodę za tę robotę: czekał na mnie u dilerka, nawet za niego zapłaciłem. Spojrzałem na zegarek. Siedziałem już od dwóch godzin, a napisałem raptem trzy akapity Nadszedł czas na kolejną herbatę.

Dostałem tak zwany „dobry pokój” zwolniony niedawno przez innych gości, a ubiegłego wieczoru Kathleen Mostyn przyniosła mi tacę ze sprzętem do parzenia kawy i herbaty. Nie dała go poprzednim lokatorom, bo „na pewno skarżyliby się, że woda za wolno się gotuje”. Gdyby Kathleen mieszkała w Anglii, prowadziłaby szkołę, ewentualnie dystyngowany dom. O takich kobietach mówi się, że „czas nie ma nad nimi władzy”, zachowują przenikliwe spojrzenie i bystrość umysłu, są zawsze czymś zajęte. Polubiłem ją. Chyba mam słabość do silnych kobiet, wolę nie myśleć za dwoje. Moja siostra pewnie miałaby na ten temat jakąś teorię.

Nastawiłem wodę w czajniku i przygotowałem herbatę, stojąc przy oknie. Pokój nie był luksusowy, ale, o dziwo, wygodny; stanowił dokładne przeciwieństwo wnętrz hotelowych, w których zwykle mieszkałam. Miał pobielone ściany i podwójne łóżko w drewnianej ramie zasłane białą pościelą i kocem w biało-niebieskie pasy. Stał tu jeszcze oprawiony w podniszczoną skórę fotel, nieduże, wyszorowane do białości sosnowe biurko i kuchenne krzesło. Na podłodze leżał perski dywan - kiedyś zapewne cenny. Oględziny hotelu napełniły mnie przeświadczeniem, że Kathleen Mostyn dawno uznała, iż urządzenie wnętrz dla gości wymaga zbyt wiele wyobraźni, i postanowiła wszystko przemalować na biało. „Łatwo utrzymać w czystości, łatwo odmalować” - tak by powiedziała.



Dość szybko zdałem sobie sprawę, że jestem jedynym gościem na dłużej. Hotel sprawiał wrażenie miejsca, w którym dawne pretensje do elegancji zastąpiła praktyczność, a właściciele uznali, że nie potrzebują wielu gości. Większość mebli wybrano ze względu na ich użyteczność, nie estetykę. Na ścianach wisiały jedynie spłowiałe, sepiowe fotografie hotelu z czasów dawnej świetności i akwarelowe pejzaże morskie. Na półkach i gzymsach kominków odkryłem dziwne zbiory kamyków i muszli, które w innych hotelach można by uznać za element wystroju, ale tu były po prostu znaleziskami szukającymi dla siebie miejsca.

Okna mojego pokoju wychodziły wprost na zatokę. Pomędzy plażą a hotelem nie było nawet drogi. Poprzedniej nocy spałem przy otwartym oknie, a szum fal przyniósł mi pierwszy przyzwoity sen od wielu miesięcy. Nad ranem na wpół obudzony widziałem samochody „wielorybników”, słyszałem opony na mokrym piasku i szelest stóp rybaków na przystani.

Gdy wtajemniczyłem Nessę w całą sytuację, wyrzucała mi zbytnią ustępliwość i stwierdziła, że da ojcu popalić za to, że mnie odesłał. „Nawet nie wiesz, ile mam roboty” - powiedziała na wpół oskarżycielsko, jakby miała ze mnie jakiś pożytek, gdybym został w Londynie.

- Wiesz, może powinniśmy zrobić to inaczej - zaryzykowałem, gdy wyczerpała już powody do narzekań. - Polecieć gdzieś i wziąć ślub na plaży.

Cisza, jaka nastąpiła, trwała tak długo, że zacząłem się martwić o koszty.

- Po tym wszystkim? - Jej głos był pełen niedowierzania. - Ja wszystko zaplanowałam, a ty chcesz tak po prostu wsiąść w samolot i dokądś

odlecieć? Od kiedy to masz swoje zdanie?

- Zapomnij, że w ogóle coś mówiłem.

- Wiesz, jakie to trudne? Staram się pogodzić pracę i przygotowania do ślubu, a połowa cholernych gości nawet nie odpowiedziała na zaproszenia. To bezczelność. Będę musiała wszystkich ścigać osobiście.

- Posłuchaj, naprawdę mi przykro. Wiesz, że nie prosiłem o ten wyjazd. Pracuję tak ciężko, jak mogę, i zanim się obejrzysz, będę z powrotem.

W końcu się udobruchała. Rozbawiła ją wiadomość, że tu jest teraz zima. Poza tym Nessa wie, że nie lubię wakacji. Nigdy nie mogłem uleżeć na plaży nawet przez tydzień. Po kilku dniach zawsze zaczynam przeglądać lokalną prasę, sprawdzam, czy da się tu rozkręcić jakiś interes.

- Kocham cię - powiedziała, zanim się rozłączyła. - Pracuj ciężko, żebyś mógł szybko wrócić.

Trudno mi było jednak pracować w tak niesprzyjającym otoczeniu. Nawet technologia zwróciła się przeciwko mnie. Internet był wolny i kapryśny, gazety przychodziły dopiero w południe, za to łagodny łuk i białe piaski plaży zachęcały do długich spacerów. Drewniana przystań aż prosiła, by na niej przysiąść i zwiesić gołe nogi nad wodę. Długi, bielony stół, gdzie załogi zasiadały po powrocie, kusił lodowatym piwem i ciepłymi chipsami. Nawet biurowa koszula, którą założyłem rano, nie zmotywowała mnie do pracy.

Otworzyłem e-mail i zacząłem pisać: *Dennis, mam nadzieję, że czujesz się dobrze. Tak, jak radziłeś, poszedłem wczoraj do wydziału zagospodarowania przestrzennego i spotkałem się z Reillym. Plany chyba mu się spodobały i powiedział, że jest tylko jeden problem...*

Podskoczyłem, słysząc pukanie do drzwi i zatrzasnąłem laptopa.

- Czy mogę wejść? - W drzwiach stała Hanna, córka Lizy McCullen. Trzymała talerz z kanapką. - Ciocia K. pomyślała, że może pan jest głodny. Nie była pewna, czy zechce pan zejść.

Wziąłem talerz. Czy to możliwe, że już czas na obiad?

- Podziękuj cioci, to bardzo miło z jej strony. Zajrzała do pokoju i zobaczyła mój komputer.

- Co pan robi?

- Wysyłam kilka mej li.

- Ma pan połączenie z Internetem?

- Przeważnie tak.

- Bardzo chciałabym mieć komputer. U mnie w szkole już prawie każdy ma. - Stała na jednej nodze. - Wie pan, że moja ciocia jest w Internecie? Słyszałam, jak mówiła mamie.

- Chyba wiele hoteli ogłasza się w Internecie - odpowiedziałem.

- Nie o to chodzi, to ona jest w Internecie. Nie lubi się tym chwalić, ale kiedyś była sławną poławiaczką rekinów.

Starałem sobie wyobrazić starszą panią walczącą z bestią jak ze „Szczęk”. O dziwo, przyszło mi to bez trudu.

Stała w drzwiach i najwyraźniej nie zamierzała odejść. Miała ten trudny do uchwycenia wygląd dziewczynki u progu kobiecości, kiedy trudno zgadnąć, czy wyrosnie na piękność, czy też geny i hormony sprzysięgną się przeciwko niej, za bardzo wydłużając nos albo przydając ciężkości linii podbródka. Przypuszczałem, że w przypadku Hanny zwycięży ta pierwsza możliwość.

Opuściłem wzrok, żeby nie pomyślała, że się na nią gapię. Była bar

dzo podobna do matki.

- Proszę pana.

- Mów mi Mike.

- Mike, jeżeli nie będziesz zbyt zajęty, to znaczy kiedy będziesz miał wolną chwilę, będę mogła skorzystać z twojego komputera? Chciałabym zobaczyć zdjęcie cioci.

Słońce skąpało zatokę w promieniach, cienie znikły, ścieżki i piasek odbiły światło. Odkąd wylądowałem na lotnisku Kingsforda Smitha w Sydney, czułem się jak ryba wyjęta z wody. Dlatego byłem wniebowzięty, że ktoś prosi mnie o coś, na czym się znam.

- Wiesz co? Myślę, że możemy jej poszukać już teraz.

Spędziliśmy przy komputerze prawie godzinę, podczas której uznałem, że słodki dzieciak z tej małej. Pod pewnymi względami była mniej dojrzała niż jej rówieśnicy z Londynu - znacznie mniej zainteresowana swoim wyglądem, popkulturą, muzyką i tego typu rzeczami - a jednak miała w sobie pasję i powagę niepasującą do jej wieku. Zwykle nie przepadam za dziećmi - nie wiem, o czym z nimi rozmawiać - ale ze zdumieniem odkryłem, że cieszy mnie jej towarzystwo.

Pytała o Londyn, o mój dom, czy mam zwierzęta. Szybko dowiedziała się, że niedługo chcę się ożenić i wbiła we mnie ciemne, poważne oczy, pytając:

- Jesteś pewien, czy to odpowiednia osoba? Trochę mnie tym zaskoczyła, ale uznałem, że zasługuje na równie poważną odpowiedź.

- Tak mi się wydaje. Długo jesteśmy razem. Znamy swoje wady i zalety.

- Jesteś dla niej miły?

Przez chwilę zastanawiałem się, co powiedzieć.

- Mam nadzieję, że jestem miły dla wszystkich. Uśmiechnęła się już bardziej dziecinnie.

- Wydajesz się miły - przyznała.

Potem wróciliśmy do spraw zasadniczych, czyli do komputera. Wyszukaliśmy - i wydrukowaliśmy - dwa różne zdjęcia młodej kobiety w kostiumie kąpielowym i z rekinem i kilka reportaży napisanych przez ludzi najwyraźniej jej nieznanych. Odwiedziliśmy stronę znanego boysbandu, potem stronę turystyczną Nowej Zelandii, a potem znaleźliśmy kilka informacji o humbakach, ale Hanna powiedziała, że zna to na pamięć. Wyrecytowała mi, że płuca wieloryba mają wielkość małego samochodu, że nowo narodzone cielę waży do dwóch i pół tony i że mleko wieloryba ma serowatą konsystencję. Tego ostatniego wolałbym nie wiedzieć.

- Często pływasz z mamą patrzeć na wieloryby?

- Nie wolno mi - odpowiedziała. Usłyszałem w jej słowach ślad australijskiego akcentu, jakby zaśpiew na końcu zdania. - Mama nie chce, żebym wypływała na morze.

Nagle przypomniałem sobie gwałtowną sprzeczkę Lizy i Grega tuż po przyjeździe. Staram się nie wtrącać w prywatne sprawy innych ludzi, ale zapamiętałem, że chodziło o Hannę i jakąś łódkę.

Wzruszyła ramionami. Chyba chciała przekonać samą siebie, że ją to nie wzrusza.

- Chce, żebym była bezpieczna. My... - spojrzała na mnie, jakby się zastanawiała, czy powiedzieć coś więcej, ale chyba zmieniła zdanie. - Czy możemy obejrzeć jakieś zdjęcia Anglii na twoim komputerze? Trochę ją pamiętam, ale nie bardzo.

- Oczywiście. Co chcesz obejrzeć? - Zacząłem wpisywać hasła.

Nagle w drzwiach stanęła Liza McCullen.

- Zastanawiałam się, gdzie się podziewasz - powiedziała. Wodziła wzrokiem od Hanny do mnie i z powrotem, aż poczułem się winny, przyłapany na gorącym uczynku. Po chwili naprawdę mnie to wkurzyło.

- Hanna przyniosła mi kanapkę - powiedziałem trochę za głośno. - Potem spytała, czy może skorzystać z komputera.

- W Internecie jest dwadzieścia trzy tysiące sto stron o humbakach! - ucieszyła się dziewczynka.

Liza zmiękła.

- I przypuszczam, że chciała obejrzeć je wszystkie. - W jej głosie wyczułem ślad przeprosin. - Hanno, kochanie, chodź i zostaw pana Dormera w spokoju.

Była ubrana tak, jak poprzedniego dnia i dwa dni wcześniej: w zielone drelichowe spodnie, sweter i żółty sztormiak. I włosy miała związane w taką samą kitkę. Były spłowiałe na końcówkach, sporo jaśniejsze niż przy skórze. Pomyślałem o Nessie, która przez pierwszy rok razem wstawiała pół godziny przede mną, żeby uczesać włosy i nałożyć makijaż, zanim ją zobaczę. Zrozumienie, jakim cudem śpi w szmince, nie brudząc poduszki, zajęło mi prawie pół roku.

- Przepraszam, że zawracała panu głowę - powiedziała Liza, unikając mojego wzroku.

- Ależ skąd, to dla mnie przyjemność. Hanno, jeżeli chcesz, zniosę laptop do salonu i będziesz mogła z niego korzystać, jak mnie nie będzie.

Dziewczynka otworzyła szeroko oczy

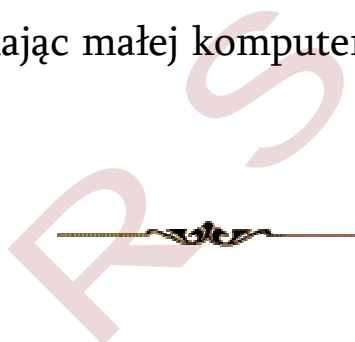
- Naprawdę?! Całkiem sama? Mamo, będę mogła skończyć mój projekt do szkoły!

Nie patrzyłem na jej matkę. Przeczynałem, jaką da odpowiedź, a nie patrząc jej w oczy, nie musiałem przyjąć jej do wiadomości. W końcu to nic wielkiego. Odłączyłem laptop i zamknąłem wszystkie pliki chronione hasłem.

- Wychodzisz teraz?

Wpadłem na pewien pomysł. Coś, o czym Kathleen wspominała dziś rano.

- Tak - odparłem, oddając małej komputer - jeżeli twoja mama mnie zabierze.



Fakt, że mizerna gospodarka Srebrnej Zatoki opierała się niemal wyłącznie na turystyce, a jak twierdził lokalny urząd statystyczny, średni miesięczny dochód wynosił mniej niż tysiąc funtów, zdawał się sugerować, że Liza McCullen z radością powita okazję prywatnego czarteru. Można by pomyśleć, że kobieta, która wydała niedawno prawie dwieście dolarów na konserwację łodzi, nie miała rezerwacji aż do poniedziałku, wreszcie - jak twierdzi jej ciotka - jest szczęśliwsza na wodzie, niż na lądzie, podskoczy z radości, że może wypłynąć i jeszcze na tym zarobić. Zwłaszcza że zaproponowałem równowartość czterech biletów - minimum, poniżej którego rejsy były ponoć nieopłacalne.

- Dziś po południu nie płynę - powiedziała, nie wyjmując rąk z kieszeni.

- Dlaczego? Proponuję prawie sto osiemdziesiąt dolarów. To musi być warte pani czasu.

- Nie płynę dziś po południu.

- Czy zanoszą się na sztorm?

- Ciocia K. powiedziała, że będzie ładnie - wtrąciła Hanna.

- Wie pani coś o wielorybach? Odpląnęły gdzieś indziej? Jeżeli się nie pokażą, nie zażądam zwrotu pieniędzy, proszę pani. Po prostu chcę wypłynąć na morze.

- Mamo, popłyni, to będę mogła skorzystać z komputera.

Nie mogłem powstrzymać uśmiechu. Wciąż unikała mojego wzroku.

- Nie zabiorę pana. Niech pan poprosi kogoś innego.

- Inni mają większe łodzie, prawda? Biorą dużo turystów. A ja nie lubię tłoku.

- Zadzwoń do Grega, spytam, czy płynie dziś po południu.

- To ten, który wyrzuca ludzi za burtę?

W tym momencie nadeszła Kathleen. Stała na korytarzu, obserwując ze zdumieniem scenę w moim pokoju.

- Dam panu bilet na poniedziałek - odparła w końcu Liza. - Będą jeszcze trzy osoby. Lepiej będzie się pan bawił.

Z jakiegoś powodu już teraz zacząłem się dobrze bawić.

- Nie, nie będę - odpowiedziałem. - Jestem aspołeczny. I chcę popłynąć dziś.

W końcu na mnie spojrzała i potrząsnęła z uporem głową.

-Nie!

Zauważyłem, że coś w tej scenie uderzyło Kathleen. Stała za Lizą, nic nie mówiła, ale obserwowowała nas uważnie.

- Dobrze... trzysta dolarów - wyciągnąłem pieniądze z kieszeni. - To jak za komplet, prawda? Zapłacę trzysta dolarów i może mi pani opowiedzieć wszystko, co wie o wielorybach. - Usłyszałem, jak Hanna wciągnęła powietrze z wrażenia.

Liza patrzyła na ciotkę. Kathleen uniosła brwi. Zdałem sobie sprawę, że atmosfera zgęstniała.

- Trzysta pięćdziesiąt - podbiłem stawkę. Hanna zachichotała.

Nie miałem zamiaru odpuścić. Sam nie wiem, co we mnie wówczas wstąpiło. Może to z powodu nudy, może przez jej opór, a może dlatego, że Greg kazał mi się trzymać z daleka, co tylko pogłębiło moją ciekawość. Tak czy inaczej postanowiłem, że wypłynę za wszelką cenę.

- Pięćset dolarów. Proszę, płacę gotówką - wyciągnąłem banknoty. Nie machałem nimi, tylko trzymałem w zamkniętej dłoni.

Liza wpatrzyła się we mnie.

- Ale chcę dużo kawy i ciasteczek. Kathleen prychnęła.

- To pańskie pieniądze - odparła w końcu Liza. - Proszę założyć buty na miękkiej podeszwie i ciepły sweter, nie to miejskie wdzianko, które ma pan na sobie. Wypływamy za piętnaście minut. - Wyjęła pieniądze z mojej ręki i wcisnęła do kieszeni spodni. Jej spojrzenie nie pozostawiało wątpliwości, że uważa mnie za wariata.

Ja jednak wiedziałem, co robię. Jak mawia Dennis, wszystko i wszyscy mają swoją cenę.

Przy przystani cumowała tylko jedna łódź - Lizy. Jej właścicielka szła kilka kroków przede mną, nie wdając się w czcze pogawędki, no chyba że ze swoim psem, mogłem więc spokojnie obejrzeć okolicę. Nawet przy przystani w Srebrnej Zatoce nie było żadnej infrastruktury - kafejka, sklepik z pamiątkami, sądząc po zakurzonej wystawie, przynoszący niewielkie dochody, i targ rybny położony bliżej miasteczka, w najnowocześniejszym budynku w okolicy. Miał on oddzielny parking, co oznaczało, że klienci przyjeżdżający po świeże ryby, chcąc nie chcąc, przejdą obok innych sklepów - nieprzemyślana decyzja. Ja upierałbym się, żeby go wybudować dokładnie naprzeciwko przystani.

Mimo soboty przystań była prawie pusta. Turyści, o ile byli tu jacyś turyści, pewnie wypłynęli na wycieczki na innych łodziach. Kilka moteli, które widziałem na skraju miasteczka, ogłaszało, że mają wolne pokoje, ale zatoka sprawiała wrażenie miejsca bez zbyt wygórowanych oczekiwań. Jednak mieszkańców zdawało się to nie martwić. Otoczenie nie wyglądało równie ponuro, co angielskie kurorty w sezonie zimowym, a ludzie wyglądali na zadowolonych.

Z wyjątkiem Lizy.

Kazała mi wejść na pokład i poczekać, aż dokona rutynowej kontroli bezpieczeństwa. Potem spytała z cieniem urazy w głosie, czy życzę sobie kawy.

- Proszę mi powiedzieć, gdzie jest, to sam zrobię - odpowiedziałem.
- Niech pan chodzi na ugiętych nogach i uważa na schodach. – Od

wróciła się w moją stronę. - Proszę nie karmić mew. To je zachęca, żeby podlatywać, a strasznie brudzą. - Potem weszła na schodki i znikła w kabinie sternika.

Dolny pokład miał dwa stoły i krzesła, kilka pokrytych plastikiem ławek i szafkę z pleksi z czekoladą, filmami o wielorybach i tabletkami przeciw chorobie morskiej. Odręczna notatka przestrzegała pasażerów przed zbyt gorącymi napojami, gdyż się rozlewały. Znalazłem czajnik do herbaty, ekspres i zrobiłem dwie kawy. Zauważyłem podwyższone brzegi tacy i zabezpieczenia na naczynia. Nie chciałem zaprzętać sobie głowy myśleniem o sztormach, które wyrzucają w powietrze czajniki wypełnione wrzątkiem i z pewnością były przyczyną troski o Hannę, ale potem silniki ruszyły, a ja musiałem przytrzymać się ściany, żeby nie upaść. Wypłynęliśmy na morze.

Chwiejnym krokiem wyszedłem na górny pokład rufowy. Liza stała za sterem, jej piesek zwinął się w kłębek u nóg pani - najwyraźniej w ulubionym miejscu. Podałem jej kubek i poczułem wiatr na twarzy oraz ślad słonego smaku na ustach.

„Wykonuję po prostu swoją pracę - myślałem, starając się usprawiedliwić sam przed sobą - ale ciekawe, jak uda mi się to wpisać w wydatki służbowe”.

Liza utkwiała wzrok w morzu, a ja zastanawiałem się, dlaczego tak bardzo nie chciała mnie zabrać. Nie wiedziałem, czy jej czymś nie uraziłem. Z drugiej strony sprawiała wrażenie osoby, która instynktownie broni się przed podporządkowaniem. A ja byłem bardzo zdeterminowany.

- Jak długo pracuje pani w ten sposób? - starałem się przekrzyczeć silniki.

- Pięć lat. Prawie sześć.

- To dobry interes?

- Nam wystarcza.

- To pani własna łódź?

- Kathleen mi ją dała.

- To hojnie z jej strony - Wycieczki na łodzi mogłem policzyć na palcach jednej ręki, więc wszystko mnie ciekawiło. Pytałem ją o nazwy części, burtę zawietrzną i nawietrzną (zawsze je myliłem), o osprzęt. - Ile jest warta taka łódź?

- To zależy od łodzi. - A ta?

- Czy dla pana wszystko sprowadza się do pieniędzy?

Pytanie nie zostało zadane jakimś nieprzyjaznym tonem, ale zastanowiło mnie. Upiłem kawy i spróbowałem inaczej:

- Pani pochodzi z Anglii, prawda?

- Hanna tak powiedziała?

- Nie, wielorybnicy. Dziś po południu przy stole. Poza tym słyszę. Przez chwilę milczała.

- Tak, kiedyś mieszkaliśmy w Anglii.

- Tęskni pani za starym krajem? -Nie.

- Specjalnie pani tu przyjechała? -Jak to specjalnie?

- Żeby obserwować wieloryby?

- Niezupełnie.

Czy traktowała podobnie wszystkich klientów? „Trudny rozwód” –

uznałem. A może po prostu nie lubi mężczyzn.

- Widuje pani dużo wielorybów?
- -Jeżeli płynę w odpowiednie miejsca.
- To dobry sposób na życie?

Zdjęła dłoń z koła steru i spojrzała na mnie podejrzliwie.

- Zadaje pan wiele pytań.

Postanowiłem się nie odcinać. Miałem przeczucie, że nie była z natury agresywna.

-Jest pani rzadkością. Nieczęsto spotyka się tu kobiety sterniczki z Anglii.

- Skąd pan wie? Mogą być nas tysiące. - Uśmiechnęła się lekko. - W istocie Port Stephens z nich słynie. - Podejrzywałem, że to najbliższe żartom, na jakie ją stać. -No dobrze, pytanie do pana. Dlaczego wydał pan tyle pieniędzy na zwykłą morską wycieczkę?

„Bo inaczej by mnie pani nie wzięła”. Oczywiście, nie powiedziałem tego głośno.

- A wypłynęłaby pani za mniejszą sumę? - zmieniłem taktykę.

Uśmiechnęła się.

- Oczywiście.

Chyba dobrze to rozegrałem. Liza McCullen rozluźniła się. Może uznała, że jestem nieszkodliwy, a może, że nie aż tak antypatyczny, jak sądziła. Dość, że lodowata atmosfera z początku wycieczki znikła.

Nie mówiliśmy wiele. Siedziałem za nią na drewnianej ławce i patrzyłem na morze, podziwiając w milczeniu umiejętności Lizy w dziedzinie, o której nie miałem pojęcia. Kręciła kołem, sprawdzała prognozy, wywołała inne łodzie, nakarmiła Milly zapomnianym ciastkiem. Czas

mi pokazywała mi fragment wybrzeża lub ciekawe stworzenia i trochę o nich opowiadała. Nie potrafiłbym jednak odtworzyć tego, co mówiła. Co prawda nie była najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widziałem, i najwyraźniej nie przywiązywała za bardzo uwagi do swojego wyglądu, jednak o dziwo, było w niej coś fascynującego. Gdybym wcześniej nie zauważył, że nie lubi, jak się na nią patrzy, nie spuściłbym z niej wzroku. To do mnie niepodobne.

Nessa twierdzi, że żaden ze mnie psycholog. Nie interesuje mnie, co ludzi nakręca, jeżeli nie muszę tego wiedzieć, ale z drugiej strony nie spotkałem jeszcze tak skrytej osoby. Musiałem z niej wyciągać niemal każde zdanie. Wydawało mi się, że każde osobiste wyznanie jest dla niej torturą. Gdy spytałem, jaką pija kawę, zmarszczyła brwi, jakbym zapytał ją o bieliznę. Odpowiedź „bez cukru” zabrzmiała niczym wyznanie. I wydawało mi się, że słyszę w niej nutkę... melancholii?

- Lance mówi, że widzieli samicę jakieś trzy mile stąd - powiedziała pół godziny po wypłynięciu. - Chce pan płynąć dalej?

- Oczywiście.

Zapomniałem, że przecież szukamy wielorybów. Ludzi nieprzyzwyczajonych do oceanu uderza przede wszystkim jego ogrom. To pejzaż sam w sobie. Gdy jest się tak daleko, że trzy czwarte widoku stanowią niekończące się wody, oko gubi się w monotonnym ruchu i ożywia na widok blasku słońca zza chmur albo odległych grzywaczy. Przyznam, że trochę się denerwowałem - jestem przyzwyczajony do suchego lądu - ale gdy przywykłem do kołysania pod stopami, poczułem odrębność, wolność od innych ludzi, jaką daje tylko łódź. Patrzyłem z radością, jak na

pięcie w twarzy Lizy ustępuje miejsca pogodzie, otwartości na niebo i morze.

- Tam jest nasz cel - powiedziała, kręcąc kołem, i osłoniła oczy przed blaskiem słońca. Widziałem, jak ptaki nurkują w jednym miejscu, choć nic nie dało się tam dostrzec. - To znaczy, że są tam ryby. A gdzie są ryby, zazwyczaj są i walenie.

Zauważyliśmy innych. Liza wskazała łódź Grega, mniej więcej rozmiarów jej własnej, a dalej jeszcze jedną, *Moby 'ego II*.

- Tam! - krzyknęła. - Dmucha!

- Kto kogo? - zapytałem. To ją rozśmieszyło. - Tam.

Nie widziałem, co pokazuje i skrzywiłem się. Może nieświadomie chwyciła mnie za ramię i przyciągnęła do siebie.

- Popatrz! Spróbujemy podплыnąć trochę bliżej. Nadal nic nie widziałem. Byłbym tym sfrustrowany, ale twarz Lizy odwróciła moją uwagę - pełna radości, do tego blask w oczach i głos pełen ożywienia. W ciągu sześciu dni pobytu w hotelu jeszcze jej takiej nie widziałem.

- To prawdziwa piękność. I chyba jest też ciele. Mam przeczucie... - powiedziała z szerokim uśmiechem, zupełnie jakby zapomniała o poprzedniej niechęci wobec mnie. - *Izmael* do *Moby'ego II*, nasza dziewczynka jest na lewej burcie od was, półtorej mili naprzód. Czuję, że może być z nią młode, więc płyńcie ostrożnie, dobra?

-*Moby II* do *Izmaela*. Widzimy ją, Lizo. Damy jej sporo miejsca.

- Trzymamy dystans przynajmniej stu metrów - wyjaśniła. - Przy młodych zwiększamy go do trzystu. Wszystko zależy od matki. Niektóre są ciekawskie, przyprowadzają do nas dzieci, a to co innego. Ale nigdy,

nie chcę ich do tego zachęcać. - Spojrzała na mnie wprost. - Nie ma gwarancji, że następna łódź, jaką napotkają, będzie równie nieszkodliwa. Dobra, płyniemy!

Przytrzymałem się, a trzy katamarany zbliżyły się do siebie jak w tańcu, tak że widzieliśmy pasażerów machających z sąsiednich pokładów. Na morzu zapanowała cisza, umilkły silniki, a ja stanąłem przy Lizie i czekaliśmy na kolejne wynurzenie.

- Na pewno się pokaże?

Nie musiałem pytać. Gdy wielka głowa wyjrzała z wody, mimo woli krzyknąłem z wrażenia. Oczywiście widziałem zdjęcia waleni, więc mogłem domyślać się, jak będzie wyglądał, ale spotkanie z takim olbrzymem, tak nieprawdopodobne, w jego własnym środowisku, pozostawia trudne do zatarcia wrażenie.

- Spójrz! - krzyknęła Liza. - Tam jest! Spójrz w dół!

I ujrzałem na wpół ukryty pod matką kształt młodego wieloryba. Walenie dwukrotnie minęły naszą łódź, a potem okrzyki reszty upewniły nas, że podpłynęły i do nich.

Uśmiechałem się jak głupek. Gdy Liza również obdarzyła mnie uśmiechem, było w niej coś triumfującego, jakieś „a widzisz”, jakby dzieliła się ze mną swoim sekretem. Kiedy nad wodą pojawiła się wyjątkowo długa płetwa, roześmiała się jak szalona:

- Macha do nas. - A ja machałem wielorybicy w odpowiedzi. - Leży do góry brzuchem, to znaczy, że czuje się bezpiecznie. Wiesz, że ona i dziecko głaszczą się nawzajem płetwami piersiowymi?

Gdy usiedliśmy, Liza wypatrzyła w oddali jeszcze dwie sztuki. Byłem

na wpół świadomy rozmowy toczącej się przez radio między trzema łodziami i okrzyków radości z niespodziewanego spotkania.

Wreszcie Liza spojrzała na mnie, a jej twarz promieniała.

- Chcesz usłyszeć coś niezwykłego? - spytała. Zeszła pod pokład i wróciła z dziwnym przyrządem na kablu. Włożyła wtyczkę do pudełka i wrzuciła drugi koniec do wody

- Posłuchaj. - Włączyła kilka guzików. - To hydrofon. Mogą mieć eskortę.

Przez kilka minut nic się nie działo. Patrzyłem na morze w poszukiwaniu wielorybów i słyszałem tylko chlu-pot wody o burty, krzyki mew nad głową i od czasu do czasu, przy sprzyjającym wietrze, rozmowy pasażerów pozostałych łodzi. Potem dobiegł mnie ten odgłos - głęboki, niemal przerażający, niepodobny do niczego innego. Dreszcz przebiegł mi po krzyżu.

- Piękne, prawda? Spojrzałem na Lizę.

- To wieloryb?

- Samiec. Wszystkie śpiewają tę samą pieśń. Naukowcy to zbadali, trwa osiemnaście minut i co roku wszystkie walenie w stadzie ją powtarzają. Jeżeli samotny wieloryb przyłącza się z nową pieśnią, inne ją podchwytyją. Wyobrażasz sobie, jak uczą się od siebie nawzajem? - Patrząc na nią, przypomniałem sobie twarz Hanny uradowanej z możliwości skorzystania z komputera. Pomyliłem się, myśląc, że Liza McCullen nie jest piękna: gdy się uśmiechała, była zachwycająca.

Uśmiech jednak nagle zniknął.

- Co, do cholery?...

Usłyszeliśmy nowy odgłos, dudniący, monotony. Przez chwilę zastanawiałem się, czy to nie silnik łodzi, ale gdy narastał, zrozumiałem, że

pochodzi znad wody. Od strony lądu zbliżały się dwie duże łodzie szczelnie wypakowane pasażerami. Z potężnych głośników na pokładzie dobiegała głośna muzyka i mimo dzielącej nas odległości, brzęk kieliszków oraz histeryczny śmiech imprezowiczów.

- Tylko nie to. Znowu ten hałas. To je oszałamia, zwłaszcza młode. Za dużo tu łodzi, przestraszą się. -Liza włączyła radio. - *Izmael* do *Dyskoteki* czy jak się tam nazywacie. Ściszcie muzykę, jesteście za głośno. Słyszycie mnie? Jesteście za głośno. - Słuchając szumu radia, spojrzałem na wodę. Żaden ruch nie zmącił powierzchni. Nie słyszeliśmy już nic, tylko jednostajne dudnienie na sąsiednim statku.

Liza zmarszczyła brwi, widząc szybkość, z jaką się zbliżał.

- *Izmael* do niezidentyfikowanego wielkiego kota na północ-północny wschód od Złamanego Nosa. Wyłączcie silniki i muzykę. Jesteście blisko samicy wieloryba z młodym, możliwe, że jest także samiec. Płyniecie za szybko, narażacie się na zderzenie, a hałas może je przestraszyć. Czy mnie słyszycie?

Stałem bezradny, gdy jeszcze dwukrotnie próbowała się z nimi skontaktować. „Mało prawdopodobne - pomyślałem - że usłyszą cokolwiek poza własną muzyką”.

-*Izmael* do *Suzanne*. Greg, spróbujesz złapać straż przybrzeżną? Policję? Sprawdź, czy mogą przysłać motorówkę. Podpłynęli za blisko.

- Jasne, *Moby II* spróbuje ich zepchnąć z kursu.

- *Moby II* do *Izmaela*. Lizo, nie widzę naszych waleni. Mam nadzieję, że popłynęły w drugą stronę.

- Co mogę zrobić? - spytałem. Nie miałem pojęcia, co oznaczają te słowa, ale atmosfera skrzyła się od niepokoju.

- Przytrzymaj to. - Kazała mi stanąć za sterem. Włączyła silniki. - Steruj na tę *Dyskotekę*, a jak powiem, to skręć. Ja będę pilnować, żebyśmy w nic nie przywalili po drodze.

Nie dała mi szansy na odmowę. Zbiegła na dół i wróciła z megafonem pod kurtką. Chyba miała coś jeszcze, ale zbyt koncentrowałem się na sterowaniu, żeby zobaczyć dokładniej. Wystarczająco nieswojo czułem się za sterem, gdy łódź prućła fale. Nawet pies stanął na tylnych łapach i popiskiwał.

Kiedy byliśmy jakieś sto stóp od drugiej łodzi, Liza kazała mi obrócić kurs równoległy. Potem pobiegła na dziób.

Wychyliła się za reling z megafonem w ręce.

- *Nocna Gwiazdo II*, jesteście za głośno i płyniecie za szybko. Proszę, ściszcie muzykę. Jesteście na obszarach migrujących wielorybów.

Bóg jeden wie, czy można być aż tak pijanym w samo południe. Sylwetki tańczących na pokładzie przypomniały mi o wakacjach dla młodzieży, których głównym celem było tak ich spić i zmęczyć, żeby nie mieli siły na nic innego. Czy to był australijski odpowiednik?

- *Nocna Gwiazdo II*, zawiadomiliśmy straż przybrzeżną i straż ochrony przyrody. Ściszcie muzykę i odpłyńcie stąd natychmiast.

Jeżeli był tam sternik, to nie słuchał. Jeden ze stewardów - młody chłopak w czerwonej koszulce polo - wykonał w kierunku Lizy obelżywy gest i zniknął. Chwilę później muzyka rozbrzmiała jeszcze głośniejsze, co imprezowicze powitali niewyraźnym okrzykiem i jeszcze więcej osób zaczęło tańczyć. Liza spojrzała na statek i pochyliła

się. Ze stanowiska za sterem nie widziałem, co robi. Spojrzałem na nazwę dużej łodzi. Po chwili zrozumiałem.

Wyjąłem z kieszeni telefon. W tej chwili radio ożyło.

- Lizo? Tu Greg. Ludzie z parku narodowego są już w drodze. Nie długo tu będą. Wracajmy Im mniej się nas tu kręci, tym lepiej dla wale-
ni.

Schowałem telefon z powrotem do kieszeni i przez chwilę patrzyłem na słuchawkę radia. Podniosłem ją i ścisnąłem kurczowo.

- Halo?

- *Suzanne do Izmaela*, słyszysz mnie?

- Słyszę. Tu mówi Mike Dormer.

Przez chwilę panowała cisza, potem Greg spytał:

- Co ona robi na dziobie?

- Nie wiem - przyznałem.

Wymamrotał pod nosem przekleństwo, a potem usłyszeliśmy eksplozję. Skoczyłem w stronę burty w samą porę, by zobaczyć wielką racę szybującą w stronę statku-dyskoteki.

Liza stała na dziobie, ładując coś długiego i cienkiego do wyrzutni.

- Cholera jasna, chyba ich nie zastrzelisz?! - krzyknąłem. Sprawiała wrażenie, jakby nie usłyszała. Serce waliło mi jak młot. Na drugim statku zobaczyłem ludzi uciekających w popłochu z pokładu, usłyszałem ich przerażone okrzyki i stos wyzwisk, którymi obsypywał Lizę jeden z mężczyzn. Pies szczekał jak szalony. Potem ujrzałem, jak Liza ładuje kolejną racę, celując w niebo nad rozbawioną łodzią, trochę niżej niż trzeba, i strzela.

Gdy w uszach przebrzmiał huk, a intruz w końcu skierował się w stronę przystani, usłyszałem nowy głos, pełen niedowierzania i podziwu:

-*Moby II do Izmaela, Moby II do Izmaela*. Jasny gwint, Lizo, tym razem naprawdę to zrobiłaś!



RS

Rozdział 7

Liza

Kathleen zaczęła krzyczeć, nim dobiliśmy do przystani. Zaczumowałam *Izmaela*, wprowadziłam Milly na brzeg i podeszłam do ciotki różnym krokiem.

- Tak, wiem - powiedziałam. Podniosła ręce w rozpaczy.

- Zdajesz sobie sprawę, co narobiłaś? Czyś ty do reszty postradała zmysły, dziewczyno?

Zatrzymałam się i odgarnęłam włosy z twarzy.

- Nie pomyślałam.

Niepokój na jej twarzy był odbiciem mojego. Tak naprawdę chciałam skopać sobie tyłek. Przez dwadzieścia minut drogi powrotnej o niczym innym nie marzyłam.

- Oni poszli prosto na policję, Lizo. Pewnie już tu jadą.

- Co mogą mi udowodnić?

- Ujmijmy to tak: jak wystrzeliłaś drugą racę, nasłuchiwali przez radio.

Byłam idiotką, obie o tym wiedziałyśmy. Wbrew wszelkim regułom bezpieczeństwa, wbrew zdrowemu rozsądkowi wystrzeliłam dwie rakietki sygnalizacyjne w stronę sąsiedniej łodzi, żeby wystraszyć pasażerów. A race są nieprzewidywalne. Jeżeli jedna poleciałaby w złą stronę... Gdyby drugą zauważyłaby straż przy brzeżna i uznała, że to sygnał

SOS... A jednak chociaż wiedziałam, że to była z mojej strony głupota, jak inaczej mogłam przepłoszyć tych natrętów? I jak miałam wytłumaczyć ciotce, że gdyby na pokładzie mojej łodzi przypadkiem była broń, też bym jej użyła?

Zamknęłam oczy. Dopiero gdy je otworzyłam, przypomniałam sobie, że nie zaczekałam na Mike'a Dor-mera. Przypomniałam sobie o nim, dopiero gdy kroki mojego pasażera zachrzęściły na żwirze. Brązowe włosy miał rozczochrane i wilgotne, wyglądał na trochę wstrząśniętego.

Twarz Kathleen złagodniała.

- Mike, może wejdiesz do środka? Zrobię herbaty. Zaczął protestować.

- Nalegam - dodała, a w jej głosie zadźwięczała stal. - Musimy chwilę porozmawiać na osobności.

Czułam na sobie jego wzrok. Oddalił się z oporem o kilka kroków i pogłaskał Milly, jakby nie chciał tak całkiem odejść.

- Co ja zrobię? - wyszeptalam.

- Nie histeryzujmy - odpowiedziała. - Może skończy się na ostrzeżeniu.

- Ale będą chcieli mnie spisać. Może mają jakąś bazę danych...

Po twarzy ciotki poznałam, że rozważała taką możliwość, ale jeszcze nie znalazła rozwiązania. Poczułam narastającą panikę. Obejrzałam się na cumujące właśnie *Moby II* i *Suzanne*.

- Może po prostu odejdę. - Wpadłam na szalony pomysł, by wskoczyć do pociągu z Hanną i Milly i uciec.

W tej samej chwili usłyszałam silnik i zobaczyłam białą furgonetkę policji.

- O Chryste! - westchnęłam.

- Uśmiechaj się - przykazała Kathleen. - Na litość boską, uśmiechaj się i powiedz, że to był wypadek.

Dwóch policjantów wysiadło z wozu z wystudiowaną nonszalancją, ich odznaki lśniły w przedwieczornym słońcu. Zawsze przestrzegałam australijskiego prawa, nawet nie zarobiłam mandatu za parkowanie, a teraz...

- Dzień dobry paniom - przywitał się wyższy, dotykając czapki. Popatrzył na nas, zatrzymując wzrok na moim sztormiaku i kluczach w dłoni.

- Witaj, Greg - rzucił nadchodzącemu sternikowi *Suzanne*.

- Dzień dobry, panie poruczniku - odparła ciotka z uśmiechem. - Piękny dziś dzień.

- To prawda - przyznał. Kanty na rękawach jego błękitnej koszuli przypominały sztylety. Kiwnął dłonią w kierunku *Izmaela*. - To pani łódź?

- Tak jest - kiwnęła głową ciotka, zanim zdążyłam coś powiedzieć. — *Izmael*. Zarejestrowany na moje nazwisko od siedemnastu lat.

Spojrzał na nią, potem na mnie.

- Otrzymaliśmy zawiadomienie od dwóch innych załóg, że z łodzi pasującej z opisu do tej wystrzelono w ich kierunku dwie race sygnalizacyjne. Mają panie na ten temat coś do powiedzenia?

Chciałam odpowiedzieć, ale na widok granatowego munduru zaschło mi w ustach. Jak przez mgłę widziałam Mike'a Dormera obserwującego całą sytuację z odległości kilku kroków, a policjant stał przede mną i czekał na odpowiedź.

-Ja...

Greg był już przy mnie.

- Tak, Trent, to była moja wina - powiedział i zsunął czapkę z głowy.

- Wy płynąłem z grupą miłośników walen. Wiedziałem, że bachory będą rozrabiać, ale i tak nie zdołałem ich upilnować. Zanim się spostrzegłem, odpaliły dwie race.

- Dzieciaki? - zapytał z powątpiewaniem policjant.

- Wiem, że nie powinienem był ich zabierać. - Greg machnął ręką i zapalił papierosa. - Liza ostrzegła mnie, że będą z nimi kłopoty. Ale chcemy pokazać wszystkim dzieciakom delfiny i wieloryby Rozumiesz, edukować je. - Spojrzał na mnie przelotnie, a ja poczułam wdzięczność i odrobinę zawstydzienia.

- Dlaczego nie powiadomiliście ratowników morskich, co się stało? Wiecie, jaki byłby skutek, gdybyśmy rozpoczęli procedury ratunkowe?

- Przykro mi, stary. Chciałem jak najszybciej spłynąć do portu, żeby nic już nie przeszkrobali. Miałem na pokładzie innych pasażerów...

- Greg, to która łódź jest twoja?

Wskazał ręką *Suzanne*. Obie nasze łodzie były sześćdziesięciostopowymi jachtami motorowymi, a ponieważ pomagałam Gregowi zamalować jego „dzieło graficzne” na burcie, teraz obie miały nawet ten sam kolor.

- No dobra, nazwiska tych dzieciaków poproszę. - Policjant wyjął notes.

- Nie prowadzimy rejestru - wtrąciła Kathleen. - Gdybyśmy spisywali wszystkich, których zabieramy, nigdy byśmy nie wypłynęli. - Położyła dłoń na ramieniu mundurowego. - Proszę posłuchać, pan przecież wie,

że nie jesteśmy jakąś bandą przemytników czy innych przestępców. Moja rodzina mieszka tu od przeszło siedemdziesięciu lat. Nie będzie nas pan chyba karał za wybryk kilku idiotów?

- Greg, dlaczego twoje race nie były zabezpieczone? - ciągnął jednak policjant. - Powinieneś je trzymać w zamkniętej skrzynce, zwłaszcza jak masz dzieciaki na pokładzie.

Sternik potrząsnął głową.

- Te gnojki wyciągnęły mi klucze z kieszeni. Zawsze mam przy sobie zapasowy komplet, tak na wszelki wypadek.

Byłam pewna, że mundurowy nie uwierzył w ani jedno słowo. Zmarszczył brwi i zmierzył wzrokiem całą naszą trójkę. Staralam się wyglądać na zatroskaną, nie przerażoną. Znów zerknął w notes, potem na mnie.

- Zgłoszono, że strzelała kobieta.

- Długie włosy - odpowiedział szybko Greg. - W dzisiejszych czasach coraz trudniej ich rozróżnić. Cholerni hipisi! Posłuchaj, to była moja wina. Ja stałem za sterem i ja za to odpowiadam. Chyba trochę się zagapiłem. Najważniejsze, że nikt nie ucierpiał, no nie?

Aby uspokoić oddech, zaczęłam się przyglądać niewielkiemu nacięciu na dłoni, ot tak, żeby czymś zająć myśli.

- Zdajecie sobie sprawę, że użycie racy ostrzegającej jako broni stanowi wykroczenie w myśl ustawy o broni palnej i że prowadzi do wszczęcia postępowania karnego?

- Powiedziałem im o tym - odparł Greg. - A, cholera, nie powinienem! Zwiali, jak tylko przybiliśmy do portu.

- Dwa tysiące dolarów lub dwanaście miesięcy aresztu. A jakbyśmy chcieli być szczególnie sumienni, to moglibyśmy to podciągnąć pod ustawę o służbie morskiej.

Greg skulił się w sobie. Nigdy nie widziałam go tak pokornego.

- Oby w grę nie wchodził alkohol. Nie zapomniałem twojego upomnienia z czerwca. - Policjant spojrzał ostro.

- Jeżeli chcesz, możesz mnie sprawdzić. Jak pracuję, to nie piję ani kropli.

Nagle zrobiło mi się go żal. Czułam jego upokorzenie - i to ja ponosiłam za nie winę.

Dwaj mundurowi zerknęli w stronę furgonetki. Niższy odwrócił się i przyjął meldunek.

- Mam propozycję - powiedziała Kathleen - może zrobię herbaty, a panowie zastanowią się przez ten czas co dalej? Panie poruczniku, nadal pan słodzi?

W tym momencie podszedł do nas Mike Dormer. Serce stanęło mi w gardle. „Odejdź” - błagałam go w milczeniu. Nie miał pojęcia, co im powiedzieliśmy. Gdyby otworzył usta i wyznał prawdę, bylibyśmy zgubieni.

- Przepraszam, czy mógłbym coś powiedzieć? - spytał.

- Nie teraz, Mike - odparła szybko Kathleen - jesteście trochę zajęci.

- Proszę, kontynuujmy - powiedział Greg do mundurowego. Staął między nim a Dormerem. - Poddam się wszelkim testom, jakie będą konieczne. Krew, oddech, co chcecie.

- Chciałem tylko powiedzieć coś policji - powtórzył głośniejszym głosem Mike. Z przerażeniem zdałam sobie sprawę, że nie mam pojęcia, co sobie pomyślał o całej sytuacji.

W czasie powrotu nie odezwałam się do niego ani słowem, niczego mu nie wyjaśniłam, nie mówiąc już o ustaleniu jakiejś wspólnej wersji. Myślałam tylko o tym, aby jak najszybciej wrócić na ląd.

Widziałam, że ciotka też o tym pomyślała. Było już jednak za późno. Mike wyciągnął coś z kieszeni.

- Nie sądzę, byś mógł nam pomóc - spróbowała jeszcze raz Kathleen, wydawało się jednak, że jej nie słyszy.

- Mike... - westchnęłam. Myślałam, że zasłabnę.

- Gdy byliśmy na wodzie - zaczął - minęła nas jakaś łódź, na której najwyraźniej odbywało się przyjęcie. Robiła tyle hałasu, że wystraszyła wieloryby. O ile mi wiadomo, to jest karalne.

Pierwszy z policjantów założył ręce na piersi.

- To prawda - odpowiedział.

Mike pozwolił sobie na lekki uśmiech. Podniósł swój telefon komórkowy. Angielski akcent dodawał mu powagi.

- Pomyślałem sobie, że przydadzą się wam dowody. Sfilmowałem całe zajście moim telefonem. Słyszą panowie poziom hałasu. - Oszołomieni wpatrywaliśmy się w wyświetlacz telefonu z *Nocną Gwiazdą* pełną rozbawionych pasażerów. Słyszeliśmy dudnienie muzyki. - Wieloryby wydawały się zaniepokojone. Oczywiście nie jestem ekspertem, ale...

- Spójrzcie! - weszłam mu w słowo. - Wpłynęli za przylądek. Próbowaliśmy złapać straż przybrzeżną, ale nie zdążyli dotrzeć tam na czas. - Mój głos łamał się z ulgi.

- Mogę przesłać kopię, by mogli panowie wszcząć dochodzenie.

Dwóch policjantów obejrzało film z niewzruszonymi minami.

- Nie jestem pewien, gdzie mógłby pan to przysłać - powiedział w końcu jeden z nich - ale proszę nam zostawić numer, damy panu znać. Przepraszam, kim pan jest?

- Tylko gościem hotelu. Przyjechałem z Anglii na wakacje, mogą państwo obejrzeć mój paszport. Nazywam się Michael Dormer. - Wyciągnął dłoń. Tu raczej nikt nie wymienia uścisków dłoni z policją. Zdumione miny funkcjonariuszy świadczyły o tym jak najdobitniej.

- Teraz to nie będzie konieczne. No cóż, zbieramy się, ale następnym razem uważajcie na race, bo złożymy mniej przyjacielską wizytę.

- Dwa zamki - odpowiedział Greg, potrząsając kluczami.

- Dziękuję panom. - Kathleen odprowadziła funkcjonariuszy - Życzymy miłej służby

Nie mogłam mówić. Gdy ich wóz cofał, odetchnęłam z ulgą i poczułam, że trzęsą mi się nogi.

- Dziękuję - szepnęłam do Grega i kiwnęłam głową Mike'owi. A potem musiałam pobiec do pokoju, bo zabrakło mi słów.



Jest wiele powodów, dla których kocham Australię. Nie będę parodiować Anglików, którzy przyjechali tu i zapomnieli wrócić do domu, ani rozpływać się nad tym, nad czym zwykle się rozpływają - pogodą, światłem czy przestrzenią, choć rzeczywiście to istotny bonus. Nie chodzi mi też o wino, potrawy, krajobraz czy wolne tempo życia, mimo że dzięki nim wychowywanie córki stało się o wiele przyjemniejsze. Dla mnie największe znaczenie ma fakt, że w zapomnianym przez ludzi zakątku, jakim jest Srebrna Zatoka, można przeżyć życie, nie zwracając na siebie uwagi.

Bardzo szybko odkryłam, że mimo wspólnego dziedzictwa Australijczycy pod wieloma względami bardzo się różnią od Anglików. Akceptują ludzi takimi, jakimi są - może dlatego, że nie ma tu tak rozbudowanej hierarchii społecznej, a co za tym idzie, pola do porównań pozycji własnej i nowego przybysza. Jeżeli postępuje się wobec nich uczciwie, odpłacają tym samym. Niemal od dnia, kiedy wylądowałam u Kathleen z wyczerpaną córką, przedstawiała mnie wszem i wobec jako swoją siostrzenicę, „dzień dobry, dzień dobry” i bez zbędnych wyjaśnień stałyśmy się częścią społeczności Srebrnej Zatoki.

Życie w nadmorskiej osadzie bardzo mi sprzyjało. Połowa załóg była tu tylko przejściowo, ludzie przychodzili i odchodzili. Niektórzy mieli jednak swoje powody, by zostać. Tak czy inaczej, nikt nie zadawał zbyt wielu pytań. A nawet jeśli ktoś zadawał, to nie robił dramatu, jeśli nie otrzymał odpowiedzi. Wiem, że nie zawsze byłam dość ostrożna, by ukryć emocje, ale ludzie z naszych załóg z intuicją godną najlepszych łowców rozumieli, że niektóre rzeczy lepiej zostawić w spokoju. Przez pięć lat tylko Greg wciąż wracał do tego, dlaczego opuściłam Anglię. Ale jeśli w ogóle mówiłam o sobie, to byłam wtedy tak pijana, że ku własnemu zawstydzeniu nie pamiętam, o czym mu powiedziałam.

Instynktownie przeczuwałam, że Mike Dormer to zmieni. Wpadłam w panikę, gdy usłyszałam, jak zadaje Kathleen niekończące się pytania o to, kto pracuje w Zatoce, jak długo ludzie tu zostają, od jak dawna tu mieszkamy. Niby na wakacjach, a zachowywał się jak śledczy.

Gdy powiedziałam o tym ciotce, stwierdziła, że przesadzam. Wspólne spędzone tu lata uspiły jej czujność, uwierzyła, że zostawią nas w spokoju na zawsze. Podsumowała, że mam bujną wyobraźnię. Nie dodała tylko, że wie dlaczego - choć jej spojrzenie dało mi do myślenia.

Podjeżdżałam, że Mike nie uszanuje moich granic. Gdy wypływam na *Izmaelu* z grupą turystów, to rozmawiają między sobą. Kiedy wypływam z jednym, siłą rzeczy rozmawia on ze mną. Oprócz wrażeń z wycieczki zabiera do domu część mnie. Dlatego z zasady nie biorę samotnych pasażerów.

Greg dobrze o tym wiedział.

- I jak się udała wasza wyprawa we dwoje, co? - musiał zapytać i zniszczyć jej wspomnienie.

Siedzieliśmy na ławce, patrząc, jak na plaży Hanna rzuca Milly morszczyzny w zachodzącym słońcu. Mike Dormer był u siebie, a Kathleen poszła dokupić piwa. Greg mówił cicho, żeby Lance i Yoshiko nie dosłyszeli.

- Udała się, głównie pod względem finansowym - odparłam. Najwyraźniej uważał, że ratując mi skórę, zyskał sobie prawo do zadawania pytań, to było widoczne jak na dłoni. Wyciągnęłam z kieszeni plik banknotów. - Pięćset dolców za wycieczkę.

Zagapił się na pieniądze. Pomyślał chwilę, zanim przemówił, co jak na niego było niezwykle.

- Dlaczego chciał tyle zapłacić za rejs z tobą?

Nie musiałam odpowiadać. Wiedziałałam, że Greg też by zapłacił, gdyby miał czym.

- To o czym rozmawialiście? - spytał.

- Na miłość boską...

- Jestem tylko ciekawy - zachnął się. - Pojawia się znikąd, wygląda jak jakiś spekulant, szasta pieniędzmi na prawo i lewo... O co tu chodzi?

- Nie wiem - wzruszyłam ramionami - i mało mnie to obchodzi. Dajmy mu spokój, wkrótce wyjedzie.

- Oby. Nie lubię go.

- Nigdy nie lubisz nowych ludzi.

- Nie lubię nowych ludzi, którzy łażą za tobą. Hanna przybiegła do nas roześmiana. Milly ułożyła się u moich nóg.

- Wytarzała się w jakimś śmierdzącym paskudztwie. To był chyba zdechły krab - oznajmiła moja córka.

- Nie masz nic zadane do szkoły? - Odgarnęłam włosy z jej twarzy. Gdy na nią patrzyłam, za każdym razem miałam wrażenie, że znów trochę urosła, a na jej twarzy odkrywałam nowe rysy. To mi przypominało, że kiedyś mnie opuści. Zważywszy na więzy, które nas łączyły, nie byłam pewna, jak to będzie.

- Tylko powtórkę. We wtorek jest test z biologii.

- Zajmij się tym teraz, to będziesz wolna przez resztę wieczoru.

- Z czego ten test? - spytała Yoshiko. - Przynieś zeszyty, to ci pomogę, jeżeli chcesz.

W ciągu lat spędzonych tutaj odkryłam, że członkowie załóg mieli łącznie tak dużą wiedzę, że mogliby zapewnić Hannie staranne wykształcenie. Yoshiko na przykład ukończyła nauki przyrodnicze i biologię morza, Lance wiedział wszystko o pogodzie. Choć niektórzy uczyli ją też innych rzeczy - Scottie na przykład kłąć i raz, gdy mnie nie było, poczęstował Hannę papierosem. Lance jednak go nakrył i dał mu w twarz. Ale moja córka ma też umiejętności, które zawdzięcza wyłącznie sobie,

a może częściowo odziedziczyła po mnie - umiejętność oceny ludzi, schodzenia im z drogi, gdy nie jest pewna, kto zacz, znikania w większej grupie. Radzenia sobie ze smutkiem.

Odebrała tę lekcję o wiele za wcześnie.

Yoshiko usiadła przy Hannie i w zapadającym zmierzchu tłumaczyła jej zjawisko osmozy, o wiele lepiej, niż ja bym to zrobiła - z tym że ja nie jestem wykształcona. Nie pozwolę mojej córce powtórzyć tego błędu.

Greg chyba zauważył, że jestem wyczerpana po całym tym dniu i usiłował mnie rozweselić opowieściami o parze, z którą dziś pływał. Nie wspominał o swojej byłej ani o tym, co się stanie z jego łodzią; miałam nadzieję, że Suzanne trochę z niego zejdzie. Jednak wciąż patrzyłam na drogę, czekałam na powrót policyjnej furgonetki, wyobrażałam sobie wychodzących funkcjonariuszy.

- Wpadniesz do mnie wieczorem? - szepnął cicho Greg, nachylając się do mnie. - Pożyczyłem od chłopaków mnóstwo filmów. Mam trochę nowych komedii, może coś ci się spodoba. - Starał się mówić lekkim tonem.

- Nie - odparłam - ale dziękuję.

- Tylko na film - dodał.

- Wiesz, że nigdy nie kończy się na filmie.

- Zatem kiedy indziej. - Spojrzał mi w oczy.

- Kiedy indziej - ustąpiłam.

Mike Dormer wyszedł z domu, gdy było już ciemno. Kathleen włączyła lampy gazowe i podała kanapki z bekonem z grubo krojonego białego chleba. Nie miałam apetytu, więc skubnęłam tylko kawałek bekonu. Hanna siedziała obok mnie owinięta szalikiem, długie ciemne włosy

zwinęła w węzeł. Przytuliwszy do niej głowę, poczułam zapach szampynu.

Ciotka podała talerz Dormerowi. Usiadł po drugiej stronie stołu na ostatnim wolnym miejscu. Chyba wziął prysznic i zmienił sweter i koszulę. Czyste, dobrze skrojone ubrania wyróżniały go spośród nas. Zwykle nosimy te same rzeczy po kilka dni, kryjąc je pod sztormiakiem. Mike zerknął na mnie, potem na innych i przywitał się półgłosem. Jego akcent wciąż wytrącał mnie z równowagi. W Srebrnej Zatoce rzadko spotyka się Anglików, więc od kilku lat nie słyszałam mowy ludzi z mojego kraju.

Hanna pochyliła się nad stołem.

- Widziałeś, co napisałam? Pokręcił głową.

- Na twoim komputerze. Zostawiłam ci wiadomość. Wcześniej bawiłam się Internetem i poćwiczyłam wyszukiwanie różnych osób, tak jak mnie nauczyłeś.

Sięgnął po kanapkę.

- Znalazłam jeszcze raz ciocię K. A potem znalazłam ciebie.

Mike poderwał głowę.

-Jest twoje zdjęcie. I twoja firma.

Wydawał się dziwnie zmieszany. A ja dobrze rozumiem, co to znaczy nie chcieć, by inni grzebali ci w życiu, i ofuknęłam Hannę za wścibstwo.

- To czym się zajmujesz, stary? - spytał Lance. - Narkotyki? Handel żywym towarem? Możemy ci opchnąć Małą za rozsądną cenę. Jak chcesz, dorzucimy psa.

Hanna trzepnęła Lance'a w ramię.

- Szczerze mówiąc, trochę to nudne - powiedziała ze śmiechem. - Chyba nie chciałabym pracować w mieście.

- Myślę - odparł Mike - że wam tutaj lepiej się powodzi.

- To co ty właściwie robisz? - nacisnął Greg. Po ostrym tonie poznałam, że nie wybaczył Mike'owi naszej wspólnej wyprawy. Poczułam nagle chęć, by go chronić.

Mike nadgryzł kanapkę.

- Głównie przeprowadzam analizy umów finansowych - odpowiedział, przeżuwając.

- Eee, to nudne! - Greg prychnął lekceważąco.

- To twoja firma? - spytała Hanna.

Nasz gość potrząsnął głową. Najwyraźniej nie chciał odpowiadać z pełnymi ustami.

- Dobrze płacą? - zaniepokoił się Lance. Mike przełknął.

- Jak dla mnie, wystarczy - odparł. Zaczekałam, aż Hanna pójdzie do swojego pokoju,

zanim zwróciłam się do niego.

- Słuchaj, przepraszam za wcześniej. To znaczy mam nadzieję, że cię nie przestraszyłam. Po prostu nie miałam pomysłu, jak pozbyć się tych statków. Ale to było głupie... pochopne. Zwłaszcza z pasażerem na pokładzie.

Mike wypił kilka piw i wyglądał na rozluźnionego -oczywiście w jego skali, czyli pozwolił sobie na rozpięcie kołnierzyka i podwinięcie rękawów. Rozparł się swobodnie na krześle i wpatrzył w ciemną pustkę, gdzie w dzień widać było morze. Chmury przesłoniły księżyc. W blasku lampy dostrzegłam, że się uśmiecha.

- Trochę mnie zaskoczyłaś - wyznał. - Myślałem, że wystrzelisz harpuny

Widząc ten uśmiech, dziwiłam się swoim podejrzeniom, że wyda mnie policji. Taka jednak już jestem, z zasady nieufna.

- Nie tym razem - odpowiedziałam. Mike był w porządku. Minęło wiele czasu, nim pomyślałam tak o mężczyźnie.



Miałam pokój w tylnej części hotelu, na samym końcu korytarza. Okna wychodziły prosto na ocean. Pokój Hanny był tuż obok i nocą często, częściej niż byłybyśmy skłonne przyznać, tuptała przez korytarz i kładła się do mojego łóżka, jak wtedy, gdy była jeszcze malutka. Przytulałam się do niej wdzięczna za jej obecność i słodki zapach ciepłej skóry. Spałam spokojnie, tylko gdy miałam ją przy sobie. Nigdy bym jej tego nie powiedziała, dźwigała już dość ciężarów, by obarczać ją jeszcze odpowiedzialnością za mój zdrowy sen. Jednak Hanna zasypiała tak mocno, zanim jeszcze zdążyłam przykryć ją kocem, że przeczuwałam, że i ona czuje podobnie.

Milly spała na dywanie między łóżkiem a oknem. Odkąd przyjechałam, było zawsze otwarte. Ocean kołysał mnie do snu, a rozgwieżdżone, czyste niebo było mi pocieszeniem. Nigdy nie zmarzłam aż tak bardzo, by całkiem zamknąć okno. Tu, na drugim piętrze, mogłam być sama ze swoimi myślami i płakać bez obaw, że ktoś usłyszy. Oczywiście wtedy wyjątkowo zamykałam okno, by żaden dźwięk nie wydostał się na zewnątrz, nie usłyszeli go członkowie załóg i nieliczni przypadkowi prze

chodnie. Bywało i odwrotnie - tak jak wschodni wiatr niósł do nich moje łzy, łagodna bryza z zachodu przynosiła do mnie ich słowa i śmiech. Właśnie dzięki temu usłyszałam Grega, gdy stanęłam przy oknie owinięta kocem. Jego głos był już trochę niewyraźny od wypitego alkoholu, pozbawiony zwykłego ciepła.

- Daj sobie z nią spokój, nic z tego nie będzie - powiedział z naciśkiem. - Czekałem na nią cztery lata i mówię ci, nikt nie jest jej bliższy niż ja.

Dopiero po chwili zrozumiałam, że mówił o mnie i ogarnął mnie gniew za jego arogancję, za to, że miał czelność rościć sobie do mnie jakiegokolwiek prawo, że śmiał powiedzieć coś takiego do zupełnie obcej osoby... O mały włos nie ubrałabym się, zeszła na dół i go zwymyślała.

Jednak tego nie zrobiłam. Byłam zbyt zmęczona. Leżałam na łóżku z otwartymi oczami, przeklinałam Grega Donohoe i starałam się odciąć od wspomnień przywołanych przez angielski akcent. Dopiero godzinę później zdałam sobie sprawę, że nie usłyszałam odpowiedzi Mike'a Dormera.



Rozdział 8

Kathleen

Myślał, że nie zauważę. Nie zdawał sobie sprawy, że jego uczucia widać jak na dłoni. Mogłam go ostrzec, powiedzieć, że Greg miał trochę racji, tylko po co? Ludzie słyszą to, co chcą usłyszeć, a ja nigdy nie spotkałam mężczyzny, który nie wierzyłby, że potrafi zmienić bieg świata, jeżeli tylko zechce.

Trzeba przyznać, że skoro w grę wchodziła perspektywa poderwania mojej siostrzenicy, ujrzałam pana Mike'a Dormera w nieco innym świetle. Złapałam się na analizowaniu niewinnych rozmów pod kątem ewentualnych oznak charakteru, próbowałam dowiedzieć się o nim więcej. Hanna powiedziała, że pracuje w londyńskim City, a skąpe informacje, jakich udzielał, pozwalały się domyślać, że to nic ciekawego. Niektórym mogłyby zaimponować jego pieniądze, ale dla nas - dla mnie -nie miały znaczenia. Ponadto prowadząc hotel, nieraz obserwowałam wpływ majątku na osobowość i rzadko był on budujący. Nie, Mike Dormer wydawał się miły, był zawsze uprzejmy, zawsze znajdował czas dla Hanny, nawet gdy chodziło o drobiazg, i to wszystko świadczyło na jego korzyść. Był przystojny, przynajmniej dla mnie -Hanna twierdzi, że to żaden komplement - i mimo łagodnego, ujmującego charakteru, nie był mięczakiem. To ostatnie zauważyłam, gdy Greg próbował go odstraszyć od mojej siostrzenicy

-Dziękuję za radę - odpowiedział. Stałam w drzwiach niepewna, czy nie nastąpi wybuch. On jednak ciągnął z tym swoim nienagannym

akcentem: -Pozwolisz jednak, że ją zignoruję, ponieważ moje życie prywatne to nie twoja sprawa. -1 ku mojemu zaskoczeniu, Greg, chyba równie zdumiony co ja, wycofał się.

Mimo wszystko po trzech tygodniach w Srebrnej Zatoce Mike wciąż wyglądał jak ryba wyjęta z wody. Nie zapinał już wprawdzie kołnierzyków na ostatni guzik i kupił sobie sztormiak, ale wieczorem wśród wielorybników był równie na miejscu, co ja w zarządzie spółki w City.

Och, starał się! Odpowiadał na ich żarty, przyjmował swoją porcję docinków, bez szemrania płacił za kolejkę, gdy nadeszła jego kolej albo i częściej. A kiedy myślał, że nikt tego nie widzi, wpatrywał się w moją siostrzenicę.

Coś mnie w nim jednak niepokoiło. Miałam przeczucie, że nie jest wobec nas do końca uczciwy. Jakaś obcość, jakiś brak... Dlaczego samotny mężczyzna spędzał tyle czasu w spokojnej miejscowości odpowiedniej na wczasy z rodziną? Dlaczego nigdy nie mówił o swoich bliskich? Pewnego dnia powiedział mi, że nie ma żony ani dzieci, a potem grzecznie zmienił temat. Większości mężczyzn, zwłaszcza tych, którzy odnieśli sukces, nie trzeba namawiać do opowiadania o sobie. On jednak bardzo się pilnował, by nic nie zdradzić.

A potem w pewne popołudnie zauważyłam go w biurze rady miejskiej. Byłam w mieście kupić Hannie nową sukienkę do szkoły - Liza miała tego dnia dwa rejsy i nie mogła się wyrwać. Gdy podjęłam w banku trochę gotówki na zakupy, zobaczyłam, jak zbiega po schodach po dwa stopnie naraz z wielką teczką pod pachą.

Ten widok sam w sobie by mnie nie zaniepokoił. Na parterze mieści się biuro turystyczne, odwiedza je wielu moich gości, często sama ich do

tego namawiam. Sama nie wiem, jak to wyrazić, ale Mike wydawał się bardziej pewny siebie, bardziej zdecydowany niż wśród nas. I wyraz jego twarzy, gdy mnie zobaczył!... Wiem, kiedy ktoś czuje się zdemaskowany, a on właśnie tak wyglądał.

Szybko się opanował. Podszedł do mnie i chwilę rozmawialiśmy o niczym - pytał, gdzie może kupić widokówki. Całe to zajście wytrąciło mnie jednak z równowagi. Nagle poczułam, że on coś przed nami ukrywa.

Nino uznał, że przesadzam. Znał trochę historię Lizy - na tyle, na ile było to konieczne - i uważał, że jestem nadopiekuńcza.

- Liza to już duża dziewczynka - mawiał - już nie jest taka, jak po przyjeździe. Na litość boską, ma trzydzieści dwa lata! -1 miał rację. Widzę to po fotografiach przesyłanych mi przez nią i moją siostrę, po tej historii ostatnich piętnastu lat jej życia...

Historia życia na fotografiach nie jest niczym niezwykłym, ale zdjęcia Lizy w wyjątkowy sposób odzwierciedlały jej sytuację - wielkie oczy po śmierci matki, ten ciężki ciemny makijaż, w którym wyglądała obco i za którym mogła się ukryć. Trudno było uwierzyć, że pod tą maską było dziecko, od którego wcześniej dostawałam listy o kucykach i trudach czwartej klasy, to samo dziecko, które kiedyś woziałam w wózku po pomocy nad zatoką.

Potem, kilka lat później, dostrzegłam coś więcej -bezbronną łagodność macierzyństwa. Zdjęcie zrobione kilka godzin po porodzie przedstawiało Lizę dumną i wyczerpaną, z wilgotnymi włosami przyklepionymi do czoła. Następne zrobiono w automacie - widać na nim Lizę całującą pulchne policzki Hanny, która chyba zaczęła już chodzić. Później, \

gdy Liza poznała Stevena, zdjęcia przestały przychodzić. Na jedynej fotografii z tego okresu, której nigdy nie postawiłam na widoku, jej partner wygląda elegancko, obejmuje Lizę ramieniem najwyraźniej dumny ze swego ojcostwa.

Nino sądził, że i tu jestem przewrażliwiona.

- Liza wygląda pięknie - powiedział - zadbana, w drogich ubraniach.

Dla mnie jednak jej oczy kryły pustkę, jakby coś w nich umarło.

Nie mamy zdjęć z czasów, kiedy tu przyjechała. Bo i po co?

A teraz, pięć lat później, kogo zobaczyłabym na zdjęciu? Mądrzejszą, silniejszą osobę. Kogoś, kto może nie rozliczył się z przeszłością, ale bardzo chce zostawić ją za sobą. Dobrą matkę. Odważną, kochającą kobietę, smutniejszą i bardziej nieufną, niżbym sobie tego życzyła. Gdyby pozwoliła zrobić sobie zdjęcie, tak właśnie by wyglądała.



Następnego ranka, kiedy jadłyśmy z Hanną i Lizą śniadanie, do hotelu dostarczono przesyłkę kurierską. Kurier, przeżuwając głośno gumę, podał mi pudełko zaadresowane do Mike'a. Pokwitowałam odbiór, a chwilę później nasz gość zszedł na dół - przeważnie jadał teraz z nami w kuchni.

Hanna płonęła z ciekawości.

- Dostałeś paczkę! - krzyknęła na jego widok. - Przyszła dziś rano.

Podniósł przesyłkę i usiadł. Miał na sobie najdelikatniejszy sweter, jaki w życiu widziałam. Walczyłam z pokusą, by zapytać, czy to kaszmir.

- Szybciej, niż myślałem - zauważył. Podał paczkę Lizie. - To dla ciebie.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Co to takiego?

- To dla ciebie - powtórzył.

- Co to jest? - spytała, mierząc wzrokiem paczkę, jakby parzyła. Nie związała jeszcze włosów. Opadły na policzki i zasłoniły twarz. Może zrobiła to celowo.

- Otwórz ją, mamó! - prosiła Hanna. - Jeżeli chcesz, ja to zrobię. - Sięgnęła po przesyłkę i wyjęła ją z rąk Lizy.

Gdy kroiłam chleb, rozerwała bąbelkową folię, tnąc odporne kawałki, po chwili zdjęła ją całkiem i odsłoniła tekturowe pudełko.

- To telefon komórkowy - obwieściła.

- Z kamerą - dodał Mike, wskazując symbol. - Jak mój. Pomyślałem, że przyda się do filmowania tamtych łodzi.

Liza spojrzała na mały srebrny gadżet; był tak niewielki, że nie dałoby się wybrać numeru bez ołówka i mikroskopu. Po długiej chwili spytała:

- Ile kosztował?

Mike smarował masłem tost.

- Nie martw się o to.

- Nie mogę go przyjąć - odpowiedziała. - Musiał kosztować fortunę.

- Można nim kręcić filmy? - Hanna już przetrząsała pudełko w poszukiwaniu instrukcji.

A Mike uśmiechnął się tylko.

- Tak naprawdę nie dałem za niego ani grosza. Niedawno podpisaliśmy umowę z firmą, która je produkuje. Chętnie mi go przysłali. - Klepnął się po kieszeni. - Tak dostałem swój.

Hanna była pod wrażeniem.

- Czy dużo ludzi daje ci różne rzeczy za darmo?

- W interesach tak bywa - rzekł poważnie.

- Możesz dostać wszystko, co chcesz?

- Zwykle dostajesz coś tylko wtedy, gdy ofiarodawca myśli, że pewnego dnia otrzyma coś w zamian - powiedział i zreflektował się. - Oczywiście tylko w interesach.

Zastanowiło mnie to zdanie. Postawiłam przed nim mleko, trochę mocniej niż zamierzałam. Staralam się nie myśleć o naszym poprzednim spotkaniu.

- Jak chcesz, potraktuj to jak pożyczkę. Weź go i wykorzystaj przez okres migracji wielorybów. Nie spodobało mi się to, co wtedy zobaczyłem, i cieszyłbym się, gdybyś miała więcej amunicji przeciwko tamtym draniom.

Widziałam, że ten argument był rozstrzygający dla mojej siostrzenicy. Mike odgadł, że nie stać jej było na taki sprzęt, choćby przez cały sezon zabierała codziennie dwa komplety pasażerów.

W końcu wzięła ostrożnie telefon z rąk Hanny

- Mogę przesyłać filmy prosto do Parków Narodowych - powiedziała, obracając go w dłoni.

- Jak tylko zobaczysz, że ktoś łamie przepisy - Kiwnął głową. - Kathleen, czy mógłbym prosić o więcej kawy?

- Nie tylko statki imprezowe, inne rzeczy też. Zwierzęta, które potrzebują pomocy, zaplątane w sieci. Mogę go pożyczyć innym załogom, jak nie będę wypływać - mówiła Liza z rosnącym zaangażowaniem.

- Ja mogłabym nakręcić film o delfinach i pokazać go w szkole. Gdybyś zabrała mnie ze sobą... - Hanna spojrzała na matkę, ale Liza wciąż była wpatrzona w telefon.

- Nie wiem, co powiedzieć - wybąkała w końcu.

- To nic wielkiego - Mike machnął ręką - naprawdę. Nie ma o czym mówić. - I jakby chciał dodatkowo to podkreślić, sięgnął po gazetę i zaczął czytać.

Ja jednak widziałam, że nie dociera do niego nic z artykułu, który przeglądał, i miałam też przeczucie co do telefonu. Potwierdziło się później, gdy ścieląc łóżko w jego pokoju, znalazłam rachunek. Telefon został zamówiony w Australii przez jakąś stronę internetową i kosztował więcej niż tygodniowy pobyt w moim hotelu.



W dniu przyjazdu Hanny i Lizy trzy godziny jechałam do Sydney, żeby je odebrać, a gdy wróciłyśmy do hotelu, Liza położyła się w moim łóżku i nie wstała przez dziewięć dni.

Trzeciego dnia tak się o nią bałam, że wezwałam lekarza. Była jak odurzona. Nie jadła, nie spała, od czasu do czasu piła łyk słodkiej herbaty, którą postawiłam jej na nocnym stoliku, i nie odpowiadała na moje

pytania. Przez większość czasu leżała na boku i patrzyła w ścianę, pocąc się w upale popołudnia, z jasnymi włosami w strąkach, raną ciętą na policzku i wielkim siniakiem na ramieniu. Doktor Armstrong porozmawiał z nią, powiedział, że ogólnie jest zdrowa, że to pewnie jakaś infekcja wirusowa albo nerwica i zalecił wypoczynek.

Chyba poczułam ulgę, że nie przyjechała tu umrzeć, ale przywiozła mi dość kłopotów i bez tego. Hanna miała tylko sześć lat, była lękliwa i rozdrażniona, często wybuchwała płaczem i nocą wychodziła z łóżka zapłakana. Nic dziwnego, skoro podróżowała przez dwie noce i dzień do miejsca, którego nie знаła, i starszej pani, której nigdy nie spotkała. Był środek lata, z upału dostała wysypki, strasznie pogryzły ją komary, nie rozumiała, dlaczego nie pozwalam jej bawić się na dworze. A ja się bałam, że słońce poparzy jej wrażliwą skórę, że wejdzie do wody i utonie, a w najlepszym wypadku - że się zgubi.

Kiedy na chwilę traciłam ją z oczu zajęta pracą w hotelu, biegła na górę i przywierała do matki jak mała małpka. W nocy płakała tak, że serce się krajało. Pamiętam, zwracałam się do mojej zmarłej siostry, pytając w duchu, co zrobić z jej dzieckiem i wnuczką, bo sama byłam bezsilna.

Po dziewięciu dniach miałam już dość. Wyczerpana opieką nad gośćmi i tym płaczącym dzieckiem chciałam tylko odzyskać swoje łóżko i odrobinę spokoju. Nigdy nie miałam własnej rodziny, więc nie byłam przyzwyczajona do chaosu, jaki wnoszą w życie dzieci, do ich ciągłych potrzeb i stale nowych żądań. Uznałam, że czas działać.

W tym momencie podejrzewałam, że w grę wchodzi narkotyki: Liza była tak nieobecna, blada i obojętna. Doszłam do wniosku, że przyczyną

może być wszystko - ze wstydem uświadomiłam sobie, jak sporadyczny miałyśmy kontakt przez ostatnie kilka lat.

„No, trudno - pomyślałam - ale skoro przyjechała, musi przestrzegać moich zasad”.

-Wstawaj! - krzyknęłam na nią, otworzyłam okno i postawiłam przy łóżku kubek świeżej herbaty. Gdy nie odpowiedziała, zerwałam z niej pościel, starając się nie widzieć, że z Lizy zrobił się szkielet. - No, piękny dziś dzień, a ty musisz wstać. Twoja córka cię potrzebuje, a ja mam swoje obowiązki.

Pamiętam, jak odwróciła się do mnie, a ja ujrzałam w jej oczach straszne wspomnienia. Moja stanowczość ulotniła się w jednej chwili.

- Co się stało Lizo? - spytałam miękko, biorąc ją za rękę. - Co się z tobą dzieje?

A gdy mi powiedziała, patrząc w dal, przycisnęłam ją do piersi i trzymałam tak mocno, aż zbieleły mi kłykcie. Wreszcie, szesnaście tysięcy kilometrów dalej i dziewięć dni później, zapłakała.



Było już po dziesiątej wieczorem, gdy usłyszeliśmy, że młode wieloryby wypłynęło na plażę. Po południu Yoshiko złożyła przez radio meldunek, że widziano niespokojną samicę krążącą u ujścia zatoki. Ona i Lance podpłynęli całkiem blisko, ale nie byli w stanie stwierdzić przyczyny: nie zauważyli widocznych oznak choroby czy fragmentów sieci, które mogły ją zranić. Po prostu płynęła dziwnym, nieregularnym kursem. Migrujące walenie tak się nie zachowują. Wieczorem, gdy zabrali

ostatnią grupę, pracowników firmy ubezpieczeniowej z Newcastle, za-uważyli młode na plaży.

- To samo ciełe widzieliśmy wcześniej, jestem tego pewna - powiedziała Liza, odkładając słuchawkę.

Siedzieliśmy w kuchni, bo noc była chłodna. Mike schronił się w salonie z gazetą przy kominku.

- Czy mógłbym pomóc? - spytał, widząc nas w holu, gdy zakładałyśmy sztormiaki.

- Zostaniesz tutaj, żeby Hanna nie była sama? Jak się obudzi, nie mów jej, co się stało.

Zdziwiła mnie prośba Lizy - nie dowierzała nawet opiekunkom, co dopiero obcemu mężczyźnie - ale musiałyśmy wyjść jak najszybciej.

- To może trochę potrwać - powiedziała, klepiąc go w ramię. - Nie czekaj na nas. I cokolwiek robisz, nie wypuść Milly na dwór. Biedny wieloryb jest i tak przerażony, nie potrzeba mu jeszcze biegającego wkoło psa.

Patrzył za nami, gdy wsiadałyśmy do samochodu. Czułam, że wolałby jechać z nami i pomagać. We wstecznym lusterku widziałam jego sylwetkę na tle oświetlonych drzwi, dopóki nie skręciłyśmy nad zatokę.



Mało jest równie przygnębiających widoków, co ciełe wieloryba na plaży. Dzięki Bogu w ciągu ponad siedemdziesięciu lat życia widziałam coś podobnego tylko dwukrotnie. Wielorybiątko miało może siedem stóp długości. Leżało samotne i bezbronne, i jakby dziwnie znajome. Fale

obmywały je łagodnie, zachęcając do powrotu. Mogło mieć najwyżej kilka miesięcy

- Wezwałem władze - powiedział Greg, który przyjechał wcześniej i robił, co mógł, żeby zwierzę nie zagrzebało się jeszcze głębiej w przybrzeżny żwir.

Teraz nie można już było przesuwać wielorybów bez zgody weterynarza: gdy były chore, przynosiło to więcej szkody niż pożytku. Jeżeli samozwańcze ekipy ratunkowe odwróciłyby młode w stronę morza, mogłoby wezwać całe stado i następnego dnia na plażach byłoby więcej wielorybów.

- Chyba nie jest chore - stwierdził sternik - ale na pewno bardzo osłabione. - Na kolanach miał mokre ślady od klęczenia w wodzie. - Jeszcze ssie, długo nie wytrzyma bez mleka. Jest tu już pewnie kilka godzin.

Cielę leżało na boku, z nosem w stronę wybrzeża, oczy miało półprzymknięte, jakby w zdumieniu nad swoim nieszczęściem. Wyglądało żałośnie.

- Nie wypłynęło na plażę z powodu choroby, to te cholerne łodzie! - syknęła Liza, chwytając za wiadro. - Muzyka jest tak głośna, że tracą orientację. Młode są bez szans.

Wzdłuż naszego wybrzeża nie było oświetlenia. Nasza trójka pracowała w milczeniu, czekając na ludzi z parku narodowego lub straży przybrzeżnej, przy latarkach, starając się utrzymać wieloryba w wilgoci.

Byliśmy tak cicho, jak to możliwe. Rozmiary waleni dają złudne poczucie ich siły, w rzeczywistości są równie kruche, jak złote rybki z akwarium.

- No, chłopczyku - szepnęła Liza, klękając na chwilę na piasku, żeby pogłaskać młode po głowie - wytrzymaj jeszcze trochę, zaraz przyniesiemy ci nosze. Mama czeka na ciebie.

Przypuszczaliśmy, że to prawda. Mniej więcej co pół godziny słyszeliśmy dalekie chlupnięcie odbijające się echem wśród wzgórz pokrytych kosodrzewiną – może to była matka przeszukująca morze, próbująca podejść jak najbliżej. Jej niepokój chwycił za serce. Staralam się nie słuchać, bałam się, że zdesperowana samica również wypłynie na plażę.

Greg trzykrotnie wzywał pomoc, a ja pojechałam wzdłuż wybrzeża w poszukiwaniu ekipy ratunkowej. Dotarła do nas jednak dopiero po północy System komunikacyjny zawiódł, najwyraźniej ktoś podał złą lokalizację, a ktoś inny zabrał jedyną parę noszy. Liza ledwie słyszała ich wyjaśnienia.

- Słuchajcie - ponaglała - musimy go przenieść do wody Szybko. Wiemy, że jego matka nadal tam jest.

- Postaramy się go zanurzyć - odpowiedzieli ratownicy i wciągnęli wieloryba na nosze. Sapiąc z wysiłku, przenieśli go na płyciznę, nie bacząc na bezlitośnie zimną wodę. Zostałam na brzegu, gdy zastanawiali się głośno, czy nie lepiej przewieźć młode na łodzi i wypuścić w pobliżu matki. Przedstawiciel parku nie był pewien, czy cielę przeżyje transport, a jeśli nawet, to czy będzie później w stanie pływać. Bali się też, że łódź przestraszy samicę, która odpłynie.

- Gdyby się trochę wzmocnił - mruknął któryś - moglibyśmy go przemieścić w głąb zatoki...

Kołysali wielorybiątko na falach, by szybciej uzupełniło braki wody w organizmie. Po godzinie, może później, weszli głębiej. Liza i Greg byli zanurzeni po pierś, żadne z nich nie miało na sobie pianki termicznej. Drżeli z zimna, próbując nakłonić stworzenie, by odpłynęło do matki. Liza szczękała zębami, aż i ja poczułam zimno.

Młode wciąż się nie ruszało.

- Dobrze, nie będziemy go popychać - powiedział jeden z mężczyzn, gdy stracili nadzieję, że cieleń odpłynie. - Postoimy tu jeszcze trochę, dopóki nie zorientuje się, gdzie jest. Może potrzebuje po prostu trochę więcej czasu.

Młody wieloryb, nawet dryfujący na falach, jest niezwykle ciężki. Yoshiko i ja patrzyłyśmy z wybrzeża na pozostałą czwórkę. Ramiona Lizy drżały z napięcia. Szeptala młodemu słowa otuchy, jakby chciała go natchnąć, by popłynął do matki.

Było już po drugiej i wszyscy zrozumieliśmy, że z tym maluchem jest źle. Wydawał się wyczerpany, oddychał nieregularnie, często przymykał oczy.

„Może jednak ono jest chore - pomyślałam. - Może matka o tym wiedziała, ale i tak nie mogła się z nim rozstać”.

Nie wiem, jak długo tam stali. Noc ciągnęła się w nieskończoność, godziny pełne urywanych szeptów i rosnącej beznadziei mijały jedna za drugą. Dwukrotnie ktoś przejechał obok, grupa rozbawionych młodych ludzi wysiadła z wozu i zaproponowała pomoc. Podziękowaliśmy im i

odesłaliśmy - ostatnie, czego biedne zwierzę potrzebowało, to banda pijanych nastolatków biegających wokół. Yoshiko i ja zrobiłyśmy kawę na pokładzie *Moby I*, potem ona i Lance zmienili strażników przybrzeżnych, żeby tamci mogli chwilę odpocząć i rozgrzać się kawą. Noc nie chciała się skończyć, a ja pożyczyłam drugą kurtkę, ponieważ tak to już jest, że stare kości szybciej marzną.

Potem usłyszeliśmy nowy dźwięk: straszny, cichy głos z morza, jękliwe nawoływanie wieloryba znad powierzchni wody

- To jego matka! - krzyknęła Liza. - Matka go woła!

Yoshiko potrząsnęła głową.

- Samice nie śpiewają - odpowiedziała. - To pewnie samiec.

- Ile razy słyszałaś śpiew wieloryba na powierzchni? - spytała Liza. -
Wiem, że to matka.

- Chyba małemu się nie polepszyło - zauważył strażnik z patrolu parku narodowego, gdy usiedliśmy na wilgotnym piasku. - Nie ma siły walczyć.

Liza potrząsnęła głową. Jej dłonie zsiniały z zimna.

- Musi. Po prostu jest oszołomiony Jak damy mu czas, zrozumie, gdzie jest matka. Słyszy ją, a to coś znaczy.

Ale nikt z nas nie wiedział tak naprawdę, co młody wieloryb jest w stanie usłyszeć. Dla mnie biedactwo wyglądało na ledwie żywe i walczyło o każdy oddech. Nie wiedziałam już, w imię czego trzymają je w wodzie. Tyle że sama z trudem trzymałam się na nogach; jestem silna, ale wiek robi swoje i nie daję już rady czuwać całą noc. Gdy wreszcie usiadłam za namową Yoshiko, zdrzemnąłam się chwilkę i obudziłam, słysząc gwałtowną dyskusję kilka kroków dalej.

To jest właśnie najgorsze, gdy wieloryby wypływają na plażę - wydaje się, że same chcą umrzeć, a my, ludzie, nie chcąc zrozumieć, próbując ni to pomóc, ni uspokoić własne sumienie, tylko przedłużamy ich agonię. Zawsze gdy uda się uratować chociaż jednego, gdy wypływa triumfalnie na pełne morze, upewniamy się co do słuszności naszych przedsięwzięć, myślimy, że trzeba je ratować za wszelką cenę. Może jednak powinniśmy zostawić wieloryby w spokoju? Może to małe musiało odejść? A gdybyśmy zostawili je w spokoju, czy matka przyplęnęłaby i wciągnęła je do wody? Słyszałam o takich przypadkach. Myśl, że może niepotrzebnie Przysporzyliśmy mu cierpień, była nie do zniesienia, więc starałam się ją stłamsić, obracając w głowie domowe sprawy - buty sportowe dla Hanny, zepsuty czajnik, niezapłacone rachunki. Przypuszczam, że co chwilę zapadałam w drzemkę.

Wreszcie słońce weszło za przylądkiem, rzucając blade, niebieskawe światło na naszą grupę. Obudziłam się ostatecznie, gdy ten z patrolu parku obwieścił, że nie ma nadziei.

-Powinniśmy je uspić - powiedział, przecierając oczy. - Jak je tu zostawimy, matka może przyplęnąć i utknąć na płyciźnie.

- Ale ono wciąż żyje! - zaprotestowała Liza. W świetle poranka ujrzałam jej poszarzałą ze zmęczenia twarz. Drżała w przemoczonym ubraniu, ale nie chciała się przebrać w suche rzeczy od Yoshiko, bo i tak by się zamoczyła, gdy znów wejdzie do wody. - Póki życia...

Greg otoczył ją ramieniem i uścisnął. Miał zaczerwienione oczy i ślad zarostu na podbródku.

- Lizo, zrobiliśmy, co w naszej mocy. Nie możemy ryzykować życia matki.

- Ale ono nie jest chore! - krzyknęła. - To przez te cholerne łodzie. Jak podholujemy je do matki, wszystko będzie dobrze.

- Nie, nie będzie dobrze. - Facet z patrolu położył dłoń na grzbiecie wieloryba. - Trzymaliśmy je tu osiem godzin, wciągnęliśmy je głębiej, potem znów na płyciznę, a i tak prawie się nie poruszyło. Jest za młode, by się wyżywić, a do matki nie dopłynie. Jak je wciągniemy na głębiej, to się utopi, a na to się nie zgadzam. Przykro mi, ale ono tu już zostanie.

Kiepska sprawa - westchnął Lance. Yoshiko, wtulona w jego ramię, zaczęła płakać. Ja sama walczyłam ze łzami.

- Jeszcze pół godziny - nalegała Liza, głaszcząc skórę wieloryba - jeszcze tylko pół godziny. Jeżeli tylko doprowadzimy go do matki... Słuchajcie, ona by wiedziała, że nie przeżyje, prawda? Już by je zostawiła.

Nie mogłam na nią patrzeć. Nie mogłam znieść rozpacz w jej głosie. Mężczyzna podszedł do samochodu.

- Matka już mu nie pomoże. Przykro mi.

- Więc dajcie mu umrzeć przy niej - błagała. - Nie pozwólcie, by umarło samotnie. Możemy je do niej zabrać.

- Nie mogę na to pozwolić. Nawet jeżeli podróż go nie przestraszy, nie ma gwarancji, że samica pozwoli nam się zbliżyć. Możemy ją tylko jeszcze bardziej spłoszyć.

W tym momencie odeszłam, żeby być z Hanną, jak obudzi się rano, a po części po to, żeby uciec od widoku, którego bym nie zniosła. Cieszę się, że nie widziałam zastrzyków usypiających i rozpacz przedstawiciela parku, gdy żaden nie zadziałał. Znalezienie broni zajęło mu kolejne dwadzieścia minut. Yoshiko powiedziała mi później, że zanim zdążył

oddać strzał, biedne stworzenie wydało ostatnie, chrapliwe tchnienie i umarło. Potem wszyscy płakali, drżąc w porannym chłodziu. Nawet ten twardziel od parków narodowych, dla którego była to -jak powiedział - druga tego typu interwencja w ciągu dwóch tygodni.

Ale - jak to ujęła Yoshiko - Liza całkiem się załamała. Łkała tak gwałtownie, że o mało nie zasłabła, a Greg trzymał ją w obawie, że postradała zmysły. Wbiegła do wody z otwartymi ramionami, krzycząc przeprosiny wielorybiej matce, jakby to była jej wina. Gdy zakryto ciało brezentową płachtą, chroniąc je przed wzrokiem ciekawskich, szlochała tak głośno, że facet z parku spytał Yoshiko na stronie, czy Liza aby jest normalna.

Dopiero wtedy trochę się uspokoiła. Greg dał jej brandy - miał sporą butlę w samochodzie. Potem razem z Lancem i Yoshiko wypila jeszcze więcej. A po następnych kolejkach, gdy nad Srebrną Zatoką wzeszło słońce, oświetlając ciało na plaży i nieskażone piękno wokół, gdy krzyk matki ucichł w oddali, Liza wsiadła chwiejnie do samochodu i pojechała do Grega.



Rozdział 9



Mike

Cholerny *jet lag*! Było dopiero po szóstej, a ja już nie spałem, myśląc o ostatniej rozmowie z Dennisem, próbując przekonać samego siebie, że nie czuję, czego nie powinienem.

Nie musiałem odgadywać, co się stało. Obudziłem się krótko po czwartej i leżałem dłuższą chwilę. Moje myśli krążyły natrętnie w ciemności. W końcu wstałem, odkryłem, że nie licząc mnie i Hanny, w hotelu nie ma żywej duszy i wędrowałem po pustych pokojach. W końcu wróciłem do siebie z lornetką Kathleen i skierowałem ją nad zatokę. Widziałem błysk latarek, niekiedy przejeżdżający samochód oświetlał całą scenę. Widziałem Grega i innych członków załóg krążących nad wodą, a potem - po kolorze sztormiaka - poznałem Lizę siedzącą na piasku i dwóch mężczyzn obok zwiniętej brezentowej płachty.

Przeklinałem *jet lag* i tłumaczyłem sobie, że nie da się tak od razu przestawić, choćby człowiek spał przez tydzień. Zaciągnąłem więc zasłony, zrobiłem kawę i zwalczyłem chęć wyjrzenia ponownie. W dramacie życia i śmierci jest coś wciągającego, nawet gdy chodzi tylko o zwierzę. We mnie jednak chęć podglądania zawsze budziła mieszane uczucia, jakby to była skaza charakteru, oznaka chłodu i wyrachowania.

Poza tym obserwowanie innych z ukrycia przypomniało mi o innych sekretach, o rzeczach, które ukrywałem przed Vanessa... które cały czas groziły, że moje kłamstwo wyjdzie na jaw. W Srebrnej Zatoce przez

większość czasu udawało mi się zapomnieć o tym, co zrobiłem - w końcu to inna strefa czasowa, zupełnie antypody, poza tym cały czas miałem poczucie, jakbym żył cudzym życiem. Jednak w ciche godziny przed świtem nic już mnie nie rozpraszało. I nie usprawiedliwiało. Trudno było uciec od prawdy o sobie.

Potem, gdy gonitwa myśli stała się nie do zniesienia, ni stąd, ni zowąd zadzwonił Dennis, najwyraźniej nieświadomy różnicy czasu. Podminowany przymusem rekonwalescencji nalegał, abym streścił mu wszystkie rozmowy i zrelacjonował wszelkie kroki, jakie przeprowadziłem i podjąłem w celu przyspieszenia naszych spraw. Zawsze trudno go było przekonać, że wszystko jest na dobrej drodze, ale gdy był w tym nastroju, nie udawało się nigdy w biurze w takiej sytuacji wszyscy wymyślali na poczekaniu jakieś ważne spotkania i schodzili mu z drogi, dopóki się nie wyżył. Dennis był człowiekiem pełnym skrajności - najczęściej szczodrym, równym gościem, kimś, kto sprawia, że inni chcą być lepszymi ludźmi, kto inspiruje do przekraczania postawionych sobie celów. Między innymi dlatego chciałem z nim pracować. Ale przez resztę czasu był po prostu typowym cholerykiem.

- Załatwiłeś pozwolenie na budowę? - spytał.

- Tutaj nie da się tego załatwić od ręki. - Ścisnąłem w dłoni długopis, dziwiąc się, że ten mężczyzna, w gruncie rzeczy niewiele ode mnie wyższy rangą, prawie partner, wciąż potrafi sprawić, że czuję się jak spocony ze strachu nastolatek, i to mimo dystansu szesnastu tysięcy kilometrów. - Mówiłem ci o tym jeszcze przed wyjazdem.

- Wiesz, że nie chcę o tym słyszeć. To musi być załatwione, Mike.

- Mogą być problemy z... ekologią.

- Co to, do cholery, znaczy?

- Sporty wodne mogą wywierać... niekorzystny wpływ na lokalną faunę morską.

- To jest zatoka! - wrzasnął. - Zatoka z przystanią dla łodzi, ławicami ostryg, motorówkami i czym tam jeszcze! Przetrwała tak całe stulecia. Jakim cudem odrobina zabawy na wodzie mogłaby czemukolwiek zaszkodzić?

- Obserwatorzy wielorybów mogą zaprotestować.

- Co to za banda, jacyś wegańscy poplecznicy Greenpeace'u?

- Są największą atrakcją turystyczną sezonu.

- A co oni dokładnie robią? Zagapiłem się na słuchawkę.

- Cóż, obserwują wieloryby...

- No właśnie, a w czym obserwują te cholerne wieloryby?

- W łodziach.

- Wiosłowych? Żaglowych?

- Motorowych... - Wiedziałem, do czego zmierza i co usłyszę. Dokładnie to usłyszałem.

Gdy znów wyjrzałem przez okno, plaża była pusta. Nawet wieloryb zniknął.

Koło szóstej usłyszałem stuk otwieranych drzwi. Wyszedłem z pokoju i zobaczyłem Kathleen ściągającą w holu mokry sztormiak. Wyglądała na wyczerpaną, starszą niż kilka godzin wcześniej i bardziej kruchą. Każdy jej ruch zdradzał zmęczenie. Lizy nie było.

- Pozwól mi wziąć twój płaszcz. Odsunęła mnie.

- Daj spokój. - Odgadłem z jej tonu los młodego wieloryba. - Gdzie Hanna?

- Jeszcze śpi. - W przeciwieństwie do psa Lizy, który drapał w drzwi, popiskując, odkąd wyszły.

- Dziękuję. - Kathleen kiwnęła głową. Była naprawdę wykończona. Po raz pierwszy ujrzałem w niej starą kobietę. - Zrobię herbaty. Napijesz się?

Domyślałem się, że śmierć wieloryba musiała nastąpić w niecodziennych okolicznościach, i to właśnie tak wstrząsnęło Kathleen, ale dziwiłem się, że słynna pogromczyni rekinów tak bardzo żałuje innego morskiego stworzenia. Gdy się nad tym zastanawiałem, siedząc przy kuchennym stole - bo Kathleen nie pozwoliła, abym ją wyręczył i zaparzył herbatę - uzmysłowiłem sobie, że nasłuchuję kroków Lizy, szelestu jej sztormiaka, brzęku kluczy wrzucanych do miski przy drzwiach.

- Cholera, biedne stworzenie - powiedziała w końcu Kathleen. - Nie miało szans. Trzeba je było zastrzelić od razu.

Dopiero po drugim kubku herbaty miałem odwagę zapytać ją o cokolwiek. Napomknąłem jakby nigdy nic, że Liza wcześniej dziś wypłynęła. Kathleen odwzajemniła mi się spojrzeniem, które mówiło, że przejrziała mnie na wylot.

- Liza jest z Gregiem.

Jej słowa zawisły w powietrzu.

- Nie wiedziałem, że są parą. - Mój głos zabrzmiał z kolei nienaturalnie wysoko.

- Nie są - odpowiedziała ze znużeniem. I dodała na pozór bez związku: - Liza odebrała śmierć wieloryba bardzo osobiście.

Zapadła długa cisza, podczas której patrzyłem w pusty kubek i próbowałem się skupić.

- Przecież na pewno nie mogła nic na to poradzić - bąknąłem. To był pusty frazes. Nie potrafiłem zrozumieć, jak martwy wieloryb skłonił ją do tego, by przespać się z Gregiem.

- Posłuchaj, Mike, Liza straciła dziecko przed pięcioma laty, zanim tutaj przyjechała. Tak sobie z tym radzi. - Ściszyła głos i upiła łyk herbaty. Zauważyłem, że jej dłonie są duże i mocne, nie miękkie i delikatne jak u mojej matki. - To niestety oznacza, że raz czy dwa razy do roku biedny głupek wyobraża sobie, że ma jakąś szansę.

Gdy przetrawiałem tę nowinę, wstała ciężko, opierając się o stół i oznajmiła, że pójdzie obudzić Hannę. Nagła zmiana tematu była dla mnie jasnym sygnałem. W świetle płynącym z kuchennego okna jej skóra wydawała się blada, nie ogorzała jak zwykle. Zastanawiałem się, co przeszła na plaży. Tak łatwo było mi zapomnieć o jej wieku.

-Jeżeli chcesz, odwiozę ją do szkoły - zaproponowałem. - Nie mam innych planów. - Nagle poczułem potrzebę, by się czymś zająć, uciec od natłoku myśli. Potrzebowałem niefrasobliwego szczebiotu Hanny o lekcjach, warsztatach i szkolnych obiadach. Chciałem gdzieś pojechać samochodem, wyjść z tego domu. - Kathleen, słyszysz mnie? Odwiozę ją.

- Jesteś pewien? - wyraz wdzięczności na twarzy pani Mostyn, legendarnej poławiaczki rekinów i pozornie nieustrudzonej gospodyni, zdradzał, jak bardzo była zmęczona.



Bardzo możliwe, że „w druku” - jak powiedziała by moja siostra - sprawiam wrażenie o wiele większego ryzykanta, niż jestem w rzeczywistości. Prawda jest taka, że w czasie czteroletniego związku z Vanessa do nocy z Tiną nawet nie pocałowałem innej dziewczyny Nie, że bym o tym nie myślał - jestem w końcu tylko człowiekiem - ale aż do owej imprezy sama myśl o zdradzeniu Vanessy była tak nieprawdopodobna, że nawet gdy trzymałem w ramionach szczupłe ciało Tiny, a jej dłoń rozpięła pasek moich spodni, jakaś część mnie chciała się roześmiać, tak absurdalna była cała ta sytuacja.

Vanessa Beaker poznałem w Beaker Holdings, gdy zastępowała tymczasowo szefa działu marketingu. Wbrew temu, co sądzili niektórzy, dopiero po kilku tygodniach zorientowałem się, co oznacza jej nazwisko. Gdy dowiedziałem się, kim jest, rozważałem zakończenie związku. Naprawdę zależało mi na pracy, wiązałem z firmą swoją przyszłość. Nie chciałem jej ryzykować przez związek, którego nie byłem pewien.

W kalkulacjach nie wziąłem pod uwagę zdania mojej dziewczyny. Vanessa powiedziała, że bym się nie wygłupiał, powiadomiła o nas ojca, i to w mojej obecności. Dodała, że niezależnie od tego, czy będziemy razem, czy też nie, to nie jego sprawa, a potem już na osobności stwierdzi

ła, że jestem Tym Jedynym. I uśmiechnęła się w taki sposób, że nie miałem podstaw do niepokoju.

Przypuszczam, że istotnie nie zaprzętałem tym sobie dłużej głowy. Według mojej siostry Moniki jestem leniwy w związkach - pozwalałem atrakcyjnym kobietom walczyć o moje względy i tylko raz sam dałem którejś kosza. A Vanessa była ładna, czasami prawie piękna, szczęśliwa, pewna siebie i mądra. Codziennie zapewniała o swojej miłości. Nie musiała nic mówić, i tak wiedziałem -w domu okazywała mi troskę, często miała ochotę na seks i mnóstwo czasu oraz energii poświęcała mojemu wyglądowi i samopoczuciu. Chętnie się na to godziłem, bo zdejmowała mi z głowy jeden problem. Zresztą ufałem w gust Vanessy, a swoją smykałką do interesów niewątpliwie wdała się w ojca.

Nie wiem, dlaczego musiałem bronić mojego związku przed siostrą, ale tak było, i to często. Monika mawiała, że Vanessa jest zmanierowaną pannicą z wyższych sfer i że poślubiłbym pewnie każdą kobietę, która tak by o mnie zabiegała. Twierdziła, że nigdy naprawdę nie kochałem, bo nigdy nie byłem zraniony. Odparłem, że jej pogląd na związki to bardziej masochizm niż miłość.

Moja siostra od piętnastu miesięcy była sama. Powiedziała, że zbliża się do wieku, w którym wolni mężczyźni uważają, że jest „zbyt skomplikowana”.

- Czego chcesz? - spytała, gdy zadzwoniłem.

- Cześć, kochany braciszku, tęskniłam za tobą - odpowiedziałem. -Jak tam życie na drugiej półkuli? Jak ci idzie z najważniejszą umową w twojej karierze?

- Chcesz mnie zawiadomić o swojej emigracji? Sfinansujesz mi wycieczkę, żebym mogła cię odwiedzić? Kup mi bilet w pierwszej klasie, to pozdrowię od ciebie rodziców.

Usłyszałem, jak zapala papierosa. W tle hałasował telewizor. Spojrzałem na zegarek, próbując ustalić, która jest u niej godzina.

- Myślałem, że rzuciłaś.

- Bo rzuciłam - odpowiedziała gorliwie. - To pewnie coś na linii. No, czego chcesz?

Prawdę mówiąc, nie wiedziałem.

- Chyba po prostu z kimś porozmawiać.

To ją zaskoczyło. Nigdy wcześniej nie przejawiałem takich potrzeb emocjonalnych.

- Wszystko w porządku? - zapytała niepewnie.

- Tak, tylko... miałem ciężką noc. W pobliżu hotelu zmarł mały wieloryb i... trochę mną to wstrząsnęło.

- Nie mów. Wieloryb? Ktoś go zabił?

- Niezupełnie, wypłynął na plażę.

- A, tak, słyszałam o tym. Dziwne. - Słyszałem, jak się zaciąga. - Zrobiłeś zdjęcia? Mógłby wyjść z tego ciekawy artykuł.

- Kolejne trofeum, co?

- Nie bądź taki drażliwy. I co, próbowaliście wrzucić go do wody?

- Ja nie.

- Nie chciałeś powalać swoich markowych spodni, hę?

Nagle rozdrażnił mnie jej nieustający sarkazm. „Racz wreszcie zauważyć, że nie mamy już czternastu lat!” - chciałem krzyknąć, ale powiedziałem tylko:

- Mniejsza z tym. Lepiej już będę kończyć.

- Hej, hej, hej, Mike! No dobra, przepraszam.

- Posłuchaj, pogadamy kiedy indziej. - Powinienem był zadzwonić do Vanessy. Wiem jednak, dlaczego tego nie zrobiłem...

- Mike, nie złość się. Przepraszam. Co... co chciałeś mi powiedzieć?

Ale w tym właśnie rzecz, że nie wiedziałem. Siedziałem przy telefonie jeszcze dobre pięć minut i dotarło do mnie, że naprawdę nie wiem.



Zauważyłem ją pół godziny później na drodze przy wybrzeżu, gdy wróciłem do hotelu po odwiezieniu Hanny. Pies skakał i piszczał z radości na widok swojej pani. Liza nie odwzajemniała radości. Była wyraźnie wyczerpana i bardzo blada, miała mokre, zapiaszczone nogawki dżinsów. Gdy mnie dostrzegła na plaży obok pomostu, nie zmieniła wyrazu twarzy, tylko zatrzymała się kilka kroków dalej, chroniąc ręką oczy przed porannym słońcem. Chwiała się lekko - pomyślałem nawet, czy nie jest trochę pijana. Po tym, czego się dowiedziałem, ujrzałem ją w innym świetle, jej postać jakby nabrała głębi.

- Pojedziesz ze mną na targ? - Stała pod słońce, nie mogłem dostrzec jej twarzy.

- Ty prowadzisz? - zapytałem.

- Chyba mógłbyś mnie podwieźć, o ile nauczyłeś się zmieniać biegi w tym holdenie. Kathleen jest zbyt zmęczona, by zrobić zakupy, trzeba jej pomóc.

Uznałem się za zaproszonego. Poszedłem do pokoju po kluczyki do auta.

Dla Brytyjczyków australijskie supermarkety są rogiem obfitości, razem obcym i swojskim, z rzędami jaskrawych owoców i warzyw, wśród których od czasu do czasu dostrzegają nieznaną akcent, jak batony Violet Crumble czy ciasto naleśnikowe Greena. W domu rzadko miałem do czynienia z zakupami; dbała o nie Vanessa albo, w wyjątkowych przypadkach, tak jak kazała, wybierałem opcję „powtórz zamówienie” na stronie internetowej naszego sklepu i wszystko dostarczano nam do domu w schludnych paczkach oznaczonych kolorystycznie „do lodówki”, „zamrażarki” i „chłodni” - jakby ktokolwiek w Londynie miał własną chłodnię. Jednak spacerując po przestronnym wnętrzu sklepu w Australii, odkryłem, że cieszy mnie poznawanie nowych produktów, złapałem się nawet na przeliczaniu ich cen na funty - mimo że nie miałem pojęcia, ile kosztują w Anglii.

Liza maszerowała wzdłuż półek, wrzucając towary do olbrzymiego wózka z pewnością osoby, która robi to regularnie. Patrząc na swobodne, sprężyste ruchy, nikt by nie zgadł, że pewnie nie zmrużyła oka.

- Masz jakieś specjalne życzenia? - spytała przez ramię. - O ile chcesz zostać dłużej. - Z jej tonu nie sposób było odgadnąć, czy robi jej to jakąś różnicę.

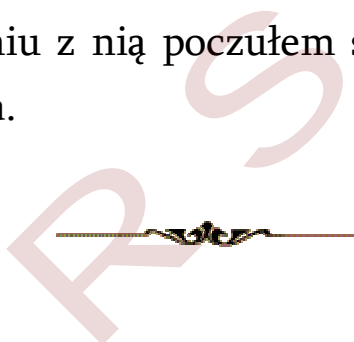
- Dam sobie radę - odpowiedziałem i odłożyłem paczkę krakersów z powrotem na półkę. Pomyślałem, że to zdanie jest prawdziwe i można je interpretować na wiele różnych sposobów.

Gdy przyszło do płacenia, zauważyłem, że musiała przetrząsnąć kieszenie, żeby starczyło jej forsy. Już sięgałem do portfela, ale ostrzegaw-

cze spojrzenie ostudziło moje zapędy. Udałem, że szukam chusteczki i ostentacyjnie wytarłem nos, aż stojąca za mną kobieta cofnęła się przerażona.

Obserwowałem Lizę i nagle mnóstwo zrozumiałem -opór przed wypuszczeniem na wodę jedyne dziecko, które jej pozostało, melancholię... Może tamto dziecko się utopiło? Może było malutkie? Może straciła też męża? Zdałem sobie sprawę, jak niewiele zadałem jej pytań. W ogóle jak rzadko próbowałem dowiedzieć się czegokolwiek o innych. Dennis Beaker mógłby mieć drugą rodzinę, Tina Kennedy opuścić klasztor przed dwoma laty. Zawsze oceniałem ludzi po pozorach. Teraz nagle zdałem sobie sprawę, ile straciłem.

Liza McCullen miała dziecko, które zmarło. Była ode mnie trzy lata młodsza, ale w porównaniu z nią poczułem się równie doświadczony i świadomy siebie co ameba.



Jechaliśmy ponad dwadzieścia minut, zanim znów zaczęliśmy rozmawiać.

Minęliśmy biura rady miejskiej. Pomyślałem o planach budowy i mojej rozmowie z Dennisem. Przypomniały mi się słowa Kathleen sprzed kilku dni: Srebrna Zatoka powstała tylko dlatego, że alianci mieli tutaj swoją bazę. Pamiętała czasy, kiedy oprócz jej hotelu, kilku domów i sklepu nie było tu nic. Brzmiało to tak, jakby mówiła o złotym wieku. Wiedziałem, że powinienem być coś odpowiedzieć. Milczałem, częściowo ze strachu. Przeczuwałem, jaka będzie reakcja - jej i wszystkich in

nych. Polubiłem ich. Myśl, że ich rozczaruję... dała mi się we znaki.

Później, po wspólnej wyprawie z Lizą, sprawie rac sygnalizacyjnych i śmierci małego wieloryba nabrałem jeszcze większych wątpliwości. „Musi być jakiś sposób - myślałem - żeby pogodzić dwa rodzaje potrzeb: tych, które dyktował nasz hotel, i obserwatorów wielorybów”. Dopóki go nie znalazłem, nie chciałem z nikim na ten temat rozmawiać - ani z Lizą, ani z Kathleen, ani tym bardziej z Dennisem, choćby nie wiem jak się wściekał. Prowadziłem samochód w milczeniu, próbując skupić się na drodze, ale nie mogłem przestać patrzeć na Lizę. Zamyślona skręcała w palcach kosmyk włosów.

Wciąż szukałem tematów do rozmowy, ale nie chciałem zdawkowej wymiany zdań. Czułem, że ten etap jest już za nami i, o dziwo, że należą mi się od niej wyjaśnienia. Cały czas miałem w myślach uśmiechy Grega z poprzedniego wieczoru, niedwuznaczne aluzje do ich wspólnie spędzonej nocy, jakby chciał mi pokazać, że słusznie ostrzegał. Spotykałem już takich facetów - są charyzmatyczni, głośni, z dziecięcym uporem dążą, by być zawsze w centrum uwagi. Nie rozumiem, jakim cudem przyciągają najlepsze z kobiet, a te potem pozwalają im źle się traktować. Wyobraziłem sobie Grega, jak siedzi obok Lizy, obejmując ją władczo ramieniem i - jak to ujęła Kathleen - wyobraża sobie, że ma jakieś szanse. Może jednak miał więcej szans, niż myślała. Niezbadane są porywy serca. W końcu Liza lubiła go na tyle, by iść z nim do łóżka. I to nieraz.

Ale dlaczego z nim? Dlaczego z tym pijanym kobieciarzem i frajerem?

Przejechaliśmy już ponad połowę drogi, gdy przemówiła. Z okien

widzieliśmy hotel i dwie łodzie przy przystani: *Moby'ego I* i *Izmaela*. Teraz poznawałem je na pierwszy rzut oka i czułem dziwną satysfakcję z tego powodu. Słońce stało wysoko na niebie, oświetlając błękitną wodę za przystanią, a gęsta sośnina na wzgórzach miała przepysznie zielony odcień. Ten widok zawsze wyobrażałem sobie wśród zdjęć w folderze informacyjnym ośrodka.

- Przypuszczam, że wiesz, co stało się wczoraj - powiedziała, nie patrząc mi w oczy

- To nie moja sprawa - odparłem.

- Nie, nie twoja.

Skręciłem w lewo i podjechałem wolno pod hotel, żałując, że jesteśmy u celu. Zegar w samochodzie wskazywał, że minęło południe. Czułem się jednak jak po ciężkim dniu w firmie.

- Znam Grega od dawna - zaczęła znowu. - On... znam go na tyle, że wiem, że dla niego to nie ma znaczenia, nie musi nic oznaczać.

Zaparkowałem na podjeździe. Siedzieliśmy w milczeniu, gdy silnik zgasł i znieruchomiał. Uświadomiliśmy sobie oboje, że zaczęła mówić o sobie, i dotarło do nas, co to oznacza.

- Twoja ciotka powiedziała mi o dziecku. Tak mi przykro.

Poderwała głowę. Zauważyłem, że ma zaczerwienione oczy - może z braku snu albo od długiego płaczu.

- Nie powinna była.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

Pochyliłem się więc, wziąłem w dłonie piękną, wyczerpaną twarz Lizy McCullen i pocałowałem ją. Bóg wie dlaczego. Tym bardziej zaskakujący był fakt, że oddała pocałunek.



Rozdział 10



Hanna

Lara zabrała mnie na krótki rejs swoim *Małym Marzycielem*. Łódź miała płaski dziób, poprzeczną ławkę i ozaglowanie typu słup bermudzki z głównym żaglem i trójkątnym fokiem. Miała też małą chorągiewkę, która wskazywała kierunek wiatru.

To od Lary nauczyłam się podstaw żeglowania: zwrotów przez sztag i rufę, pracy rumplem, żaglami i balastowania. Balastowanie było najlepsze, bo wtedy obie musiałyśmy przesiadać się z burty na burtę, co bardzo nas śmieszyło. Lara czasami udawała, że wpada do wody, ale nie bałam się, bo wiedziałam, że żartuje.

Nie przyznałam się mamie. Mama Lary wiedziała -pożyczyła mi kاپok i cały czas patrzyła na nas z okna. Moja mama rzadko rozmawia z innymi, więc uznałam, że jestem bezpieczna.

W rodzinie Lary wszyscy żeglują. Lara pływa na jachtach od niemowlęctwa, na jednym ze zdjęć na pupie jeszcze ma pieluchę, a pulchne rączki trzyma już na sterze. Prawie nie widać, że z tyłu ktoś ją podtrzymuje. Pamięta noclegi na jachcie, gdy była naprawdę mała; jej mama dodaje, że Lara tak kiepsko teraz sypia, bo przyzwyczała się do kołysania na wodzie.

Lara zrobiła kurs w Zatoce Salamandry i wie wszystko o żeglowaniu. Jacht można ustawić pod różnymi kątami do wiatru, a nawet pod wiatr, i wtedy może go zdryfować do tyłu, można pływać kursem ostrym, który jest najszybszy, albo półwiatrem. Lara powiedziała, że jak mama pozwoli mi już pływać na *Dumie Hanny*, możemy iść razem na kurs praktyczny, gdzie ćwiczysz na jednym żaglu albo bez miecza. Kurs odbywa się w wakacje i fajnie jest mieć własny jacht, zamiast korzystać na zmianę ze szkolnego. Spytałam raz mamę o łódkę od Grega, ale odmówiła takim tonem, jakby nie zamierzała wracać do tego tematu. Pocieszyła mnie ciocia K. Powiedziała, żeby zostawić to jej i jeżeli dobrze to rozegramy, mama da się przekonać. No i dodała jeszcze, że to jak z wędkowaniem: trzeba nauczyć się cicho czekać, bo inaczej nic się nie złapie.

Było dość ciepło, nawet na wodzie, i miałyśmy na sobie tylko swetry No i kapoki, które kazała nam założyć mama Lary, tak na wszelki wypadek, więc nie potrzebowałyśmy już kurtek. Morze było spokojne i pozwoliła nam dopłynąć do dwóch ostatnich boi, byle nie zbliżać się do szlaku żeglugowego. Lara zawsze słucha mamy Powiedziała, że jej tata znał kogoś, kto nic sobie nie robił z boi ostrzegawczych i o mały włos nie wpadł pod kontenerowiec.

Niedaleko przylądka, gdy zrzuciłyśmy na chwilę żagle, żeby zjeść czekoladę, podpłynęły do nas delfiny. Poznałam Brolly i jej młode z obrazków na *Mobym I* i pokazałam Larze jej płetwę ogonową, która przypominała brzeg parasolki. Jej maluch był tak słodki, że Lara mało się nie popłakała. Obie byłyśmy pewne, że nas poznają - nie zawsze zbliżają się do załóg, a ja już trzeci raz wypłynęłam z Larą i znów się nam pokazały Delfiny zawsze wyglądają, jakby się uśmiechały.

Przez ponad pół godziny patrzyłyśmy na ich zabawę i mówiłyśmy do nich. Dziecko Brolly chyba urosło, a Brolly pozwoliła nam pogłaskać się po nosie, choć pewnie wiedziała, że nie mamy ryb. Nie mogłam się oprzeć i dotknęłam ją, choć Yoshiko mówiła, że nie wolno zachęcać delfinów, żeby pod pływały zbyt blisko, bo pomyślą, że wszyscy ludzie są mili, a to nieprawda. Powiedziała mi, że w zeszłym roku ktoś zabił delfina dla zabawy; wypłynął na skuterze i po prostu ugodził go nożem. Popłakałam się, nie mogłam przestać myśleć o tym biednym delfinie. Wyobrażałam sobie, jak pod pływa do skutera z uśmiechem i myśli, że znalazł nowego przyjaciela... Płakałam tak bardzo, że Yoshiko musiała zawołać mamę, bo nie mogła mnie uspokoić.

Letty lubiła delfiny najbardziej ze wszystkich zwierząt. Na nocnym stoliku miała cztery kolorowe, kryształowe figurki delfinów, które dostała na piąte urodziny. Lubiłam je przestawiać, a ona się złościła, że ruszam jej rzeczy. Często się kłóciłyśmy, bo była tylko czternaście miesięcy młodsza, a mama mówiła, że jesteśmy jak dwie krople wody. Czasami wciąż myślę o naszych awanturach i czuję się naprawdę winna, bo gdybym wiedziała, co się z nią stanie, codziennie starałabym się być dla niej miłsza. Mówię „starałabym się”, bo naprawdę trudno zawsze być miłą. Nawet mama czasami mnie denerwuje, ale ja się staram nic po sobie nie pokazywać, bo wiem, że nadal jej smutno i ma już tylko mnie. Ja mam szklane delfiny. Jeden wygląda trochę jak Brolly, więc tak go nazywałam, a najmniejszy został jej dzieckiem, choć i tak jest na to za duży. Teraz jednak trzymam je w pudełku, bo są zbyt cenne. No i dlatego, że kiedy na nie patrzę, przypominam sobie wszystko.

- Często myślisz o swojej siostrze? - spytała kiedyś Lara, podnosząc ostrożnie jedną z figurek.

Weszłam akurat pod łóżko, bo szukałam pisma, w którym chciałam jej coś pokazać, więc nie zauważyła, że kiwnęłam głową.

- Nie mówię o niej, bo mamie robi się smutno - odpowiedziałam, wyłaząc spod łóżka - ale wciąż za nią tęsknię. - Nie byłam w stanie dodać nic więcej.

- Ja nienawidzę mojej siostry. To wiedzma. Chciałabym być jedynaczką.

Nie potrafiłam jej tego wyjaśnić, ale zawsze będę miała siostrę. Śmierć Letty nie zrobiła ze mnie jedynaczki, tylko połowę kogoś, kim byłam.

W czwartek mama już po raz trzeci kazała mi zanieść Mike'owi śniadanie do pokoju.

- Nie możesz sama? - spytałam ze zniecierpliwieniem. - Nie skończyłam się czesać.

To było naprawdę denerwujące, bo przed wyjściem lubię spokojnie zapleść włosy w warkocze, a jak ktoś cię wytrąci z rytmu, plączą się i zwijają. Ciocia K. mówi, że ma za stare ręce, żeby pleść warkocze, a mama zupełnie nie dba nawet o swoją fryzurę, więc tylko ja potrafię to zrobić.

- Nie - odpowiedziała krótko. I to było na tyle. Postawiła tacę na schodach przed drzwiami.

Dziwnie się zachowywała. Nie wiem, czy to dlatego, że go nie lubiła. Nie siadywała już wieczorami z resztą załogi, a gdy pojawiła się kilkakrotnie, ignorowała go, chociaż Mike wyglądał, jakby na nią czekał. Powiedziałam Larze, że to trochę dziecinne, że mama zachowuje się jak

niektóre dziewczyny z naszej klasy, które udają, że cię nie widzą, nawet jeżeli stoisz tuż obok.

- Jesteś zła na Mike'a? - spytałam w końcu. Trochę ją to zszokowało.

- Nie. Dlaczego pytasz?

- Wyglądasz, jakbyś była. Zaczęła bawić się włosami.

- Nie jestem zła, kochanie. Po prostu nie chcę spoufalać się z gośćmi - odpowiedziała. Później usłyszałam, jak rozmawia w kuchni z ciocią K., gdy myślały, że oglądam telewizję. Załogi były na zewnątrz, a mama nie chciała do nich wyjść, chociaż musieli ustalić, czy podnieść ceny biletów. Benzyna znowu poszła w górę.

- Nie rozumiem, dlaczego tak się przejmujesz - mówiła ciocia.

- Kto twierdzi, że się przejmuję?

- Mój talerz, który przed chwilą stłukłaś. Rzeczywiście słyszałam wcześniej brzęk tłuczonej

porcelany, a mama mruknęła: „przepraszam”.

- Lizo, kochanie, nie możesz wciąż się ukrywać.

- Dlaczego? Jesteśmy szczęśliwe, prawda? Radzimy sobie?

Ciotka milczała.

- Nie mogę, rozumiesz? To nie jest dobry pomysł.

- A Greg jest?

Greg nie lubił Mike'a. Za plecami nazwał go „skurwysynem” i myślał, że nikt nie usłyszy.

- Myślę, że będzie lepiej, jeżeli Hanna i ja nie będziemy się... angażować - powiedziała takim napiętym głosem i wyszła. A ciotka prychnęła tylko pod nosem.

Sprawdziłam w słowniku „angażować się”. Było tam napisane, że to znaczy „zawierać z pracodawcą umowę o pracę; aktywnie się w coś włączać, wkładać w coś wiele uczucia, wysiłku, czasu lub pieniędzy; nawiązywać relacje o charakterze romantycznym i/lub seksualnym”. Pokazałam definicję cioci K. i spytałam, o którą chodzi, ale ona powiedziała tylko, że nie o pierwszą.



W szkole wszyscy rozmawiali o wycieczce. Czasami wydawało mi się, że o niczym innym nie mówią, chociaż zostało wiele miesięcy czekania, a nauczycielka kazała trzymać kciuki, bo to jeszcze nic pewnego. Siedziałyśmy na ławce przed szkołą i Katie Taylor spytała, czy jadę, a ja odpowiedziałam, że pewnie nie. Nie chciałam nic mówić, bo ona zawsze wszystko przekręca. Oczywiście zapytała głośno, żeby wszyscy słyszeli:

- Dlaczego? Nie masz pieniędzy?

- Nie chodzi o pieniądze - odpowiedziałam i zarumieniłam się, bo nie wiedziałam, o co tak naprawdę chodzi.

- W takim razie dlaczego? Wszyscy jadą, cała nasza klasa. - Jak zwykle Katie miała za uszami dwie różowe plamy, bo mama za mocno związuje jej włosy. Lara mówi, że to dlatego Katie jest wredna.

- Nie wszyscy - odpowiedziała Lara.

- Wszyscy z wyjątkiem frajerów.

- Nie jadę, bo jedziemy gdzie indziej - powiedziałam, niewiele myśląc. - Na inną wycieczkę.

Lara kiwnęła głową, jakby wiedziała o tym od dawna.

- Do Anglii?

- Może. A może do północnej Australii.

- To nawet nie wiesz dokąd?

- Jej mama jeszcze nie zdecydowała - wtrąciła Lara. Czasami potrafi mówić takim tonem, że lepiej z nią nie zadzierać. - Zresztą nie twój interes.

Później Lara wzięła mnie pod ramię i poszliśmy do niej do domu. Mama miała mnie odebrać po herbacie jak co wtorek. Wolę być u Lary niż u siebie, a Lara woli być u mnie. Mówi, że to zabawnie się złożyło. Dla mnie jej rodzina jest super - głośna i szczęśliwa, nawet jak się kłóci i jak jej tata przekomarza się z Larą, a czasem łaskocze ją brodą w stopy i nazywa „Kocią.” Czasami myślę o nim, gdy Lance mówi do mnie „Mała”, ale to nie to samo. Nigdy nie przytuliłabym się do Lance'a tak jak Lara do taty. Gdy jej tata raz połaskotał mnie brodą w pięty, czułam się głupio, jakby wszyscy z litości udawali, że należę do rodziny, bo nie mam własnego taty. A Lara lubi mój dom, bo nikt nie wchodzi bez pozwolenia do pokoju i nie rusza moich rzeczy, a ciocia K. daje nam klucze do Muzeum Wielorybnictwa i pozwala się w nim bawić. Wie, że niczego nie zniszczymy, bo jesteśmy grzeczne - tak powiedziała. Najgrzeczniejsze dziewczynki, jakie zna. Nie mówiłam jej, jak Lara zwinęła kiedyś mamie papierosa i jak paliliśmy go za *Maui II*, aż nas zemdliło.

- Hanno - zaczęła Lara, gdy dochodziłyśmy już do końca jej ulicy. Jej głos był naprawdę miły, jakby chciała mnie zapewnić o swojej przyjaźni.

- Słuchaj, czy naprawdę chodzi o pieniądze? Czy dlatego nie możeszjechać na Nową Zelandię?

- To trochę skomplikowane - odparłam, obgryzając paznokcie.
- Jesteś moją najlepszą przyjaciółką, nikomu nie powiem.
- Wiem - uścisnęłam jej ramię. Naprawdę chciałabym z nią o tym porozmawiać. - Wiem tylko tyle, co od mamy: że nie możemy opuścić Australii i że mam nikomu o tym nie mówić. Ale nie wiem dlaczego, naprawdę!

Następnego dnia Katie Taylor znowu zaczęła. Powiedziała, że nie mogę jechać, bo nasz hotel bankrutuje. Potem dodała, że to na pewno ciocia K. zabiła małego wieloryba, tak jak kiedyś rekina, aby znów napisali o niej w gazetach. I że gdybym miała tatę, to może mogłabym jeździć na więcej wycieczek. Potem spytała, jak się nazywał - na złość, bo wiedziała dobrze, że nie wiem. A na koniec zaczęła się śmiać takim podłym śmiechem, aż Lara podeszła i popchnęła ją z całej siły Katie chwyciła ją za rękę i tak zaczęły się bić, że pani Sherborne musiała je rozdzielić.

- Głupia suka! - Szłyśmy do szatni. Lara splunęła na podłogę, bo w ustach miała trochę włosów Katie. - Nie przejmuj się. Jak jeszcze raz z nami zaczniesz, to naprawdę pożałuje.

Nagle stało się coś dziwnego: nie byłam już zła na Katie i jej głupie koleżanki, byłam wściekła na moją mamę. Przecież chciałam tylko robić to, co inni! Miałam dobre stopnie, nigdy nie mówiłam nikomu o rzeczach, o których nie wolno mi było mówić... Nigdy nie powiedziałam nawet ani słowa o Letty, żeby nie zranić mamy! Więc jeżeli mogłyśmy zdobyć pieniądze na wycieczkę na Nową Zelandię, jak obiecała ciotka, i cała reszta klasy miała jechać - nawet David Dobbs, a wszyscy wiedzą, że on się moczy w nocy, a jego mama bierze rzeczy ze sklepu i nie płaci - dlaczego ja musiałam zostać? Dlaczego zawsze ja?!

Przecież tylko ja z całej klasy nigdy nie byłam dalej niż w Górach Błękitnych*!²

Gdy wróciłam do domu, nadal byłam wściekła. Chciałam porozmawiać z mamą, kiedy odebrała mnie ze szkoły, ale w ogóle nie zwracała na mnie uwagi. A przecież powinna zauważyć, że coś jest nie tak! Potem przypomniałam sobie, że w hotelu nadal jest ta okropna rodzina z dwoma chłopakami, którzy patrzą na mnie jak na głupią. To też mnie wkurzało.

- Masz coś zadane? - Mama odezwała się, dopiero gdy stanęliśmy przed domem. Przez całą drogę Milly gryzła jej latarkę na tylnym siedzeniu. Widziałam to, ale nic nie powiedziałam.

- Nie - burknęłam i wyszłam z samochodu. Patrzyła na mnie badawczo, ale ja wciąż myślałam o słowach Katie i chciałam przez chwilę побыć sama.

Gdy weszłam na górę, drzwi pokoju Mike'a były otwarte. Rozmawiał przez telefon. Nie wiedziałam, czy przyjść później, czy poczekać, aż skończy, więc czaiłam się chwilę w drzwiach. Chyba wyczuł moją obecność, bo się odwrócił.

- S94. Tak, tak jest. I powiedział, że to znacznie zwiększy nasze szanse. - Zerknął w moją stronę. - No, dobra. Dennisie, nie mogę teraz rozmawiać. Oddzwonię. - Odłożył słuchawkę i uśmiechnął się szeroko. - Cześć, jak się masz?

² * Góry Błękitne (ang. Blue Mountains) - łańcuch górski w Nowej Południowej Walii będący częścią Gór Wododziałowych. Nazwa pochodzi od lasów eukaliptusowych, które wydzielają olejki eteryczne, nadając powietrzu błękitnawy odcień. [Przyp. tłum.]

- Okropnie - odpowiedziałam, rzucając plecak na podłogę. - Nienawidzę wszystkich! - Te słowa zaskoczyły mnie samą. Zwykle nie mówię takich rzeczy. Ale poczułam się od tego lepiej.

Nie próbował mnie uciszać ani wmawiać, że przesadzam, jak to ma w zwyczaju moja ciotka. Zupełnie jakby wiedziała lepiej ode mnie, co czuję! Po prostu kiwnął głową.

- Też mam takie dni.

- Dziś?

- Co dziś? - Zmarszczył brwi.

- Czy dziś też masz taki okropny dzień?

Chwilę się zastanawiał i z uśmiechem pokręcił głową. Pomyślałam, że jest prawie tak przystojny jak Greg.

- Nie. Ostatnio mam sporo dobrych dni. - Wskazał mi krzesło. - Postanowiłem, że spróbuję wszystkich australijskich ciasteczek na rynku. Poczęstuj się.

Otworzył szufladę. Miał wszystkie moje ulubione: lukrowane vo-vo, anzaki, tim tamy w czekoladzie i miętowe Arnotta.

- Będziesz gruby - ostrzegłam go.

- Nie. Biegam prawie co rano. - Machnął ręką. - Mam dobrą przemianę materii. Zresztą ludzie za bardzo się przejmują swoją wagą.

Zrobił sobie herbaty, usiadł w skórzanym fotelu i pozwolił mi skorzystać z komputera. Pokazał mi program do obróbki zdjęć, więc dla zabawy ściągnęliśmy jeszcze jedno zdjęcie cioci z rekinem i daliśmy rekinowi szeroki uśmiech. A na kolejnym przyprawiłam cioci wąsy i po

większyłam stopy Zrobiłam też napis „Pasta do zębów Pani Rekinów - uśmiech zwycięstwa”.

Gdy skończyłam, poczułam na sobie jego wzrok. Czasami można tak zmusić kogoś, żeby się odwrócił. Poczuałam, że patrzy na czubek mojej głowy, więc odwróciłam się szybko i naprawdę tak było.

- Miałaś brata czy siostrę? - spytał.

Byłam tak zdumiona, że prawie zakrztusiłam się tim tamem. Dorośli nigdy nie mówią o Letty. Nie tak bezpośrednio. Gdy wymawiani jej imię, ciocia K. ma ten swój zboląły wyraz twarzy, jakby nie mogła tego znieść, a przy mamie to w ogóle wolę nic nie mówić.

- Siostrę - odpowiedziałam po chwili. - Miała na imię Letty - Potem, gdy nie wyglądał na wstrząśniętego ani mnie nie uciszał, dodałam: - Zginęła w wypadku samochodowym, kiedy miałam pięć lat.

Zadrżał lekko.

- Pewnie jest ci ciężko. Bardzo mi przykro.

Nagle zachciało mi się płakać. Nikt mi jeszcze czegoś takiego nie powiedział. Nikt nie pomyślał, jak to jest stracić siostrę i że to dla mnie straszne. Nikt mnie nie spytał, czy za nią nie tęsknię, czy nie czuję się winna. Tak jakby moje uczucia się nie liczyły, bo jestem jeszcze dzieckiem. Czasami słyszałam: „dzieci szybko zapominają, dojdzie do siebie”, „dzięki Bogu, niewiele pamięta” albo „strata dziecka to najgorsze, co może człowieka spotkać”. A strata siostry?! Nigdy nie mówią: „biedna Hanna, straciła najbliższą osobę na świecie” ani „Hanno, porozmawiajmy o Letty. Porozmawiajmy o wszystkim, za czym tęsknisz i co cię smuci”. Ale nie powiedziałam tego Mike'owi. Nie byłam w stanie. Nauczyłam się

już dawno, że lepiej trzymać to w sobie bezpiecznie ukryte. Więc gdy nie mogłam dłużej powstrzymać łez, udałam, że to z powodu złościwości Katie, braku pieniędzy i dlatego, że będę jedyną, która zostanie. I nie minęło wiele czasu, a rzeczywiście przestałam myśleć o Letty i miałam w głowie już tylko wycieczkę i jak to będzie okropnie zostać, kiedy inni pojedą na Nową Zelandię.

Mike dał mi swoją chustkę i udał, że wygląda przez okno, żebym mogła się uspokoić. Siedział cicho, aż skończyłam pociągać nosem, a potem pochylił się, spojrział mi w oczy i zaczął:

- Hanno McCullen, mam dla ciebie propozycję. Poprosił, żebym sfotografowała okolice zatoki. Już chciałam powiedzieć, że przecież nie mam aparatu, ale od razu dodał, że mi da, że pójdzie do sklepu i kupi trzy zapasowe. Obiecał zapłacić trzy dolary za każde dobre zdjęcie, bo jak wróci, przyjaciele będą ciekawi, gdzie był, a z niego żaden fotograf. Lepiej będzie, jeśli to ja zrobię zdjęcia najpiękniejszych zakątków. Chciał jeszcze, żebym zrobiła listę wszystkich mocnych stron mojej szkoły i Srebrnej Zatoki i drugą - rzeczy, które można by poprawić.

- Takich jak zepsuty autobus szkolny? Czy biblioteka w tymczasowych barakach?

- Właśnie tak. - Wręczył mi notes. - Nie chcę listy sympatii i antypatii, jak ta głupia dziewczynka, która ci dokuczała, ale projektu z prawdziwego zdarzenia.

Powiedział, że jak się dobrze spiszę, dostanę przyzwoitą wypłatę.

- Ale żądam profesjonalizmu - zapowiedział - nie byle czego. Myślisz, że mogłabyś się tego podjąć?

Kiwnęłam głową. Perspektywa zarobienia własnych pieniędzy wprawiła mnie w prawdziwe podniecenie. Mike powiedział, że jak będę ciężko pracować, spokojnie wystarczy mi na Nową Zelandię.

- Ale jak długo tu zostaniesz? - Musiałam wiedzieć, ile mam czasu i czy zarobię tyle, żeby mama nie mogła powiedzieć „nie”. A on powiedział, że data jego wyjazdu jest jedną wielką enigmą. Już miałam zapytać, co to znaczy, ale nie chciałam, żeby mnie uznał za głupią, więc tylko kiwnęłam głową, jak to mam w zwyczaju, kiedy Yoshiko mówi rzeczy, których nie rozumiem.

Potem pokazałam cioci K. jej nowe zdjęcia, a ona wzniosła oczy do nieba i powiedziała, że Wszechmogący nie pozwoli jej o tym zapomnieć.

O dziwo, tego wieczoru byłam naprawdę szczęśliwa. Gdybym poszła prosto do siebie, tak jak planowałam, na pewno całą noc byłoby mi smutno, a tak dobrze się bawiliśmy, prawie jak na imprezie.

Inni goście wyjechali na noc, nie musiałam więc oglądać tych durnych piegowatych chłopaków i znosić ich głupich spojrzeń za każdym razem, kiedy przechodziłam obok jadalni. Lance chyba wygrał na wyścigach konnych, bo postawił wszystkim pizzę. Powiedział cioci, że choć raz powinna wrzucić na luz, bo Mike może i był jej gościem, ale teraz jest częścią wyposażenia hotelu, więc nie trzeba się nim martwić. Mike uśmiechnął się pod nosem. Nikt tego nie zauważył, ale ja tak. Widać było, że cieszy go nowa rola, a potem pozwolił mi zjeść salami z jego porcji, bo bardzo je lubię.

Dołączyli do nas Richard i Tom z drugiego *Moby'ego*. Mówili, że widzieli po południu stado pięciu wielorybów niedaleko Złamanego Nosa.

Jeden z turystów, Amerykanin, był tak szczęśliwy, jak je zobaczył, że dał wszystkim z załogi po pięćdziesiąt dolarów napiwku. A potem przyszedł pan Gaines i przywiózł trochę wina. Ciocia K. powiedziała, że o wiele za dobrego jak na taką hałastrę, ale otworzyła obie butelki i zaczęli wspominać Dawne Czasy, jak zwykle kiedy są razem.

Grega z nami nie było. Inni mówili, że nie widzieli go od czterech dni. Ciocia wytłumaczyła mi, że po rozstaniu czasem tak bywa, a niektórzy znoszą je ciężiej niż inni. Na pytanie, gdzie on jest, odpowiedziała, że „prawdopodobnie gdzieś na dnie butelki”. Jak usłyszałam to po raz pierwszy, wydało mi się bardzo zabawne, bo nie ma takich wielkich butelek, żeby zmieścić się w nich dorosły człowiek, a co dopiero tak wysoki jak Greg.

Wieczór był zimny, ale ciocia zapaliła wszystkie lampy grzewcze, a my ścisnęliśmy się na ławkach z wyjątkiem Lance'a i Yoshiko, którzy siedzieli razem na dużym krześle, oraz cioci i pana Gainesa. Oni oczywiście się nie przytulali, tylko zajmowali dwa bujane fotele z poduszkami, bo ciocia powiedziała, że starość zasługuje na odrobinę luksusu.

Mama siedziała koło mnie i kiedy skończyła pić, powiedziałam jej o propozycji Mike'a. Wyglądała jak zawsze, gdy chce mi czegoś zabronić, i pizza stanęła mi w gardle.

- Płacisz jej pieniądze za robienie zdjęć? - prawie warknęła.

Mike upił łyk wina.

- A powinienem dawać je za darmo?

- Jesteś taki, jak Greg! - To nie był komplement.

- W niczym go nie przypominam i dobrze o tym wiesz.

- Nie próbuj jej wykorzystać, Mike - wyszeptała nad moją głową, jakby mnie tam wcale nie było. - Nie staraj się do mnie zbliżyć dzięki niej, bo to się nie uda.

On jednak nie wyglądał na przejętego.

- Nie robię tego dla ciebie. Hanna jest bardzo fajnym dzieciakiem, a ja potrzebuję, żeby ktoś zrobił za mnie kilka rzeczy. Gdybym jej nie poprosił, musiałbym zatrudnić kogoś innego, a szczerze mówiąc, wolę pracować z Hanną.

Odgryzł kęs pizzy. Starłam się nie myśleć, że jestem „bardzo fajnym dzieciakiem”. A może powiedział: „fajną dziewczyną”? Chyba trochę bujałam się w Mike'u.

- A w ogóle - dodał z pełnymi ustami - jesteś bardzo zarozumiała. Skąd pomysł, że chcę się do ciebie zbliżyć?

Mama spojrzała na niego ostro, ale jej usta drgnęły, jakby chciała powstrzymać uśmiech. Odetchnęłam z ulgą, bo wyglądało na to, że nie zabroni mi pracować dla Mike'a. Gdyby tak miało być, powiedziałyby prosto z mostu. Tymczasem wpatrywała się w swoje dłonie, jakby o czymś myślała.

- Po co ci te zdjęcia? - spytała w końcu. Mike oblizał palce.

- Nie mogę ci powiedzieć. Tajemnica służbowa. Hanno, ani słowa! - Też się uśmiechnął.

- Hanna robi dobre zdjęcia - powiedziała mama.

- Mam nadzieję - odparł. - Ma stawki powyżej średniej rynkowej.

- Ile jej płacisz?

- To też poufna informacja. - Mrugnął do mnie. - Jeżeli chcesz przebić ofertę swojej córki, czekam na propozycje.

Wyglądali na szczęśliwych, więc przestałam się przejmować, co mówią. Zastanawiałam się, czy dam radę zwędzić Mike'owi trochę wina, tak żeby mama nie zauważyła.

- To do kiedy zostaniesz? - zapytała.

W chwili, gdy miał odpowiedzieć, zobaczyliśmy światła u wylotu drogi. Kiedy się zbliżyły, rozmowy umilkły. Próbowaliśmy odgadnąć, kto to może być - samochód Grega miał światła przeciwmgielne, więc wiedzieliśmy, że to nie on.

- To chyba bukmacherzy - zwrócił się do Lance'a pan Gaines. - Chcą ci powiedzieć, że twój ostatni koń ukończył wyścig.

Lance ugryzł pizzę i podniósł wino w toaście, ale samochód okazał się zwykłą taksówką. Gdy stanęła przed wejściem, ciotka wstała od stołu i mruknęła, że „jak już pada, to porządnie”.

- Nie mam już jedzenia - dodała. - Mam nadzieję, że nie zechcą kolacji.

- No? Nie odpowiedziałeś na moje pytanie - usłyszałam głos mamy.

Ja też czekałam, bo chciałam wiedzieć. Jednak moją uwagę przyciągnęła ciotka Kathleen ciągnąca po podjeździe walizkę nowego gościa. Za nią szła dość młoda dziewczyna o bardzo jasnych, prostych włosach, w delikatnym, różowym sweterku. Na nogach miała buty na wysokim obcasie z cekinami, jakby wybierała się na bal, a kiedy szła, odbijały się w nich światła hotelu. Ciocia K. podeszła do Mike'a z uniesionymi brwiami i rzuciła mu walizkę pod nogi.

- Ktoś do ciebie.

- Tata dał mi wolne - powiedziała dziewczyna. Mike wstał. Usłyszałam, że wziął gwałtowny oddech. - Przyjechałam ci pomóc. Pomyślałam, że zaczniemy wcześniej miesiąc miodowy.



Rozdział 11



Mike

Dziwne... Widziałem wiele sposobów witania ukochanej osoby po długim rozstaniu - bieg z otwartymi ramionami w zwolnionym tempie, pocałunki, uściski, a potem trzymanie się za ręce. Istnieje coś takiego jak nieformalny protokół spotkań po dłuższej przerwie, emocjonalny zryw, potwierdzenie wzajemnych uczuć. A jednak na widok Vanessy czułem tylko zdziwienie - zupełnie jak dziecko na widok mamy, która przychodzi cię odebrać od kolegi przed zapowiedzianą porą, gdy jesteście w środku zabawy.

Miałem jednak wyrzuty sumienia z powodu mojego braku wylewności, a ona od razu to dostrzegła. Jak już mówiłem, moja dziewczyna nie była głupia.

- Myślałam, że się ucieszysz - powiedziała tej samej nocy, gdy leżeliśmy obok siebie. Kolejna dziwna rzecz: jedno łóżko, a nic między nami nie było.

- Cieszę się. Po prostu, mam trochę... trudności. Byłem tak pochłonięty pracą, że nawet nie miałem kiedy...

- Zauważyłam - rzuciła cierpko. Przymknąłem oczy w ciemności.

- Wiesz, że nigdy nie lubiłem niespodzianek. Nie umiem się wtedy odnaleźć.

Milczenie z jej strony powiedziało mi, że tu przynajmniej się zgadzamy

Prawdę mówiąc, to było chyba dwadzieścia najbardziej niezręcznych minut w naszym związku. Stała przed „wielorybnikami” ubrana jak modelka, wodząc wzrokiem po zebranych. Z każdą kolejną chwilą uświadamiała sobie rozmiary swojego błędu. Szeroki, wyćwiczony uśmiech spęłzył z jej twarzy. Kathleen weszła do domu, żeby przynieść coś do picia. Siedząca obok mnie Hanna skorzystała z okazji i pociągnęła łyk piwa z czyjejś butelki. Pan Gaines podsunął Vanessie krzesło teatralnym gestem, otrzepując poduszkę, jakby była jeszcze bardziej zakurzona niż w rzeczywistości. A Lance przez cały czas żartował, że jestem czarnym koniem, aż Nessa straciła całą pewność siebie. Najwyraźniej zaczęło do niej docierać, że odkąd przyjechałem do Australii, wcale o niej nie myślałem.

A Liza siedziała u mojego boku. Jej twarz była jak maska gejszy, oczy chłodno rejestrowały tę nieprzewidzianą sytuację. Chciałem porozmawiać z nią na osobności, wszystko wyjaśnić, ale to było niemożliwe. Po chłodnym, choć uprzejmym powitaniu odczekała z dziesięć minut, wymieniła z Vanessą kolejny uścisk dłoni, przeprosiła nas i poszła do swojego pokoju.

Wyczuwałem jej obecność w drugim końcu korytarza jak promieniowanie radioaktywne.

Kilka godzin później czułem się z tego powodu nieco urażony i winny. Dziwnie było dzielić pokój z Nessą; objąłem go w posiadanie tak całkowicie, że stanowiła obcy element. Przyzwyczailem się do oszczędnego wystroju, dobrze mi zrobił brak typowo domowych ozdób. Obecność narzeczonej i jej kompletu walizek, zbyt wielu

par butów, smarowideł i pudrów zmieniała proporcje, przypominała o życiu w Londynie. Zacząłem się zastanawiać, czy aby na pewno byłem tam tak szczęśliwy, jak dotąd sądziłem.

Odwróciłem się na bok i położyłem dłoń na brzuchu Nessy odzianym w coś jedwabnego.

- Zrozum - powiedziałem - po prostu dziwnie się czuję. Oni nic nie wiedzą o naszych zamiarach. Twoja obecność chyba wszystko skomplikuje.

- Chyba zbyt szybko się... przejmujesz - zauważyła. Leżałem nieruchomo, próbując zrozumieć, co ma na myśli.

- To chyba tak mała miejscowość, że trudno nie zżyć się z mieszkańcami - dodała.

- To nie jest... - plątałem się - to nie jest zwyczajny hotel.

- Zauważyłam.

- Raczej rodzinne przedsięwzięcie.

- Wszyscy wydają się mili.

- Są mili. Chyba jestem... jesteśmy przyzwyczajeni do czegoś innego.

- Cieszyłem się, że nie widzi mojej twarzy.

- Wyglądasz na... zadomowionego. - Poruszyła się na łóżku, aż jęknęły sprężyny - Naprawdę dziwnie było podejść do ciebie, kiedy tak siedziałeś z nimi w dzinsach i kurtce rybaka czy jak to zwą. Wyglądałeś jak nie ty.

Usiadła na łóżku tyłem do mnie. W ciemności widziałem zarys jej ciała i włosów zwichrzonych od poduszki. Uśmiechnąłem się czule, choć nie mogła tego widzieć. Vanessa nieuczesa, taka prawdziwa...

- Dziwnie mi było bez ciebie - powiedziała. Opadłem na poduszki.

- Nie przyjechałbym tu, gdyby nie wypadek twojego ojca.

- To trwało tylko trzy i pół tygodnia, a mnie się wydaje, że minęły całe lata. - Zobaczyłem, że pochyla głowę. - Myślałam, że będziesz częściej dzwonić.

- Jak tu jest noc, to u was jest dzień, sama wiesz...

- Mogłeś dzwonić w każdej chwili. - Powietrze było ciężkie od jej perfum. Przedtem pokój pachniał słonym morskim powietrzem.

- Sama wiesz, jak to bywa w interesach, Ness. Wiesz, jaki jestem.

Odwróciła się.

- Wiem. Przepraszam. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Po prostu czuję się trochę...

- To *jet lag* - przerwałem jej. Niepewny ton Vanessy wytrącił mnie z równowagi. Zawsze była pewna siebie i za to ją lubiłem. - Sam dziwnie się czułem, kiedy tu przyjechałem. - Myśl, że mogłem być przyczyną jej stanu, pogorszyła sprawę. Nigdy przedtem nie czułem się odpowiedzialny za szczęście narzeczonej, tym bardziej nie byłem zachwycony taką perspektywą teraz, mając tyle rzeczy na głowie.

Wyciągnąłem do niej rękę, chciałem, żeby się położyła. Pomyślałem, że może, jeżeli będziemy się kochać, zniknie ta nieznośna obcość między nami. Nessa jednak zrobiła płynny unik, wstała i podeszła do okna. Księżyc stał wysoko na niebie i świecił tak jasno, że widzieliśmy całą zatokę jak na dłoni. Morze lśniło jak drogocenna tkanina, światła dalekich łodzi wysyłały do nas okruchy promieni na tle atramentowoczarnych fal, a ciemne wzgórza wokół szeptały o swoich sekretach.

- Pięknie tu - powiedziała cicho - tak, jak mówiłeś.

- Ty jesteś piękna. - Wyglądała jak na kadrze z filmu, zarys postaci w księżycowym świetle. Przezroczysta koszulka nie kryła kształtów jej ciała.

„Jest dobrze - powtarzałem sobie bezgłośnie. - Jeżeli tak o niej myślę, jest w porządku. Tamto przydarzyło się wyjątkowo”.

Spojrzała na mnie.

„Ta kobieta zostanie moją żoną. Będę ją kochał aż do śmierci” - poczułem nagły przyływ nadziei, że wszystko się ułoży.

- To jak stoimy z pozwoleniem na budowę? - ściągnęła mnie z powrotem w rzeczywistość.



Jak mówiłem Vanessie, pojawiły się nowe trudności. Poprzedniego dnia spędziłem kilka godzin w centrum planowania i rozwoju, wypełniając coraz to nowe wnioski i rozmawiając z przedstawicielami władz. Już od kilku tygodni byłem też w kontakcie z panem Reillym odpowiedzialnym za planowanie w skali regionu. Polubiłem go. Był niewysoki, piegowaty, a jego wyraz twarzy sugerował, że zna każdy rodzaj podania, jaki istnieje. Nie chciałem wywierać na niego presji, zadeklarowałem gotowość do korekty planów, jeżeli uzna to za stosowne. Traktowałem go z szacunkiem, świadom, że dzięki temu może nie spojrzeć na nas jak na zagraniczną firmę, która myśli tylko o eksploatacji, choć na dobrą sprawę tak właśnie było.

Do pewnego stopnia moje podejście wyszło na dobre. Po kilku spotkaniach przyznał, że projekt mu się podoba, cieszą go perspektywy za

trudnienia i rewitalizacji regionu. Był zadowolony z możliwości zwiększenia dochodów lokalnych drobnych przedsiębiorców, a ja podkreślałem korzystny wpływ tego typu inicjatyw na gospodarkę regionalną, powołując się na przykłady innych australijskich kurortów na wschodnim wybrzeżu. Architektura pasowała do krajobrazu, materiały miały pochodzić stąd, biuro turystyczne wyraziło poparcie... Zaprojektowałem nawet stronę internetową dla mieszkańców okolicy, żeby mogli się dowiedzieć czegoś więcej o planach rozwoju czy perspektywach zatrudnienia. Co do tego ostatniego pomysłu był nieco sceptyczny, ale przyznał, że odrobiłem pracę domową.

Obawiał się jednak - tak jak przypuszczałem - wpływu budowy na środowisko naturalne. Nie chodziło tylko o hałas i zanieczyszczenia spowodowane budową w obszarze położonym tak blisko parków narodowych, ale również o opór mieszkańców przed zbytnią eksploatacją wód. Dodał, że poprzednia próba hodowli pereł w pobliskiej zatoce spała na panewce właśnie ze względu na protesty.

- Różnica polega na tym, że my dajemy lepsze perspektywy zatrudnienia i dodatkowe korzyści dla regionu.

Pan Reilly nie był jednak głupi.

- Do pewnego stopnia - odparł - ale wiemy, na czym to polega, i nie powie mi pan, że główna część zysków zostanie u nas. Wasze przedsięwzięcie wspierają agresywne fundusze powiernicze, brytyjskie, dodajmy. Będą chciały odzyskać swój wkład, czy nie? Będziecie zależni od udziałowców. To, co proponujecie, to nie pomoc społeczna.

Kiwnąłem ręką w stronę planów.

- Wie pan równie dobrze jak ja, że nie da się powstrzymać rozwoju. To idealna część wybrzeża Australii, doskonała na wypoczynek dla rodzin z dziećmi, australijskich rodzin. Chcemy im to tylko ułatwić.

Westchnął, splótł dłonie, potem wskazał na dokumenty

- Mike... Mówmy sobie po imieniu, tak będzie prościej... Mike, musisz zrozumieć, że sporo się tu zmieniło przez ostatnich kilka lat. Owszem, wasza propozycja mieści się w granicach akceptacji, ale teraz musimy brać pod uwagę jeszcze inne czynniki. Jak na przykład zamierzacie zminimalizować negatywny wpływ na środowisko? Jak dotąd nie dałeś przekonującej odpowiedzi. W tej okolicy rośnie świadomość znaczenia populacji delfinów i wielorybów, ludzie nie chcą wyrządzić im krzywdy. Z punktu widzenia ekonomii są same w sobie coraz większą atrakcją turystyczną.

- Nie jesteśmy jak hodowcy pereł. Nie zajęlibyśmy olbrzymich połaci wybrzeża.

- Ale część stałaby się niezdatna do użytku.

- Prowadzilibyśmy tam tylko normalną działalność turystyczną. Nic na wielką skalę, żadnych kontrowersji.

- To wystarczy. Tu nie ma tego rodzaju turystów, w każdym razie nie w Srebrnej Zatoce. Nasi turyści lubią pływać, trochę żeglują, wiosłują, ale jak dotąd nie jeżdżą masowo na rowerach wodnych, nartach czy skuterach, a te sporty są znacznie bardziej hałaśliwe i inwazyjne dla środowiska.

- Wiesz równie dobrze jak ja, że w takim miejscu jak to rozwój jest tylko kwestią czasu. Jeśli nie my, przyjdzie jakaś inna korporacja.

Odłożył długopis i spojrzał na mnie na poły wojowniczo, na poły współczująco.

- Słuchaj, stary, wszyscy jesteśmy tu za rozwojem, ale za takim rozwojem, który pomoże lokalnej społeczności. Wiemy, że potrzeba nam zatrudnienia i infrastruktury. Ale nasza fauna morska, nasza natura nie mogą na tym ucierpieć. Nie jesteśmy jak Europejczycy, którzy najpierw budują, a potem martwią się o środowisko. Nie dzielimy tych dwóch rzeczy. A nie zdobędziesz poparcia tego miasta, jeżeli nie wymyślisz, jak chronić przyrodę.

- W porządku - odpowiedziałem, składając papiery. - To bardzo chwalebne. Ale miałbym więcej zrozumienia dla twoich argumentów, gdybym nie widział jeszcze w tym tygodniu dwóch wielorybów zamęczonych prawie na śmierć przez statki-dyskoteki, których najwyraźniej nikt nie ścigał. Możesz mnie przekonywać, że nasz projekt będzie miał negatywny wpływ na środowisko, ale walenie już są w niebezpieczeństwie znacznie poważniejszym niż nasza inwestycja. I o ile mi wiadomo, nic z tym nie robicie. A my chcemy potraktować kwestie związane ze środowiskiem tak poważnie, jak to tylko możliwe, zasięgnąć rady ekspertów i jeżeli trzeba, wyłożyć odpowiednie sumy. Nie mów mi, że wasz region jest wzorem troski o środowisko, bo widziałem tego małego wieloryba i wiem, co spowodowało jego śmierć. Byłem na rejsie obserwacyjnym i, przykro mi to stwierdzić, to też jest szkodliwa ingerencja.

- Nie możesz tego wiedzieć.

- A ty nie możesz wiedzieć, czy kilku narciarzy wodnych naprawdę wpłynie na migrację, która ma miejsce od stuleci. Bądźmy konsekwentni w obie strony.

- Poddam to pod dyskusję - obiecał. - Licz się jednak z możliwością referendum w tej sprawie. Ludzie czują pismo nosem, niektórzy już zaczynają się niepokoić.

Wróciłem do domu w podłym nastroju i zadzwoniłem do Dennisa. Świadomość, która w Anglii jest godzina i od jak dawna spał, wzbudziła we mnie mściwą radość. Przedstawiłem mu wynik spotkania, a potem pozostało mi tylko podziwiać jego biznesowy łeb - potrafił wprost z głębokiego snu przejść do pełnej przytomności umysłu. Zupełnie, jakby nawet śpiąc, przetwarzał dane.

- Trudna sprawa, Dennisie - powiedziałem. - Nie będę udawał, że jest inaczej. Ale mam dość radykalny pomysł. Gdyby tak zrezygnować ze sportów wodnych, nastawić się bardziej na spa? Moglibyśmy zrobić luksusowy ośrodek w typie Vogue'a, dokąd jeżdżą celebryci i jeszcze się cieszą, że przepłacając, ratują środowisko.

- Przecież sporty wodne to unikatowa cecha produktu - warknął Dennis. - Dlatego agresywne fundusze są nim zainteresowane. Sporty wodne i dbanie o ciało to gwóźdź programu. Chodzi o to, by dać ludziom wczasy w luksusie i takie rozrywki, jakich potrzebują. Znowu ci cholerni miłośnicy wielorybów? Co powiedzieli tym razem?

- Jeszcze nic. Na razie nic nie wiedzą.

- Więc w czym problem, do cholery?

- Chcę to dograć na wszystkich poziomach.

- Gadasz bez sensu.

- Dennisie, byłoby nam znacznie łatwiej, gdybyśmy wyeliminowali zagrożenia dla ssaków morskich.

- Byłoby nam znacznie łatwiej, gdybyś zrobił, co do ciebie należy, i

podkreślił, że to fantastyczna okazja dla regionu w zapaści i że wszyscy zarobią mnóstwo pieniędzy.

- Im nie chodzi tylko o pieniądze...

- Wszystkim i zawsze chodzi o pieniądze - skwitował.

- No dobrze, ale jak się tu przyjedzie, zaczyna się dostrzegać... no... znaczenie wielorybów. - Przesunąłem nerwowo dłonią po włosach.

Chwilę trwało, zanim przemówił.

- Taaa. Znaczenie. Wielorybów - mruknął i w ten sposób przygotował mnie na atak. - Mike, nie tego się po tobie spodziewałem. Nie po to dałem ci awans. Nie to chcę usłyszeć, jak siedzę na dupie w Anglii i czekam na wiadomości o projekcie wartym ponad sto trzydzieści milionów funtów, na który wciąż nie załatwiłeś pozwolenia, choć jesteś w Australii od trzech tygodni. Musimy zdobyć to pozwolenie, i to szybko. Mamy rozpocząć budowę za kilka miesięcy, więc idź pogadaj z tymi fanatykami od wielorybów, zaśpiewaj im wielorybią pieśń, posmaruj Reilly'ego albo zrób mu zdjęcie z prostytutką ze Wschodniej Europy, cokolwiek! Tylko, do cholery, odezwij się do mnie w ciągu najbliższych czterdziestu ośmiu godzin i przedstaw mi dokładny plan, który ja z kolei będę mógł przedstawić ludziom z Vallance Equity, jak złożą nam wizytę w poniedziałek. Dobra? Bo jak nie dasz rady, nie tylko walenie będą się dławić.

Wziął głęboki, spazmatyczny oddech. Cieszyłem się z dzielącej nas odległości.

- Słuchaj, chciałeś być współnikiem - zaczął z drugiej strony - to udowodnij, że się do tego nadajesz. Albo, chociaż kocham cię jak syna, znajdziesz na półdupku ślad mojego buta i dopilnuję, żebyś nigdzie nie znalazł roboty. Kapujesz?

Nie musiał nic więcej wyjaśniać. Usiadłem na krześle, zamknąłem oczy i pomyślałem o wszystkim, na co pracowałem przez ostatnie lata, o moich planach i nadziejach. Potem przypomniałem sobie, co Hanna mówiła o szkolnym autobusie i o bibliotece.

- Dobrze - odpowiedziałem. - Mamy jedną szansę. Mówiłem ci już o tak zwanym S94, pamiętasz?

Jak wyjaśnił mi Reilly, rada miejska Srebrnej Zatoki zwykle żądała, aby przy inwestycjach turystycznych pięćdziesiąt procent wkładu deweloperzy przeznaczali na inwestycje na rzecz lokalnej społeczności: drogi, parkingi, centra rozrywki, straż pożarną i służby medyczne. Nie była to dla mnie nowość, w innych umowach pojawiały się podobne klauzule i przeważnie pozwolenie miało w garści, jeżeli zysk dla mieszkańców uznano za wystarczający. Zwykle uwzględniałem to w moich symulacjach. Dennis też o tym wiedział, ale jako przedsiębiorca starej daty wołał wręczać łapówki.

- Każdy orze, jak może - mawiał, zacierając rękę. - Każdy ma swoją cenę.

Mój dokument przygotowany dla rady miejskiej był wnikliwym studium nie tylko demografii obszaru, ale również kosztów rozwoju infrastruktury. Przewertowałem go, starając się podkreślić te działania, które przyniosłyby najwięcej zysków mieszkańcom.

Dalszy rozwój kompleksu rekreacyjnego na terenie całego okręgu miejskiego i wzdłuż wybrzeża zwiększy zapotrzebowanie na rozwój sieci komunikacyjnej... będzie on zależał od typu turystyki oraz długości sezonu turystycznego, jednak ten wyprzedzi znacznie możliwości rozwoju administracyjnego...

Wpatrując się w te zdania, doszedłem do wniosku, że mamy szansę, jeżeli wkład w inwestycje lokalne przewyższy minimalny poziom określony przez S94. Gdybyśmy tak ufundowali szkole nową bibliotekę, autobus albo zainwestowali w remont Muzeum Wielorybnictwa...

W czasie spotkania Reilly wyglądał, jakby znał już wszystkie moje argumenty. Prawdopodobnie odbył wiele podobnych rozmów, przyjął niektóre oferty, odrzucił inne. Ale jedno musiało być dla niego nowością - że Beaker Holdings nie będzie próbować, jak większość deweloperów, ograniczyć inwestycji publicznych do minimum. Wystąpi jako wzór odpowiedzialnego zaangażowania. Zaproponuje o wiele więcej, niż potrzeba, będzie szczodry i wizjonerski, i o ile dopisze nam szczęście, ta umowa stanie się wzorem dla następnych.

Plan budżetu rady miejskiej nie jest najciekawszą lekturą, ale tego popołudnia, zanim Hanna mi przeszkodziła, byłem nią tak podniecony, jakbym czytał dobrą, wciągającą powieść.



Vanessa spała prawie do jedenastej rano. Leżałem obok i tuż po wschodzie słońca patrzyłem na jej twarz, na delikatne ruchy ciała pod prześcieradłem. W końcu ostrożnie wyslizgnąłem się z łóżka. Po wpół do ósmej zszedłem na dół, opuściłem hotel i przebiegłem dziesięć kilometrów wzdłuż wybrzeża i z powrotem w wilgotnym, chłodnym powietrzu poranka, czerpiąc radość z ciszy i samotności, jaką daje tylko bieganie.

Biegłem dłużej i szybciej niż zwykle, zrzucając kolejne warstwy odzieży, ale nie czułem zmęczenia. Potrzebowałem fizycznego wysiłku, czasu, żeby pomyśleć.

Wyobraziłem sobie kompleks wypoczynkowy, może trochę tanich mieszkań dla obsługi... Odkryłem, że Australia ma te same problemy z dostępnością tanich mieszkań, co Anglia. Może moglibyśmy otworzyć trochę kafejek i sklepów powiązanych ze sportami wodnymi? Albo nawet, gdyby dochody pozwoliły, centrum medyczne?

Wracając, omijałem wzrokiem hotel „Srebrna Zatoka”. Gdyby plan się powiódł, w najlepszym wypadku przyćmiłby go, w najgorszym - doprowadził do ruiny

Ludzie znani mi z twarzy - wyprowadzający psy i rybacy - podnosili ręce w pozdrowieniu, gdy ich mijałem. Zastanawiałem się, co pomyśleliby o moich planach. Nie byłem już dla nich obcym przybyszem z Anglii, rybą wyjętą z wody, tym bardziej nie uciekającym narzeczoną, wścibskim oszustem czy złodziejem cudzych kobiet. Gdy przebiegłem w myślach listę ważnych telefonów na dzisiejszy dzień - do Dennisa, do działu finansów, do Reilly'ego - pomyślałem raz jeszcze o tych ludziach i spytałem sam siebie, do kogo, do cholery, machają?

Gdzieś przy drodze do hotelu doznałem objawienia. Od miesięcy pochłaniała mnie ta umowa, myślałem tylko o tym, co oznacza dla mnie i dla firmy Teraz stanąłem twarzą z twarzą z potencjalnymi kosztami. I zauważyłem, że nie martwię się już o pieniądze i ambicje, ale o coś o wiele trudniejszego - o dobry kompromis. Chciałem, żeby Kathleen i Liza były równie zadowolone, co inwestorzy z funduszu powierniczego. Chciałem,

żeby delfiny i wieloryby mogły żyć spokojnie, żeby budowa nie miała na nie wpływu - a przynajmniej jak najmniejszy. Nie wiedziałem jeszcze, jak to zrobię, ale z głową pełną pomysłów dotyczących obszarów chronionych i muzeów czułem, że może coś wymyślę.

Wróciłem o ósmej trzydzieści mokry od potu, z mózgiem przegrzanym z wysiłku. Miałem nadzieję, że zjem śniadanie w samotności. Ze wstydem przyznaję, że starałem się wrócić w porze, kiedy Liza i Hanna pojedą do szkoły i dom będzie pusty.

Kathleen jednak wciąż siedziała przy stole, choć dawno skończyła śniadanie. Siwe włosy zwinęła w węzeł na karku, jej granatowy sweter zwiastował nadejście zimy. Przygotowała mi śniadanie i kawę. Obok leżało ostentacyjnie drugie nakrycie.

- Nie chciałam jej budzić - mruknęła zza gazety, gdy *usiadłem*.
Jak mogłem jej powiedzieć, że zupełnie zapomniałem?



Rozdział 12

Greg

Blizna Lizy McCullen była całkiem niewidoczna dla kogoś, kto nigdy nie przyglądał się jej twarzy z bliska, nie głaskał jej po policzku ani nie odgarniał włosów za ucho. Teraz, po kilku latach, przybrała odcień perłowej bieli, miała jakieś trzy centymetry długości i lekko nierówne brzegi, jakby rana została źle opatrzona. Przez większość czasu Liza nosiła starą bejsbolówkę, której daszek rzucał cień na tę część twarzy z blizną. Gdy chodziła z gołą głową, zasłaniały dawną ranę luźne kosmyki wyslizgujące się z kucyka. Gdy się śmiała, blizna znikwała w zmarszczkach w kącikach oczu.

Ja jednak zawsze ją widziałem. Zresztą nawet bez blizny z Lizą było coś nie tak.

Gdy spotkałem ją po raz pierwszy, wyglądała jak zjawą. To może zabrzmie dziwnie, ale sprawiała wrażenie niemal przezroczystej, jakby lada chwila miała rozpuścić się w powietrzu.

- Moja siostrzenica - przedstawiła ją Kathleen, gdy sączyliśmy popołudniowe piwo. Do tej pory większość z nas nie wiedziała nawet o jej istnieniu. - A to jej córka, Hanna. Z Anglii. Będą tu mieszkać.

Przywitałem się. Liza kiwnęła głową, nie patrząc w oczy ani mnie, ani reszcie załogantów. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby *jet lag* tak ko

goś wykończył. Hanna mignęła mi w przelocie kilka dni wcześniej, ale myślałem, że dziewczynka uczepiona dłoni Kathleen to dzieciak któregoś z turystów. Zmierzyłem Lizę wzrokiem - długonoga blondynka, mój typ - ale nie zwróciła na siebie szczególnej uwagi. Była blada, miała podkrążone oczy i włosy w strąkach. Wtedy bardziej mnie zaciekała, niż, wiecie, zachwyciła.

Hanna jednak... Hannę polubiłem od razu i jestem pewny, że ona mnie też. Stała schowana za Kathleen i wytrzeszczała wielkie brązowe oczy. Wyglądała, jakby miała umrzeć ze strachu, gdyby tylko ktoś krzyknął „buuu!”. Przyklęknąłem więc obok - była wtedy malutka - i powiedziałem:

- Dzień dobry, Hanno. Czy ciocia mówiła ci, co jest za oknami twojego pokoju? - Kathleen spojrzała na mnie ostro, jakbym miał zamiar postraszyć tę małą upiorem. Zignorowałem ją i ciągnąłem: - Delfiny W morzu, w zatoce. To najmądrzejsze, najzabawniejsze stworzenia na świecie. Jeżeli wyjrzysz przez okno i będziesz się uważnie wpatrywać w wodę, jestem pewien, że je zauważysz. I wiesz co? Są tak ciekawskie, że pewnie wysuną nosy, żeby zerknąć i na ciebie.

- Zatoka jest ich pełna - dodała Kathleen.

- Widziałaś kiedyś delfina z bliska? - spytałem. Potrząsnęła główką. Teraz słuchała mnie uważnie.

- Są piękne. Bawią się z nami, jak wypływamy na morze. Skaczą, pływają pod łodzią. Są tak mądre jak ty i ja i bardzo wścibskie. Przyplwają zobaczyć, co robimy. Niektóre stada mieszkają w zatoce od ponad trzydziestu lat. Mam rację, Kathleen?

Przytaknęła.

- Jeżeli chcesz, zabiorę cię ze sobą, żebyś mogła na nie popatrzeć.

- Nie! - Siostrzenica Kathleen ożywiła się niespodziewanie. - Nie - powtórzyła przez zęby - Nie pozwolę jej wypływać na morze.

- Na mojej łodzi jest bezpiecznie jak w domu - odpowiedziałem. - Zapytaj Kathleen. Wożę turystów od ponad piętnastu lat. Cholera, moja *Sweet Suzanne*, *Moby I* i *II* mają najlepsze załogi w okolicy, z wyjątkiem Kathleen. Dzieci zawsze noszą kapoki. Powiedz jej, Kathleen.

Ale ona wyglądała, jakby nie była sobą. I jakby nie wiedziała, co powiedzieć.

- Każdy potrzebuje trochę czasu, żeby do siebie - odparła po chwili. - Potem pomyślimy o rozrywkach dla Hanny Nie ma pośpiechu.

Zapadła dziwna cisza. Liza wpatrywała się we mnie wyzywająco, jakbym chciał skrzywdzić jej córkę. Kathleen uśmiechnęła się do mnie przepraszająco. Nie widziałem jej jeszcze tak wytrąconej z równowagi.

Prosty ze mnie facet, nie lubię łądować się w kłopoty. Uznałem, że najwyższy czas wracać do siebie, do swojej kobiety. To było, rzecz jasna, zanim zaczęła się puszczać z instruktorem fitness.

- Miło było cię poznać, Hanno. Miej oko na delfiny - Uchyliłem czapki, a ona uśmiechnęła się do mnie tak, że zapomniałem o reszcie świata.

A Liza McCullen patrzyła gdzieś w bok, jakby zapomniała o mojej obecności.

- Hej, Greggy, widziałeś to?

Siedziałem w barze u Mac Ivera pięć minut drogi od przystani wielorybów, próbując oszukać głód kawą i ciastem - uznałem, że to akurat coś pośredniego między śniadaniem, którego nie zdążyłem zjeść, a lunchem, który rzadko jadałem. Poprzedniej nocy opuściłem bar już po zamknięciu razem z Delem, właścicielem, kilka minut po drugiej w nocy, a wróciłem tam zaraz po porannym prysznicu. Była cisza i spokój, słońce jeszcze rzucało długie cienie nad zatokę, zimna morska bryza skutecznie przepłoszyła i tak nielicznych turystów, więc Del usiadł ze mną i rzucił mi gazetę.

- Co?

- Pierwsza strona. O tym nowym projekcie w Srebrnej Zatoce.

- O czym ty gadasz? - Skrzywiłem się, przysunąłem gazetę i przebiegłem wzrokiem tekst z pierwszej strony „Nowa atrakcja turystyczna w mieście”. Pisali, że władze lokalne wydały zgodę na budowę kompleksu wypoczynkowego o wartości wielu milionów dolarów niedaleko hotelu Kathleen. Wielka międzynarodowa korporacja uzyskała pozwolenie na budowę, gdy zagwarantowała bezprecedensową ofertę zadbania o środowisko w okolicy i o chronione gatunki morskie.

Vallance Equity, finansująca budowę kompleksu, chce stworzyć nowe Muzeum Wielorybów, by zwrócić uwagę turystów na faunę morską okolicy Port Stephens. W ofercie inwestora znalazły się także sporty wodne nieingerujące w migrację wielorybów i wielorybnicze patrole oraz dodatkowe korzyści, w tym ufundowanie nowej biblioteki oraz autobusu dla szkoły podstawowej w Srebrnej Zatoce.

- Mamy nadzieję, że to dopiero początek owocnej współpracy z lokalną społecznością - zadeklarował Dennis Beaker, przedstawiciel Beaker Holdings, jednego z brytyjskich deweloperów - chcemy ją kontynuować, by stać się modelowym przykładem firmy dbającej o odpowiedzialny rozwój.

- Prowadziliśmy długie i trudne rozmowy dotyczące celowości powstania kompleksu w tym właśnie miejscu - dodał burmistrz Srebrnej Zatoki, Don Brown. - Jednak po długich debatach i starannym rozważeniu planów z radością witamy nowe możliwości zatrudnienia i infrastruktury, które otworzą się przed nami w wyniku budowy hotelu. Przede wszystkim cieszy nas odpowiedzialne podejście inwestorów do ochrony naszych wód.

- Oraz wielka łapówa w mojej tylnej kieszeni! - warknął kpiąco Del. - Czy Kathleen o tym wie?

- Nie mam pojęcia, stary Dawno już u niej nie byłem.

- No to jak nie wie, chyba się dowie. - Przerzucił serwetkę przez ramię i podszedł z powrotem do grilla, na którym skwierczał hamburger.

- Sporty wodne przyjazne wielorybom? - zdziwiłem się. - Co to za sporty, do cholery?

- Pływanie synchroniczne - prychnął Del - albo w zaprzęgu z narciarzem wodnym.

Zacząłem rozumieć.

- To katastrofa - powiedziałem, czytając raz jeszcze artykuł. - Kupili farmę Bullena i okoliczne wody

Del milczał, opiekając hamburgery.

- Ani się nie obejrzymy, a sami będziemy musieli starać się o pozwolenie, żeby w ogóle wypływać. - Odsunąłem od siebie gazetę. - Nie wierzę własnym oczom.

- Sam wiesz, że miasto potrzebuje inwestycji.

- Tak sądzisz?- Nagle spojrzałem na jego bar tak, jak mógłby spojrzeć turysta. Na podłodze od piętnastu lat to samo linoleum, stoły i ławy wygodne, ale na pewno nieeleganckie. Nam, mieszkańcom, to odpowiadało. W każdym razie mnie.

Później poszedłem do kasy biletowej. Leonie, uczennica, pracowała tu przez zimę. Zwykle nastolatki z fiołem na punkcie delfinów zarabiałały w ten sposób na kieszonkowe.

- Na dzisiaj masz czworo - powiedziała. - Sześciuosobową rodzinę na środę rano i jeszcze dwoje na piątek, ale powiedziałam im, że jeszcze potwierdzimy, bo prognozy nie są najlepsze.

Kiwnąłem machinalnie głową.

- Greg, jeszcze jedno. Liza wpadnie po południu. Chce porozmawiać z tobą i z innymi o tym nowym projekcie. Wyglądała na zmartwioną.

- Nie ona jedna - odpowiedziałem. Zapaliłem papierosa i poszedłem do wozu.



Gdy po raz pierwszy Liza McCullen i ja poszliśmy do łóżka, była tak pijana, że chyba nawet nie pamiętała, co robiliśmy. To było jakiś rok po tym, jak tu przyjechała. W tym czasie między nami stajały trochę lody - nie był to upał tropików, raczej arktyczna odwilż, ale zawsze coś. Z In

nymi nie rozmawiała. Zaczęła też pływać z Kathleen na *Izmaelu*. Ciotka wtajemniczyła ją w arkana zawodu, gdy mała była w szkole, a im więcej czasu Liza spędzała na wodzie, tym lepiej się czuła. Żartowałem trochę, że robi mi konkurencję,

ale Kathleen patrzyła na mnie spode łba, dopóki nie rzuciłem jakiegoś żartu o Pani Rekinów. Potem spytała, dlaczego nie mogę wydawać swoich śmierdzących pieniędzy w innym barze. Chyba żartowała.

Liza spędzała już niekiedy wieczory ze mną i innymi wielorybnikami: Nedom Durrikinem i tą Francuzką z wąsikiem, którzy pływali na *Moby 'm II*. Mówiła „cześć”, „tak” i „dziękuję” - choć nadal tonem Królowej Śniegu.

Zwykle cały czas z niej żartowałem, bo zaczęła mi się podobać - a ja lubię, jak dziewczyny się śmieją - ale ledwie co odpowiadała na moje powitania. Tak bardzo byłem nią zajęty, że, szczerze mówiąc, rozumiem, dlaczego Suzanne zaczęła mieć dość. Zostawałem u Kathleen na całe wieczory, obalałem kilka piw i ani się obejrzałem, a znów wracałem do domu podcięty. Suzanne witała mnie z twarzą jak zbita dupa i kolacją tak spaloną, że można było nią robić szkice węglem.

Tej nocy czułem jednak, że coś jest inaczej. Liza nie wyszła do nas, a Kathleen trzymała buzię na kłódkę. Powiedziała tylko tyle, że siostrzenica została w domu. Wszedłem więc i znalazłem ją w kuchni. Widziałem, że patrzy na jakieś zdjęcie. Na mój widok schowała je do kieszeni, jakby nie chciała go pokazywać. Miała czerwone oczy. Raz w życiu udało mi się nie chlapnąć jęzorem, bo miałem przeczucie, że coś jest inaczej i że jak będę ostrożny, to może zdołam obrócić to na moją korzyść.

Potem siedzieliśmy jakiś czas w milczeniu, a ja starałem się nie wiercić na krześle (nienawidzę siedzieć nieruchomo, wciąż pamiętam ze szkoły „siedź spokojnie” albo „siedź prosto”), potem spojrzała na mnie przeciągle, a wzrok miała tak smutny, że nawet mnie zachciało się płakać.

- Greg, pomożesz mi się upić? - spytała. - Tak porządnie?

- No cóż - klepnąłem się po kolanach - nie ma lepszego fachowca w całej Srebrnej Zatoce.

Nie mówiąc nic Kathleen, pojechaliśmy do Dela i waliliśmy jima beama, jakby mieli go przestać produkować.

Wyszliśmy po zamknięciu baru. Liza była tak pijana, że ledwo trzymała się na nogach. Nie głupkowato pijana jak Suzanne, która wtedy śpiewa i przystawia się, do kogo popadnie, chociaż mówiłem jej, że kobiecie to po prostu nie przystoi. Nie była też agresywnie pijana. Zachowywała się tak, jakby coś ją gryzło od środka.

- Za mało - wymamrotała, gdy wciągnąłem ją do wozu. - Muszę się jeszcze napić.

- Bary są już zamknięte - odpowiedziałem. - Po tej stronie Newcastle ani jeden nie jest otwarty. - Sam też byłem wcięty, ale gdy widzi się kogoś naprawdę nieprzytomnego, to działa jak hamulec.

- Kathleen - zdecydowała. - Wrócimy i będziemy pić u Kathleen.

Wiedziałem, że Pani Rekinów nie będzie tym zachwycona, ale cóż, nie ja podjąłem decyzję.

Wciąż było tak gorąco, że ubrania lepiły się do ciała, więc usiedliśmy z piwem na werandzie. W świetle księżycy widziałem pot na skórze Lizy. To była dziwna noc, powietrze skrzyło się od napięcia, jakby miał zaraz huknąć piorun z bezchmurnego nieba. W takie noce na morzu zda

rzają się nagle sztormy. Słyszałem odgłos fal na plaży, cykanie świerszczy i starałem się nie myśleć o dziewczynie obok, tylko piłem piwo wielkimi łykami.

Pamiętam, że zdjęliśmy buty, a potem któreś z nas wpadło na pomysł, by popływać łodzią wiosłową. Pamiętam, Liza śmiała się tak histerycznie, że sam nie wiedziałem, czy czasem nie płacze. A potem, jak straciła równowagę na pomoście, oparła się o mnie i wciąż pamiętam smak jej ust, gdy sięgnęła moich.

„Jim beam i desperacja” - pomyślałem sobie wtedy. I tak mnie to nie powstrzymało.

Następny raz był sześć miesięcy później. Suzanne i ja pokłóciliśmy się i ona wyjechała do siostry do Newcastle. Liza wypła jeszcze więcej niż poprzednio, tak że musiałem trzymać jej włosy, kiedy wymiotowała. Dopiero po tym była w stanie dojść do wozu. Co nie zmieniło faktu, że wykończyła u mnie jeszcze butelkę najlepszego shiraz od pana Gainesa. Dziwne - przeważnie trzeźwa jak świnka, raz na jakiś czas musiała urznąć się do nieprzytomności. Tej nocy przed świtem obudziło mnie jej łkanie. Była odwrócona tyłem, ramiona jej drżały, a twarz ukryła w dłoniach.

- Zraniłem cię? - spytałem sennie. Nikt nie lubi, jak dziewczyny płaczą tuż po, wiecie, co mam na myśli. -Lizo, kochanie, co się stało?

Gdy dotknąłem jej ramienia, zauważyłem, że usnęła. Trochę mnie to zdenerwowało, więc zawołałem ją, potem potrząsnąłem, żeby się obudziła.

- Co? - spytała. Rozejrzała się po pokoju. - O Boże, gdzie ja jestem?

- Płakałaś - odpowiedziałem. - Przez sen. Myślałem... myślałem, że to przeze mnie.

Wyskoczyła z łóżka i sięgnęła po spodnie. Szczerze mówiąc, gdybym sam nie był pijany, czułbym się obrażony.

- Hej, spokojnie, nie ma pośpiechu! Nie musisz nigdzie biec. Chciałem tylko sprawdzić, czy wszystko w porządku. - Zobaczyłem biały zarys zakładanego w pośpiechu stanika.

-To nie twoja wina, Greg. Przepraszam, muszę już iść.

Była jak facet. Jak ja, zanim poznałem Suzanne. Też zawsze chciałem jak najszybciej wyjść od kogoś, przy kim się obudziłem.

Dziesięć minut później zdałem sobie sprawę, że Liza nie wzięła samochodu. Zanim jednak zszedłem na dół, już dawno jej nie było. Pewnie pobiegła wzdłuż wybrzeża. Była do tego zdolna, jakby nie znała lęku. (- Czego miałyby się bać? - spytała enigmatycznie Kathleen, gdy ją o to zapytałem. - Najgorsze już się stało).

Następnego dnia usiadłem obok Lizy. Zachowywała się jakby nigdy nic.

Zrobiła mi to jeszcze cztery razy. Nigdy nie byliśmy ze sobą na trzeźwo. Gdybym gorzej wyglądał, pewnie zaczęłoby mnie to niepokoić.

Chyba powinienem był się wkurzyć, ale nie potrafiłem. Liza jest niepodobna do innych ludzi, jest w niej coś niezwykłego.

Gdy w końcu powiedziała mi o dziecku, była trzeźwa. Kazała mi trzymać gębę na kłódkę. Nie odpowiadała na pytania. Nie powiedziała mi nawet, jak umarło. Dowiedziałem się tylko dlatego, że w końcu mnie wkurzyła, więc spytałem prosto z mostu, czemu, do cholery, musi się tak upijać, żeby iść ze mną do łóżka.

- Nie po to piję - odpowiedziała. - Piję, żeby zapomnieć. Seks z tobą to produkt uboczny. - Tak, wisało jej, czy będę się czuł dotknięty. - I nie próbuj podpytywać Hanny. - Już żałowała swojej szczerości. - Nie chcę, żebyś jej przypominał, to tylko wszystko skomplikuje.

- Dzięki, że uważasz mnie za aż takiego dupka –podsumowałem.

- Nie, po prostu jestem ostrożna. - Zacisnęła pięści. - Tym razem.



Del chętnie przystał, żebyśmy się spotkali u niego -wiedział, że dzięki temu będzie miał dobry utarg - ale zapowiedział mi wprost, że sam nie ma nic przeciwko budowie.

- Bar w takim miejscu, o kilka kroków od kompleksu - dodał, wycierając dłonie o fartuch - zrobi furorę.

Biedny naiwniak chyba naprawdę sobie wyobrażał, że klientela takiego ośrodka chciałaby wstąpić do jego brudnej nory na lunch. Wiedziałem, że nie zmieni zdania, ale miałem nadzieję, że poczuje się winny i chociaż poczęstuje mnie kanapką z bekonem na koszt firmy Tak też się stało i jakiś czas później usiadłem na zewnątrz, popijając kawę.

Zawiadomiłem innych - kilku właścicieli kwater, rybaków, wielorybników. Przychodzili jeden po drugim i czekaliśmy przed barem, aż będziemy w komplecie. Niektórzy mieli wymięte egzemplarze gazety. Kilkoro naradzało się między sobą, inni spokojnie gawędzili, jakby wierzyli, że koniec końców wszystko zostanie po staremu.

Nie rozmawiałem z Lizą, ona też nie wydawała się tego spragniona. Pomachałem jednak Hannie, która podeszła i usiadła obok.

-Twoja łódź nadal jest w szopie - szepnąłem, bo chciałem zobaczyć jej uśmiech.

- Czy delfiny odpłyną? - zapytała.

Kathleen była już obok. Położyła jej dłoń na ramieniu.

-Jestem pewna, że widziały już gorsze rzeczy - odpowiedziała. - W czasie wojny mieliśmy bombardowania, łodzie podwodne... i delfiny Nie martw się.

- Są mądre, prawda? Będą wiedziały, że muszą trzymać się z daleka.

-Mądrzejsze niż niejeden z naszych sąsiadów -stwierdziła Kathleen. Nie spodobał mi się wyraz jej twarzy, gdy na mnie spojrzała.

Lance wstał i zaczął mówić. Już wcześniej uzgodniliśmy, że poradzi sobie najlepiej - ja nigdy nie miałem gadanego, a Liza prędzej by umarła, niż zabrała głos publicznie. Powiedział, że zdaje sobie sprawę z korzyści gospodarczych, jakie przyniesie budowa, ale szkoła sportów wodnych zagraża jedynej atrakcji turystycznej miasteczka - wielorybom i delfinom.

- Może niektórym z was nie robi to żadnej różnicy, ale to jedyne, co odróżnia Srebrną Zatokę od innych miejscowości. Większość z was doskonale wie, że turyści, którzy przyjeżdżają je oglądać, często po drodze wstępują do waszych kawiarni i sklepów, zatrzymują się w waszych domach i motelach.

Wśród zebranych rozległy się potakiwania.

- To są inwestorzy z zagranicy - dodał. - Tak, będzie kilka miejsc

pracy, ale możecie się założyć, że większość zysków nie zostanie w Srebrnej Zatoce. Nawet nie w Nowej Południowej Walii. Zagraniczne inwestycje oznaczają zyski za granicą. Poza tym nawet nie znamy charakteru tego ośrodka. Jeżeli wybudują własne kawiarnie i bary, większość z was straci więcej, niż zyska.

- Ale może zwiększyć obroty zimą - odpowiedział głos z tłumu.

- Jakim kosztem? Jeżeli walenie i delfiny odplyną, nie będzie żadnego handlu ani zimą, ani latem - uciął Lance. - Odpowiedzcie mi szczerze, ilu mielibyśmy gości w czerwcu, lipcu czy sierpniu, gdyby nie Przystań Wielorybów, co?

Zapadło milczenie.

Spojrzałem na siedzącą obok mnie Hannę. Czytała gazetę. Przysięgam, ten dzieciak rośnie tak szybko, że lada moment będzie mógł zrobić prawo jazdy.

- Gregu... - Zmarszczyła brwi.

- Co się stało, kochanie? Przynieść ci coś do jedzenia? - szepnąłem.

- To firma Mike'a. - Wskazała palcem artykuł. - Beaker Holdings. Znalazłam jego zdjęcie na ich stronie.

Dopiero po minucie czy dwóch zrozumiałem, co mówiła, a po kilku kolejnych, co to oznacza.

- Beaker Holdings - przeczytałem. - Jesteś pewna?

- Nazwa sama mi się zapamiętała. Czy to znaczy, że Mike kupił Srebrną Zatokę?

Przez resztę wieczoru robiło mi się ciemno przed oczami. Wytrzymałem do momentu, kiedy Lance zorganizował głosowanie. Podniosłem rękę za tym, aby zgłosić skargę do działu zagospodarowania przestrzen

nego, ale czekałem tylko, aż wszyscy się rozejdą. Później spytałem Kathleen, czy wie, gdzie jest Mike.

- U siebie - odparła. - A jego dziewczyna pewnie poszła na zakupy - prychnęła. - Ona bardzo lubi zakupy. - Wreszcie przyjrzała mi się uważnie. - Greg? Greg, o co chodzi?

- Możesz zawołać Lizę? - spytałem, próbując zachować spokój przy Hannie. - Jest coś, o czym musicie wiedzieć.



Zaciągnięcie Lizy McCullen do łóżka zajęło mi osiemnaście miesięcy. Zdobyć jako takiego zaufania - kolejne dwa lata. Dopiero wtedy powiedziała mi o córce.

Dlatego mało mnie szlag nie trafił, gdy dzień po śmierci małego wiewióryba podjechałem do hotelu odwieźć jej zapomniane jak zwykle klucze i... Właśnie dlatego unikałem potem domu Kathleen. Wciąż miałem przed oczami Lizę w objęciach tego ledwie poznanego Angola - na hotelowym podjeździe, tuż po tym, jak wyszła z mojego łóżka.

„Jeszcze się spotkamy” - to dobry tekst w filmie o twardzielach, w życiu na ogół rzadko masz okazję dać w mordę komuś, kto wyjątkowo na to zasługuje. A ten cały Mike bardzo zasługiwał. I był pod ręką...

Okazało się, że siedział w kuchni - do której zwykle ma wstęp tylko rodzina Kathleen. Gdy stanęliśmy w drzwiach, podniósł wzrok znad starego przewodnika. W eleganckiej koszuli już ani trochę nie przypominał jednego z nas. Na sam widok świerzyły ręce.

Liza rzuciła gazetę na kuchenny stół. Chwilę trwało, zanim do niego dotarło, o co chodzi.

- To tak prowadzisz te swoje badania?

Spojrzał na nagłówek i zbiełał na twarzy. Nigdy czegoś takiego nie widziałem - kolor zniknął z niej tak szybko, że spojrzałem na podłogę, szukając kałuży krwi.

- Siedzisz w naszym hotelu od ponad miesiąca, zawierasz przyjaźnie, zadajesz pytania, rozmawiasz z moją córką, a przez cały czas planujesz, jak nas zrujnować?!

Spojrzał na pierwszą stronę.

-I jeszcze ty, Mike! Wiedząc to, o czym wiesz, jak mogłeś coś takiego zrobić?

Mój Boże, nigdy nie widziałem jej w takim stanie! Aż się gotowała od gniewu.

- Lizo, pozwól mi wyjaśnić... - Powoli wstał.

- Wyjaśnić? Co tu jest do wyjaśniania?! Że przyjechałeś tutaj niby na wakacje, a przez cały czas planowałeś razem z radą miejską, jak nas zniszczyć?

- Nie chcę niszczyć ciebie ani wielorybów. Opracowałem system ochrony.

Zaśmiała się płytkim, szalonym śmiechem. Muszę przyznać, że trochę mnie to przeraziło.

- System ochrony, dobre sobie! Jak cholerny ośrodek sportów wodnych może być bezpieczny dla wielorybów?! Wszędzie będzie pełno motorówek, narciarzy wodnych, skuterów i czego tam jeszcze. Wiesz, co to oznacza dla waleni?

- Nie rozumiem, dlaczego nasze łodzie mają być gorsze od waszych. To motorówki. Sternicy będą się trzymać z dala od szlaków migracyjnych. Będą fachowi doradcy, zasady postępowania...

- Zasady? Nie wiesz, o czym mówisz. Myślisz, że osiemnastolatka na skuterze obchodzi zasady?! - Drżała z wściekłości. - Widziałeś, jak próbowaliśmy uratować tego małego wieloryba, a teraz stoisz tutaj i twierdzisz, że twój cholerny ośrodek nie zrobi różnicy? Co gorsza, wyciągnąłeś od mojej córki informacje o tym, co jest nam niezbędne, żeby przekonać do siebie wydział planowania przestrzennego.

- Pomyślałem, że może wyniknie z tego coś dobrego - zaprotestował.
- Hanna mówiła, że ulepszenia są potrzebne.

- Były potrzebne tobie, żebyś mógł przekupić wydział planowania. Jesteś chory, rozumiesz? Chory!

- To nie moja decyzja - odparł bezradnie. - Staralem się, jak mogłem, żeby wszyscy byli zadowoleni.

- Robiłeś, co mogłeś, żeby wypchać sobie kieszenie! - Podszedłem bliżej. Widziałem, jak się prostuje, czekając na cios.

Liza odwróciła się. Teraz było widać, że jeszcze chwila, a wybuchnie płaczem. Potrząsnęła głową, dodając z goryczą:

- Wiesz... wszystko, o czym mówiłeś, to kłamstwo. Wszystko!

Po raz pierwszy wyglądał na rozgniewanego.

- Nie - wyciągnął rękę - nie wszystko! Chciałem z tobą porozmawiać. Nadal chcę, ale...

Odepchnęła go jak trędowatego.

- Naprawdę myślisz, że chcę cokolwiek usłyszeć?

- Przepraszam. Chciałem powiedzieć wam o budowie - ciągnął - ale musiałem najpierw to zaplanować. Gdy zrozumiałem, ile znaczą dla was wieloryby, próbowałem znaleźć sposób, by wszyscy byli zadowoleni.

- Moje, kurwa, gratulacje! - warknęła. - Mam nadzieję, że chociaż ty jesteś zadowolony, bo twój ośrodek nas zniszczy, podobnie jak wieloryby. Ale skoro twoim inwestorom się to opłaca, cieszę się twoim szczęściem.

- Koniec tego dobrego! - walnąłem pięścią w stół. - Idziemy na zewnątrz, pogadamy sobie we dwóch.

- Chociaż ty nie bądź cholernym głupcem. - Liza machnęła ręką, i to chyba na nas obydwu. Wyszła z kuchni.

Odprowadzając ją wzrokiem, zobaczyłem, że w holu stoi młoda blondynka w drogich ciuchach, z malutką torebką przyciśniętą do piersi. Cofnęła się, by przepuścić Lizę.

- Czy wszystko w porządku? - spytała. „Angolka! Pewnie jego dziewczyna - pomyślałem. - Za dobra jak dla niego”.

- Masz przesrane, draniu - wycelowałem palec w jego twarz. - Nie licz, że o tym zapomnę.

- Uspokój się, Greg - westchnęła ze znużeniem Kathleen i wypchnęła mnie z kuchni. Jakby to była moja wina. Jakby cokolwiek było moją winą. - Vanesso, może zechciałabyś usiąść. Zrobię herbaty.



Rozdział 13

Kathleen

„Newcastle Observer”, 11 kwietnia 1939

Nieopodal Port Stephens siedemnastolatka złowiła największego jak dotąd rekina piaskowego w Nowej Południowej Walii.

Panna Kathleen Whittier Mostyn, córka Angusa Mosty-na, właściciela hotelu „Srebrna Zatoka”, przyholowała bestię w środę po południu z wód okalających wyspę Złamany Nos. Samodzielnie schwytała go z niewielkiej łodzi, gdy jej ojciec wrócił na chwilę do hotelu po przynęty.

Ojciec dziewczyny powiedział: „Byłem zdumiony, gdy Kathleen pokazała mi swoją zdobycz. Od razu wyciągnęliśmy ją na brzeg i wezwaliśmy odpowiednie władze, bo przypuszczałem, że mogła pobić jakiś rekord”.

Przedstawiciel związku rybaków, pan Saul Thompson, potwierdził, że to największy rekin tego gatunku schwytyany w okolicy. „To nie lada osiągnięcie dla tak młodej osoby - dodał. - Nawet doświadczony wędkarz miałby trudności z doholowaniem takiej zdobyczy”.

Rekin stał się już znaczną atrakcją turystyczną; okoliczni rybacy i turyści przyjeżdżają zobaczyć rekordowego drapieżnika na własne oczy. Pan Mostyn zamierza go wypchać i wyeksponować w hotelu na pamiątkę osiągnięcia córki. „Musimy tylko znaleźć od powiednio solidną ścianę” -żartuje.

Pracownicy hotelu twierdzą, że liczba rezerwacji potroiła się, odkąd rozeszła się wieść o zdobyczy. Rekord panny Mostyn na pewno przyczyni się do wzrostu reputacji okolicy jako idealnego miejsca dla wędkarzy spragnionych mocnych wrażeń.

Starłam kurz ze szklanej ramki i odwiesiłam poźółtkły wycinek na ścianę obok zdjęć wypchanego rekina. Proces konserwacji nie był szczególnie udany - ojcu zależało na czasie i nie zawracał sobie głowy spowodowaniem porządnego specjalisty. Rekin rozpadł się, gdy przenosiliśmy go do muzeum, po prostu spruł się przy płetwach i ogonie jak wysłużone ubranie. Chcąc nie chcąc, przyznaliśmy się do porażki i moja zdobycz powędrowała do kosza. Patrzyłam z rozbawieniem na miny śmieciarzy, gdy odkryli wśród odpadków wielkiego rekina.

Nie pomógł mu też fakt, że dotykał go niemal każdy gość hotelu. W wypchanym drapieźniku jest coś, co skłania do dotknięcia - może świadomość, że w innych okolicznościach podobna śmiałość zakończyłaby się śmiercią lub amputacją. Może dziwne poczucie władzy. Może wszyscy odczuwamy perwersyjną chęć, by zbliżyć się do czegoś, co może nas zniszczyć.

Odwróciłam się od zdjęć i przetałam lekko inne przedmioty, patrząc na muzeum oczami turysty, który spędza czas w ośrodku sportów wodnych. Albo - jak to ujęła gazeta - w „prawdziwym” Muzeum Waleni i Delfinów. Nie miałam odwiedzających od dziesięciu dni.

„Może trudno im się dziwić” - pomyślałam, wieszając ostrożnie harpun na hakach. To coraz mniej było muzeum, a coraz bardziej kupa sta

rych kości w rozwalającej się szopie. Nie zamknęłam go tylko ze względu na ojca.

Załogi siedziały przed hotelem, dyskutując zawzięcie przy piwie i chipsach, jak by tu powstrzymać nową inwestycję. Nie chciałam być wśród nich, udawać oburzenia na jeszcze niepopołnione zbrodnie wobec wolnych mieszkańców mórz. Moje własne odczucia i obawy były zupełnie różne.

Usłyszałam skrzypnięcie drzwi i odwróciłam się. W progu stał Mike Dormer. Pod światło nie widziałam jego twarzy, więc podeszłam bliżej.

- Nie byłem tu jeszcze - powiedział, rozglądając się w ciemności. Ręce trzymał głęboko w kieszeniach, jego zwykle wyprostowana sylwetka była zgarbiona i wyrażała skrucę.

- Nie, nie byłeś - przyznałam.

Spacerował powoli po sali, patrzył na stare liny, sieci i boje, kombinezony wielorybników z lat trzydziestych. Wszystko wydawało się go interesować bardziej niż większość odwiedzających.

- Poznaję to zdjęcie. - Przystanął przed oprawionym artykułem.

- No tak... to jedno wiemy o tobie, Mike, starannie wszystko sprawdzasz.

Zabrzmiało to ostrzej, niż chciałam, ale byłam zmęczona i wciąż czułam się wytrącona z równowagi, bo tak długo mieszkał pod moim dachem, a ja się na nim nie poznałam.

- Przykro mi - odparł - ale zasłużyłem sobie na to. Prychnęłam i zaczęłam odkurzać pamiątki na długim stole obok starej kasy. Kółka na klucze z wielorybem, kauczukowe piłeczki z delfinem, pocztówki i

ręczniki kąpielowe z uśmiechniętymi waleniami - sama tandeta! Prezenty dla dzieci. Jaki w nich sens, skoro żadne dzieci tu nie przychodziły?

- Kathleen, wiem, że nie chcesz ze mną rozmawiać, ale mam ci coś do powiedzenia. Chcę, żebyś zrozumiała, to dla mnie ważne.

- Rozumiem, w porządku.

- Nieprawda. Chciałem coś powiedzieć. Naprawdę! Przyjechałem tu z myślą, że to kolejne rutynowe przedsięwzięcie. Myślałem, że przyjadę i wyjadę, że będziemy budować w miejscu, na którym nikomu nie zależy. Gdy zdałem sobie sprawę, że tak nie jest, starałem się opracować rozwiązanie, które zadowoliliby i mojego szefa w Anglii, i was tutaj. Musiałem wiedzieć jak najwięcej.

- Mogłeś nam powiedzieć. Może moglibyśmy ci pomóc. Zwłaszcza ja, skoro mieszkam w okolicy przeszło siedemdziesiąt lat.

- Teraz to widzę. - Zauważyłam z dziwną satysfakcją, że jego buty są bardzo znoszone. - Ale gdy was poznałem, nie było takiej możliwości.

- Zwłaszcza Lizę - strzeliłam.

- Tak - przyznał - zwłaszcza Lizę.

- No, cóż, Mike, jak na spokojnego faceta, sporo namieszałeś. - Wciąż wycierałam kurze, nie wiedząc, co ze sobą zrobić. Nie chciałam spojrzeć mu w twarz. Milczeliśmy kilka minut, sprzątałam odwrócona plecami. Czułam jednak, że na mnie patrzy

- Tak czy inaczej - odkaszlnął - rozumiem, że to zmienia sytuację. Dzwoniłem w kilka miejsc. Znalazłem miejsce nieopodal, zgodzili się mnie, to znaczy nas, przyjąć. Pojedziemy tam po południu. Chciałem

tylko powiedzieć, jak mi przykro, i jeżeli mogę coś zrobić, żeby złagodzić skutki tego projektu, daj mi znać.

Zatrzymałam się ze ścierką w dłoni i odwróciłam do niego. Gdy odzyskałam głos, zabrzmiał nienaturalnie głucho w przestronnej sali.

- Jak możesz złagodzić skutki zniszczenia siedemdziesięcioletniego przedsiębiorstwa rodzinnego, Mike? - spytałam.

Wyglądał na załamane, tak jak przypuszczałam.

- Wiesz, co ci powiem? Wbrew temu, co myślisz, nie dbam o hotel. Budynki jako takie nie mają dla mnie znaczenia, a ten rozpada się od lat. Nie chodzi mi też o zatokę, delfiny i wieloryby dadzą sobie radę, choć niektórzy nadgorliwcy sądzą inaczej. - Przełożyłam ścierkę do drugiej ręki. - Ale powinieneś coś wiedzieć, Mike'u Dormerze. Niszcząc to miejsce, niszczysz bezpieczeństwo Hanny. To jedyne miejsce na świecie, gdzie może dorastać bez zmartwień, bezpiecznie, niezagrożona. Nie mogę powiedzieć nic więcej, ale powinieneś to wiedzieć. Twoje działania będą miały wpływ na naszą dziewczynkę. A tego nie mogę ci wybaczyć.

- Ale dlaczego miałybyście stąd odejść? - zdziwił się.

- Jak możemy żyć w hotelu bez klientów?

- Kto powiedział, że nie będziecie miały gości? Wasz hotel jest zupełnie różny od naszego. Zawsze znajdują się amatorzy takich miejsc.

- Gdy obok jest sto pięćdziesiąt pokoi i apartamentów z telewizją satelitarną i ogrzewanym basenem? Nie sądzę. Jedyłą naszą kartą przetargową była izolacja. Przyjeżdżali tu ludzie, którzy chcieli być daleko od świata. Chcieli słyszeć nocą morze i szelest traw na wydmach, i nic wię

cej. Nie chcieli karaoke w knajpie „Pod Humbakiem” i odgłosów czterdziestu ośmiu samochodów na parkingu. Mike, znasz się na finansach, specjalizujesz w analizach rynkowych. Powiedz, czym przyciąga się turystów.

Tylko potrząsnął głową.

- Wracaj do swoich władców, Mike. Powiedz im, że wszystko załatwione, czy jak to tam w City nazywacie.

Byłam bliska łez i tak mnie to rozwścieczyło, że musiałam znów zabrać się do odkurzania, żeby nie widział mojej twarzy Siedemdziesiąt sześć lat, a beczy jak mała dziewczynka. Nie mogłam się jednak powstrzymać. Jak tylko pomyślałam, że Liza i Hanna będą musiały zamieszkać gdzieś daleko stąd, zaczynać wszystko od początku, brakowało mi tchu.

Miałam nadzieję, że Mike wyjdzie bez słowa, dlatego tak długo pokazywałam mu plecy. Jednak kiedy się odwróciłam, stał tam, gdzie poprzednio, ze wzrokiem utkwionym w podłogę, pogrążony w myślach.

W końcu podniósł głowę.

- Zmienię to - obiecał. - Nie wiem jak, Kathleen, ale wszystko naprawię.

I odwrócił się na pięcie.



Następnego dnia podrzuciłam Hannę do szkoły, a potem pojechałam odwiedzić Nino Gainesa. Był jedną z niewielu osób, z którymi mogłam uczciwie rozmawiać o pieniądzach. Gdybym powiedziała Lizie, jak nie

wiele ich mamy, martwiłaby się jeszcze bardziej, a ja zawsze z ledwością ukrywałam fakt, że jej wycieczki z turystami nie pokrywają kosztów utrzymania hotelu.

- To ile masz?

Siedzieliśmy w jego biurze. Z okna widziałam rzędy winorośli bezlistne o tej porze roku jak bataliony nagich tyczek pod szarym niebem. Na półkach miał książki o winie, a na ścianie oprawiony plakat z pierwszej promocji jego shiraz w supermarkecie. Lubiłam biuro Nina - mówiło o zdrowych interesach, innowacji i sukcesie mimo podeszłego wieku właściciela.

Nagryzmoliłam kilka cyfr w notesie i podałam mu bez słowa. Może to głupie, ale wychowano mnie w poczuciu, że rozmowy o pieniądzach są przejawem złego wychowania.

- To przychody bez podatku. A to dochód. Radzimy sobie. Gdybym jednak miała położyć nowy dach czy coś w tym rodzaju, musiałabym sprzedać łódź.

- Aż tak cienko?

- Aż tak cienko.

Nino był trochę zaskoczony. Pewnie dotąd zakładał, że skoro mój ojciec był przed laty ważną osobą w okolicy, muszę siedzieć na sporym kapitale. Wyjaśniłam mu jednak, że od czasów świetności hotelu minęło niemal pięćdziesiąt lat, a od ostatnich dziesięciu nie miałyśmy regularnie gości. Podatki, koszty remontów i utrzymania dwóch dodatkowych osób, z których jedna wymagała stale nowych butów, książek i ubrań, przejadły niewielkie oszczędności, które zdołałam odłożyć przez lata.

Ledwie Nino upił łyk herbaty, Frank przyniósł nam tacę z talerzem ciasteczek. Zdziwiłam się na widok koronkowej serwetki na talerzu, czyżby Frank położył ją na moją cześć?

- Chcesz, żebym zainwestował w hotel? Trochę odświeżył pokoje, zainstalował telewizję satelitarną?

Miałem kilka dobrych lat. Chętnie włożę trochę grosza w coś nowego. - Uśmiechnął się Nino. - Mój księgowy mawia, że trzeba zróżnicować źródła dochodu. Możesz być moim źródłem.

- Ale jaki to ma sens? Wiesz równie dobrze jak ja, że gdy wybudują tu tego potwora, będziemy tylko szopą w ich ogródku.

- Nie dacie rady utrzymać się z wycieczek morskich? Liza mogłaby wypływać częściej, zabierać więcej ludzi. Może mogłybyście zainwestować w drugą łódź, wynająć kogoś, kto ją poprowadzi.

- O to właśnie chodzi, Liza nie zostanie, jeżeli zjadą się tu ludzie. Ona... ona robi się nerwowa. Potrzebuje spokoju.

Nawet samej siebie nie przekonałam. Już dawno przestałam rozumieć enigmatyczne zachowanie Lizy.

Nino przetrawiał to, co usłyszał. Dopiłam herbatę i odstawiłam filiżankę na tacę. Pochylił się nad biurkiem.

- Dobrze, Kate. Wiesz, że nigdy się nie wtrącałem, ale muszę zapytać - ściszył głos. - Na miłość boską, przed czym Liza ucieka?

Wtedy się rozplakałam i przerażona zdałam sobie sprawę, że nie mogę przestać. Szlochałam tak gwałtownie, że ramiona trzęsły mi się jak u marionetki. Chyba nie ryczałam tak, odkąd przestałam być dzieckiem, ale nie mogłam się powstrzymać. Ze wszystkich sił próbowałam chronić moje dziewczynki, ale Mike Dormer i jego idiotyczne, zdradzieckie pla

ny uświadomiły mi, jak bardzo są bezbronne. Jak łatwo nasz azyl na końcu zatoki zmienić w kupę drewna na opał.

Uspokoiliam się w końcu i spojrzałam na Nina.

- Nie możesz mi powiedzieć, tak? - Uśmiechał się ze współczuciem, w oczach miał troskę.

Ścisnęłam głowę w dłoniach.

- To musi być coś poważnego, skoro tak tobą wstrząsnęło - powiedział.

- Nie wolno ci o niej źle myśleć - wymamrotałam spomiędzy palców. Poczułam, jak wcisnął w nie spraną, miękką chusteczkę i otarłam nieelegancko oczy. - Nikt nie wycierpiał tyle, co ona.

- Tylko nie zaczynaj. Znam twoje dziewczyny i wiem, że w żadnej nie ma krztyny zła. Nie będę więcej pytał, Kate. Pomyślałem po prostu, że jak komuś powiesz... co by to nie było... poczujesz się trochę lepiej.

Wtedy wyciągnęłam rękę i ścisnęłam jego starą, silną dłoń. Odwzajemnił uścisk. Ten gest napełnił mnie otuchą o wiele bardziej, niż przypuszczałam.

Siedzieliśmy tak przez kilka minut, słuchając tykania zegara na kominku. Czułam ciepło jego ręki w mojej własnej. Zdałam sobie sprawę, że nie chcę wracać do domu. Nie miałam siły pocieszać szalejącej z niepokoju Lizy, nie chciałam być miłą dla Mike'a Dormera i jego modnej dziewczyny. Nie chciałam nawet kalkulować ich rachunku. Chciałam tylko siedzieć w cichym pokoju, w spokojnej dolinie z kimś, kto się mną zaopiekuje.

- Możesz zamieszkać tu - odezwał się łagodnie Nino, jakby słyszał moje myśli.

- Nie mogę.

- Dlaczego?

- Już ci mówiłam, nie mogę zostawić dziewczynek.

- Miałem na myśli ciebie i dziewczynki. Czemu nie? Jest dość miejsca, Hanna miałaby blisko do szkoły, gdybyś chciała ją odwozić. Spójrz na ten wielki stary dom.

Ucieszyłby się, gdyby zamieszkali w nim młodzi. Frank jest tu tylko dlatego, że nie chce, abym został sam. Milczałam. W głowie miałam chaos.

- Zamieszkajcie ze mną. Załatwimy to, jak zechcesz. Możesz dostać własny pokój albo... - Patrzył na mnie znacząco, a w jego oczach mimo ciężkich powiek widziałam to samo spojrzenie młodego żołnierza sprzed pięćdziesięciu lat. - Nie będę nalegał, ale wiem, że bylibyśmy szczęśliwi. A ja pomógłbym ci chronić dziewczynki. Cholera, nie znajdziesz lepszej kryjówki! To takie odludzie, że nawet listonosz czasem nie może trafić.

Roześmiałam się mimo woli. Jak już mówiłam, Nino Gaines zawsze tak na mnie działał. Ścisnął mocniej moją rękę.

- Wiem, że mnie kochasz, Kathleen. - Milczałam, ale ciągnął dalej: - Wciąż pamiętam tamtą noc. Każdą chwilę. I wiem, co to oznacza.

Podniosłam gwałtownie głowę.

- Nie mów o tym - warknęłam.

- To dlatego nie chcesz wyjść za mnie za męża? Czujesz się winna? Na miłość boską, Kate, to była jedna noc przed dwudziestu laty. Mnóstwo mężów zachowuje się znacznie gorzej. Tylko jedna noc, która nigdy się nie powtórzyła, tak jak uzgodniliśmy

Potrząsnęłam głową.

- I dotrzyaliśmy obietnicy, prawda? Byłem dla Jean dobrym mężem, wiesz o tym.

O, wiedziałam! Rozmyślałam o tym przez ponad pół życia.

-Więc dlaczego? Jean powiedziała mi... Jezu, na łożu śmierci powiedziała, że pragnie mojego szczęścia.

Praktycznie dała nam swoje błogosławieństwo. Co nas, co ciebie powstrzymuje?

Musiałam wstać i wyjść. Uścisnęłam mu rękę, drugą dłonią zatykając sobie usta w obawie, że znów zacznę płakać, i chwiejnym krokiem odeszłam do samochodu.

Nie mogłam - nie mogłam powiedzieć mu prawdy. Ostatnie słowa Jean były wiadomością nie dla niego, tylko dla mnie. Mówiła mi za jego pośrednictwem, że wie -że wiedziała przez te wszystkie lata. A ta kobieta znała i mnie, i Nina lepiej, niż sądził - wiedziała, że wyrzuty sumienia nie dadzą mi spokoju do końca życia.



Tej nocy nie wyszłam do załóg. Przewidziałam - jak się okazało, trafnie - że wzburzeni ludzie będą dyskutować głośno do późnej nocy. Powiedziałam Lizie, że boli mnie głowa, i usiadłam w moim małym biurze przy kuchni. Wpatrzyłam się w faktury - historię hotelu w liczbach. Lata 1946-1960 były okresem świetności, o czym świadczyła sama grubość ksiąg rachunkowych. Od czasu do czasu otwierałam je i oglądałam pozółkłe faktury za wołowinę, brandy z importu i cygara dla uczczenia do

brych połowów. Mój ojciec nie wyrzucał najmniejszego kwitka, a ja przejęłam ten zwyczaj. Wtedy jeszcze ryb było pod dostatkiem, okolica rozbrzmiewała śmiechem, życie wydawało się proste, a jego sensem było świętowanie końca wojny i powojennego dostatku.

Grzbiet księgi rachunkowej z zeszłego roku był gruby tylko na centymetr. Przesunęłam dłonią po oprawnych w skórę tomach, rejestrując ich malejącą objętość. Potem spojrzałam na ślubne zdjęcie matki i ojca. Patrzyli na mnie poważnie. Zastanawiałam się, jak by podsumowali sytuację, do której, jakby nie było, to ja doprowadziłam ich firmę. Nino powiedział, że prawdopodobnie mogłabym sprzedać posiadłość inwestorom, że sprawny negocjator podbiłby cenę. Może mogłabym zacząć od nowa gdzie indziej. Byłam jednak za stara na szukanie nowego miejsca, za stara, by stłoczyć moje życie w jakimś małym, kanciastym domu. Nie chciałam szukać nowych przychodni i supermarketów, prowadzić grzecznych rozmów z nowymi sąsiadami. Moje życie było w tych ścianach, wśród tych ksiąg. Wszystko, co miało dla mnie znaczenie, skupiało się w tym miejscu. Gdy spojrzałam na rachunki, zrozumiałam, że nie powiedziałam Ninowi prawdy. Potrzebowałam tego domu bardziej, niż mi się wydawało.

Zwykle nie piję, ale tej nocy wyciągnęłam z szuflady biurka starą srebrną piersiówkę ojca i pozwoliłam sobie na kilka łyków whisky. Był już prawie kwadrans po dziesiątej, gdy Liza zapukała do drzwi.

- Jak twoja głowa? - spytała, zamykając je za sobą.

- W porządku. - Zamknęłam księgę rachunkową. Udawałam przed

nią, że pracuję. Głowa rzeczywiście mnie nie bolała, ale poza tym... Lepiej nie mówić.

-Mike Dormer właśnie poszedł na górę. Sprawiał wrażenie, jakby nigdzie się nie wybierał. Pomyślałam, że chyba musisz z nim porozmawiać.

-Pozwoliłam mu zostać - odparłam cicho, wstając. Odstawiłam księgę na miejsce.

-Co takiego?!

-Słyszałaś.

-Ale dlaczego? Nie chcemy, żeby tu był.

Nie patrzyłam na nią. Nie musiałam - odgadłam z jej tonu, że była czerwona z wściekłości.

-Zapłacił za cały miesiąc.

-Więc zwróć mu pieniądze.

-Myślisz, że mogę sobie na to pozwolić?! - warknęłam. - Płaci trzy razy więcej niż normalnie.

-Pieniądze nie są ważne.

-Owszem, są. Są ważne, bo będziemy potrzebowały każdego pensa, a to oznacza, że każdy gość, który chce się tu zatrzymać, będzie mile widziany, nawet jeżeli krew się we mnie burzy na samą myśl.

Była wstrząśnięta.

-Ale pomyśl, co on zrobił.

-Dwieście pięćdziesiąt dolarów za noc, Lizo, o tym teraz myślę. Plus wyżywienie jego dziewczyny Powiedz, jak inaczej zdobędziemy te pieniądze?

-Wielorybnicy są tu co wieczór.

-Jak myślisz, ile na nich zarabiam? Po kilka centów za butelkę piwa. Po dolarze za posiłek. Naprawdę myślisz, że mogę z nich ściągać normalne pieniądze, skoro wiem, że większość żywi się głównie resztkami ciastek po gościach? Na miłość boską, czy nie widzisz, że Yoshiko poważnie w ogóle nie ma pieniędzy?

- Ale on nas zniszczy. A ty pozwolisz mu przesiadywać w najlepszym pokoju?!

- Co się stało, to się nie odstanie, Lizo. Przetrawanie czy upadek tego hotelu już od nas nie zależy. Teraz musimy zarobić jak najwięcej, dopóki mamy jeszcze okazję.

- Depcząc zasady?

- Nie stać nas na zasady, Lizo, taka jest prawda. Przynajmniej jeżeli chcemy kupić Hannie buty

Wiedziałam, o co jej naprawdę chodzi, chociaż żadna z nas nie wypowiedziała tego głośno. Jak mogłam gościć człowieka, który złamał jej serce, a przynajmniej to, co z niego pozostało? Jak mogłam zmuszać ją do patrzenia na niego i tę jego dziewczynę?

Mierzyłyśmy się wzrokiem. Czułam, że brak mi tchu. Oparłam się o biurko, żeby nie upaść. Wargi Lizy były zaciśnięte z gniewu i oburzenia.

- Wiesz, Kathleen, naprawdę czasem cię nie rozumiem.

- No cóż, nie musisz - ucięłam krótko, udając, że sprzątam biurko. - Zajmij się sobą i pozwól mi prowadzić mój hotel.

W ciągu pięciu lat jej pobytu u mnie nie pokłóciłyśmy się ani razu i ta wymiana zdań wstrząsnęła nami obiema. Ale miałam chęć pociągnąć z piersiówki! Nie chciałam jednak pić przy niej, bałam się, że weźmie ze mnie przykład i znów zacznie kręcić z Gregiem.

W końcu odwróciła się gwałtownie i wyszła bez słowa.

Nie mogłam powiedzieć jej prawdy o swojej decyzji. Musiałam ugryźć się w język. Wiem, że protestowałaby, gdybym choć napomknęła o swoich podejrzeniach. Nie chodziło mi bowiem tylko o pieniądze. Zdawałam sobie sprawę bardziej niż ktokolwiek inny, że ten młody człowiek, którym tak pogardzała, też jest ofiarą całej sytuacji. Co więcej, chodziło o przynętę. No i przede wszystkim miałam przecucie, że trzymanie Mike'a Dormera blisko jest naszą najlepszą szansą na przetrwanie.



RS

Rozdział 14

Mike

Spacerowicze z psami przestali do mnie machać. Pierwszego ranka pomyślałem, że może mnie nie zauważyli. Może naciągnąłem czapkę zbyt głęboko na oczy. Przyzwyczaiałem się do naszych porannych uprzejmości i odruchowo szukałem wzrokiem znajomych twarzy. Drugiego dnia jednak, gdy odwrócili się na mój widok, zdałem sobie sprawę, że w Srebrnej Zatoce jestem wrogiem publicznym numer jeden.

Sytuacja powtórzyła się na pobliskiej stacji benzynowej, przy kasie w supermarkecie i w małej kawiarni obok przystani, gdzie wstąpiłem na kawę. Dopiero po czterdziestu minutach czekania i kilku przypomnieniach ktoś podszedł do mojego stolika.

Vanessa była w wojowniczym nastroju.

- Zawsze kogoś zjeżysz, taka praca - prychnęła lekceważąco. - Pamiętasz tę szkołę we wschodnim Londynie? Mieszkańcy okolicznych bloków byli przeciw, dopóki się nie dowiedzieli, jak bardzo wzrośnie wartość ich mieszkań.

„Ale to co innego” - chciałem jej powiedzieć. Tam nie obchodziło mnie, co o mnie myślą. Poza tym Vanessa nie była narażona na konfrontacje z Lizą, której lodowata pogarda zrobiłaby wrażenie nawet na moim przyszłym teściu Dennisie. Ten jeden raz, gdy za stałem ją samą w kuchni, a Vanessa była na górze, odważyłem się odezwać.

- Mówiłem już twojej ciotce. Będę próbował powstrzymać budowę. Przykro mi.

Spojrzała na mnie tak, że z miejsca urwałem.

- Dlaczego jest ci przykro, Mike? Dlatego że mieszkałeś tu, udając kogoś innego, że doprowadzasz nas do bankructwa czy że jesteś fałszywym du...

- Mówiłaś, że nie chcesz związku.

- A ty nie mówiłeś, że jeden już masz! - wybuchnęła i zaraz jakby pożałowała swojej szczerości. Wiedziałem jednak, co czuje. Wciąż pamiętałem tę chwilę w samochodzie tak dokładnie, jakbym miał w głowie taśmę z nagraniem. Mogłem odtworzyć słowo po słowie wszystko, co sobie powiedzieliśmy. To tak bardzo przypominało mi o własnej dwulicowości, że zwykle zaraz dzwoniłem do Dennisa albo wynajdywałem sobie jakieś zajęcie związane z projektem. Na tym właśnie polega magia biznesu - pozwala on umknąć ze świata ludzi w świat pieniędzy. A tam zawsze wiadomo, na czym się stoi.

Wy tłumaczyłem Vanessie, dlaczego uważam, że w obecnym kształcie projekt jest chybionym pomysłem. Nie uwierzyła mi, więc zabrałem ją na wycieczkę na *Mobym I* z grupą turystów i pokazałem delfiny. Yoshiko i Lance byli jadowicie uprzejmi. Tak brakowało mi swobodnej rozmowy i sarkastycznych uwag Lance'a! Jeszcze nigdy nie byłem dla nich tak obcy, nawet pierwszego dnia.

Milcząca wrogość emanowała zewsząd. Miałem wrażenie, że nawet koreańscy turyści patrzą na mnie krzywo.

- Równie dobrze mógłbym wziąć harpun i zamordować jakiegoś wieloryba - powiedziałem, gdy milczenie stało się nie do zniesienia.

Vanessa uznała, że przesadzam.

- Co cię obchodzi, co myślą? Za kilka dni wyjedziesz i nigdy więcej ich nie zobaczysz.

- Obchodzi mnie, bo chcę to naprawić - odparłem. - I myślę, że możemy to zrobić. Połączyć etyczne z ekonomicznym. - Wiedziałem, że poparcie mojej narzeczonej jest kluczem do zgody Dennisa.

- Etyka w biznesie, co? - Uniosła brew, ale nie skreśliła pomysłu.

Potem, jakby w odpowiedzi na moje modły, wypłynęliśmy na otwarte morze. Przez głośniki dobiegł głos Yoshiko, podniecony jak zawsze w obecności wielorybów.

- Szanowni państwo, proszę wyjrzeć przez bakburtę... przez lewą burtę. Zobaczą tam państwo humbaka. Może płynąć w naszym kierunku, więc wyłączymy silniki i zobaczymy, co robi.

Na górnym pokładzie rozległ się szmer podniecenia. Owinąłem szczelniej szalik wokół szyi i pokazałem Vanessie, gdzie wypatrywać wodotrysku. Obserwowałem jej twarz, wiedząc, że ten moment przesądzi o wszystkim. W duchu zanosilem modły, aby wieloryb zrobił co trzeba - dla dobra swojego gatunku.

Waleń jak na komendę wynurzył się zaledwie kilkanaście metrów od łodzi i znów zapadł pod wodę. Tak jak ja wcześniej Vanessa nie mogła powstrzymać westchnienia zachwytu na widok olbrzymiego cielska. Jej twarz złagodniała w wyrazie niemal dziecięcej radości.

Na chwilę ujrzałem w niej dziewczynę, którą kochałem przed przyjazdem tutaj. Chwyciłem i uścisnąłem jej rękę. Odwzajemniła uścisk.

- Rozumiesz, co miałem na myśli? - spytałem.

- Ale plan dostał zgodę miasta - odpowiedziała, gdy mogła już odwrócić wzrok od wieloryba - dzięki tobie.

-Tak, ale to był błąd. Słuchaj, ja widziałem, co się może stać, i nie chcę być odpowiedzialny za coś takiego.

Staliśmy, patrząc, jak wieloryb wynurza się ponownie i znika pod falami trochę dalej, jak zaspokoiwszy ciekawość, wyrusza w dalszą podróż. Turyści wywieszali się za reling w nadziei, że jeszcze go zobaczą, a potem wracali na plastikowe ławki i krzesła, rozmawiali i porównywali zdjęcia, westchnąłem z ulgą, że kolejna wycieczka zakończyła się sukcesem. Może Lance i Yoshiko dyskutują na dole w kokpicie o trasie zwierzęcia, rozmawiają z innymi załogami przez radio, zastanawiają się, gdzie teraz płynąć.

„Jeżeli Vanessa zrozumie - kalkulowałem - mamy szansę zmienić umowę”.

Spojrzałem na daleką linię brzegu i rząd małych, nie zamieszkanym wysp na jego tle. Wokół nas krążyły ptaki, niektóre nurkowały. Starałem się przypomnieć sobie ich nazwy zasłyszane od załóg: rybołowy głuptaki, bieliki biało brzuche... Morze wznosiło się i opadało rozmigotane z jednej strony, ciemne i groźne z drugiej. Mimo ich problemów finansowych, niepewnego zarobku i diety z suchych ciastek, zazdrościłem wielorybnikom.

Wreszcie Vanessa przemówiła. Kapelusz miała nasunięty na czoło, więc nie mogłem dostrzec jej twarzy.

- Mike?

Odwróciłem się do niej. Miała w uszach diamentowe kolczyki - prezent ode mnie na trzydzieste urodziny

- Wiem, że coś się stało - powiedziała ostrożnie. - Wiem, że straciłam część ciebie. Ale udam, że nic takiego nie miało miejsca, że między nami wszystko w porządku i że to po prostu dziwna reakcja na perspektywę ślubu.

Serce we mnie zamarło.

- Nesso, nic się nie...

Spojrzała na mnie z bólem w oczach. Z miejsca się za to znienawidziłem.

- Nie chcę wyjaśnień - przerwała mi. - Nie chcę, żebyś czuł się zmuszony do tłumaczenia czegokolwiek. Jeżeli uważasz, że możemy być razem, że możesz mnie kochać i być mi wierny, chcę, żeby wszystko zostało po staremu. Chcę, żebyśmy się pobrali, zapomnieli o wszystkim i żyli dalej.

Silniki wznowiły pracę. Poczułem drżenie pod stopami, a potem, gdy łódź drgnęła, wiatr. Lance zaczął coś mówić przez głośniki, więc nie wiem, czy dodała coś jeszcze.

Spojrzała na morze, podnosząc kołnierz płaszcza.

- W porządku? - spytała. - Może tak być?

- Tak - odpowiedziałem i podszedłem bliżej. Pozwoliła mi się objąć. Jak już mówiłem, moja dziewczyna była mądra.



Pięć ostatnich dni dzielących nas od wyjazdu Vanessa i ja spędziliśmy głównie zamknięci w naszym pokoju.

Nie, to nie był nasz wstęp do miesiąca miodowego, jak pewnie sądziły Liza i Kathleen. Pochyleni nad laptopem pracowaliśmy nad zmianą planów, żeby zadowolić jej ojca i przedstawicieli funduszu powierniczego. Nie było łatwo.

-Jeżeli znajdziemy unikatową cechę produktu, damy radę - powiedziała. Dziękowałam Bogu, że ma talent do marketingu. - Jeśli nie sporty wodne, to wieloryby Tylko musimy znaleźć sposób, żeby nie wyeliminować dotychczasowych obserwatorów wielorybów. Czyli własne rejsy odpadają...

Rozmawiała już z przedstawicielami parków narodowych i straży ochrony przyrody, ale powiedzieli, że nie będą zachęcać turystów do bliższych kontaktów z delfinami niż obecnie.

- Może jakieś radykalne rozwiązanie, rodzaj platformy przy ujściu zatoki, z podwodnym punktem obserwacyjnym? - zastanawiała się.

- To za drogie. I sternicy prawdopodobnie by zaprotestowali. Możemy zbudować nową przystań z restauracją na piętrze i punktem obserwacyjnym.

- Myślisz, że można coś zobaczyć tak blisko lądu? - Ssała koniec długopisu. - Możemy spróbować ze spa.

- Twojemu ojcu nie podobał się ten pomysł.

- Albo złożyć plany do kupy i znaleźć inną lokalizację. Nie wiem, jak do tego podejść bez sportów wodnych. Hotelu nic nie będzie wyróżniać spośród tysięcy innych. Nie w wyższym segmencie.

- Tenis? Jazda konna? - podsunąłem.

- Tylko nowa lokalizacja. - Pokręciła głową. - Mamy pięć dni na znalezienie nowej lokalizacji dla inwestycji wartej sto trzydzieści milionów funtów.

Spojrzeliliśmy na siebie i wybuchnęliśmy śmiechem. Wypowiedzenie tego głośno sprawiło, że ujrzeliliśmy absurd całej sytuacji.

Vanessa Beaker nie darmo jednak była córką swojego ojca. Posiłkując się starą książką telefoniczną Kathleen, w ciągu godziny obdzwoniła prawdopodobnie wszystkich agentów nieruchomości od Cairns do Melbourne.

- Może mi pan przysłać zdjęcia? Czy wody są ostoją gatunków chronionych? Czy w okolicy żyją zwierzęta, na które budowa mogłaby mieć negatywny wpływ? Czy byliby zainteresowani sprzedażą? Czy są skłonni negocjować cenę? - padały pytania.

Pod koniec drugiego dnia znaleźliśmy dwie możliwe lokalizacje. Jedną był hotel w budowie godzinę drogi na południe od Brisbane. Po stronie plusów miał własną, zamkniętą zatokę wykorzystywaną już do sportów wodnych. Jednak krajobraz miał się nijak do Srebrnej Zatoki, poza tym stało tam już kilka pięciogwiazdkowych hoteli. Drugie miejsce, pół godziny drogi od Bundaberg, było lepsze, ale ponad trzykrotnie droższe.

- Ojcu się to nie spodoba - powiedziała Nessa i zaraz uśmiechnęła się radośnie - ale wszystko da się załatwić, prawda? Jeżeli się postaramy? Zobacz, ile już dokonaliśmy

- Jesteś gwiazdą! - Odgarnąłem jej włosy z czoła.

- Żebyś o tym nie zapomniał! - odparła. W jej głosie chyba zabrzmiała groźba, ale mogło mi się wydawać.



Tej nocy kochaliśmy się po raz pierwszy od przyjazdu do Srebrnej Zatoki. Zważywszy na nasze wcześniejsze apetyty na miłość, trudno mi wyjaśnić, dlaczego dopiero teraz. I atmosfera między nami wciąż była dziwna. Żadne z nas nie czuło dawnej pewności co do reakcji drugiej osoby. Winą za tę niepewność obarczyliśmy zmęczenie i za dużo alkoholu. Nagle zaczęły mi przeszkadzać cienkie ściany hotelu.

Zjedliśmy na mieście i wróciliśmy spacerem wzdłuż zatoki, trzymając się za ręce. Wino, światło księżyca i świadomość, że może ocalimy Srebrną Zatokę od losu, złagodziły mój nagły opór wobec Vanessy.

„Prawie to zniszczyłem - powtarzałem sobie, gdy szliśmy wzdłuż brzegu - ale uratujemy projekt, wieloryby i nasz związek. Dostałem drugą szansę”.

W pokoju zgasiliśmy światło i rozebraliśmy się bez słowa, jakbyśmy telepatycznie zdecydowali, że nadszedł już czas. Zbliżyliśmy się do siebie. Ja koncentrowałem się tylko na wspaniałej figurze Vanessy, na swych odczuciach, gdy położyliśmy się razem na starym łóżku, skóra przy skórze. Jej dłonie umiejętnie szukające mojej męskości, usta wzdychające lekko... Dotykałem jej piersi, zanurzyłem twarz w jej włosach. Pamiętałem ten zapach, te znajome krągłości pod opuszkami palców. Wreszcie wszedłem w nią i zapominając o wszystkim, wydałem krótkie westchnienie ulgi.

Leżeliśmy w milczeniu, jakby przygniecenii niewidocznym ciężarem.

- W porządku? - spytałem, ujmując jej dłoń.

- Tak - odpowiedziała po chwili - cudownie. Wpatrzyłem się w ciemność, słuchając fal liżących

piasek i dalekich odgłosów samochodów. Myślałem o tym, co utraciłem. Co było stracone na zawsze.

Wyjechaliśmy w sobotę. Zszedłem wcześniej na dół i uregulowałem należność z Kathleen. Zapłaciłem gotówką, myśląc, że przyda jej się bardziej niż przelew.

- Odezwę się - powiedziałem. - Wydarzenia nabrały tempa. Sporo się dzieje, ale w dobrą stronę.

- Mam nadzieję. - Spojrzała na mnie spokojnie. Włożyła pieniądze do puszkki pod biurkiem bez liczenia. Poczułem ulgę, że wciąż mi ufała.

- Czy... czy Liza jest gdzieś w pobliżu? - spytałem.

- Wy płynęła na *Izmaelu* - odparła.

- Pożegnaj ją ode mnie. - Starłem się, żeby zabrzmiało to naturalnie. A nie było to łatwe, bo Vanessa już zeszła na dół i stała mi za plecami.

Kathleen nie odpowiedziała, ale uściśnięła dłoń mojej narzeczonej.

- Do widzenia. I wszystkiego dobrego na nowej drodze życia.

„Różnie to można rozumieć” - pomyślałem, idąc do pokoju po bagaże. Żadna interpretacja nie wróżyła najlepiej. Zszedłbym prosto na dół, ale mijając korytarz prowadzący do prywatnych pokoi, usłyszałem muzykę. Hanna nie wyszła jeszcze do szkoły. Odkąd sprawy wyszły na jaw, już ze mną nie rozmawiała. Jej milczenie bardziej niż cokolwiek innego ukazało mi rozmiar mojej porażki.

Stanąłem przed drzwiami i zapukałem. W końcu otworzyła. Muzyka zabrzmiała ze zdwojoną siłą.

- Pomyślałem, że się pożegnám - zacząłem. Milczała.

- Och... i przyniosłem ci to - podałem jej kopertę. -Twoja zapłata. Zdjęcia wyszły znakomicie.

Zerknęła na nią, ale nie wyciągnęła ręki.

- Mama mówi, że nie wolno mi przyjąć twoich pieniędzy. - W jej głosie zabrzmiał jakby cień przeprosin.

- W porządku. - Staralem się ukryć zawód. - W takim razie zostawię je w holu na stoliku i jeżeli naprawdę nie możesz ich wziąć, przekaz je na organizację pomagającą delfinom. Wiem, że je kochasz.

Usłyszałem telefon Vanessy na dole i kiwnąłem głową, jakbym chciał się usprawiedliwić, że muszę już iść. Hanna wciąż stała w drzwiach i patrzyła na mnie.

- Dlaczego nas okłamałeś, Mike? Zrobiłem krok w jej stronę.

- Nie wiem - odpowiedziałem. - Popełniłem wielki błąd i teraz staram się go naprawić.

Spuściła głowę.

- Dorośli też robią błędy - dodałem - ale teraz nie kłamię: zrobię wszystko, żeby to naprawić. Mam nadzieję... że mi uwierzysz.

Podniosła głowę. Ujrzałem w jej twarzy, że to nie była dla niej pierwsza tego typu lekcja, tylko utwierdziłem ją w przekonaniu o omylności dorosłych. Gorzej, że nasze błędy mogą wywrócić życie małej dziewczynki - to też już wiedziała.

Staliśmy naprzeciwko siebie, specjalista z City i jedenastolatka z australijskiej prowincji. Odetchnąłem głęboko i instynktownie wyciągnąłem rękę. Po chwili namysłu uścisnęła ją.

- A twój telefon? - spytała nagle, gdy schodziłem ze schodów. - Mam twój telefon.

- Zatrzymaj go - odpowiedziałem wdzięczny, że mogę jej cokolwiek zostawić. - Zrób z niego dobry użytek, Hanno. Naprawdę.

Vanessa czekała już w aucie. Miała na sobie swój kostium podróżny - tak go nazywała - czyli garnitur z odpornej na zagniecenia tkaniny. W torbie podróżnej trzymała czystą bluzkę i kaszmirowy kardigan, żeby się przebrać, zanim wylądujemy na Heathrow. Spytałem żartem, z kim ma spotkanie, a ona się odcięła, że może sam postanowiłem zostać niechlujem, ale ona nie. Chyba chodziło jej o moje dzinsy, w których ostatnio chodziłem niemal bez przerwy. Były już znoszone i wygodnie wytarte. Zakładanie garnituru na podróż samolotem wydało mi się przesadą.

- Zatem do zobaczenia - powiedziała Kathleen. Stała w drzwiach z założonymi ramionami. Zupełnie nie przypominała gościnnej pani domu, która przywitała mnie przed pięcioma tygodniami.

- Do widzenia. - Nie próbowałem uścisnąć jej dłoni. Coś w jej postawie mówiło, że byłby to bezcelowy gest. - Nie zawiodę cię, Kathleen - dodałem cicho, a ona cofnęła głowę, jakby nie chciała słyszeć nic więcej.

Spojrzałem na morze, czy nie widać gdzieś Lizy na *Izmaelu*. Powtarzałem sobie, że to najlepsze wyjście - że będzie lepiej, jeżeli nigdy się nie zobaczymy. Zresztą co miałbym jej do powiedzenia?

Jednak później, gdy mijaliśmy Przystań Wielorybów, we wstecznym lusterku ujrzałem na pomoście szczupłą blondynkę na tle rozświetlonego morza. Ręce trzymała w kieszeniach, a u stóp miała psa. Patrzyła za samochodem, gdy odjeżdżaliśmy wzdłuż wybrzeża.

Podróż powrotna, jak każdy dwudziestoczworgodzinny lot, nie należała do przyjemności. Siedzieliśmy obok siebie, sprawdzaliśmy terminale, wymienialiśmy się niechcianymi daniami i obejrzeliśmy kilka filmów, z których żaden nie zapadł mi w pamięć, ale byłem wdzięczny za

ten zabijacz czasu. Przespałem się kilka godzin, a gdy otworzyłem oczy, ujrzałem jak przez mgłę Vanesse sprawdzającą kolumnę cyfr. Znowu poczułem wdzięczność, że zechciała mnie poprzeć.

Wylądowaliśmy około szóstej rano, ale zanim przeszliśmy kontrolę paszportową, było już po siódmej. Na Heathrow panował tłok i chaos. Budynek był ponury, nawet w środku lata.

„Każdy źle się czuje, kiedy wraca z zagranicy” - tłumaczyłem sobie, masując zdrętwiały kark. Czekaliśmy na bagaże przy karuzeli. Towarzyszące temu zniecierpliwienie to jeden z pewników podróży, jak opóźnienia i niejadalne posiłki w samolocie. Nasze rozdrażnienie przybrało na sile, kiedy zostaliśmy powiadomieni beznamiętnym tonem, że z powodu wakatów jedna ekipa bagażowych musi obsłużyć cztery przyloty, wobec czego należy się spodziewać „niewielkiego opóźnienia”.

- Muszę napić się kawy - powiedziała Vanessa. Wyglądała na wyczerpaną mimo starannego uczesania i makijażu. Nigdy nie sypiała dobrze w samolocie. - Gdzieś tu powinien być sklep.

-Ja muszę znaleźć łazienkę - mruknąłem. - Kawa jest dopiero za odprawą. Pilnuj bagażu.

Mimo zmęczenia oddaliłem się wyjątkowo szybko. W ciągu ostatniego miesiąca przywykłem do samotności, a tydzień z Vanessą, wspólna praca i sen prawie bez chwili wytchnienia dały mi w kość. Tym bardziej że praktycznie byliśmy jak dwoje więźniów w jednej celi -nikt nie chciał z nami rozmawiać, więc byliśmy skazani tylko na siebie. Co zresztą miało i swoje plusy - bałem się na przykład, że Greg z właściwą sobie bezpośredniością powie Vanessie o swoich podejrzaniach co do mnie i Lizy.

Zaakceptowała niedomówienia, ale wolałem nie testować jej cierpliwości.

Krótki spacer po skrzypiącym pod stopami linoleum na Heathrow był pierwszą chwilą upragnionej samotności od ośmiu dni. Powtarzałem sobie, że postąpiłem słusznie, i ganiłem się w myślach za nielojalność. Zrobię to, co powinienem.

Wróciłem po kilku minutach z twarzą wilgotną od wody, po tym jak wsadziłem głowę pod kran. Gdy podszedłem bliżej, okazało się, że karuzela ruszyła. O dziwo, Vanessa nie zabrała naszych bagaży, choć widziałem je z daleka krążące samotnie na pasie transmisyjnym.

- Na pewno jesteś zmęczona - powiedziałem, chwytając walizki.

Gdy się jednak odwróciłem, wlokąc je za sobą - moja dziewczyna nie rozumiała, jak można podróżować z niewielkim bagażem - Vanessa jakby zastygła wpatrzona w telefon.

- Tylko nie twój tata. Nie tak od razu! - jęknąłem. - Nie mógł nam dać nawet chwili na powrót do domu i spokojny prysznic?

Drżałem przed spotkaniem z szefem i przyszłym teściem. Wiedziałem, że nawet w obecności Nessy to będzie trudna konfrontacja, więc potrzebowałem trochę czasu, żeby się nastawić psychicznie.

- Nie, to nie on. - Była nienaturalnie blada. - To twoja komórka. Dostałeś SMS-a. Od Tiny. - Podsunęła mi wyświetlacz pod nos, po czym opuściła lotnisko, porzucając resztę bagaży.



Ponownie spotkałem ją dopiero dwadzieścia osiem godzin później, gdy przyjechałem do biura na spotkanie z Dennisem. Chodził już i wyraźnie odzyskał energię.

- Co to jest, chłopcze? - powtarzał, stukając palcem w teczkę z planami. - Co się dzieje?

Biuro wydawało mi się obce, City tak głośnie i zatłoczone, że nie byłem w stanie wytłumaczyć tego tylko różnicą czasów. Gdy zamknąłem oczy, widziałem spokojny horyzont Srebrnej Zatoki. Gdy je otworzyłem, wokół były tylko szare chodniki, brudne rynsztoki i autobus numer 141 wypuszczający kłęby sinego dymu. Oraz biuro Beaker Holdings, w którym kiedyś czułem się lepiej niż we własnym domu, a teraz sprawiało wrażenie hermetycznego i wrogiego. Zawahałem się, tłumacząc samemu sobie, że skoro przetrzymałem *jet lag* w Australii, to przetrzymam i w Anglii.

A potem spotkałem się z Dennisem i nie miałem szansy na chwilę zastanowienia.

- No co się dzieje? Jesteś dumny ze swojego planu? Ci z Vallance są bardzo zadowoleni, to widać. Szczęśliwi jak przysłowiowe świnie przy korycie.

Przymusowa bezczynność przydała Dennisowi dodatkowych kilogramów. Był tłusty i rumiany i w porównaniu ze smukłymi, ogorzałymi mieszkańcami Srebrnej Zatoki wyglądał dziwnie.

- Wyglądasz jak kupa gówna - powiedział. - Przyda ci się kawa. Każę którejś z dziewczyn przynieść nam trochę z którejś knajpy. Nie będziemy pić tej biurowej lury.

Gdy wyszedł na chwilę, zostałem sam na sam z Vanessą. Celowo uniknęła mojego wzroku, patrzyła tylko na czarną podkładkę pod dokumenty. Miała na sobie swój „garnitur władzy”, jak mawiała.

-Przepraszam - wymamrotałem. - To nie to, co myślisz. Naprawdę. Później wszystko ci wyjaśnię.

-„Nie to, co myślisz” - przedrzeźniała mnie, bębniąc palcami w podkładkę. - To powitanie po długiej nieobecności mówi samo za siebie. Powinno mi wcześniej dać do myślenia.

-Nesso, proszę! Nie odbierasz moich telefonów. Daj mi chociaż pięć minut. Po tym spotkaniu. Pięć minut.

-Dobrze - zgodziła się po dłuższej chwili.

-Świetnie. Dziękuję. - Ścisnąłem jej ramię i zebrałem siły przed rozmową z Dennisem.

Słuchał uważnie, gdy przedstawiłem mu wyniki mojej pracy. On, księgowy Darren i kierownik projektów Ed robili notatki, gdy mówiłem o obawach związanych z ekologicznym wymiarem inwestycji. Powiedziałem im, dlaczego uważam, że S94 było błędem i dlaczego plan zagospodarowania może uderzyć w nas rykoszetem, gdyby doszło do referendum jak w przypadku hodowli perłę.

- W związku z tym uważam, że nasza unikatowa cecha produktu jest słuszna - tu zerknąłem na Vanesse - jednak obecny plan jest błędny z następujących powodów... - Podałem im zestawienia, które przygotowałem dziś rano: listę alternatywnych lokalizacji i kosztorys zmian. - Już wybraliśmy kilka alternatywnych lokalizacji, rozmawialiśmy z agentami nieruchomości i po przeanalizowaniu wszystkich kosztów uważam, że są lepsze zarówno pod względem odzewu społecznego, jak i nowych unika-

towych cech produktu w postaci odpowiedzialnego rozwoju przyjaznego dla środowiska.

Kiwnąłem głową w stronę Vanessy - bo Vanessa była ze mną. Widziała te stworzenia na własne oczy, widziała je w naturalnym środowisku, ją też zachwyciły. Zgadzała się ze mną, że najlepsze dla firmy będą dwie alternatywne lokalizacje.

- Wiem, że zapłacimy karę za zwłokę - kontynuowałem - że będziemy musieli sprzedać obecną lokalizację, ale wierzę, że jeżeli dasz mi szansę przedstawić mój punkt widzenia w Vallance, będę w stanie ich przekonać.

-Jasna cholera! - Dennis jeszcze raz przekartkował raport. - To poważne zmiany. - Zagryzł wargi, przebiegł wzrokiem dwie ostatnie strony. - To zwiększy koszty prawie o dwadzieścia procent.

Miałem nadzieję, że nie przekreśli propozycji tak od razu.

-Ale budując w obecnej lokalizacji, tracimy zyski z S94. Spójrz na ten wykres, tam mniej ryzykujemy, naprawdę.

- Mniejsze ryzyko, co? - Spojrzał na Vanesse. - Chcecie wywrócić wszystko do góry nogami, tak? Naprawdę sądzisz, że powinniśmy się przenieść?

Spojrzała na niego, a potem powoli przeniosła wzrok na mnie. W jej oczach załśnił chłód.

- Nie - odpowiedziała. - Rozważyłam to starannie i uważam, że powinniśmy trzymać się tego, co mamy.



Rozdział 15



Liza

Widziałam dziś wieloryby, jedne z ostatnich w tym sezonie. Samica z młodym podpłynęła do łodzi

i patrzyły na mnie, jakby nie miały nic innego do roboty. Była bliżej, niż powinna, tak blisko, że widziałam każde małe nacięcie na jej ogonie, tak blisko, że widziałam cielę, nieruchome i szczęśliwe, ukryte pod brzuchem matki. Klienci byli zachwyceni - piszczeleli, robili zdjęcia, kręcili filmy, mówili głośno, że to niezapomniane przeżycie, że słyszeli o tym, jak to ja potrafię znajdować wieloryby, ale to przeszło ich najśmielsze oczekiwania i że będą mnie polecać znajomym. Ja jednak nie potrafiłam się z tego cieszyć. Chciałam krzyknąć do samicy, żeby zabrała swoje dziecko daleko stąd i nigdy nie wracały. Wciąż pamiętałam cielę leżące na plaży pod brezentową płachtą. Nie chciałam, żeby ta samica ufała nam tak, jak poprzednia.

Chyba nie powinnam się dziwić, że Mike postąpił, jak postąpił. A jednak! Naprawdę myślałam, że po tym, co przeszłam, potrafię rozpoznać takich jak on na pierwszy rzut oka. Teraz świadomość błędu spędzała mi z powiek resztki snu. Towarzyszyła mi wszędzie, tuż po przebudzeniu, dołączyła do chóru głosów, które powtarzały, co zrobiłam źle.

Przez pierwszych kilka dni byłam wściekła głównie na siebie. Straciłam czujność i naraziłam nas wszystkich na niebezpieczeństwo. Nie mogłam sobie darować, że uwierzyłam choćby na chwilę, że moje życie może się odmienić, że mogę obrać drogę inną niż tę, którą sobie wyznaczyłam.

Byłam też wściekła na cały świat; na Mike'a, bo nas okłamał, na administratorów, którzy wydali decyzję, nie zważając na wieloryby, na Kathleen, bo pozwoliła mu zostać w hotelu, a ja musiałam mieszkać pod jednym dachem z tą wyperfumowaną zdzirą obnoszącą się ze swoim pierścieniem, i na Grega za to, że - no cóż - był idiotą. Przychodził codziennie zarazem wściekły i skomlący o wybaczenie. W końcu każde nasze spotkanie prowadziło do kłótni. Obydwoje byliśmy wytrąceni z równowagi i żadne nie chciało silić się na uprzejmość.

Nie wiem dlaczego - już dawno się tak nie czułam -jednak przez kilka dni, kiedy Mike i jego dziewczyna mieszkali w hotelu, nie miałam siły wstać z łóżka. Potem wyjechał, a ja wcale nie poczułam się lepiej.

Hanna zrobiła się drażliwa. Powiedziała mi, że Mike zapłacił jej za zdjęcia, pomachała brązową kopertą pełną banknotów i nie dając mi dojść do słowa, zapowiedziała, że odda pieniądze parkom narodowym, żeby pomóc uwalniać uwięzione ssaki morskie. Dodała, że już dzwoniła do zarządu i pieniędzy starczy na nowe nosze i kilka innych wydatków. Jak mogłam odmówić? Wiedziałam, że jakaś część mojej córki chce bronić Mike'a i znienawidziłam go za to jeszcze bardziej.

I jeszcze za to, że Hanna wyglądała na przygaszoną. Przestała pytać o Nową Zelandię i spędzała większość czasu w swoim pokoju. Gdy spytałam, czy coś jest nie tak, odpowiedziała: „wszystko w porząd-

ku", niby grzecznie, ale czułam, że nie chce ze mną rozmawiać. Ja jednak tęskniłam za córką. Nocą, gdy wciąż przychodziła do mojego pokoju, przytulałam się do niej, żeby nadrobić te wszystkie chwile, kiedy nie chciała mnie widzieć.

Tak więc zimą w całym domu zapanował smutek. Załogi rzadko nas odwiedzały, jakby wspólne wieczory jeszcze bardziej wszystkim uświadamiały, co możemy niedługo utracić. Lance powiedział mi, paląc papierosa za papierosem, że Yoshiko myśli o powrocie na uniwersytet. Była Grega w końcu zrezygnowała z roszczeń do połowy *Suzanne*, ale on nie wyglądał na uradowanego. Myślę, że dopiero gdy zabrakło mu pretekstu do walki, uświadomił sobie w pełni, co utracił.

Dom Bullenów został zburzony pod koniec sierpnia. W ciągu jednej nocy wokół wyrosło ogrodzenie z drutów kolczastych, przyjechali zleceniobiorcy spoza miasta z parkiem prehistorycznych żółtych maszyn i rozebrali go na części. Po niecałych trzech dniach ogrodzenie znikło i nie było już nic, tylko dziura w ziemi. Kiedy tamtędy przejeżdżałam, plac wyglądał jak wielka blizna.

Chyba czując nasze ponure nastroje, niebo było stale zasnuwane chmurami. Nadmorska miejscowość pogrążona w szarudze jest zaprzeczeniem letniej radości. Liczba gości spadła, pobliskie motele zeszły z cen niemal do kosztów własnych. Wszyscy zacisnęliśmy pasa i staraliśmy się za bardzo tym nie przejmować. A przez cały czas w okolicy krążyły motorówki, zupełnie jakby wieść o nowej inwestycji dotarła do ich właścicieli, a ci uznali, że sezon dopiero się zaczyna. Dwa razy popłynęłam w okolice Złamanego Nosa – trójpokładowce krążyły wzdłuż wybrzeża pełne pi

janych turystów, płosząc ptaki ogłuszającą muzyką. O dziwo, jedna z nich ogłaszała się w lokalnej gazecie, że organizuje „wycieczki obserwacyjne pełne wrażeń”. Zadzwoiłam do wydawcy i powiedziałam, co o nim myślę. Wtedy jednak Kathleen oznajmiła mi krótko, że jak tak dalej pójdzie, nabawię się wrzodów żołądka.

Ona sama wyglądała na pogodzoną z losem. W każdym razie od ostatniej rozmowy w jej biurze nie wymienialiśmy żadnych uwag na ten temat. Nie rozumiałam, dlaczego tak łatwo odpuściła Mike'owi, a ona nie raczyła mnie oświecić. Co wieczór kładła się spać w swojej części domu, a ja leżałam bezsennie w moim małym pokoiku na końcu korytarza wsłuchana w nawoływanie morza i zastanawiałam się, jak długo jeszcze będę mogła je słyszeć, zanim Hanna i ja spakujemy manatki i wyjedziemy gdzieś indziej.

Na początku września władze miasta zapowiedziały konsultacje społeczne w sprawie nowej inwestycji. Niewielu w Srebrnej Zatoce wiązało z tym jakieś nadzieje - w poprzednich latach widzieliśmy wiele podobnych inwestycji w sąsiednich okręgach; w dziewięciu przypadkach na dziesięć realizowano je mimo gwałtownego sprzeciwu mieszkańców. Biorąc pod uwagę szczodłą ofertę firmy Mike'a na rzecz rozwoju miasta, przewidywałam, że konsultacje to tylko formalność.

Poza tym nie wszyscy byli przeciw. Miasto się podzieliło: niektórzy oskarżali nasz obóz o przesadną troskę o wieloryby, innym było wszystko jedno, a jeszcze inni zastanawiali się, czy nasza działalność nie jest sama w sobie ingerencją. Trudno było walczyć z tym zarzutem, tym bardziej że załogi innych łodzi już dawno traktowały zatokę jak swoją wy-

łączną własność. Właściciele kafejek i sklepów mieli interes w rozwoju turystyki i choć to brzmi nieprawdopodobnie - dobrze ich rozumiałam. Wszyscy musieliśmy zarobić na życie, a ja wiedziałam lepiej niż ktokolwiek, że niektóre sezony są trudniejsze od innych...

Byli jeszcze wielorybnicy, rybacy i wszyscy, których po prostu cieszyła obecność delfinów i waleni, oraz ci, którzy nie chcieli, żeby nasza zatoka stała się kolejnym hałaśliwym kurortem. Wydawało się jednak, że nasz głos niknie wśród innych, że nikt go nie słyszy

Gazety relacjonowały debatę z wyjątkowym entuzjazmem (to był najlepszy materiał od pożaru w pubie w 1984). Odpierały oskarżenia o stronnictwo, wciąż kontaktowały się z władzami i inwestorem, tyle razy prosząc o uzasadnienie stanowiska, aż nawet reporterzy mieli dość. Dwa razy zauważyłam wzmiankę o Mike'u i mimo woli przeczytałam, co mówił. W obu przypadkach nawoływał do kompromisu. Za każdym razem słyszałam w myślach jego głos tak wyraźnie, jakby był tuż obok, i dziwiłam się, że można powiedzieć tyle gładko brzmiących, a przy tym nic nieznaczących słów.



Powiem wam coś o humbakach. Po raz pierwszy ujrzałam je, gdy miałam osiem lat. Byłam z mamą na wakacjach u ciotki Kathleen. Wypłynęłyśmy we trzy, chociaż mama nie lubiła wędkowania, ale nie chciała mnie zostawiać na morzu tylko pod opieką ciotki. Jej starsza siostra Kathleen - jak żartobliwie mawiała - zapomina o wszystkim, jak Tyl

ko trafi jej się wielka ryba. Dziś podejrzewam, że szukała tylko wymówki, by spędzić czas z siostrą - od kilku lat mieszkały na różnych kontynentach i rozłąka była dla nich jednakowo bolesna.

Uwielbiałam te wakacje, poczucie bezpieczeństwa, jakie przynosiły, więzy rodzinne, o których nie wiedziałam. W Anglii nie miałam ojca. Matka mówiła, że Ray McCullen był „lekkoduchem”, ciotka miała dla niego mocniejsze słowo, choć zazwyczaj mitygowała się w obecności mojej i swojej siostry. Przy innych był całkiem tematem tabu. Wychowywały mnie wyłącznie kobiety. Mojej babki - też mieszkającej w Australii - prawie nie pamiętam. Była kobietą bez żadnych zainteresowań, gotującą i wychowującą dzieci, a potem, gdy dorosły, trochę zagubioną. „Dziecko swoich czasów” - mawiała o niej Kathleen. Mam o niej tylko nieliczne wspomnienia z dwóch wizyt we wczesnym dzieciństwie. Pamiętam ją w pokoju na tyłach hotelu zatopioną w świetle seriali, zadającą pytania nie na mój wiek.

Wszyscy, którzy pamiętali dziadka, mówili, że Kathleen jest jego nieodrodną córką. Zawsze czymś zajęta - jak nie łowiła ryb, zabierała mnie do pustego Muzeum Wielorybnictwa. Być z nią - mnie, wówczas ośmiolatce - wydawało się nieustającą zabawą. Moja matka, młodsza o piętnaście lat od siostry, zawsze sprawiała wrażenie dojrzałszej - starannie ubrana, z nienaganną fryzurą i makijażem. Znoszone spodnie i rozczochrane włosy Kathleen, jej pieprzny język i opowieści o rekinach były dla mnie objawieniem. Status bóstwa potwierdził niespodziewany gość w czasie wyprawy na ryby z moją matką.

Kathleen tłumaczyła mi właśnie różnicę między przynętami i zakładała jedną z nich na haczyk, gdy kilka metrów dalej nagle wynurzył się wielki czarno-biały łeb. Nie wydał żadnego dźwięku oprócz miękkiego pluśnięcia fal. Zaparło mi dech w piersiach, a serce waliło. Bałam się, że potwór je usłyszy

- Ciociu Kathleen - szepnęłam. Matka spała na ławce z otwartymi uszmińkowanymi ustami. Pamiętam dobrze, zastanowiłam się przelotnie, czy nie lepiej zginąć we śnie jak ona za chwilę. - Co... co to jest?

Naprawdę byłam przekonana, że zostaniemy pożarte. Widziałam rząd ostrych zębów i uważne, patrzące wprost na nas oko. Przypomniałam sobie stare drzeworyty przedstawiające potwory morskie i złamany kadłub *Maui II* w muzeum. Wielki stwór wyglądał, jakby się zastanawiał, jak bardzo łakomy z nas kąsek.

Ciotka jednak zerknęła za siebie i wróciła do swojej przynęty

- Skarbie, to tylko humbak. Nie zwracaj uwagi, jest po prostu wścibski. Zaraz sobie pójdzie.

Nie zwracała na niego większej uwagi niż na albatrosy I rzeczywiście, kilka minut później olbrzymi łeb zniknął pod wodą i wieloryb odpłynął.

To właśnie w nich kocham - mimo pozorów, groźnego wyglądu, siły mięśni, w gruncie rzeczy są bardzo łagodne. Podpływają popatrzeć i odchodzą. Jeżeli kogoś nie polubią, dają jasne sygnały. Jeżeli uznają, że delfiny skupiają na sobie zbyt wiele uwagi, płoszą je zazdrośnie. Zachowują się jak dzieci, czasem są psotne, ale przede wszystkim wszystkim wszystkiego ciekawe.

Dawniej wielorybnicy nazywali humbaki „wesołymi wielorybami”, a gdy zaczęłam pracować jako sterniczka przed pięcioma laty, odkryłam,

że mieli rację. Pewnego dnia, rozmawiając z innymi przez radio, natknęłam się na wieloryba pływającego na powierzchni do góry brzuchem i machającego beztrąsko płetwą. Inny wyskakiwał na powierzchnię i robił piruety w powietrzu jak tancerka z nadwagą, ot tak sobie, dla zabawy.

Jestem pewna, że nikt nie nazwałby mnie „wesołą”, ale Kathleen powiedziała kiedyś, że dostrzega pewną więź między mną a wielorybami - może dlatego, że to samotniki. Samice nie nawiązują trwałych więzi z samcami i same wychowują młode. Nie dodała, że nie są monogamiczne - nie musiała - tylko że bardzo opiekuńcze. Widziałam raz, jak samica humbaka zaryzykowała wypłynięcie na plażę, żeby ściągnąć dziecko na głębszą wodę. Słyszałam śpiewy pełne miłości i żalu milknące w morskiej ciszy i płakałam razem z nimi. W tych głosach słyszeć całą radość i ból macierzyństwa.

Gdy Letty zmarła, przez pewien czas myślałam, że już nigdy nie będę szczęśliwa. W utracie dziecka nie ma nic z odkupienia, żadnej cennej życiowej lekcji. Strata jest tak wielka i przytłaczająca, że nie sposób jej objąć rozumem. Czujesz tylko tępy, wszechogarniający ból, a kiedy wydaje ci się, że zaczynasz wychodzić na prostą, ból powraca jak fala, by znów cię zatopić.

A kiedy jesteś odpowiedzialna za śmierć dziecka, dni „na powierzchni” możesz policzyć na palcach. Na początku zapominałam nawet, że wciąż mam drugą córkę. Dziś wiem, że tylko Hannie zawdzięczam dalsze życie, ale przez kilka pierwszych tygodni nie miałam dla niej nic: ani pocieszenia, ani oparcia, ani miłości. Utknęłam w wymiarze, do którego nie miała dostępu, tak paskudnym, że nie chciałam jej tam wpuścić.

Wtedy zrozumiałam, że morze jest moją jedyną szansą ucieczki - nie

ze względu na piękno czy dającą oparcie niezmiennosc. Było raczej jak zapas whisky dla alkoholika - napawałam się tym, że istnieje, i obietnicą ulgi, jaką ze sobą niosło. Brak Letty wciąż bolał i na jawie, i w koszmarach sennych. Czułam jej ciało obok mojego, miodowy zapach jej włosów i budziłam się z krzykiem, gdy przypominałam sobie, gdzie spoczywa teraz. W ciszy słyszałam jej głos, ostatnie krzyki, gdy nas rozdzielono. W moich ramionach była pustka, przepaść, a gdyby nie Hanna - byłaby to przepaść bez dna.

Kathleen nie jest głupia. Musiała odgadnąć moje zamiary, kiedy zainteresowałam się jej łodzią. Depresja nie pozwoliła mi zauważyć, że ciotka przejrzała mnie na wylot. Pewnego popołudnia stanęliśmy na kotwicy, a Kathleen zablokowała ster, odwróciła się i powiedziała ostro:

- No dalej.

Wpatrzyłam się w jej plecy. Było słoneczne popołudnie i pamiętam, jak pomyślałam, że chyba nie posmarowała twarzy kremem przeciwsłonecznym.

- Co mam zrobić?

- Skacz. Przecież zamierzasz skoczyć, prawda? Poczułam się jak po kopniaku w brzuch. A Kathleen odwróciła się i przygwoździła mnie stalowym spojrzeniem.

- Wybacz, nie zamierzam na to patrzeć. Nie chcę kłamać twojej córce o tym, co stało się z jej matką. Jak nie będę patrzeć, mogę powiedzieć, że wypadłaś za burtę.

W tym momencie z moich ust wydobył się ochryply kaszel. Straciłam głos.

- To dziecko za wiele już przeszło - ciągnęła. - Świadomość, że nie

kochałaś jej wystarczająco, by dla niej żyć, po prostu ją zabije. Więc jeżeli chcesz to zrobić, zrób to teraz, kiedy się odwrócę. Nie chcę spędzić kolejnych sześciu miesięcy w nerwach, zastanawiać się, jak ją uchronić.

Nadal nie mogłam mówić, więc tylko pokręciłam głową.

Tak właśnie wybrałam życie, choć część umysłu wciąż zastanawiała się, jak dam sobie z nim radę. Wtedy je zobaczyłam. Łódź Kathleen okrążyło siedem wielorybów. Ich ciała lśniły od wilgoci, w ich ruchach kryła się gracia. Opłynęły łódź i zanurkowały. Każdy pojawił się jeszcze na chwilę, po czym znów zniknął pod falami.

Ich pokaz odwrócił uwagę od najczarniejszych myśli w moim życiu. Jednak później, gdy wróciłyśmy do domu i wzięłam w ramiona moją biedną, zrozpaczoną córkę - choć sceptyczna wobec „znaków” - zrozumiałam sens tego, co zobaczyłam. Pojęłam, że życie i śmierć stanowią cykl, wszystko przemija, w ostatecznym rozrachunku może nie ma aż takiego znaczenia. Pewnego dnia znów połączę się z Letty chociaż nie ode mnie zależy, kiedy to się stanie.

Hanna mówi mi czasem nocą, gdy jesteśmy same, że jeżeli Bóg istnieje, zrozumie. Będzie wiedział, że jestem dobrym człowiekiem. A ja przytulam ją mocno i myślę, że może samo jej istnienie to dowód, że ma rację.



Od tego dnia nigdy nie miałam trudności z odnalezieniem humbaków - Kathleen zawsze powtarza, że potrafię je wyczuć i może to dziw

ne, ale coś w tym jest. Zupełnie jakbym wiedziała, gdzie są. Kieruję się instynktem, patrzę w fale w nadziei, że jedna z nich okaże się płetwą lub nosem i w dziewięciu przypadkach na dziesięć tak właśnie jest.

Jednak pod koniec zimy zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Najpierw ostrzeżenia. Kiedy wieloryb chce ostrzec ludzi albo innych członków stada, wielokrotnie uderza płetwą ogonową o wodę albo tylko raz, lecz z wielką siłą, i słychać to na wiele mil. Rzadko bywamy świadkami takiego zachowania - staramy się nie drażnić wielorybów - a teraz obserwowałam je u wszystkich, skądinąd nielicznych osobników.

Potem, przynajmniej o dwa tygodnie za wcześnie, wieloryby zniknęły. Może zawinił zwiększony ruch na wodzie, może wyczuły zapowiedź zmian i postanowiły nie zaszczycać nas więcej swoją obecnością. Tak czy inaczej nam, sternikom z Przystani Wielorybów, coraz trudniej było je odnaleźć, nawet gdy teoretycznie powinny się pojawiać dwu-, trzykrotnie w czasie rejsu. Na początku nie chcieliśmy się do tego przyznać nawet przed sobą nawzajem - umiejętność namierzenia wielorybów była dla nas kwestią honoru, tylko osoby pokroju Mitchella Draya bezwstydnie podczepiały się pod innych. Gdy w końcu poruszyliśmy ten temat, dowiedzieliśmy się, że wszyscy mamy ten sam problem. W połowie września sprawy przybrały tak zły obrót, że obydwie *Moby* przerzuciły się chwilowo na obserwację delfinów - mniej lukratywną, za to pewniejszą. Załogi nie chciały ryzykować zawodu ze strony klientów i co za tym idzie, żądań zwrotu kosztów.

Potem zniknęły i delfiny. Pojawiało ich się tak niewiele i wciąż tych samych, tak że baliśmy się je niepokoić. Na początku października już tylko ja wypływałam codziennie. Ciemne, rozkołysane morze wydawało

się wrogie, nawet w słoneczne dni. Dotkliwie odczuwałam nieobecność stworzeń, które tak kochałam. Nie mogłam uwierzyć, że po prostu nas opuściły, że w jednej chwili zmieniły zachowania utrwalane od stuleci. Aż pewnego dnia zaczęłam je wołać. Stałam przy sterze, a mój głos niósł się wśród fal. Lecz wieloryby - być może ukryte tuż pod wodą - zdawały się głuche.

- Co mam, do cholery, zrobić?! - krzyczałam, aż Milly stanęła na tylnych łapach i zaczęła popiskiwać z niepokoju. Wiedziałam jednak, że jestem winna, że zawiodłam mieszkańców mórza, tak jak zawiodłam własne dzieci. Wiatr poniósł w dal moje pytanie.



W ostatni czwartek września o czwartej nad ranem zadzwonił John John. Powiedział, że pan Gaines miał zawał serca. Moja ciotka Kathleen jest twarda. Nie darmo nazwano ją Panią Rekinów. A wtedy po raz pierwszy w życiu widziałam, jak płakała.



Rozdział 16

Mike

Gościnny pokój Moniki był gościnny chyba tylko z nazwy. Na miano sypialni zasługiwał wyłącznie dlatego, że oprócz czternastu tekturowych pudeł, dwóch gitar elektrycznych, roweru górskiego, czterdziestu dziewięciu par butów, sosnowej komody z lat sześćdziesiątych, oprawionych plakatów bliżej mi nieznanymi zespołami rockowymi i mojej starej kolejki szynowej mieściło się w nim składane łóżko.

- Zrobię ci miejsce - obiecała, gdy uznałem, że nie ma sensu płacić dłużej za hotel i napomknąłem, że chciałbym się do niej wprowadzić na jakiś czas. W świecie Moniki nie znaczyło to bynajmniej wyniesienia pudeł czy wystawienia roweru na korytarz, tylko spiętrzenie kilku koszy na ubrania, tak żeby się dało rozłożyć łóżko.

Spędzałem tak kolejne noce na powyginanych sprężynach wbijających się w plecy, w pokoju pełnym kurzu i zapachu starych skórzanych butów mojej siostry niczym więzień rozmyślający o bałaganie, jakiego narobił w swoim - jak dotąd sądził - całkiem dobrym życiu.

Nienawiść mojej byłej narzeczonej ustępowała tylko pragnieniu, by osobiście dopilnować budowy nowego hotelu - właśnie dlatego, że ja starałem się do niej nie dopuścić. Co do mieszkania, poinformowała mnie na piśmie, że oczekuje, iż przynajmniej pozwolę jej odkupić moją część wspólnego apartamentu, podobnie jak samochód. Obiecała stawkę rynkową, ale nie chciałem jej sprawdzać i zgodziłem się na to, co zaproponowała. Teraz to już nie miało znaczenia, czy na dobitkę przekręci mnie o parę tysięcy, czy nie.

W pracy traktowano mnie jak chodzącego trupa. Co prawda zachowałem stanowisko, ale nie konsultowano się ze mną w sprawie nowych umów, nie mówiąc już o zgłaszaniu się po polecenia - nawet w przypadku sekretarek. Sprzeciw Vanessy wobec mojej propozycji co do Srebrnej Zatoki fatalnie podkopał mój autorytet. Nie zaproszono mnie na kilka kluczowych „zebrań” w pubie, wiadomości przeznaczone dla mnie jakimś cudem trafiały do innych osób. Dennis mnie ignorował, nawet Tina przestała okazywać mi względy, wyczuwając, że jestem w niełasce. Miałem dwa wyjścia: albo walczyć o pracę, zdeptać wszystkich, którzy stali mi na drodze i znów zostać - jak to elegancko ujął Dennis - Wielkim Fiutem, albo przenieść się do konkurencji.

Najgorsze jednak było śledzenie dokumentacji projektu na spotkaniach z Vallance Equity, patrzenie z daleka na powolne, ale stałe postępy inwestycji, która miała zniszczyć Srebrną Zatokę i życie mieszkańców hotelu. Stary dom Bullenów wyburzono, miasto zorganizowało konsultacje społeczne - zapewniono nas, że zgodę mamy w kieszeni.

Wiedziałem, że Dennis utrzymał mnie na dotychczasowym stanowisku wyłącznie ze względu na tych z Vallance - gdyby na tym etapie stracił ważnego członka zespołu, mogliby się wycofać. Wiedziałem także, że jeżeli chcę przetrwać w firmie dłużej, muszę wziąć się w garść. Jednak byłem otępiały, niezdolny do podjęcia decyzji, sparaliżowany wahaniem i poczuciem winy.

Noc po nocy leżałem bezsennie na składanym łóżku wśród okruchów cudzego życia, czekając, aż moje własne na nowo nabierze sensu. Jedno było jasne: Vanessa zwolniła mnie z danego słowa, gdy powiedziała, że chce ciągnąć projekt w obecnej lokalizacji. W jej spojrzeniu była tylko wrogość.

- Cholera, trudno się dziwić. - Monika podała mi wino. Jednym z warunków mojego pobytu u niej było skrócenie nowej komody kupionej przed paroma tygodniami. Siedziałem wśród drewnianych płyt i plastikowych opakowań i miałem za mało śrubokrętów. Nie miałem talentu do majsterkowania, tym bardziej powinienem był poprzestać na jednym kieliszku.

Ostatni miesiąc należał do naprawdę ciężkich i prawdę mówiąc, przez większość czasu byłem pijany. Nie było po mnie widać jak po hałaśliwym i prostackim Gregu. Piłem subtelnie - trzecia podwójna whisky zamówiona dyskretnie, kieliszek wina, który stawał się dwoma butelkami. Nie mam osobowości skłonnej do uzależnień, ale w męskich wzorcach zachowania nie istnieje dobry patent na rozstanie. Nie wzywamy grupy przyjaciół i nie rozpamiętujemy wspólnie postępowania byłej partnerki. Nie bierzemy długich kąpiei w olejkach eterycznych i nie zapalamy świeczek zapachowych „na poprawę nastroju” ani nie czytamy psychologicznych bredni w czasopismach dla kobiet. Co najwyżej idziemy do pubu albo siadamy samotnie ze szklanką przed telewizorem.

- Nie dziwię się - odpowiedziałem. - Wiem, że to moja wina.
- Mój brat, wielki lowelas! - zakpiła. - Uważaj, bo upuścisz śrubokręt.
- Nie jestem lowelasem.
- No, dobrze - zachichotała - co najwyżej Don Juanem.

Roześmiałem się razem z nią.

- A widzisz? - machnęła papierosem w moim kierunku. - Widzisz? Nie mogłeś jej kochać aż tak bardzo, skoro w ogóle cię to nie rusza. Miałam rację.

- Jesteś bez serca - odparłem oskarżycielsko. Może jednak miała rację. Oczywiście, czułem się źle i sumienie nie dawało mi spokoju, ale nie piłem z powodu utraty Vanessy. Piłem, bo nie wiedziałem już, kim jestem. Poniosłem nie tylko straty materialne: mieszkanie, samochód, pozycja w Beaker Holdings - straciłem także cechy, które wyznaczały moją tożsamość: umiejętność trafnej oceny sytuacji, ambicję, koncentrację na celu. Nie byłem pewien, czy podoba mi się to, czego się niedawno o sobie dowiedziałem.

Piłem też, bo wśród myśli niedających mi spokoju była i ta, że przy okazji zniszczyłem nie tylko swoje życie.

- Moniko, co mam zrobić? Jak mogę ich powstrzymać? - Znowu upuściłem śrubokręt.

- Dlaczego tak ci na tym zależy? - spytała. Sięgnęła po instrukcję. - Stracisz pracę, jak to zrobisz.

Wpatrzyłem się w leżące przede mną części, które nawet nie wyglądały jak kawałki komody. Rozejrzałem się po niewielkim, zagraconym mieszkaniu o ścianach tak cienkich, że nie tłumiły nawet hałasu z ulicy.

- Po prostu mi zależy

- Mike, co tam się, do cholery, stało? Pojechałeś tam po zwycięstwo, a wróciłeś pokonany

Więc opowiedziałem jej o wszystkim. Popijając wino, przegadałem z siostrą całą noc aż do świtu. Mówiłem o Kathleen i o hotelu, o Hannie, Lizie i wielorybnikach i przypominałem sobie ich twarze, tak że przez chwilę poczułem, jakbym znowu był wśród nich w cichym zakątku, gdzie

słyszeć tylko szum morza i czuć słoną bryzę na skórze. Opowiadałem o śmierci Letty, małym wielorybie i o dźwiękach, które usłyszałem, gdy Liza włączyła podwodny mikrofon. A kiedy dotarłem do końca - do chwili odjazdu i szczupłej postaci znikającej za zakrętem drogi, wreszcie zrozumiałem.

- Zakochałem się. - Słowa nie zdążyły wybrzmieć, gdy powtórzyłem:

- Boże, zakochałem się.

- Alleluja. - Siostra zgasiła papierosa. - Mogę iść do łóżka? Czekałam, aż wreszcie i ty na to wpadniesz.



Od samego rana Dennis Beaker ziewał jak buldog. Wydawał dźwięk nie do powtórzenia, zawsze wydawał się autentyczny, chociaż wiedziałem, że to tylko taktyka stosowana w czasie prezentacji konkurencyjnych firm albo kiedy Dennis nie chciał kogoś słuchać. Czyli często.

Teraz pochylił się na skórzanym fotelu i ziewnął tak szeroko, że mogłem policzyć amalgamatowe wypełnienia w jego górnej szczęce.

- Przepraszam, Mike. To czego chciałeś?

- Odchodzę - powtórzyłem spokojnie. Co prawda przygotowałem przemówienie, dopieściłem je w czasie bezsennych godzin, ale gdy przyszło co do czego, nie miałem nic więcej do powiedzenia.

- Co?

- Napisałem wymówienie. Znajdziesz w nim przyczyny.

Szczęka opadła mu ze zdumienia. Spojrzał na mnie spode łba i rozsiadł się w fotelu.

- Nie bądź śmieszny Na wiosnę finalizujemy umowę z Carterem. Pracowałeś nad nią od podstaw.

Wzruszyłem ramionami.

- Nie dbam o Cartera ani o jego umowę - odpowiedziałem. - Mam nadzieję, że pozwolisz mi odejść natychmiast. Z przyjemnością zrezygnuję z odprawy

- Nie wkurzaj mnie, Mike. Nie mam czasu.

- Nie żartuję.

- Pogadamy po południu. No, spadaj, czekam na telefon z Tokio.

- Po południu już mnie tu nie będzie.

W tym momencie dotarło do niego, że mówię poważnie. Wyglądał na poirytowanego, jakby myślał, że próbuję coś ugrać dla siebie.

- Chodzi o pieniądze? Mówiłem ci, że w styczniu dostaniesz podwyżkę.

- Nie, nie chodzi o pieniądze.

- Dostaniesz też lepszy pakiet ubezpieczeń. Znacznie więcej refundowanych usług. Jak chcesz, to i operacje plastyczne. Nawet nie będziesz musiał płacić składek.

Kołnierzyk pił mnie pod szyją, poczułem gwałtowną potrzebę poluzowania krawata.

- Chodzi o Vanessę? Myślisz, że będę próbował cię wyrzucić?

- Nie, nie chodzi o Vanessę. Posłuchaj... wiem, że nie chcesz, żebym odszedł teraz, skoro ci z Vallance się wahają.

- Kto mówi, że się wahają?

- Nie jestem głupi, Dennisie. Według wszelkich znaków na niebie i ziemi...

Podniósł pióro. Rozejrzył się niespiesznie po gabinecie, jakby coś go zastanowiło. W końcu spojrzał na mnie i mruknął potakująco.

-Na litość boską, siadaj. Wprowadzasz element chaosu.

Zerknąłem za okno. Londyn był tej jesieni wyjątkowo paskudny - lał deszcz, a chmury zasnuwające całe niebo zdawały się dotykać wierzchołków biurowców, tak że nawet na ulicy można było dostać ataku klaustrofobii. To mnie zdziwiło, bo wcześniej prawie nie dostrzegałem zmian pór roku. Przeszklone, klimatyzowane pomieszczenia, metro i taksówki - przecież ja praktycznie nigdy nie wychodziłem na dwór!

Usiadłem. Z ulicy dobiegły mnie klaksony i odgłosy awantury. Zwykle Dennis lubił porządne kłótnie i często przerywał pracę, żeby poobserwować, ale teraz przyglądał się swoim dłoniom.

- Dennisie, posłuchaj, przykro mi z powodu Vanesy - zacząłem. - Nigdy nie chciałem jej skrzywdzić.

Wtedy coś w nim odtajało. Pochylił się do mnie, opuścił założone na piersi ręce, jego twarz złagodniała.

- Przejdzie jej. Znajdzie kogoś lepszego. Powinienem być na ciebie wściekły, skoro jest moją córką, ale zdaję sobie sprawę, że z Tiny niezły kęs. Kilka razy o mały włos sam się nie skusiłem. Nie śmiałem tylko dlatego, że cały nasz majątek jest zapisany na matkę Vanesy - zachichotał - a ona zapowiedziała, że jakby co, zrobi z moich jaj wdmuszki.

Westchnął ciężko i rzucił mi pióro.

- Cholera, Mike, jak do tego doszło?

Złapałem je i położyłem z powrotem na biurku.

- Nie mogę brać w tym udziału, Dennisie. Już ci mówiłem.

- Przez kilka ryb?

- Nie tylko z powodu wielorybów. Chodzi o całokształt. Zniszczymy ludziom życie.

- Nigdy ci to nie przeszkadzało.

- Może powinno mi było przeszkadzać.

- Nie uchronisz ludzi przed postępem. Wiesz o tym.

- Kto mówi o postępie? Poza tym niektórzy potrzebują ochrony

- Mike, to tylko hotel, nie elektrownia atomowa.

- Efekt będzie podobny.

Potrząsnął głową, przyczepił kilka spinaczy do podkładki pod telefon. Potem spojrzał na mnie.

- Nie rób tego, Mike. Przyznaję, trzymałem cię z dala od projektu, odkąd wróciłeś, bo zrobił się z ciebie cholerny ekoświętoszek. Nie mogę ci ufać, jeżeli nie popierasz mnie w stu procentach.

- Popieram cię, Dennisie, ale nie ten projekt.

- Wiesz, że sprawy zaszły już za daleko, żeby się wycofać.

- Nieprawda. Mamy dwie inne lokalizacje. Wiesz, że obie się nadają.

- Są droższe.

- Nie, jeżeli odliczymy koszty S94. Sprawdziłem to.

- Skończmy tam, gdzie zaczęliśmy. - W jego głosie zabrzmiała nuta prośby. Nagle zrozumiałem, że nie chodzi o zysk, tylko o Vanessę. Wybaczył mi, ale nie chciał publicznie podważyć pozycji córki. - Przykro mi, Mike. Wykonamy pierwotny plan.

Potrząsnąłem głową ze smutkiem.

- Zatem muszę zrezygnować. - Wstałem i wyciągnąłem rękę. - Przykro mi, Dennisie. Bardziej, niż ci się wydaje.

Gdy nie uściskał mi dłoni, odwróciłem się i podszedłem do drzwi.

- To śmieszne. Nie możesz zrujnować cholernie dobrej kariery dla kilku ryb. Nie wygłupiaj się, stary! Jesteśmy kumplami czy nie? Przetrimamy to. - To nie była prośba ani argument, to była desperacja.

Zawahałem się. O dziwo, w jego głosie usłyszałem cień własnych uczuć - żal, taki sam jak ten, który towarzyszył mi przy zerwaniu z Vanessa.

- Przykro mi - powtórzyłem. Gdy otworzyłem drzwi, dodał:

- Nie zawalczysz ze mną o to, Mike. - Trudno powiedzieć, czy było to pytanie, czy stwierdzenie faktu. - Jak musisz odejść, to odejź, ale nie próbuj spieprzyć mojej umowy.

Miałem nadzieję, że o to nie poprosi.

- Nie mogę patrzeć beczynnie. - Przełknąłem ślinę.

- Zniszczę cię, jeżeli będę musiał. - Kiwnął głową, jakby chciał się upewnić, czy przyjąłem jego słowa do wiadomości.

-Wiem.

- Będziesz spalony w całym City. Nigdy nie dostaniesz przyzwoitej posady

- To też wiem.

- Nie licz, że się wycofam. Wiesz, do czego jestem zdolny

Kiwnąłem głową. „Jak mało kto” - pomyślałem. Mierzyliśmy się wzrokiem.

- Cholera! - Dennis wstał i uściskał mnie. A później podszedł do biurka i odebrał połączenie z Tokio.



Spotkałem się z Moniką w barze niedaleko siedziby jej gazety Wy-
skoczyła na chwilę na drinka, ale zapowiedziała, że posiedzi w pracy aż
do wieczora, bo pracuje nad reportażem. Wciąż przeżywałem konfron-
tację z Dennisem. Spytałem z uprzejmości, nad czym pracuje. Odpo-
wiedziała, że to o nadużyciach przy wnioskach o dopłaty unijne dla rol-
nictwa. Wyglądała na poirytowaną.

- Nie cierpię materiałów o finansach - mruknęła. - Siedzę tygodniami,
próbując coś z tego zrozumieć, a jak tekst się ukaże, nikogo nie obchodzi,
bo nie ma czynnika ludzkiego.

- Pomóc ci? - spytałem. - Nie jestem księgowym, ale orientuję się w
finansach.

Wyglądała na zaskoczoną.

- Chętnie. - Uśmiechnęła się przelotnie. - Jak utknę w martwym
punkcie, przyniosę materiały do domu, będziesz mógł na nie zerknąć.

Muszę przyznać, że jednym z nieoczekiwanych plusów mojej osobi-
stej klęski było to, że odkryliśmy z siostrą obopólną sympatię. Nadal
uważałem, że jest zbyt sarkastyczna, chorobliwie ambitna i niezorgani-
zowana, a jeżeli chodzi o mężczyzn, ma fatalny gust. Teraz jednak do-
strzeżałem, że sarkazm kryje nieśmiałość, ambicja zaś częściowo wynika
z faktu, że jej starszy brat sprawiał wrażenie człowieka, któremu sukcesy
przychodzą bez wysiłku, a rodzice bezmyślnie i bezustannie stawiają go
za wzór. Przypuszczałem, że w gruncie rzeczy chciała z kimś być, choć
udawała nawet przed sobą, że jest inaczej. Widziałem też, że im dłużej
jest sama, tym mniejsze są szanse, że wpuści drugą osobę do swojego ży-
cia. Jeżeli udałoby się nam zachować bliski kontakt, zamierzałem kiedyś
poruszyć ten temat.

- Przyniosłeś zdjęcia?

Sięgnąłem do kieszeni i podałem jej niewielki album. Przerzuciła go pośpiesznie z pochyloną głową.

- Myślałam na ten temat i widzę, że najlepiej nagłośnić sprawę. Ci z Vallance boją się antyreklamy, więc musisz znaleźć skutecznego rzecz-
nika protestujących, jedną osobę, i pracować na dwóch szczeblach: lo-
kalnym i krajowym.

- Czyli?

- Na szczeblu lokalnym ulotki, plakaty, media. Postaraj się stworzyć oddolny ruch protestacyjny. Na szczeblu krajowym albo nawet między-
narodowym będziesz potrzebował kilku niezłych reportaży, dzięki któ-
rym uzyskasz dostęp do telewizji. Może skontaktuj się ze specjalistami
od ochrony przyrody albo skorzystaj z nowych badań. Powinieneś coś
znaleźć. Czy jest jakieś stowarzyszenie zajmujące się wielorybami, które
mogłoby pomóc?

Zacząłem robić notatki. Siostra odsłoniła przede mną nowe oblicze, a
jej wiedza była bezcenna.

- Stowarzyszenie ochrony wielorybów - mruknąłem. - Delfinów też?

Podniosła jedno ze zdjęć Lizy na Przystani Wielorybów, z przechylo-
ną głową i uśmiechem, jaki często miała dla córki - ciepłym, pełnym mi-
łości. Jej włosy, co niezwykle, były rozpuszczone, a pies patrzył na nią z
uwielbieniem. Wiem, co czuł.

- To ona? Kiwnąłem głową.

- Bardzo ładna. Trochę podobna do tej dziewczyny z WWF, która
występuje w telewizji.

Nie miałem pojęcia, o czym mówi. Rzuciła mi resztę zdjęć.

- Musisz ją namówić, żeby została twarzą kampanii. Jest ładna, a większość ludzi będzie się spodziewać atrakcyjnej, zaangażowanej kobiety. Mogę jej załatwić kilka artykułów. Wciągnij w to jeszcze starszą panią, a wasze szanse wzrosną. Może spróbuj w „Sunday Timesie”. Czekał, wspomniałeś, że kiedyś o niej pisano?

- Mogę ściągnąć materiały z Internetu.

- Jeżeli od tego czasu słuch o niej zaginął, to może być świetny materiał. Czy wspominałam o lokalnych stacjach radiowych? O Boże! Przede wszystkim musisz mieć artykuły w gazetach, coś, co można wysłać do międzynarodowych agencji prasowych i organizacji, z wyraźnymi danymi kontaktowymi. A potem, brachu, musisz być twardy. Musisz wyjść na front i zawalczyć.

- Ja?

Spojrzała na mnie.

- Pytałem, co oni mogą zrobić.

- Nie będziesz pomagał?

- Zrobię, co mogę, ale stąd.

Na twarzy Moniki odbił się zawód.

Barman spytał, czy chcemy drugą kolejkę. Przez chwilę sprawiała wrażenie, jakby nie usłyszała, potem zerknęła na zegarek i odmówiła.

- On też nie chce - dodała, wskazując na mnie.

- Nie chcę?

- Mówiłeś, że ją kochasz - powiedziała oskarżycielko, gdy barman się oddalił.

- To nie znaczy, że ona kocha mnie - odparłem, kończąc drinka. - Co więcej, wiem z pewnego źródła, że mnie nienawidzi.

Moja siostra uniosła brwi w taki sposób, że poczułem się jak w czasach dzieciństwa. To spojrzenie mówiło o wrodzonej głupocie chłopców i jej oczywistej wyższości. Znów poczułem, że czegoś nie zrozumiałem i że w gruncie rzeczy należało się tego spodziewać. Miałem ochotę jak dawniej powalić ją na ziemię i przytrzymać, żeby pokazać, kto górą.

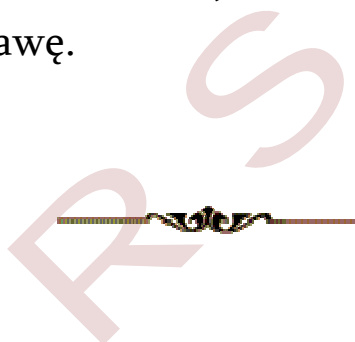
A jednak ku własnej irytacji uznałem, że ma rację. Usiadła z powrotem na stołku przy barze i założyła ręce na piersi.

- Mike, po cholere tu jeszcze siedzisz?

- Bo jestem głupim facetem, który nie potrafi się zdecydować, czy chce posklejać swoje życie?

Siostra potrząsnęła głową.

- O, nie! - Uśmiechnęła się. - Podjąłeś decyzję, tylko jesteś za głupi, żeby zdać sobie z tego sprawę.



Po raz pierwszy w życiu kupiłem bilet lotniczy, nie porównując ofert przewoźników. Nie sprawdzałem odległości między fotelami ani kosztów, pakietów lojalnościowych czy jakości posiłków. Zarezerwowałem po prostu pierwszy lot do Sydney. Potem, niewiele myśląc, spakowałem niewielką walizkę, a siostra odwiozła mnie na lotnisko.

- Dobra decyzja - pochwaliła, poprawiając mi kurtkę. - Naprawdę, to właściwa decyzja.

- Ona nie zechce ze mną rozmawiać - odpowiedziałem.

- To po raz pierwszy w życiu, Mike, będziesz musiał się postarać.

Podczas lotu denerwowałem się coraz bardziej. Przy międzylądowaniu w Hongkongu byłem tak rozedrgany, że nie dało się tego wyjaśnić tylko zmianą czasu. Wciąż układałem sobie w głowie, co powiem Lizie, ale każdy wstęp do rozmowy wydawał się niewłaściwy. Im byłem dalej od Moniki, tym bardziej bledły moje marzenia o namiętym powitaniu.

Nie spełniłem obietnicy danej Kathleen. Nie powstrzymałem budowy. Wręcz przeciwnie, projekt nabrał tempa. Mimo miłości do Lizy wciąż byłem dwulicową świnią, no bo gdyby Tina nie przysłała powitalnego SMS-a, czy zerwałbym z Vanessa? Mogłem się okłamywać, że prędzej czy później by do tego doszło, ale miałem tak małe rozeznanie we własnych uczuciach, że już niczego nie byłem pewny.

Słowa, którymi chciałem przywitać Lizę, znikły pod ciężarem głosów z przeszłości: pytania Hanny, dlaczego je okłamałem, rozgoryczenia jej matki, która stwierdziła, że wszystko, co powiedziałem i kim byłem, to fałsz. Myślałem o pustym wzroku Vanessy, gdy przeczytała wiadomość Tyny, i wiedziałem, że nigdy więcej nie chcę nikomu sprawić takiego bólu.

W samolocie kierującym się na wschód odkryłem, że nie mam pojęcia, co robię. Wydawało się mało prawdopodobne, że Kathleen czy Liza przyjmą moją pomoc, nawet jeżeli mam pomysł, jak powstrzymać budowę. Ze strony mieszkańców miasteczka nie miałem co liczyć na ciepłe powitanie. Nie wiedziałem nawet, gdzie się zatrzymam.

W czasie podróży dużo piłem mimo rad mojej siostry - trochę, żeby się rozluźnić, a trochę, żeby czymś zająć ręce. Drzemałem niespokojnie i budziłem się, a z każdą milą czułem, jak mój żołądek jest coraz bardziej zaciśnięty.

Jakieś trzydzieści godzin później wysiadłem z wynajętego samochodu w Srebrnej Zatoce, stanąłem w słońcu i zwalczyłem pokusę, by wrócić na lotnisko.



Tylko raz w życiu widziałem moją matkę płaczącą. To było wtedy, gdy rozbiła na głowie ojca ulubioną porcelanową pasterkę. Z figurki, rzecz jasna, nic nie zostało - żaden kruchy drobiazg nie przetrwałby takiego ciosu. Matka osunęła się na podłogę, zebrała szczątki i płakała tak bardzo, jakby była świadkiem strasznego wypadku. Pamiętam, że stałem w drzwiach przerażony, ale i zniesmaczony tak niezwykle jak na nią wyczynem. Ojciec tkwił obok kanapy z krwawiącą skronią i nic nie mówił. Jakby przyznawał się do winy

Moi rodzice prowadzili wspólnie małą firmę produkcyjną jak hippisi - każdy pracownik miał prawo głosu, a zyski starano się rozdzielać sprawiedliwie. O dziwo, przez dziesięć lat system się sprawdzał. Firma rosła, a rodzice postanowili otworzyć drugi zakład o godzinę drogi od pierwszego. Mielśmy się przeprowadzić - wszystkie oszczędności rodzice włożyli w firmę, więc byli zachwyceni, gdy wynajęli wielki dom na wsi za śmieszna cenę, ze względu na zły stan budynku. Miał on jedyny w swoim rodzaju system wodociągów, połowa pokoi nie nadawała się do zamieszkania z powodu panującej w nich wilgoci - co w tamtych czasach nie należało wcale do rzadkości - a centralnego ogrzewania w ogóle nie było. Siostra i ja uwielbialiśmy ten dom. Pięć lat spędziliśmy na włóczędce po okolicznych lasach, biwakowaliśmy w pustych pokojach i nie przeszkadzało nam wcale, że wilgoć rozprzestrzeniała się coraz bardziej i

coraz mniej pomieszczeń nadawało się do użytku. Rodzice byli zbyt zajęci pracą, robili tylko minimum napraw.

W końcu właściciele postanowili, że nie przedłużą umowy najmu na kolejny rok.

- Żaden problem - stwierdził tato. - Chyba nadszedł czas kupić coś własnego.

Dopiero wtedy zwrócono mu uwagę na klauzulę drobnym drukiem w umowie najmu. Ojciec podjął się generalnego remontu budynku.

- To śmieszne! - zaprotestował. - Dom praktycznie nie nadawał się do zamieszkania, już kiedy się wprowadzaliśmy

Adwokat jednak powiedział, że umowa jest umową i ojciec powinien był ją dokładnie przeczytać. Powinien był zrobić zdjęcia i wynająć rzeczoznawcę, by ten określił stan budynku. Nie dało się podważyć tego, co napisano czarno na białym. Adwokat oszacował w przybliżeniu koszty remontu i rodzice wiedzieli już, że są zrujnowani. Figurka pasterki była pierwszą stratą.

Siostra i ja przenieśliśmy się do szkoły, którą znienawidziliśmy pierwszego dnia. Musieliśmy dzielić pokój w ponurej bursie. Przez lata wakacje spędzaliśmy w wynajętych przyczepach w tanich miejscowościach nadmorskich. Przez lata porcelanowa figurka była dla mnie Symbolem tego, co się dzieje, gdy ktoś traci czujność bodaj na chwilę, gdy nie ma kontroli nad wszystkimi okolicznościami, gdy uwierzy, że ludzie są z natury uczciwi. Teraz patrzyłem na to inaczej. Ojciec w końcu zmienił zasady prowadzenia firmy i odzyskał stabilność finansową. Siostra i ja prawdopodobnie nie bylibyśmy tak ambitni i nieugięci, gdybyśmy się wcześniej tak namacalnie nie zetknęli ze stratą wszystkiego, co tak lubiliśmy.

Rodzice wciąż byli razem. Pasterka, pracowicie posklejana, nadal stała na kominku.

- Pokazała nam, co jest ważne - powtarzała matka, dotykając czule rys na porcelanie.

To zabrzmiało głupio, ale dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że nie chodziło jej o czytanie dopisków drobnym drukiem.



Trzy razy pukałem do tylnych drzwi, zanim zauważyłem kartkę:

Lance/Yoshiko, rozgośćcie się, jesteśmy w szpitalu. Niedługo wracamy. Zapiszcie w zeszycie, co wzięliście. L

Trzymałem ją przez chwilę wzruszony, potem spojrzałem na przystań. Cumował tam tylko *Izmael*, a był dopiero kwadrans po dziesiątej. Kathleen i Liza może wrócą dopiero za kilka godzin. Usiadłem na jednej z pustych ławek, po chwili skierowałem się do baru McIvera i zamówiłem kawę. Ciało nie chciało kofeiny – wmawiało mi, że jest późna noc wbrew temu, co widziały oczy. Wypiłem tylko pół filiżanki, reszta wystygła w błękitnym naczyniu.

- Pan jest tym Anglikiem? - Właściciel, gruby facet przepasany fartuchem, patrzył prosto na mnie.

- Tak - przyznałem się. Nie było sensu pytać, którego Anglika ma na myśli.

- Tym od nowego hotelu? O którym pisali w gazetach?

- Chcę tylko w spokoju wypić kawę. Jeżeli chce pan kłócić się o projekt, zapłacę i wyjdę, jeśli można.

Włożyłem portfel do kieszeni i sięgnąłem po walizkę.

- Ode mnie nie usłyszysz pan złego słowa - powiedział, wycierając talerz ścierką brudniejszą niż jego fartuch. - Ja tam się cieszę. Większy ruch w interesie zawsze się przyda.

Nie odpowiedziałem.

- Wie pan, tu nie wszyscy są przeciw, nawet jeśli gazety twierdzą inaczej. Wielu ludzi, tak jak ja, uważa, że miasto potrzebuje nowych inwestycji.

Chyba nie wyglądałem na przekonanego, bo podszedł do stolika i usiadł ciężko naprzeciwko mnie.

- Bardzo szanuję wielorybników, Greg to mój stary kumpel, ale moim zdaniem za bardzo się trzęsą nad tymi zwierzakami. Wielkie ryby pływają tu od milionów lat i kilka wodnych skuterów nie zrobi im różnicy. Jasne, pewnie przez chwilę nie będą wyściubiać nosów na powierzchnię, ale wrócą.

- Nie będą wyściubiać nosów?

Machnął kciukiem w stronę przystani.

- Wszyscy jęczą, że już się pochowały. Ale skąd, pytam, ryby mają wiedzieć, co się tu szykuje?

- Kto się pochował? - Nie rozumiałem, o co mu chodzi.

- Wieloryby. Nie pokazują się. Sternicy musieli wcześniej skończyć sezon i teraz pływają tylko na delfiny. Chyba nie robi im to dużej różni

cy. Mogą zrobić dwie wycieczki na delfiny zamiast jednej na wieloryby, więc chyba nawet lepiej, nie?

Przez chwilę przetrawiałem to, co usłyszałem. Odwróciłem się do niego.

- Należy mi pan drinka? - Czułem, że następna rozmowa będzie wymagała z mojej strony więcej odwagi wspomaganą odrobiną szkockiej.

Podniósł się od stołu i pochylił nade mną.

- Coś mi się zdaje, że wasza firma wyświadczy mi sporą przysługę. Ten będzie na mój koszt.



Powrót do hotelu Kathleen zajął mi prawie godzinę. Zwykle pokonywałem tę odległość w dziesięć minut biegiem, a w dwadzieścia spacerem. Jednak tym razem *jet lag* w połączeniu z kilkoma dużymi szkockimi od nowego najlepszego przyjaciela Dela skutecznie uniemożliwiły mi obranie najprostszej drogi. Kilka razy siadałem na walizce. Hotel był tuż, na odległość splunięcia, a jednak zdawał się oddalać jak fatamorgana. Raz pomyślałem, że popłynę morzem - woda wyglądała zachęcająco i było o wiele cieplej niż podczas mojego poprzedniego pobytu, ale z jakiegoś powodu, którego nie mogłem sobie przypomnieć, powinienem wyglądać elegancko. Poza tym zapomniałem, jak się ściąga buty.

Dwukrotnie zgubiłem walizkę i musiałem po nią wracać. Uchyłała się jednak jak złośliwy psiak i padałem jak długi na plażę. Wszędzie miałem

piasek - w nosie, włosach i butach, ale trzymałem kurczowo portfel, żeby go przypadkiem nie zgubić. Rodzice zawsze mówili, że w obcym kraju trzeba mieć portfel w garści.

Gdy dotarłem do hotelu, poczułem niemal euforię, że zdołałem tego dokonać, chociaż nie wiedziałem już, dlaczego to takie ważne. Rzuciłem walizkę pod drzwi, potem spojrzałem na kartkę chwiejącą się przede mną. Kilka razy próbowałem ją złapać, żeby przestała mi tańczyć przed oczami.

Potem ogarnęło mnie nagłe zmęczenie. Postanowiłem się położyć, tylko że drewniane ławy były za wąskie, a plaża w tym miejscu zbyt kamienista. Dostrzegłem jednak zachęcająco otwarte drzwi Muzeum Wielorybnictwa i podążyłem chwiejnie w tym kierunku. Pomyślałem, że się tam przekimam, a rano na pewno będę pamiętał, po co tu przyjechałem.



Obudziły mnie czyjeś wrzaski. Na początku byłem w samolocie, stewardesa próbowała nas obudzić, bo samolot nie mógł oderwać się od ziemi i wszyscy musieliśmy machać skrzydłami, żeby mu pomóc wzlecieć. Stopniowo poprzez opary whisky zdałem sobie sprawę, że nawet gdy stewardesa zniknęła, wrzaski przybrały na sile, a jej uścisk na ramieniu był coraz mocniejszy.

- Puść - mruknąłem, próbując się wyswobodzić. -Nie chcę orzeszków.

Po chwili otworzyłem oczy. Gdy światło dnia przestało mnie razić, uświadomiłem sobie, że znam tę twarz. Żółty sztormiak Lizy McCullen łopotał na wietrze. Krzyczała na mnie:

- Nie wierzę własnym oczom! Jeszcze tego brakowało! Cholerny Mike Dormer zjawia się tu pijany! Śmierdzisz, wiesz o tym? Cuchniesz whisky Co tu, do ciężkiej cholery, robisz? Jak śmiesz tu przychodzić?

Powoli zamknąłem oczy. Ogarnął mnie dziwny spokój. O dziwo, ostatnią rzeczą, jaką zauważyłem, był szeroki uśmiech Kathleen.



RS

Rozdział 17

Kathleen

Powiedział, że powinnam „wystąpić naprzód”. Powiedział, że rozmawiał z siostrą-dziennikarką, a ona wie o takich rzeczach, i że powinnam być główną bohaterką reportażu „Pani Rekinów próbuje ocalić wieloryby” albo coś w tym stylu. Mówił, że reklama jest najlepszą gwarancją oprotestowania budowy i że musimy trafić do odbiorców spoza naszego miasteczka, zwłaszcza że tylu mieszkańców nie opowiedziało się jednoznacznie po żadnej ze stron.

Odparłam, że nie chcę zamieszania i że nie mam zamiaru znów trafić do gazet. Spojrzał na mnie jak na wariatkę.

- To by nagłośniło sprawę.

- Może kilka osób z okolicy by się zainteresowało, ale siedemdziesięcioletnia kobieta, która kiedyś złowiła rekina, nie może liczyć na nic więcej. Lepiej zostawić sprawy własnemu biegowi.

- Myślałam, że masz siedemdziesiąt sześć lat! - wykrzyknęła Hanna.

Rzuciłam jej spojrzenie, które - gdybym była w jej wieku - osadziłoby mnie na miejscu. Dzisiejsze dzieciaki nie rozumieją takich subtelności.

- Kathleen, obiecałem ci, że to naprawię, i staram się jak mogę. Ale potrzebna nam strategia, a w tej chwili nie mamy żadnej innej.

Mike miał już trzy dni na powrót do formy i chociaż wciąż wyglądał

na zmęczonego, odzyskał pewność siebie. Był też jakby poważniejszy. Wrócił, żeby nas uratować - jak oznajmił, gdy natknęliśmy się na niego na progu muzeum. Trudno jednak traktować poważnie takie słowa w ustach faceta, który leży pijany na podłodze. Powiedziałam mu to później i chyba wziął sobie moją radę do serca.

-Naprawdę reportaż to świetny pomysł. Doradziła mi to specjalistka od mediów - przekonywał. Miał teraz na sobie wyprasowaną koszulę, zupełnie jakby myślał, że dzięki niej będzie bardziej wiarygodny.

-Mike, wiem, że chcesz dobrze, i jestem wzruszona, że chcesz nam pomóc. Ale jak już mówiłam, nie chcę wyciągać na nowo tej całej sprawy z Panią Rekinów. To mi popsuło życie. *Nie chcę* takiej reklamy

- Myślałem, że jesteś z tego dumna.

- To dowodzi, że mało mnie znasz.

- Powinnaś być dumna - wtrąciła wesoło Hanna. Wydawała się bardzo zadowolona z powrotu Mike'a, w każdym razie bardziej niż jej matka. - Ja byłabym dumna, że zabiłam rekina.

- Zabijanie jakichkolwiek stworzeń to nie powód do dumy - odpowiedziałam.

- W takim razie wykorzystaj śmierć rekina, żeby pomóc wielorybom.

- Mike mrugnął do mnie.

- Nie będę znów Panią Rekinów. Mam dość zmartwień i bez tego! - Zacisnęłam usta i miałam nadzieję, że ustąpi.

- W takim razie Liza - stwierdził.

Do tej pory robiła, co mogła, żeby go ignorować, i udawała, że czyta gazetę.

- Co Liza? - spytała, nie podnosząc wzroku.

- Byłabyś świetnym rzecznikiem kampanii.

- Dlaczego?

- No... Nie ma zbyt wielu kobiet-sterniczek. Wiesz dużo o wielorybach. Jesteś... - tu miał przynajmniej tyle przyzwoitości, żeby zarumienić się i odkaslnąć - atrakcyjną kobietą. Wiem, jak to wszystko działa i...

- Nie! - przerwała nagle.

Stałam nieruchomo przy zlewie, czekając na jej kolejne słowa.

Po chwili dodała przepaszająco:

- Nie chcę... narażać córki... na to wszystko.

- Mnie to nie przeszkadza - wtrąciła Hanna. - Mogą o mnie pisać.

- To jedyny sposób - powiedział Mike. - Musisz zdobyć tyle poparcia, ile zdołasz. Jak ludzie dowiedzą się...

- Nie.

Spojrzał na nią.

- Dlaczego jesteś taka uparta?

- Nie jestem.

- Myślałem, że zrobisz wszystko dla wielorybów.

- Jak śmiesz mówić mi, co powinnam dla nich robić?! - Liza zwinęła gazetę i trzasnęła nią o stół. - Gdyby nie ty, nic by się nie stało i nie musielibyśmy nic robić.

- Lizo... - zaczęłam.

- Naprawdę w to wierzysz? - przerwał mi. - Naprawdę sądzisz, że nikt by się nigdy nie zainteresował tym miejscem?

- Nie... ale jeszcze nie teraz. Miałybyśmy więcej czasu... - Jej głos zamarł.

- Co masz na myśli? Jak to więcej czasu?

W pokoju zapadła cisza. Hanna podniosła wzrok i zaraz spuściła oczy na rozłożony zeszyt. Liza spojrzała na mnie i potrząsnęła głową niemal niedostrzegalnie.

Mike zauważył ten gest, a ja rozczarowanie na jego twarzy. Zaczęłam zbierać puste naczynia, żeby się czymś zająć.

- Posłuchajcie - powiedział w końcu - któraś z was musi coś zrobić. Wy dwie macie największe szanse, by powstrzymać tę budowę, chociaż i tak niewielkie. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby wam pomóc. Uwierzcie, nie mogę zrobić nic więcej, ale wy również musicie mi pomóc.

- Nie - uparła się Liza. - Wyjaśnijmy to sobie od razu: ani Hanna, ani ja nie wystąpimy publicznie. Zrobię wszystko, o co mnie poprosisz, ale nie to. Nie ma sensu o tym dyskutować.

Wstała i wyszła z kuchni. Milly podążyła za nią.

- Więc co chcesz zrobić?! - krzyknął za nią. - Strzelać racami do wszystkich skuterów, tak jak do tamtych motorówek?

Hanna zebrała zeszyty i ruszyła za matką. Uśmiechnęła się do Mike'a przepraszająco. Westchnął.

- Mike, pomyślę o tym - obiecałam bardziej ze współczucia, niż z rzeczywistej chęci działania. Był taki zawiedziony Patrzył za Lizą jak głodu-

jący, któremu sprzątnięto sprzed nosa ostatni kawałek chleba. Jego uczucia były tak oczywiste, że odwróciłam wzrok.

- No dobrze. Przechodzimy do planu B. - Uśmiechnął się krzywo. - Muszę go tylko opracować.

Szybko odkryłam, że przyjazd do Srebrnej Zatoki oznaczał dla Mike'a rezygnację ze wszystkiego, co nadawało sens jego życiu. Przyznał, że nie ma już dziewczyny, pracy ani nawet mieszkania.

- Wciąż mogę jednak płacić za pokój - powiedział. - Stan mojego konta... Jeszcze nie muszę się martwić o pieniądze.

Po zaledwie miesiącu nieobecności był dziwnie odmieniony. Znikła jego pewność siebie, zastąpił ją pewien rodzaj wahania. Częściej pytał, niż oznajmiał, nie ukrywał emocji jak do tej pory. I więcej pił. Gdy o tym napomknęłam, wydawał się zaniepokojony.

- Czy aż tak bardzo to widać? - spytał półgłosem. - Staram się o tym nie myśleć.

- To zrozumiałe - odpowiedziałam - na krótką metę. Zrozumiał. Nowy Milce Dormer wzbudził we mnie

znacznie większą sympatię. Między innymi dlatego pozwoliłam mu u nas zostać. A przynajmniej tak to wyjaśniłam Lizie.

W tym czasie już wszystkie łódzie-dyskoteki, wszyscy sternicy, którzy kiedykolwiek zobaczyli wielką sardynkę i na tej podstawie proponowali turystom „rejsy ekologiczne”, zaczęli zapuszczać się na nasze wody. Zupełnie jakby wystawiali nas na próbę, sprawdzali, czy damy się zlekceważyć. Członkowie straży przybrzeżnej donosili o pogłoskach, że powinno się rozbudować Przystań Wielorybów, żeby inni mogli przy niej cumować.

Dwukrotnie hałaśliwe jachty wpłynęły do naszej zatoki. Lance złożył skargę do odpowiednich władz, wiążąc te rejsy wycieczkowe ze zniknięciem wielorybów.

Oficjalny komunikat wydany w tej sprawie tłumaczył krótszy sezon zmianami szlaku migracyjnego i globalnym ociepleniem, ale wielorybnicy nie dali się przekonać. Yoshiko rozmawiała z dawnymi przyjaciółmi z uniwersytetu, którzy powiedzieli, że przyczyny prawdopodobnie tkwią w bliższym otoczeniu. Delfiny pojawiały się jeszcze w zatoce, byłam jednak pewna, że to' długo nie potrwa, bo ściągały na siebie całą uwagę pasa* żerów. Na każde stado przypadały dwie albo trzy łodzie, a turyści wychylali się z kamerami za burtę.

Zdołałam namówić Lizę, by pozwoliła córce na kurs żeglarstwa - może dzięki temu, że tak bardzo przejęła się losem wielorybów, a może dlatego, że powrót Mike'a wytrącił ją z równowagi. Odwiozłam Hannę i jej przyjaciółkę na pierwsze zajęcia do Zatoki Salamandry Gdy zobaczyłam ją na wodzie, zrozumiałam, że to nie była jej pierwsza styczność z żaglówką. Później z uśmiechem przyznała mi rację i uznałyśmy, że lepiej nie mówić nic matce.

- Myślisz, że pozwoli mi pływać na *Dumie Hanny*? - spytała, gdy wracaliśmy do domu. Pies oparł łapy na jej ramieniu. - Jak instruktor uzna, że już mogę?

- Uważaj, bo pies zje ci kanapkę - odparłam, odpychając Milly Dzień był piękny, ale z zachodu nadpływały ciemne chmury. - Nie wiem, kochanie. Wszystko w swoim czasie. Myślę, że nie powinniśmy naciskać.

- Greg mówi, że nie pozwoli, żeby mu zrobić na złość.

- Tak ci powiedział?

- Słyszałam, jak rozmawiał z Lancem. Nie wiedzieli, że podsłuchuję.
„Już ja sobie z nim pogadam!” - postanowiłam.

- To, co twoja mama myśli o Gregu, nie ma nic wspólnego z całą sprawą - powiedziałam na głos. - Dostaniesz swoją żaglówkę, tylko musisz być cierpliwa.

Zwolniłam, żeby ukłonić się starszemu panu Hendersonowi, który wracał na rowerze z targu rybnego. Gdy znów spojrzałam na Hannę, wyglądała przez okno.

- Czy można zmienić nazwę żaglówki? - zapytała, wpatrując się w horyzont.

- Dlaczego pytasz?

- Chciałabym zmienić nazwę mojej, jak już będę mogła na niej wypływać.

- Da się to załatwić - mruknęłam z roztargnieniem. Myślałam już, co przygotować na obiad. Nie byłam pewna, ilu osób możemy się spodziewać. Powinnam była spytać Hendersona o ofertę dnia na rynku. - A może lepiej jej nie zmieniać? Niektórzy uważają, że to przynosi pecha.

- Chcę ją nazwać *Droga Letty*.

Zahamowałam tak gwałtownie, że pies o mały włos nie spadł mi z kolan. Przez chwilę milczałyśmy obydwie, a potem Hanna otworzyła szeroko oczy.

- Dlaczego nie mogę nawet wymawiać jej imienia?! - krzyknęła.

Zjechałam na pobocze, podnosząc dłoń w geście przeprosin w stronę kierowcy, który musiał zahamować za mną. Gdy nas minął, odwróciłam się w fotelu i pogłaskałam Hannę po policzku. Próbowałam ukryć, jak wstrząsnęły mną jej słowa.

- Kochanie, możesz mówić, co tylko chcesz. Przepraszam. Trochę mnie tylko zaskoczyłaś.

- To moja siostra. - Jej oczy wypełniły się łzami. - Była moją siostrą. Chcę czasem o niej porozmawiać.

- Wiem o tym.

Pies wdrapał się jej na kolana, popiskując. Milly nie lubiła, kiedy ktoś płakał.

- Myślałam, że jak nazwę żaglówkę jej imieniem, będę mogła je wypowiadać, kiedy zechcę, i nikt nie będzie się denerwował.

Chciałam znaleźć słowa, które ukołoby jej tak długo ukrywany ból, ale nie byłam w stanie.

- Chcę o niej mówić, ale mama zawsze wtedy wygląda, jakby miała zemdleć, czy coś w tym rodzaju.

- To świetny pomysł, Hanno, ale nie jestem pewna, czy możliwy do zrealizowania. Na pewno przez długi czas jeszcze nie.

Kiedy wróciliśmy do domu, poszłam prosto do swojej sypialni i wyciągnęłam z szuflady zdjęcie Lizy z obiema dziewczynkami. Z jednej strony brzeg był nierówny - tam właśnie odciąłam sylwetkę mężczyzny, trochę zbyt gwałtownie. Wiem, co myślała Liza - jedyną możliwością ochrony przed nim będzie zapomnieć o Letty. Tylko za taką cenę mogła dalej żyć i zapewnić bezpieczeństwo Hannie.

To jednak nie było takie proste. Nie mogły pogrzebać Letty ani wtedy, ani teraz.

Udając, że jest inaczej, wiodły za ledwie półzycie.



Codziennie odwiedzałam Nino Gainesa. Czesłam go, przynosiłam czyste piżamy, nawet jak miałam odwagę, goliłam go - nie z sentymentu, rzecz jasna, tylko po prostu dlatego, że nie miał kto tego zrobić. No dobrze, może z wyjątkiem Franka albo John Johna, albo jego żony, ale młodzi są zajęci, mają własne życie i własne sprawy. Więc sama się tym zajęłam i codziennie spędzałam w szpitalu po kilka godzin, czytałam Ninowi artykuły z gazet, które mogły go rozerwać, i od czasu do czasu dokuczałam pielęgniarce w jego imieniu.

Musiałam go odwiedzać. Wydawało mi się, że nie chciałby leżeć samotnie w pomieszczeniu wypełnionym zapachem środków dezynfekcyjnych, przykuty do łóżka, podłączony do rurek, monitorów i Bóg wie czego jeszcze. Nino Gaines uwielbiał przebywać na świeżym powietrzu, przechadzać się po Winnicach, od czasu do czasu przystawać przy winnym krzewie, oglądać dojrzewające grona, mruknąć coś o ich smaku. Starłam się nie dostrzegać jego obecnego położenia - to niby wciąż był potężny mężczyzna, który nie mieścił się na szpitalnym łóżku, a jednak ja widziałam, że jakby się skurczył. Nie spał, to było oczywiste, chociaż wmawiałam sobie co innego.

Członkowie jego rodziny cieszyli się z moich odwiedzin, sami przychodzili i odchodzili, zostawiając przy łóżku zapasy jedzenia. Przynieśli zdjęcia, na wypadek gdyby otworzył oczy, i płyty, bo może słyszy. Szepotali nad łóżkiem, trzymali go za rękę i konferowali z lekarzami o prognozach i dalszym leczeniu. Elektrokardiogram wykazał, że mózg Nina pracuje bez zarzutu. To i ja wiedziałam. Opowiadałam mu o Winnicy, o tym, że Frank zauważył zawiązki pierwszych w tym roku pąków, że ja-

kiś właściciel sklepu przyjechał aż z Perth, bo słyszał wiele dobrego o jego winach i chciał je sprzedawać. Opowiedziałam o planowanych konsultacjach społecznych, o tym, że budowa wzbudziła niespodziewaną falę protestów, o tym, jak dzieci ze szkoły podstawowej uznały, że wieloryby są dla nich ważniejsze niż nowy autobus. Opowiedziałam o samotnych godzinach spędzonych przez Mike'a przy telefonie, o tym, że próbuje za wszelką cenę powstrzymać budowę. Mówiłam o mojej rosnącej sympatii do tego młodego człowieka, chociaż to przez niego wszyscy wpadliśmy w kłopoty, o czujności w jego oczach - tak wobec innych, jak samego siebie, o tym, jak rozjaśnia się cały na widok mojej siostrzenicy. Czułam, że dobrze zrobiłam, pozwalając mu zostać.

Powiedziałam też Ninowi o zniknięciu wielorybów, o biednych, osamotnionych delfinach i o mojej siostrzenicy tak poruszonej powrotem Mike'a, że nie wiedziała, co ze sobą zrobić. Wypływała samotnie na *Izmaelu* i wracała w jeszcze gorszym nastroju. Ignorowała Mike'a przy każdym posiłku, a potem karciła córkę za to samo. Była wściekła na nas obie, że pozwoliłyśmy mu zostać. Zarzekała się, że nic do niego nie czuje, a gdy w końcu powiedziałam jej, że nie widzi tego, co oczywiste, miała czelność odpowiedzieć: „przyganiał kocioł garnkowi”.

Jednak była idiotką tak jak Nino Gaines. Leżał chory, choć to do niego niepodobne, podłączony do rurek, nic nie mówił, nic nie robił, po prostu pozwalał mi się zwierzać ze wszystkich trudności, jakby sam nie miał większych zmartwień. Czasem budziła się we mnie nadzieja, innym razem jego bierność doprowadzała mnie do szału. Raz pielęgniarka przy-

łapała mnie, jak krzycząc: „obudź się!”, tak głośno, że zagroziła wezwaniem lekarza.

Ale gdy byłam z nim sama w jego małym pokoju i przytulałam policzek do jego dłoni - tej bez kroplówki wbitej w bladą skórę - wtedy Nino Gaines czuł wilgoć moich łez.



Całe popołudnie padało, tak jak przewidywałam, i przed nocą rozpełtała się burza. Mój ojciec nazywał taką pogodę „sztormem w starym stylu”, a matka mamrotała, że niczym się nie różni od innych. Ja jednak wiedziałam, co miał na myśli - błyskawice, od których cierpła skóra, i ogłuszające grzmoty. Po powrocie ze szpitala zadzwoniłam do straży przybrzeżnej - powiedzieli, że nie mamy powodu do niepokoju. Zawsze boimy się trąb powietrznych i cyklonów, ale dowiedziałam się, że najgorsze już minęło. Zamknęłam okiennice, rozpałam ogień na kominku i włączyliśmy telewizję. Hannę pochłonał ulubiony program, a Liza i ja zatopiłyśmy się we własnych myślach. Wiatr gwizdał wokół, światła przygasały, jakby Bóg chciał nam przypomnieć, że nadal ma nas w swojej mocy. Kwadrans po szóstej usłyszałam hałasy w holu. Wyszłam z pokoju, żeby przywitać Lance'a, Yoshiko i Grega zrzucających śliskie o wody sztormiaki.

- Możemy zatrzymać się u ciebie, Kathleen? Napijemy się trochę i wrócimy do domu.

- Byliście na morzu przez cały czas? W taką pogodę? Odbiło wam?

- Ktoś nie sprawdził prognozy - Yoshiko spojrzała wymownie na Lance'a. - Pomyśleliśmy, że popłyniemy trochę dalej wzdłuż wybrzeża w kierunku wyspy Kagoorie, poszukamy wielorybów. Nagle zrobiło się paskudnie i spłynęliśmy najszybciej, jak się dało.

- Wszystko w porządku, nie mieliśmy pasażerów - dodał Greg. - Fale trochę strone w drodze powrotnej, cały czas pod wiatr. Zresztą wróciliśmy już jakiś czas temu, tylko zabezpieczaliśmy łodzie na przystani. *Izmael* też dostał dodatkową cumę.

- Wejdźcie, siadajcie. Hanno, posuń się. Wstawię trochę zupy - Krzątałam się, jakby sprawili mi kłopot, ale tak naprawdę cieszyłam się, że przyszli. Ostatnio hotel był pusty, a ich obecność dodała mi otuchy.

- Znaleźliście je? - Liza odłożyła gazetę.

- Ani jednego. - Yoshiko wyjęła z kieszeni grzebień. - Lizo, coś nie gra. Delfinów też dziś nie było. Jeżeli odejdą, będziemy w kłopotcie.

- Odejdą? Dokąd? - Hanna podniosła głowę.

Liza rzuciła Yoshiko ostrzegawcze spojrzenie, ale było już za późno.

- Delfiny przeczekują gdzieś złą pogodę. Wrócą, jak się poprawi - powiedziała stanowczo.

- Pewnie gdzieś przy skałach - zastanowiła się Hanna. - Może w tej małej zatoczce.

- Pewnie masz rację, Mała - dodał Lance. - Jakie dobre! - skosztował piwa.

Yoshiko zajrzała do kuchni.

- Kathleen, mogę cię prosić o herbatę? Muszę się rozgrzać.

Rozluźniłam się trochę, gdy sztorm zelżał. Odkąd byłam dziewczynką, liczyłam sekundy pomiędzy błyskawicą a grzmotem, żeby się przekonać, jak daleko uderzył piorun. Dopiero teraz, kiedy już wiedziałam, że huragan zawrócił nad morze, mogłam się skupić na rozmowie. Wciąż pamiętam sztorm z 1948, kiedy na wybrzeżu rozbiły się dwa statki, a mój ojciec i inni mężczyźni przez pół nocy ratowali rozbitków. Zbierali też ciała ofiar, ale o tym dowiedziałam się dopiero wiele lat później od matki. Powiedziała, że ciała leżały w muzeum do przyjazdu władz.

Greg przysiadł się do Lizy Mruknął coś do niej, a ona kiwnęła z roz-targnieniem głową. Nagle jego oczy zwęziły się.

- Co on tu robi? - spytał ostro.

Mike stanął w drzwiach z plikiem papierów trochę zaskoczony gość-mi.

- Płaci za pokój, Greg - odparłam stanowczo. Wcześniej nic mu nie mówiłam o powrocie Mike'a. Uznałam, że prędzej czy później sam się dowie bez mojego udziału i że to nie jego sprawa.

Wystudiowana obojętność Lizy była znakiem, że i ona myśli podobnie.

Greg powstrzymał się z wysiłkiem, żeby niczego nie dodać. Chyba powstrzymała go moja mina. Prychnął szyderczo i usiadł obok Lizy.

Mike podszedł do mnie.

- Wiatr chyba zerwał kable telefoniczne - powiedział cicho. - Nie mogę połączyć się z Internetem.

- Często tak bywa, jak pada - wyjaśniłam. - Trzeba przeczekać. Deszcz nie będzie padać przez całą noc.

- Co robisz? Próbujesz zrujnować kolejny interes?

- Przestań, Greg! - warknęła Liza.

- Dlaczego go bronisz? Jak możesz ścierpieć go we własnym domu po tym, co zrobił? - głos sternika przeszedł w falset.

- Nie bronię go.

- Powinnaś wyrzucić go na zbity pysk.

- To nie twoja sprawa...

- Próbuję po sobie posprzątać - wtrącił Mike. - Nie pracuję już w Baker Holdings. Chcę powstrzymać budowę.

- Tylko tak twierdzisz...

- Co masz na myśli, do cholery? Greg spojrzał na mnie.

- Skąd wiesz, że nie jest wtyczką? Nigdy nie przyszło mi to do głowy.

-Jego firma musiała wiedzieć, że będą protesty -ciągnął. - Dlaczego nie miałyby go przysłać, żeby wywęszył, co się szykuje?

- Zarzucasz mi kłamstwo? - warknął Mike, postępując krok w jego stronę.

Wciągnęłam oddech. Atmosfera zgęstniała.

- „Zarzucasz mi kłamstwo?” - Greg sparodiował brytyjski akcent.

- Wystarczy..

- Tak, zarzucam ci kłamstwo. Jesteś kłamcą, oszustem, fałszywym, śmierdzącym gryzipiórką, choler...

Greg zaatakował pierwszy lewym sierpowym. Trafił Mike'a w skroń. Ten zachwiał się, sternik chciał poprawić, ale Lance wkroczył między nich i zablokował cios z głośnym stęknieniem. Mike zacisnął pięści.

- Cofnij się! - krzyknął Lance i odepchnął go, niechcący przewracając stolik. - Na litość boską, cofnij się!

Serce biło mi tak mocno, aż bałam się, że zwymiotuję. Pokój jakby zmałał. Nagle wszyscy zaczęli krzyczeć i wydawało mi się, że słyszę trzask łamanych mebli.

Mike podniósł dłoń do twarzy, zobaczył krew na palcach i skoczył do przodu.

- Ty draniu... Yoshiko krzyknęła.

- Przestańcie! Obaj jesteście załośni! - Liza zerwała się na nogi i stanęła między nimi. - Wynoście się obaj! Słyszycie? Nie ścierpię takiego zachowania w moim domu! Nie pozwolę na to. - Wypchnęła Grega z pokoju.

Co ja takiego zrobiłem?! - krzyczał, gdy wyciągała go z Lancem do kuchni.

- Nie muszę tego słuchać! - wrzeszczał Mike. Dopiero gdy byli w oddzielnych pomieszczeniach, mój oddech się uspokoił.

- Boże święty - powtarzał Lance, wracając. Mike rozluźnił ramiona, zwilżył spuchnięty policzek. Schylił się i podniósł przewrócony stolik. Z kuchni dobiegały odgłosy kłótni.

Wtedy zauważyłam Hannę. Siedziała skulona w kącie sofy z Milly na kolanach.

- Kochanie - starałam się, żeby mój głos brzmiał spokojnie - wszystko w porządku. W czasie sztormów wszyscy się kłócą.

- Ale nie będą już się bić, prawda? - Otworzyła szeroko oczy z przerażenia. - Proszę, nie pozwól im się bić.

Podniosłam wzrok. Mike stanął obok poruszony wrażeniem, jakie wywołał.

- Hanno, już dobrze - powiedział. - Nie ma się czego bać.

Patrzyła na niego, jakby go nie poznawała.

- Naprawdę. - Klęknął obok. - Przepraszam. Na chwilę straciłem panowanie nad sobą, ale to nic poważnego.

Nie wyglądała na przekonaną i odsunęła się od niego.

- Już w porządku. Naprawdę - dodał.

- Nie jestem głupia - wyszeptała na poły z wściekłością, na poły z lękiem.

Spojrzelіśmy na siebie.

- Zobacz. Pokażę ci. - Mike poszedł do kuchni i zawołał Grega. Hanna drgnęła w moich ramionach, choć przytulałam ją mocno.

Po chwili obaj wrócili do pokoju.

- Zobacz. - Wyciągnął rękę. Widziałam, ile go to kosztuje. - Tak naprawdę jesteśmy kumplami. Pokłóciliśmy się, teraz się godzimy. Twoja ciocia ma rację, po prostu sztorm wytrącił nas z równowagi.

- No właśnie. - Greg uściskał mu dłoń. - Nie ma się czego bać. Przepraszam, kochanie.

Spojrzała na mnie, potem na matkę. Uśmiech Lizy dodał jej otuchy.

- Teraz sobie pójdziemy. Jeszcze raz przepraszam. - Mike spróbował się uśmiechnąć.

- Ja też będę spadał. Lizo - dodał znacząco Greg - wiesz, gdzie mnie szukać.

Chciała coś odpowiedzieć, ale w tym momencie zadzwonił telefon. Minęła go i wyszła do holu.

Hanno - sternik sprawiał wrażenie pokonanego - bardzo mi przykro. Nie chciałem cię przestraszyć. Wiesz, że nie chciałem... - uścisnęłam jej ramię, ale nie chciała odpowiedzieć.

Nagle Liza wbiegła do pokoju w sztormiaku zarzuconym na ramiona. W jednej chwili zapomnieliśmy o kłótni.

- Dzwonił Tom - niemal wychrypiała napiętym głosem. - Mówi, że do zatoki zbliżają się dryfujące sieci.



RS

Rozdział 18

Mike

Stałem pośrodku pokoju z chusteczką przyciśniętą do zakrwawionej twarzy, a wszyscy wokół mnie krzątali się gorączkowo. Chciałem zapytać, co to są dryfujące sieci, ale każdy wyglądał na tak zajętego, że wolałem nie przeszkadzać.

- Popłynę z tobą. Będę sterować, kiedy będziesz ciąć - powiedziała Kathleen do Lizy

Yoshiko miała już na sobie sztormiak.

- Czy ktoś zawiadomił straż przybrzeżną? Lance przyciskał aparat do ucha.

- Wciąż nie ma sygnału.

- Zostań tu, kochanie - przykazała Liza córce.

- Nie - sprzeciwiła się Hanna - ja też chcę pomagać.

Na twarzy matki odbiło się napięcie.

- Nie. Zostaniesz tutaj. To niebezpieczne.

- Ale ja chcę pomóc...

- W takim razie zostań tu, a jak telefon będzie już działał, zacznij dzwonić. Do parków narodowych, straży przybrzeżnej, ludzi od delfinów i wielorybów, do kogokolwiek, kto ci przyjdzie do głowy. Powiedz, żeby przysłali tylu ludzi, ilu zdołają, dobrze? Numery znajdziesz w notesie przy telefonie. - Liza przyklękła i spojrzała córce w oczy. - To bardzo ważne, Hanno. Będziemy potrzebować każdej pary rąk.

- W porządku. - Dziewczynka wyglądała już na udobruchaną.

Kathleen weszła do pokoju w sztormiaku i z wielką latarką pod pachą.

- Pianki są w samochodzie. Zapasowa latarka... czy wszyscy mają szcypce do cięcia nylonu?

Greg naciągnął wełnianą czapkę nisko na czoło.

- Mam dodatkową parę w szopie. Skoczę po nie. Lance, podrzuć nas na wybrzeże, będzie szybciej.

Spojrzałem na Lizę. Czułem się jak tuż po przyjeździe: obcy i bezużyteczny.

- Co mogę zrobić? - spytałem. Chciałem z nią porozmawiać na osobności, przeprosić za głupotę swoją i Grega, przydać się do czegoś, ale ona myślami była już gdzie indziej.

- Zostań tu. - Zerknęła na Hannę - Ktoś powinien być z nią w domu. I nie wypuszczaj psa. Jak tam pogoda, Kathleen? - Wcisnęła włosy pod czapkę i wyjrzała na zewnątrz.

- Bywało lepiej, ale niewiele na to poradzimy. Dobra, idziemy Odezwiemy się przez radio.

Gdy wyszli, Hanna wyjaśniła mi, że do zatoki przydryfowały pławnice - wielkie nylonowe sieci obciążone na dole, zwane przez niektórych „ścianami śmierci”. Odkąd na australijskich wodach wprowadzono zakaz ich używania, wiele statków po prostu wyrzuciło je za burtę albo odcięło od łodzi. Porzucone sieci dryfowały tak długo, dopóki nie zatonięły pod ciężarem schwytanych stworzeń.

- Uczyliśmy się o tym w szkole - dodała - ale nie sądziłam, że tu przypląną. - Przygryzła wargi. - Mam nadzieję, że naszym delfinom nic się nie stanie.

- Jestem pewien, że twoja mama i inni zrobią wszystko, co w ludzkiej mocy, żeby o to zadbać - odpowiedziałem. - Chodź, sprawdzimy telefony. Zdaje się, że musisz gdzieś zadzwonić?

Linie już działały. Zrobiłem sobie herbaty, słuchając, jak Hanna zostawia wiadomości, a od czasu do czasu rozmawia z przedstawicielami władz. Jak na jedenastolatkę była wyjątkowo opanowana i kompetentna. Jednak nie powinienem się dziwić: niewiele spotkałem osób w jej wieku, które tyle wiedzą o delfinach.

Burza minęła, ale deszcz wciąż lał niemiłosiernie. Po szybach spływały strumyki wody, na płaskim dachu nad werandą krople grały głośne staccato. Dorzuciłem drewno do kominka i zacząłem spacerować po kuchni. Pies obserwował każdy mój krok.

- Dodzwoniłaś się? - spytałem, gdy Hanna weszła do kuchni.

- Do większości. Nie mogłam złapać straży przybrzeżnej, pewnie już wiedzą i są na miejscu. Chciałabym im pomóc. - Wyjrzała tęsknie przez zalane deszczem okno.

- Pomagasz, jesteś teraz jak dyspozytor centrum kryzysowego.

- To się nie liczy. - Machnęła ręką. - Będziesz miał siniaka. - Wskazała mój policzek.

- Dobrze mi tak. - Uśmiechnąłem się. Hanna pogłaskała psa.

- Wyjrzałam przez okno na górę i widziałam w zatoce mnóstwo łodzi z włączonymi światłami.

- Widzisz? Dadzą sobie radę. Wszyscy pomagają. Wydawało się, że mnie nie słucha.

Wtedy właśnie zadzwonił telefon w moim pokoju.

- Zaraz wrócę - obiecałem i wbiegłem na górę po dwa stopnie. Może to Liza? Może próbowała się z nami skontaktować, gdy

Hanna rozmawiała z władzami?

Gdy jednak wyjąłem komórkę z kieszeni marynarki, okazało się, że to ktoś inny. Spojrzałem na wyświetlacz i odebrałem połączenie.

- Halo?

Żadnej odpowiedzi.

- Vanesso?

- Mike.

Wyjrzałem przez okno. W ciemności widziałem tylko światła łodzi. Nie miałem pojęcia, co powiedzieć.

- Dowiedziałam się, że odszedłeś z pracy - usłyszałem tak wyraźnie, jakby stała tuż obok.

Usiadłem na pokrytym skórą fotelu.

- Przed tygodniem. Ze skutkiem natychmiastowym. - Miałem jednak wrażenie, jakby to się wydarzyło w poprzednim życiu.

- Byłam na zwolnieniu. Nie wiedziałam. Tata mi nie powiedział.

- Zadzwoiłbym, ale...

- Tak?

Przez długą chwilę milczeliśmy oboje.

- Nie chciałam tam przychodzić - odezwała się w końcu - patrzeć na ciebie i na nią.

Oparłem głowę na rękę i westchnąłem głęboko.

- Tak mi przykro, Ness. - Milczała. Zraniłem ją i czułem się z tym fatalnie. - Chciałem ci powiedzieć... byłem głupi. Nie zasłużyłaś na coś takiego. Ale chcę, żebyś wiedziała, że to się stało tylko raz

i od razu zacząłem tego żałować. Naprawdę.

Znów zapadło milczenie. Chyba zastanawiała się nad tym, co usłyszała.

- Dlaczego odszedłeś? Zmarszczyłem brwi.

- Co masz na myśli?

- Czy ojciec kazał ci odejść? Bo ja nigdy nie chciałam pozbawić cię pracy. To znaczy na spotkaniu podważyłam twoją opinię, ale... chciałam tylko... czułam się tak...

- To nie twój ojciec - odpowiedziałem. - Sam zdecydowałem. Uznałem, że tak będzie najlepiej, bo, no wiesz... - Usłyszałem szczekanie psa. - Poprosił, żebym został.

- Cieszę się. - Odetchnęła. - Martwiłam się tym. Mike?

- Uhm? - Pies szczekał spod frontowych drzwi. Pomyślałem, że może lepiej zejść na dół, ale bałem się, że nie usłyszę, co mówi Vanessa. Chciałem wszystko wyjaśnić. - Vanesso, ja...

- Co to za hałas? - przerwała.

Pies drapał w drzwi, popiskując. Wstałem i wyjrzałem na korytarz. Zastanawiałem się, czy przypadkiem któryś z wielorybników nie wrócił i nie próbuje dostać się do domu. Drzwi jednak rzadko bywały zamknięte.

- Pies - odpowiedziałem bezmyślnie.

- Przecież ty nie masz psa.

- To nie mój pies. - Zasłoniłem dłonią komórkę. - Hanno?

- Gdzie jesteś? - spytała Vanessa. Zawahałem się.

- Mike?

- W Australii.

Milczenie pełne niedowierzania różni się zasadniczo od jakiegokolwiek innej ciszy. W tej właśnie chwili zdałem sobie z tego sprawę. Jest rozciągnięte, ciężkie i zapada się pod gradem niewypowiedzianych pytań.

- W Australii? - powtórzyła słabo.

- Musiałem wrócić - odpowiedziałem, wychylając się za poręcz schodów. - Mówiłem ci, że ten projekt to błąd, Ness, i przyjechałem, żeby to naprawić. Muszę iść, coś się tu stało. I przepraszam cię. Za wszystko. Muszę kończyć. - Rozłączyłem się i zbiegłem na dół. Milly skrobała w drzwi, szczekając gorączkowo.

- Hanno? - Zajrzałem do kuchni w nadziei, że wyjaśni mi, co się dzieje.

Nie było jej tam jednak, podobnie jak w jadalni. Nie poszła do swojego pokoju ani któregośkolwiek innego, nie siedziała przy telefonie w holu. Byłem wciąż tak zdezorientowany po rozmowie z Vanessa, że nie od razu zauważyłem brak sztormiaka na wieszaku.

Spojrzałem na pusty haczyk, potem na psa, który wciąż szczekał, oglądając się na mnie. Serce zamarło mi w piersi.

- Chryste! - Chwyciłem sztormiak i wziąłem Milly na smycz. - No, szukaj, szukaj Hanny!



Najgorsza burza przeszła, ale deszcz wciąż lał strumieniami, gdy biegłem za Milly ścieżką prowadzącą na przystań. Chyba nigdy nie byłem na dworze w taką ulewę - wystarczyło, że otworzyłem usta, aby zawołać

Hannę, a już miałem je pełne wody. Spodnie i buty przemokły w kilka sekund, tylko ramiona pozostały suche pod sztormiakiem.

Milly pędziła przez zarośla, tak że ledwo mogłem za nią nadążyć.

- Szukaj! - krzyknąłem jeszcze raz, ale zagłuszył mnie wiatr. Biegłem w ciemności, próbując omijać wyboje. Przejeżdżały terenówki skręcające nad zatokę, ich światła rozmywał deszcz. W zatoce widziałem oświetlone łodzie oddalone od siebie o kilkadziesiąt metrów, chwiejące się na powierzchni wody. Nie mogłem jednak dostrzec, co robili ludzie.

- Hanno! - krzyknąłem, wiedząc, że to bezcelowe. Modliłem się, aby Milly zrozumiała, kogo ma szukać i nie zaprowadziła mnie do Lizy.

Pies zatrzymał się przy szopie - jednej z tych, w których załogi trzymały zapasowy sprzęt. Kilka było otwartych, jakby właściciele zbyt się spieszyli, by zabezpieczyć pozostawione przedmioty. Milly wbiegła do środka, pazury zgrzytnęły o betonową podłogę.

Zawahałem się w progu i wypuściłem z palców mokrą smycz.

- Hanno?! - zawołałem.

Deszcz bębnił monotonnie o płaszczyznę dachu, spływał strumieniami przez nieszczelne rynny. Z sufitu zwisała smętnie słaba żarówka. Na ścianie zauważyłem coś, co wyglądało jak mapa dna zatoki. W pomieszczeniu stało kilkanaście różnej wielkości kanistrów, drewniane skrzynki z narzędziami, a pod przeciwległą ścianą liny, boje i żagle. Czułem zapach benzyny.

- Hanno?

Spojrzałem na oprawiony patent na ścianie. Greg Donohoe. To była szopa Grega. Wtedy właśnie przypomniałem sobie zasłyszana rozmowę o małej łodzi, której Hanna nie mogła używać. Łodzi w szopie Grega.

- O Chryste! - westchnąłem i chwyciłem latarkę. Milly rzuciła się w stronę plaży.

Biegłem ze smyczą w rękę, starając się powstrzymać rosnącą panikę. Wielkie fale rozbijały się na plaży, jakby chciały zagarnąć całe wybrzeże. W niczym nie przypominały drobnych wodnych jeziorów, które mijałem w czasie porannych biegów. W głębi zatoki, jakieś pół mili od brzegu, łodzie chwiały się, jakby miały zaraz zatonać. Słyszałem wycie silników, gdy załogi walczyły o utrzymanie równowagi, słyszałem też ludzkie głosy. Wpatrzyłem się w horyzont, próbując zetrzeć wodę z oczu. Pies wyprężył się przy mojej nodze. Nie miałem pojęcia, gdzie może być Hanna, ale widziałem, że nawet doświadczeni sternicy z trudem dają sobie radę przy tej pogodzie.

- Hanno! - zawołałem.

Pobiegłem na przystań. Nieopodal na plaży zauważyłem dwóch mężczyzn spychających na wodę niewielką motorówkę. Obydwaj byli w kapturkach. Nie widziałem ich twarzy.

- Potrzebuję waszej pomocy - wydyszałem. - Dziecko, dziewczynka... Myślę, że wypłynęła na łódce.

- Co?! - Jeden z mężczyzn wystąpił naprzód i poznałem w nim spacerowicza z psem, którego spotykałem podczas biegania. Drugiego, w niebieskiej czapce, widziałem po raz pierwszy. - Nie słyszę. Musisz krzyczeć głośniej.

- Dziewczynka! - Machnąłem ręką w stronę morza. - Wypłynęła sama na żaglówce. To jeszcze małe dziecko.

Mężczyźni spojrzeli na siebie, potem na motorówkę.

- Weź kamizelkę! - krzyknął jeden z nich. Nie wiedziałem, gdzie zostawić psa, więc wsadziłem go do łodzi i wypchnęliśmy ją na wodę.

- To Hanna McCullen! - krzyknąłem, kiedy uruchomili silnik. - Dziewczynka z hotelu.

Gestami pokazali mi, że mam oświetlić wodę. Tak zrobiłem, a drugą ręką przytrzymałem się burty. Oni zapalili reflektor na dziobie i obserwowali fale.

Gdybym nie myślał wtedy tylko o Hannie, bałbym się jak diabli. Zawsze unikałem ryzyka i wolałbym znaleźć się gdziekolwiek indziej, byle nie na rozpędzonej motorówce tuż po burzy.

- Widzisz coś?! - krzyknął ten w niebieskiej czapce. Pokręciłem głową. Trząsałem się z zimna tak bardzo, że z trudnością trzymałem Milly między nogami. Przywiązałem smycz do relingu. Musiałem skupić się na szukaniu Hanny

- Musimy uważać na sieci - dodał pierwszy mężczyzna, ten od psa. - Jak śruba się zapłacze, utkwimy tu na dobre.

Zrozumiałem, co zamierzają - okrążyć wszystkie łodzie w zasięgu wzroku, sprawdzając, czy na którejś nie ma Hanny. Siedziałem przy burcie z żołądkiem ściśniętym ze strachu, oświetlając latarką czarne połacie wody. Gdy zbliżyliśmy się do innych łodzi, zauważyłem, że wypłynęli chyba wszyscy z całej Srebrnej Zatoki. Widziałem ludzi w piankach i w sztormiakach podających sobie nawzajem szczypce do cięcia. Nie zauważyli nas, byli zbyt zajęci.

- Są olbrzymie! - krzyknął jeden z moich towarzyszy. Zakładałem, że mówi o sieciach, ale wciąż ich nie widziałem. Podpłynęliśmy do kolejnej łodzi, niestety Hanny na niej nie było. Zastanawiałem się, czy może nie spanikowałem przedwcześnie. Może to Greg przeniósł gdzieś łódkę, może Hanna wciąż była w domu, może po prostu poszła do łazienki. Potem jednak przypomniałem sobie reakcję Milly jej napięcie i czujność, i uznałem, że powinienem zaufać psu. I nie mogłem ryzykować.

Gdy za nami została szósta czy siódma łódź i zbliżyliśmy się do ujścia zatoki, zauważyłem dryfujące sieci. Minęliśmy jednego z *Mobich* i inną motorówkę -w świetle padającym z ich pokładów ujrzałem splątane kłęby nylonu unoszące się na falach. W zwojach dostrzegłem jakieś kształty, ale nie miałem pojęcia, co to było.

Potem Milly szczerknęła krótko, z niepokojem. Usłyszałem krzyk.

Pies poderwał się, szarpiąc smycz. Machnąłem latarką.

- Wyłączcie silnik!

Gdy umilkł, rozpoznałem głos Hanny - wysoki pisk przerażenia. Ruszyliśmy w tamtym kierunku. W wątłym świetle latarki ujrzałem małą żaglówkę kołyszącą się niebezpiecznie na falach i drobną postać przy burcie.

- Hanno! - Motorówka ruszyła w jej stronę. Pies szczekał bezustannie.

- Hanno! - Reflektor na dziobie wydobył z mroku jej pobielającą twarz, dłonie zaciśnięte kurczowo na burcie, pasma włosów przyklepione do czoła.

- Wszystko będzie dobrze! - krzyknąłem, ale nie byłem pewny, czy mnie słyszy.

- Pomóżcie mi! - zatkała. - Miecz zaplątał się w sieci. Nie mogę się ruszyć.

- Wszystko w porządku, kochanie. - Otarłem twarz z wody. - Zaraz tam będziemy. - Odwróciłem się do sternika, słysząc, że silnik zwalnia obroty. - Musimy podpłynąć bliżej. Bliżej!

Jeden z mężczyzn zaklął głośno.

- Nie mogę, bo sami się zapłaczymy Wezwę ratowników.

- Możemy rzucić jej linę?

- Jeżeli miecz jest w sieciach, to nic nie da. Rozpaczliwy krzyk Hanny poderwał mnie do działania.

- Popłynę po nią! - krzyknąłem, ściągając buty.

- Dasz sobie radę? - Ten w niebieskiej czapce otaksował mnie wzrokiem.

- A jakie mam wyjście?

Jeden podał mi parę szczyptec. Ściągnąłem marynarkę. Drugi zabezpieczył węzły na mojej kamizelce ratunkowej.

- Tylko uważaj, żebyś sam się nie złapał - ostrzegł. - Postaram się oświetlać ci drogę. Płyn za światłem, dobra?

Siła i chłód prądu uderzyły mnie jak obuchem. Zaczerpnąłem szmatycznie powietrza. Kolejna fala przetoczyła się nade mną, oczy zapiekły od słonej wody Wypląnąłem na powierzchnię i brnąłem za światłem w - przysięgłbym - gęstniejącej brei, nie w morzu. Przywiązałem szczyptec do nadgarstka i zacząłem machać ramionami z całych sił.

Hanna była oddalona tylko o kilkanaście metrów, a jednak przepłynięcie tego odcinka okazało się najcięższym zadaniem w moim życiu. Fale i prądy odpychały mnie, a echo krzyków znikało raz po raz, gdy woda

zalewała mi głowę. Kiedy mogłem, nabierałem powietrza, zanurzałem głowę i parłem w stronę łódki. Mężczyźni w motorówce coś wrzeszczeli, płacz Hanny stawał się coraz głośniejszy. Nie było czasu na strach; Stałem się maszyną, wyrzucałem ramiona do przodu, walcząc z każdą falą, tłumaczyłem sobie, że jestem coraz bliżej małej żaglówki.

Pokonałem może kolejne kilka metrów, gdy zobaczyłem, że dzięki Bogu Hanna ma kamizelkę ratunkową.

- Hanno! - krzyknąłem, gdy wychyliła się w moją stronę. - Będiesz musiała podплыnąć.

I wtedy w świetle reflektora z motorówki ujrzałem widok, którego nigdy nie zapomnę. Fala uniosła łódkę Hanny i oplatający miecz fragment sieci, a tam ciała ryb, ptaków, szczątki stworzeń, które zginęły pewnie przed wieloma tygodniami. Widziałem małego żółwia, albatrosa z powyrywaną połówą piór i, co gorsza, bliżej powierzchni delfina z otwartymi oczami ciasno owiniętego nylonem. Byłem pewien, że jeszcze żyje. Hanna przewieszona przez burtę również go zauważyła. Usłyszałem jej przeszywający krzyk. Gdy sięgnąłem burty, dostrzegłem przerażenie w oczach dziewczynki i zrozumiałem, że zobaczyła to, co ja, o ile nie więcej. Wyciągnąłem rękę, błagając w duchu, by moje ciało nie dotknęło gnijących stworzeń.

- Hanno, musisz ze mną popłynąć. Chodź! Promień światła zniknął, ale po chwili znów do nas wrócił. Przez chwilę ujrzałem zbielełą z przerażenia twarz. Córka Lizy łkała gwałtownie, jakby świadomość tego, co znajduje się w wodzie, całkiem ją sparaliżowała.

- Hanno! - prosiłem. Nie mogłem wspiąć się na żaglówkę, byłem zbyt zdrętwiały z zimna i daremnie próbowałem namacać jakiś uchwyt.

- Hanno! - Poczułem, że coś dotknęło mojej nogi. W szumie deszczu i dalekim poszczekiwanii Milly usłyszałem krzyk dziewczynki:

- Brolly!

To było najgorsze piekło, jakie widziałem na ziemi. Hanna wyciągnęła rękę. Odwróciłem się. Może o kilkanaście metrów dalej światło padło na ogromną sieć. Zadrzałem na myśl o jej długości, o niezliczonych stworzeniach umierających bezgłośnie w nylonowych więzach, o wielorybnikach i mieszkańcach próbujących ocalić, ile się da.

- Musisz ją odciąć! - krzyczała Hanna. - Musisz!

- Hanno, musimy dotrzeć do motorówki! Ale była na granicy hysterii.

- Odetnij ją, proszę, Mike. Uwolnij ją!

Nie było czasu do stracenia. Zaczerpnąłem powietrza i zanurzyłem się pod wodę.

Najbardziej zaskoczyła mnie cisza. W zderzeniu z szumem deszczu, wyciem wiatru i krzykami Hanny tu poczułem dziwną ulgę, że zostawiłem za sobą cały ten chaos. Potem ujrzałem niewyraźny kształt delfina i sięgnąłem w jego stronę, zdając sobie sprawę, jak łatwo mogę podzielić jego los. Ciąłem nylon, walcząc o równowagę, a ciężar sieci ścigał mnie w dół. Szarpnąłem i poczułem, że zwoje ustąpiły. Delfin przekręcił się, jakby dostrzegł we mnie nowe zagrożenie. Gdy światło latarki zatoczyło łuk nad głową, zauważyłem, że zwierzę krwawi. Płetwę grzbietową miało niemal oddzieloną od tułowia, skórę poprzecinaną od włókien. Zamknąłem oczy, gdy sieć zakołysała się, a jej gnijąca zawartość jakby ożyła. Przemknęło mi przez głowę, że trupy zwierząt właśnie suną w moją stronę, bo chcą mnie zabrać ze sobą na dno.

- Mike!

Usłyszałem stłumiony płacz Hanny. Nagle ostatnie włókna puściły i delfin uciekł - miałem nadzieję, że w kierunku otwartego morza.

Wyłynąłem na powierzchnię, krztusząc się z ulgi.

- Hanno! - zawołałem, podnosząc szczypce. Nareszcie ześlizgnęła się prosto w moje ramiona i przytuliła mi twarz do piersi, żeby nie patrzeć na sieci wokół nas.



Powiedziała tylko obu mężczyznom, że uratowałem delfina. Spytała jeszcze szeptem, czy widziałem dziecko Brolly a gdy zaprzeczyłem, ukryła twarz w mokrej sierści Milly.

Trzymałem ją mocno i starałem się za bardzo nie dygotać, ale spojrzenia moich towarzyszy mówiły wszystko -jestem szczęściarzem, i to wprost niebywałym.

Gdy dotarliśmy na wybrzeże, Liza już na nas czekała. Miała na sobie piankę. Jej oczy pociemniały z przerażenia. Nawet mnie nie zauważyła, tak bardzo spieszyła się, by przytulić córkę.

- Mamo, przepraszam. - Hanna płakała, ściskając kurczowo jej szyję.
- Chciałam im tylko pomóc.
- Wiem, kochanie, wiem...
- Ale Brolly... - zaszlochała gwałtownie. - Widziałam...

Liza chwyciła koc podsunięty przez czyjąś pomocną dłoń i owinęła nim córkę, kołysząc ją jak małe dziecko. Wokół na plaży w światłach samochodów zebrał się mały tłumek.

- Lizo, tak mi przykro - powiedziałem, gdy wreszcie podniosła głowę. Nie mogłem znieść jej złamanego głosu. - Byłem na górze tylko kilka minut i... - Drżałem mimo koca, który ktoś narzucił mi na ramiona.

Potrząsnęła głową w milczeniu. Nie wiedziałem, czy mi wybacza, czy ostrzega, by nie podchodzić bliżej, czy może nie może się nadziwić, że dorosły mężczyzna nie potrafił upilnować jedenastolatki przez kwadrans.

- Z tej małej zagłówki chyba nic nie będzie - zauważył ktoś z tłumu. - Sieci owinęły się wokół miecza. Może nawet pójdzie na dno.

- Mniejsza o to. - Liza wciąż tuliła córkę. Hanna zapłakała głośniej. - Już dobrze, kochanie, jesteś już bezpieczna. - Trudno było stwierdzić, czy pociesza córkę, czy siebie.

Patrzyłem na nie. Chciałem je przytulić, ale poczułem się jak podczas walki z siecią - zrozumiałem, że straciłem ostatnią szansę, by pogodzić się z Lizą. Pojąłem, jak niewiele brakowało, aby przez mój brak uwagi straciła drugie dziecko.

Coś ukłuło mnie w piersi. Spuściłem głowę. Potem ktoś krzyknął, że jedna z większych łodzi zaplątała się w sieci i kilka osób pobiegło z powrotem na przystań.

Nieznana kobieta podała mi kubek słodkiej herbaty Poparzyłem wargi, ale było mi wszystko jedno. Potem obok pojawiła się Kathleen.

- Lepiej wracajmy do domu. - Położyła mi dłoń na ramieniu.

Z ciemności nadbiegł Greg.

- Lizo? - Jego głos był pełen lęku. - Właśnie się dowiedziałem. Czy z Hanną wszystko w porządku? - Ten lęk miał w sobie coś zawłaszczającego, ale tym razem wzbudził we mnie współczucie, nie gniew.

- Przepraszam - powtórzyłem. Miałem nadzieję, że Liza usłyszała. Potem, podtrzymywany przez nieznanymi mi ludzi, powoli wróciłem do hotelu.



Dopiero około pierwszej w nocy przestałem dygotać. Kathleen zabroniła mi gorącej kąpieli, której tak pragnąłem, i zamiast tego poiła mnie herbatą. W końcu musiałem błagać, by przestała. Rozpaliła ogień w kominku w moim pokoju - myślałem, że kominek był tu tylko dla dekoracji - i gdy trząsałem się pod kilkunastoma kocami, przyniosła jakiś wywar z gorącego soku cytrynowego, miodu, jakiejś ostrej przyprawy i szczodrej dawki brandy

- Nie możesz ryzykować - powiedziała, otulając mnie jak małe dziecko. - Zdziwiłbyś się, co może zrobić z człowiekiem pobyt w lodowatej wodzie.

-Jak się czuje Hanna? - spytałem, gdy wychodziła, dołożywszy drewno do kominka.

-Śpi. - Strzepnęła ze spodni nieistniejący pyłek. -Jest wykończona, ale wszystko w porządku. Dostała to samo lekarstwo co ty, tylko bez brandy.

- Była... wstrząśnięta tym, co zobaczyła.

- Nikomu nie życzę takich widoków. - Kathleen spoważniała. - Zrobiliśmy, ile można. Niedaleko łodzi Hillmanów uwolniono wieloryba. Ludzie nadal walczą. Strach pomyśleć, co by się stało, gdyby chłopcy nie wypatrzyli tych sieci...

Przypomniałem sobie mętną wodę, szczątki zwierząt uwięzione w nylonowych splotach. Po raz kolejny próbowałem odepchnąć tę wizję. Zastanawiałem się, czy Liza wciąż jest na wodzie, czy próbuje niszczyć sieci.

- Kathleen - dodałem cicho - tak mi przykro... Przerwała mi w pół słowa.

- Musisz odpocząć - zapowiedziała stanowczo. - Naprawdę. Przykryj się i idź spać.

I w końcu wyczerpany do cna posłuchałem.



Obudził mnie szmer. Nie byłem pewien, jak długo spałem. Lata spędzone w Londynie wyczuliły mnie na nocne hałasy, więc uniosłem się na łokciu, mrugając w ciemności, wciąż nie do końca rozbudzony.

Przez chwilę nie pamiętałem, gdzie jestem, oprzytomniałem dopiero na widok rozżarzonych polan w kominku. Usiadłem na łóżku, zrzucając koce. Oczy przyzwyczajały się do ciemności.

Ktoś stał przy moim łóżku.

- Co?

Liza McCullen pochyliła się i położyła mi palec na ustach.

- Nic nie mów - szepnęła.

Przez chwilę zastanawiałem się, czy śnię. W ciemnościach ledwie widziałem jej sylwetkę. Obudziłem się z przerażającego snu pełnego wody i gnijących ciał. Tu, w ciepłym mroku, pachniała solą morską i wia-

trem. Chwyciła mnie za rękę. Podeszła bliżej. Poczułem jej oddech i delikatną miękkość ust na moich.

- Lizo... - Nie wiem, czy wymówiłem jej imię, czy tylko powtórzyłem w myślach.

Bez słowa wślizgnęła się do łóżka. Jej ciało wciąż było chłodne i wilgotne. Palce błądziły po mojej twarzy, dotknęły siniaka po uderzeniu Grega, wczepiły się we włosy. Pocałowała mnie tak mocno, że niemal straciłem dech. Poczułem jej delikatny ciężar, chłodną skórę, gdy ściągnęła przez głowę koszulę. Polana cicho trzeszczały w kominku. Potem, gdy gonitwa myśli stała się nie do zniesienia, powstrzymałem ją. Wziąłem jej twarz w dłonie, próbując odgadnąć, jakiego sztormu oczekiwać tym razem.

- Lizo, nie rozumiem - powiedziałem. Znieruchomiała. Poczułem, że na mnie patrzy.

- Dziękuję - wyszeptała. - Dziękuję, że zwróciłeś mi dziecko.

Była jak naelektryzowana, niepowstrzymana siła natury, jak dżin uwolniony z butelki. Tygodniami wyobrażałem sobie, że kocham się z tą smutną kobietą, leczę pocałunkami jej melancholię. Jednak obok mnie był ktoś, kogo się nie spodziewałem - ktoś głodny miłości, namiętny, pełen życia. Miała ciało gładkie jak węgorz, niestrudzone jak fale. Łatwość, z jaką mi się oddała, napełniła mnie pokorą. „Czy to podziękowanie? Szok po wydarzeniach wieczoru?” - chciałem zapytać. Gdzieś z głębi pamięci napłynęły słowa Kathleen, że Liza ciężko znosi śmierć morskich stworzeń „i dlatego dwa razy do roku głupiec myśli, że ma jakieś szanse”.

Chciałem coś powiedzieć, ale jej usta znowu trafiły na moje wargi, skóra rozgrzała się, poczułem wzbierającą falę gorąca i wreszcie przestałem myśleć.



Kiedy się obudziłem, łóżko było puste. Jeszcze zanim całkiem, oprzytomniałem, wiedziałem, że tak będzie. Mrugnąłem z wysiłkiem w świetle poranka, przypominając sobie powoli wydarzenia ostatniej nocy.

Otworzyła się przede mną. Pozwoliła, abym spojrzał jej w oczy i w głąb duszy. A gdy mi na to pozwoliła, stałem się mężczyzną, którym zawsze pragnąłem dla niej być, którym chciałem być przez całe życie. Silnym, pewnym siebie, pełnym namietności - nie bladej imitacji miłości. Kimś, kto potrafi ją chronić, wielbić, przynieść radość siłą własnej woli. Czułem, jakbym się postarzał o dwadzieścia lat. A zarazem czułem się jak chłopiec, który wierzy, że wszystko jest przed nim i wszystko jest możliwe.

Gdy oczy przyzwyczyły się do światła i usiadłem na łóżku, nie byłem pewien, czy czuję radość z tego, co otrzymałem, czy żal, że tak szybko zostało mi odebrane.

Dopiero po kilku minutach zorientowałem się, że wcale nie jestem w pokoju sam. Liza siedziała na obitym skórą krześle przy oknie. Miała na sobie dzinsy. Podciągnęła kolana pod brodę i oplótła je rękami. Spojrzałem na zegarek. Był kwadrans po piątej.

Patrzyłem na nią. Chciałem, by to trwało zawsze, ale wiedziałem, że gdy poczuje, że nie śpię, będę musiał odwrócić wzrok. Ogarnęło mnie

nagle współczucie dla Grega - też już wiedziałem, jak to jest kochać nieosiągalną kobietę.

- Dzień dobry - przywitałem się cicho.

„Proszę, nie wycofuj się za daleko - błagałem w myślach. - Przynajmniej nie pokazuj, że żałujesz”.

Odwróciła się powoli. Spojrzała mi w oczy i zrozumiałem, że myślał mi przebywała gdzieś daleko.

Zastanawiałem się, jak to możliwe, skoro czułem się z nią tak związany, jakby to jej krew krążyła w moich żyłach?

- Mike - zaczęła - mówiłeś, że znasz się na reklamie.

Nie rozumiałem, o co jej chodzi. -Tak.

- Co by się stało, gdyby ktoś, kto zrobił coś naprawdę złego, przyznał się publicznie? Coś, o czym nikt nie wie. Sprawa zyskałaby rozgłos, prawda?

Przeczesałem palcami włosy.

- Przepraszam, nie rozumiem...

- Powiem ci, jak umarła Letty- przerwała mi miękko, ale stanowczo. - Zobaczymy, czy uda się coś uratować.



Rozdział 19

Liza

Nitrazepam - sprzedawany też jako mogadon. Czterdzieści dwie pigułki w butelce. Działanie nasenne i uspokajające. Doktor przepisał mi je na moje depresje poporodowe i obciążenia związane z wychowywaniem małych dzieci. W gruncie rzeczy niewiele się nad tym zastanawiał, był zadowolony, że przynajmniej w moim przypadku rozwiązanie jest proste. Znał mnie od kilku lat. Prowadził moje ciążę. Znał moją teściową, ojca dziecka, wiedział, skąd jestem.

- Muszę się wyspać - powiedziałam. - Tylko przez jakiś czas. Wiem, że dzięki temu lepiej sobie poradzę.

Bez wahania wypisał mi receptę i przygotował się na wizytę następnego pacjenta. Po chwili stałam przed apteką z butelką w dłoni. Przeczytałam ulotkę, wszystkie ostrzeżenia, w tym że przedawkowanie zagraża życiu. Trzymając je, poczułam dziwne podniecenie. Mogły odebrać życie, a zwróciły mi moje własne...

Gdy zaczęłam życie w Australii - prawdziwe życie, nie tylko egzystencję - Kathleen namówiła mnie na wizytę u jej lekarza, żeby przepisał mi coś na sen. Wciąż dręczyły mnie koszmary, do tego stopnia, że bałam się złożyć głowę na poduszce. We śnie widziałam przerażoną twarz Letty, słyszałam, jak mnie woła i modliłam się o chwilę zapomnienia. Doktor chciał mi przepisać te same pigułki, chociaż tu nazywały się inaczej. Gdy to zrozumiałam, straciłam przytomność.

Ludzie, którzy nie mieli o tym pojęcia, mówili, że pochodzę z rozbitej rodziny. Ja jednak wcale nie czułam, że mojej rodzinie czegoś brakuje. Matka starczała za oboje rodziców. Była wielką duchem, przepelnioną miłością i dumą kobietą, która zdecydowała, że nie powtórzę jej błędów i zdobędę przyzwoite wykształcenie. Była mi tarczą i oparciem, karciała mnie i adorowała i mimo że nie byliśmy zamożne, nigdy nie odczuwałam żadnych braków. Nawet w dzieciństwie uważałam, że miałam szczęście. Matka stale pracowała w niskopłatnych zawodach, ale za to dużo byliśmy razem. Często pracowała, gdy spałam i teraz często się zastanawiam, jakim cudem co rano miała siłę na uśmiech i zrobienie mi śniadania.

Mieszkałyśmy w małym domku pod Londynem wynajmowanym od jednej z byłych chlebodawczyń mamy. W promieniu półtora kilometra od domu miałam około dwudziestu koleżanek i mogłam się z nimi bawić, gdzie chciałam, bylebym tylko nie odchodziła za daleko. Dwukrotnie poleciałyśmy do Australii, dzięki czemu stałam się wśród rówieśnic ekspertem od zamorskich podróży. Pewnego dnia mama obiecała, że przeniesiemy się tam na stałe, jednak tak naprawdę chyba nie chciała mieszkać blisko dziadków. Nigdy nie miała o nich zbyt wiele dobrego do powiedzenia. Po śmierci dziadka wynajdywała kolejne powody - jej pracę, moją szkołę, nowego mężczyznę - by nie przeprowadzać się na drugą stronę świata.

Potem było już za późno. Nowotwór mamy okazał się wyjątkowo złośliwy. Bardzo schudła. Najpierw był to jej powód do dumy, potem przedmiot troski, gdy okazało się, że nie zawdzięcza figury starannemu

liczeniu kalorii. Ostatni „miły facet” - rozwodnik z sąsiedztwa - wynajdywał usprawiedliwienia, dlaczego przychodzi coraz rzadziej, aż w końcu zniknął, kiedy leczenie stało się trudniejsze i bardziej obciążające, a potrzeby emocjonalne mamy większe. Może przez to, a może mama chciała być niezależna do końca - nigdy nie powiedziała ciotce, że umiera. Później dowiedziałam się, że wysłała list, który dotarł już po śmierci. Prosiła w nim Kathleen, żeby nie usiłowała za wszelką cenę ściągnąć mnie do Australii, ale przyjęła mnie pod swój dach, gdy będę gotowa. To był jedyny błąd mojej matki.

Nie ma dobrego wieku na taką stratę, ale nigdy nie byłam mniej przygotowana na samodzielne życie niż jako siedemnastolatka. Patrzyłam, jak moja dumna, piękna matka słabnie i odchodzi. Widziałam, jak jej apetyt na życie gaśnie w oszołomieniu i morfinie. Na początku próbowałam się nią zająć, potem gdy wkroczyły pielęgniarki i zrozumiałam to, czego nie miała odwagi mi powiedzieć, wycofałam się. Wmawiałam sobie, że to wszystko nieprawda, a gdy przyjaciele matki szeptali za moimi plecami, jaka jestem dzielna i kompetentna, ja siedziałam samotnie w domu wpatrzona w stertę rachunków do zapłacenia i marzyłam o innym życiu.

Matka zmarła po długiej, bolesnej nocy pod koniec listopada. Byłam przy niej. Powiedziałam, żeby się o mnie nie martwiła, że wszystko będzie dobrze, że wiem, jak mnie kocha.

- W niebieskiej torbie są pieniądze - szepnęła ochryple w ostatnim przeblasku świadomości. - Jedź do Kathleen. Ona się tobą zaopiekuje.

Znalazłam jednak niecałe sto funtów - nie pojechałabym za to nawet do Szkocji, nie mówiąc o Australii. Chyba duma nie pozwoliła mi popro

sić ciotki o pomoc. Jak łatwo przewidzieć, zupełnie się pogubiłam. Rzucałam szkołę, znalazłam pracę w supermarkecie, ale nim zrozumiałam, że nie dam rady regularnie płacić czynszu, przyjaciółka matki wymówiła mi dom. Zaproponowała posadę niani z mieszkaniem i wyżywieniem, ale zapewniłam ją, że mogę zatrzymać się u przyjaciółki. Chyba przyjęła to z ulgą.

W moim życiu zapanował chaos. Sprzedałam resztki biżuterii po mamie, choć zysków ledwo starczało na jedzenie, mieszkałam w squacie, odkryłam nocne kluby, pracowałam jako barmanka i zawsze starałam się upić na tyle, by zapomnieć o samotności. Przez pewien czas nosiłam się na gotycko, a w wieku dwudziestu jeden lat zaszłam w ciążę z przypadkowym facetem, jednym z wielu, którzy przewinęli się przez squat w Victorii. Nie pamiętam jego nazwiska, tylko że był wysoki, przyrządzał fantastyczną zupę z soczewicy, a tej nocy, gdy miałam dość pieniędzy, by się całkiem zalać, głaskał mnie po głowie i nazywał „dziecinką”.

Ciąża wszystko zmieniła. Może to kwestia hormonów, a może po prostu doszedł do głosu zdrowy rozsądek odziedziczony po matce, ale się opamiętałam. Przemyślałam wszystko, przed czym uciekałam od czterech lat, pomyślałam, co by powiedziała matka, widząc mnie w takim stanie. Nawet nie pomyślałam o aborcji, cieszyło mnie, że znów będę miała rodzinę.

Pozbyłam się fioletowych pasemek, znalazłam pracę jako pomoc do dziecka, a po urodzeniu Hanny przyjaciele moich państwa zatrudnili mnie w punkcie oprawy obrazów. Pracowałam przedpołudniami, o wpół do drugiej odbierałam Hannę ze żłobka. Od czasu do czasu pisywałam do

Kathleen, przesyłałam jej zdjęcia, a ona zawsze szybko odpisywała, załączając kilka funtów „na prezent dla dziecka”. Pisała, jaka jest dumna, że tak dobrze sobie radzę. Moje życie nie było najprostsze ani szczególnie ustabilizowane, ale mimo wszystko dość szczęśliwe. Ciotka powtarzała mi często, że matka byłaby z tego zadowolona. A potem pewnego dnia do sklepu zapukał Steven Villiers i poprosił o pozłocaną ramę z ciemnozielonym passe-partout do grafiki, którą właśnie kupił. Moje dotychczasowe życie zmieniło się nieodwracalnie.

Byłam samotna. Wiedziałam, że mam szczęście - znalazłam pokój przy rodzinie, która nie podkreślała na każdym kroku, że jestem tylko lokatorką. Jednak, patrząc na jej członków zgromadzonych przy kuchennym stole albo przed telewizorem, na dzieci tłoczące się wokół łagodnego ojca w rozciągniętym swetrze, zazdrościłam im nawet rodzinnych kłótni. Też chciałabym mieć kogoś, z kim mogłabym się kłócić.

Patrzyłam, jak Hanna zmienia się z małego, pulchnego bobasa w roześmiane, kochające dziecko i chciałam dla niej tego samego - ojca, który by ją kochał i bawił się z nią w ogrodzie, nosił ją na barana i utyskiwał dobrodusznie, że znów trzeba zmienić pieluchę. Chciałam mieć kogoś, z kim mogłabym o niej porozmawiać, kto

miałby swoje zdanie na temat jej diety myślałby o szkołach i butach.

Szybko odkryłam, że mężczyźni nie interesują się kobietami z dziećmi - w każdym razie nie mężczyźni których znałam. Nie obchodziło ich, że nie możesz się z nimi spotkać wieczorem w pubie ani dlaczego proponowałaś niedzielne popołudnie w parku. Nie dostrzegali wdzięku mojej jasnowłosej córeczki, widzieli w niej tylko źródło ograniczeń. Czy moż-

na się zatem dziwić, że gdy wpadłam na Stevena Villiersa przed supermarketem, a on nie tylko nie patrzył na Hannę jak na chorobę zakaźną, ale zaproponował, że popcha wózek, kompletnie straciłam głowę?

W pierwszej chwili przypominał mi ojca rodziny, z którą mieszkałam. Nosił się z podobną niedbałą elegancją. Na tym jednak podobieństwa się kończyły. Steven był krępy, ale sprawiał wrażenie wyższego niż w rzeczywistości. Miał w sobie pewien rodzaj niewymuszonego autorytetu - jak ludzie, przed którymi rozstępują się tłumy i nikt nie wie dlaczego. Mimo średniego wieku nigdy nie był żonaty - wyjaśnił mi prosto z mostu, że nie spotkał odpowiedniej osoby. Mieszkał z matką w pięknym domu w Virginia Water - posiadłości jak z ekskluzywnych magazynów wnętrzarskich, za olbrzymim strzyżonym żywopłotem, z łazienką w każdym pokoju. Zdziwił się, gdy wyraziłam zachwyt - był osobą tego rodzaju, która zakłada, że jej życie to norma.

Długo nie mogłam zrozumieć, co we mnie widzi. Ubierałam się w sklepach z używaną odzieżą. Nie wyglądałam jak straszdyło, ale w niczym nie przypominałam zadbanych, zamożnych dziewczyn, wśród których dorastał. Nie mogłam mu nic dać. Teraz, patrząc na zdjęcia z tamtego czasu, już rozumiem, w czym rzecz. Byłam piękna. Mimo trudnej sytuacji życiowej miałam w sobie coś nieuchwytnego, jakbym była z innego świata. To przyciągało mężczyzn. Nie miałam przyjaciół ani wsparcia, byłam bezbronna i głodna miłości po urodzeniu córki, gotowa przelać na cały świat to, co do niej czułam. Widziałam w nim zbawcę, a moje słowa i czyny utwierdzały go w tym przekonaniu. Pewnie sam się tak postrzegał.

Gdy po raz pierwszy poszliśmy do łóżka, leżałam w jego ramionach i opowiedziałam mu o swoim życiu i błędach, jakie popełniłam. Przytulił mnie wtedy, pocałował w czubek głowy i powiedział, że teraz jestem bezpieczna. Dla samotnej, bezbronnej dziewczyny takie zapewnienie ma urok nie do odparcia. Powiedział, że byłam mu przeznaczona, że jestem jego misją. Byłam tak wdzięczna, tak zachwycona, że nie zaniepokoiłam się tym stwierdzeniem.

Sześć tygodni później poprosił mnie o rękę. Zamieszkałam z nim i z jego matką. Zaczęłam się ubierać bardziej konwencjonalnie i zadbałam o włosy, jak przystało na narzeczoną człowieka z jego środowiska. Czerpałam nową dumę z umiejętności prowadzenia domu, do których wdrożyłam się powoli pod wymagającym okiem jego matki. Nie obyło się bez niesnasek, ale Hanna i ja nauczyłyśmy się żyć pod tym dachem. Powtarzałam sobie, że wreszcie dorosłam. Cieszyłam się, że umiem się dostosować.

Cztery miesiące później odkryłam, że znów jestem w ciąży Steven w pierwszej chwili był wstrząśnięty, ale wkrótce bardzo się ucieszył. Letty przyszła na świat rankiem szesnastego kwietnia. Gdy Hanna i Steven pochylili się w zachwycie nad łóżeczkiem, dziękowałam Bogu, że wreszcie mam własną, normalną rodzinę.

Letty nie była najpiękniejszym dzieckiem na świecie - długo po urodzeniu wyglądała jak pekińczyk - za to najbardziej adorowanym. Patrząc na szczerą miłość, jaką żywił do niej Steven, na rozplývającą się w zachwytach babcię, żałowałam, że Hanna nie doświadczyła czegoś podobnego. Letty była wyjątkowo pogodnym, spokojnym dzieckiem.

Może zawinił ciągły brak snu, a może nieustanna opieka nad niemowlęciem, ale dopiero kilka miesięcy po urodzeniu Letty spostrzegłam, że Steven niemal nie zauważał Hanny. Do tego czasu wmawiałam sobie, że ją kocha, że bezduszność, jaką niekiedy przejawiał w stosunku do niej, to cecha wszystkich mężczyzn, nie rozmyślne lekceważenie. Jednak nie miałam porównania. Wychowywała mnie matka, dziadka praktycznie nie znałam, więc nie wiedziałam, jak w takich sytuacjach postępują mężczyźni. Steven był dobrym opiekunem - jego matka wciąż wtłaczała mi to do głowy - cenił porządek i dyscyplinę, nic więc dziwnego, że przejawy buntu dwulatki i grymaszenie przy jedzeniu karał zesłaniem do łóżka, tym bardziej że Letty była taka grzeczna i kochana.

Dziś tłumaczę sobie, że nazbyt mnie przytłoczyły obowiązki nowego macierzyństwa. Że człowiek widzi, co chce zobaczyć. W głębi serca powinnam była wiedzieć, zauważyć, że milczenie mojej starszej córki nie było zazdrością o nowego członka rodziny. Powinnam była zauważyć, że on i jego matka stali się wobec niej szorstcy i krytyczni. Zwłaszcza zachowanie tej kobiety powinno było dać mi do myślenia.

Nigdy nie wybaczyła mi, że obarczyłam jej syna - dobrze zapowiadającego się dyrektora - cudzym dzieckiem. Nie podobało jej się, że byłam - jak to ujęła - „bez korzeni”. O, traktowała mnie uprzejmie! Stanowiła jednak typ kobiety, która grywa w brydża, nosi kardigany od Jaegera i fryzurę jak hełm. Wszystko, czym byłam i co robiłam, stanowiło dla niej dowód nieodpowiedzialności i bezmyślności, czy była to „hipisowska” zupa z soczewicy, czy spanie w jednym łóżku z Hanną.

Z początku nie śmiała robić uwag, gdy Steven i ja zamknęliśmy się w szklanej bańce miłości. Pozwoliła mu uwierzyć, że od śmierci ojca jest

głową rodziny, i na pewien czas usunęła się w cień - aż urodziła się Letty, a ja nie mogłam sprostać ich oczekiwaniom. Potem wyszło na jaw, że nie potrafię sobie radzić z dwojgiem małych dzieci tak, jakby sobie tego życzyli. Gdy na podłogach leżały rozrzucone zabawki, łóżka były nieposłane do południa, moje bluzki upstrzone plamami po mleku, a Hanna darła się w kącie z powodu jakiejś wyimaginowanej krzywdy, teściowa odkryła, że może powiedzieć i zrobić, co jej się żywnie podoba.

Raz, gdy sprawy przybrały wyjątkowo zły obrót, spytałam Stevena, czy nie moglibyśmy zamieszkać sami, ale spojrzał na mnie jak na wariatkę.

- Sama ledwo dajesz radę ubrać dziewczynki, nie mówiąc o prowadzeniu domu. Myślisz, że dałabyś sobie radę bez mojej matki?

Teraz, kiedy o tym myślę, trudno mi uwierzyć, że taka byłam. Na zdjęciach Kathleen, z których już dawno wycięła Stevena, widzę dziwną, zagubioną dziewczynę w ugrzecznionej fryzurze zupełnie nie w jej stylu i nijakich ubraniach. W jej oczach widać gwałtowną determinację, by nie zrozumieć, czym się stała. W końcu jakie miała wyjście?

- Nie miałam nic - ani domu, ani pieniędzy, ani wsparcia. Miałam dwie małe córeczki i mężczyznę, który był dla nich ojcem i który był gotów wybaczyć mi bałagan, jaki wniosłam w jego życie. Miałam prawie że teściową, która prawie tolerowała mnie w swoim pięknym domu, chociaż standardem odbiegał od wszystkiego, co znałam. Nie byłam dobrą gospodynią, a moje maniery pozostawiały wiele do życzenia, szczególnie odkąd Steven został wybrany do rady miejskiej, a jego kariera w bankowości nabrała tempa.

Ktoś, kto tego nie doświadczył, nie wie, jak łatwo jest dać się zdeptać.

Z pomocą matki Steven w ciągu kilku lat zdał sobie sprawę z moich wad. Wcześniej planowaliśmy wziąć ślub, jak dojdę do siebie po porodzie, teraz już w ogóle nie było o tym mowy. Hanna nauczyła się jeść z zamkniętą buzią. Zrozumiała, że im lepiej się zachowuje, tym większe szanse, że nie zostanie skarcona. A ja polubiłam bluzki z długim rękawem, żeby inne matki nie robiły uwag na widok moich siniaków.

Dorastałam w przekonaniu, że takie rzeczy dzieją się tylko w patologicznych rodzinach i że winą jest brak wykształcenia lub bieda. Steven pokazał mi, że to ja jestem winna, bo nie potrafię się dostosować, odwdziaczyć, nawet nie potrafię wyglądać jak człowiek, a wreszcie - że nawet w łóżku jestem do niczego.

Gdy uderzył mnie po raz pierwszy, byłam wstrząśnięta, myślałam, że to pomyłka. Dziewczynki pokłóciły się o jakąś tanią plastikową zabawkę. Odwróciły moją uwagę i zapomniałam o włączonym żelazku, które wypaliło dziurę w prasowanej właśnie koszuli. Wpadł do pokoju wściekły, nakrzyczał na dziewczynki, a gdy zobaczył koszulę, uderzył mnie jak psa. - Au! - krzyknęłam - to boli! Spojrzał na mnie z niedowierzaniem, jakbym nie rozumiała, że miało boleć. Stałam, przyciskając dłoń do ucha, a on zszedł na dół jakby nigdy nic.

Później przeprosił mnie, zrzucił winę na stresy w pracy czy coś podobnego. Czasami myślę jednak, że ten pierwszy raz przesądził o wszystkim. Gdy raz sobie na to pozwolił, potem było już tylko łatwiej. Czasami całe miesiące upływały spokojnie, ale niekiedy prawie każdy pretekst był dobry - źle obrane ziemniaki, niewyczyszczone buty. Uderzał pięścią albo otwartą dłonią. Nigdy nie bił za mocno - na to był za sprytny - chciał tylko pokazać, kto tu rządzi.

Zanim zrozumiałam, co muszę zrobić, byłam cieniem człowieka, kobietą, która nauczyła się, że lepiej nic nie mówić, nie odpowiadać na zaczepki, nie zwracać na siebie uwagi. Przekonałam się, że ślady bicia szybko znikają, choć pamięć o nich pozostaje. Potem jednak zobaczyłam twarz mojej córki, gdy uderzył ją mocno za to, że nie zdjęła butów na dywanie, i podjęłam decyzję.

Zaczęłam zbierać pieniądze. Na przykład mówiłam, że Letcie potrzebny jest nowy płaszcz - córce niczego nie odmawiał - i kupowałam ubranko w idealnym stanie, tyle że w taniej odzieży. Oszczędzałam na jedzeniu - potrafiłam to robić od lat, a oni niczego nie podejrzewali.

Już go wtedy nienawidziłam. Zaczęłam wychodzić z depresji i rozumiałam, co się ze mną działo. Zdałam sobie sprawę z chłodu, arogancji, chorych ambicji Stevena. Ujrzałam, jak bardzo starał się zaszczepić mojej starszej córce przekonanie, że w jego domu jest dzieckiem drugiej kategorii. Zrozumiałam, że w innych rodzinach tak się nie dzieje - ani jego pochodzenie społeczne, ani majątek nic tu nie zmieniały.

Z ulgą zauważyłam jednak, że moje córki darzą się nawzajem bezwarunkową miłością, a drobne sprzeczki nie odbiegają od normy stosunków między rodzeństwem. Widziałam, jak Letty obejmuje Hannę za szyję opalonymi łapkami, słyszałam, jak opowiada, sepleniąc, co się zdarzyło w przedszkolu, prosi, żeby „uzdobić” jej włosy. Z kolei Hanna nocami przekradała się do pokoju Letty poczytać jej bajkę na dobranoc, często zasypiały głowa przy głowie ze splątanymi włosami, w identycznych pastelowych piżamkach. Jeszcze nie wsączył w nie trucizny.

Świadomość sytuacji, w jakiej się znalazłam, wcale mi nie pomogła.

Wiedziałam, że mogę odejść z Hanną (bez przerwy mi powtarzał, że zajmuję za dużo miejsca), ale nigdy nie oddałby mi Letty. Gdy raz podczas kłótni zagroziłam, że odejdę z dziewczynkami, zaśmiał mi się w twarz.

-Jaki sędzia oddałby ci moją córkę? - zakpił. -Spójrz na siebie. Co możesz jej dać? Mieszkałaś w squatach, nie masz wykształcenia ani perspektyw. Chcesz, idź do sądu! Tylko potem nie płacz, jak odbiorą ci nawet to twoje dziecko.

„To twoje dziecko"... Przypuszczam, że już wtedy miał kogoś na boku. Znacznie rzadziej rościł sobie prawa do mojego ciała - co było dla mnie źródłem ulgi. Zachowywał się wręcz schizofrenicznie - gdy dbałam o wygląd, mówił, że jestem brzydka; gdy starałam się być miła, odpychał mnie. Kiedy jednak inni mężczyźni zwracali na mnie uwagę, choćbym miała na sobie prostą koszulę i dzinsy brał moją twarz w dłonie i powtarzał, że nikt inny nie tknie mnie nawet palcem. Gdy pewnego wieczoru jeden z kolegów z pracy rzucił pochlebny uwagę o moich nogach, nocą wbił się we mnie z taką siłą, że nazajutrz ledwo mogłam chodzić.

Trzymałam się jakoś tylko dzięki pieniądzom zaszytym w podszewce zielonego płaszcza. Godziny spędzone - jak im się wydawało, bezmyślnie - na praniu, prasowaniu czy spacerach do parku z dziewczynkami pomogły mi opracować plan ucieczki.

Ich życiem rządziło przyzwyczajenie. Matka Stevena we wtorki i czwartki grała w brydża, a on sam od kilku lat chadzał w czwartki i piątki „do klubu" - tym eufemizmem określał wizyty u innych kobiet, zaś w soboty grywał w golfa. Uwielbiałam czwartkowe wieczory -kilka godzin tylko z dziewczynkami, kiedy mogłyśmy śmiać się, wygłupiać, biegać po

domu, a ja przypominałam sobie, kim byłam, zanim poznałam Stevena i jego matkę. Dopiero odgłos klucza w zamku sprawiał, że milkłam.

A potem w któryś czwartek Steven wrócił wcześniej do domu i odkrył list do Kathleen, w którym napisałam całą prawdę o jego zachowaniu. Gdy nieco się uspokoił, najwyraźniej przykazał matce, żeby nie zostawiała mnie samej, bo od tego czasu zawsze któreś z nich mnie pilnowało. Kiedy wychodziłam, znajdowali jakiś pretekst, by rozdzielić mnie z Letty - a to zabierali ją do parku, a to nie chcieli wypuścić z domu, „bo źle wygląda”. Nie mogłam już być z dziewczynkami sam na sam.

List do Kathleen (na szczęście nie zdążyłam go zaadresować) wytrącił Stevena z równowagi nie tylko dlatego, że miałam odwagę komuś się zwierzyć, ale przede wszystkim, że nazywał jego działania po imieniu. Do tej chwili żył chyba w przeświadczeniu, że zachowuje się rozsądnie, a jego agresja jest naturalnym skutkiem moich błędów. Gdy zobaczył czarno na białym, jak opisuję jego okrutne słowa, moje popękane wargi i złamane palce, zdał sobie sprawę, że znęca się nade mną. To go musiało wkurzyć.

Nie spieszyłam się. Byłam cierpliwa. Byle tylko dotrzeć do Kathleen, a reszta sama się ułoży. Marzyłam o jej domu jak o bezpiecznym schronieniu. Steven nie znał jej adresu, wiedział tylko, że mam ciotkę, która mieszka gdzieś daleko.

Zanim opracowałam plan i datę jego wykonania, byłam tak przerażona, że dziwiłam się, że nic nie zauważyli. Od tygodni nie mogłam normalnie jeść, miałam ściśnięty żołądek, wszystko leciało mi z rąk. Wciąż dopracowywałam szczegóły, więc stałam się roztargniona. To spowodowało-

wało kolejne utyskiwania na moją bezużyteczność. Ostrzegli Hannę, że jak nie będzie uważać, to skończy „jak jej matka”. Nie wiem, czy dziewczynki domyślały się czegoś, w każdym razie zachowywały się jak zwykle. Dzięki Bogu, dzieci żyją chwilą! Gdy bawiły się, zwierzały sobie nawzajem czy z nieobecną miną jadły paluszki rybne, oczyma wyobraźni widziałam je w Australii na Przystani Wielorybów. Modliłam się, by mogły zaznać tej wolności. Chciałam, żeby były silne, niezależne, szczęśliwe. Chciałam tego i dla siebie - choć na dobrą sprawę nie wiedziałam już, kim jestem.

-Trzeba podciąć włosy twojej córce - powiedział tego ranka. - W sobotę przyjeżdża fotograf. Zrobimy zdjęcie rodzinne do mojej ulotki. Postaraj się wyglądać jak człowiek. Założysz niebieską sukienkę, dopilnuj, żeby była czysta. - Cmoknął mnie w policzek chłodno, zdawkowo, chyba ze względu na matkę. Nie lubiła mnie, ale z dwojga złego byłam lepsza niż romans.

- Wrócisz na kolację? - Staralam się, żeby zabrzmiało to normalnie. Pytanie chyba go zirytowało.

- Mam spotkanie, ale będę w domu przed wyjściem mamy.

Dziś ledwo pamiętam ten dzień - tylko że padał deszcz, a dziewczynki zamknięte w domu były wyjątkowo marudne. Hanna miała wakacje. Jej stała obecność w domu tak irytowała teściową, że ta dostała „migreny.” Ostrzegła mnie, że jeżeli nie uspokoję córek, poskarży się Stevenowi. Przeprosiłam ją z uśmiechem i nadzieją, że migrena jest symptomem raka mózgu.

Co pół godziny sprawdzałam paszporty. Leżały bezpiecznie razem z pieniędzmi w podszewce płaszcza. Gdy teściowa zasnęła, spakowałam

dwie torby podręczne. Zabrałam tylko najpotrzebniejsze rzeczy, żeby pustka w dziecięcych komodach nie zdradziła moich zamiarów. W pewnym momencie Hanna spytała, co robię - gdy otworzyła drzwi sypialni, serce biło mi tak szybko, jakby miało wyskoczyć z piersi. Przyłożyłam palec do ust z pozornie beztroskim wyrazem twarzy i kazałam jej zejść na dół. Powiedziałam, że mam dla nich niespodziankę, ale musi zachować ją w tajemnicy.

-Jedziemy na wakacje? - spytała. Ledwo powstrzymałam się, by nie zatkać jej ust.

- Coś w tym rodzaju. To mała przygoda. Zejdź na dół, Hanno i nie mów Letty, proszę.

Chciała coś dodać, ale wypchnęłam ją za drzwi.

- Idź już, Hanno. Nie możemy obudzić babci Villiers, bo tata się rozgniewa. - To było tanie, ale tonący brzytwy się chwyta.

Nie dała sobie tego dwa razy powtarzać. Wyszła, a ja najciszej jak mogłam wrzuciłam torby pod łóżko w gościnnym pokoju.

Wrócił późno, tak jak się spodziewałam. W czwartki zwykle bywał „w Hubie”. Jego matka denerwowała się coraz bardziej, gdy nie przyszedł o umówionej godzinie.

- Spóźnię się przez niego na brydża - warknęła ze złością chyba z osiemnasty raz, wyglądając na zalaną deszczem ulicę. Nie odpowiedziałam. Wiedziałam od dawna, że to najlepsze wyjście.

Potem - niepojętym cudem - wstała.

- Nie mogę czekać dłużej - oznajmiła. - Przekaż Stevenowi, że musiałam iść. I nie przypal zapiekanki. Trzymasz ją na zbyt dużym ogniu.

Zapiekanka chyba rozwiąła jej wątpliwości - moja niedoszła teściowa myślała najwyraźniej, że nigdzie nie ucieknę, skoro szykuję kolację.

- Miłej zabawy - odpowiedziałam z twarzą pokerzysty. Spojrzała na mnie ostro, więc zaczęłam nakrywać do stołu.

- Nie zapomnij przypiec chleba w piekarniku - dodała i wyszła, szelszcząc płaszczem. Zostałam w kuchni z dziewczynkami. Rozmawiały o jakiejś zabawie. Wolność była tak blisko, że czułam w ustach metaliczny posmak.

Gdy samochód matki Stevena zniknął za zakrętem, pobiegłam na górę po ukryte w szafie tabletki. Zeszłam na dół. Dziewczynki oglądały bajkę na wideo, a ja wrzuciłam kilka pastylek do szklanki, dodałam wina, wymieszałam i spróbowałam. Smak leków był nie wyczuwalny. Dolałam więcej wina i dorzuciłam jeszcze cztery tabletki, tak na wszelki wypadek. Spróbowałam jeszcze raz - przy odrobinie szczęścia, jeśli przypawię zapiekankę na ostro, nic nie poczuje. Było prawie wpół do ósmej.

Steven zje, zaśnie głęboko i będę miała kilka godzin do powrotu jego matki. Zdążę dojechać na lotnisko jego samochodem i wsiąść w samolot. Czwartkowe spotkania teściowej przeciągały się nieraz prawie do północy. Przy odrobinie szczęścia, kiedy wróci, będziemy już w powietrzu. Plan był dobry. Prawie doskonały.

Drgnęłam, słysząc jego samochód na podjeździe. Starłam się powstrzymać mdłości. Nigdy przedtem nie modliłam się o jego rychły powrót. Uśmiech na mojej twarzy, gdy przekręcał klucz w zamku, był pierwszym całkowicie szczerym od wielu lat.

- Elisabeth - zaczął...



Mike trzymał moje dłonie.

- Wszystko w porządku - powtarzał. - Wszystko będzie dobrze.

Mój oddech się rwał, twarz była zalana łzami.

- Nie mogę - potrząsnęłam głową - nie mogę... -Z trudem łapałam powietrze, dławiłam się każdym oddechem, w płucach czułam ból.

Poczułam, że mnie obejmuje.

- Nie musisz nic mówić - szepnął mi do ucha - nic mi nie musisz tłumaczyć.

- Letty...

Przytulił mnie. Trzymał mnie w ramionach i nic nie mówił, pozwolił mi płakać. Nawet się nie poruszył, siedział tylko obok z twarzą tuż przy mojej, tak że moje łzy wsiąkały w jego skórę. Trzymał mnie na tyle mocno by pocieszyć, ale nie za mocno, żebym nie poczuła się skrępowana.

- Mamo?

Hanna stała w drzwiach, wciąż w nocnej koszuli. Spojrzała na mnie i na Mike'a, potem znów na mnie. Włosy miała w nieładzie, jakby dopiero wstała.

Jej obecność ściągnęła mnie z powrotem na ziemię. Odsunęłam się od Mike'a i otarłam oczy. Moja piękna córka, moja piękna, przerażona, dzielna, żywa córka.

- Dlaczego płaczesz? - wyszeptała.

Chciałam jej powiedzieć, ale też chciałam ją chronić. Od lat nie wymówiłam przy niej imienia Letty. Nie wiedząc, nie chcąc wiedzieć, ile pamięta, starałam się bronić ją przed wspomnieniem tamtej okropnej nocy, kiedy z mojej winy nasze życie zmieniło bieg.

- Hanno... - Wyciągnęłam rękę. Głos zamarł mi w krtani.

W pokoju zabrzmiał głos Mike'a - cichy, miękki, ale stanowczy:

- Letty Rozmawiamy o Letty

A kiedy Hanna wyciągnęła do niego rękę, moje serce pękło. Nie z bólu, nie na wspomnienie mojej biednej utraconej córki, ale z takiego ogromu miłości. Potem przycisnęłam dłoń do ust i wybiegłam z pokoju.



RS

Rozdział 20



Hanna

Mama nie odezwała się ani słowem prawie dwa tygodnie po przyjeździe. Leżała tylko w łóżku jak nieżywa. Potem - nie wiem jak długo - chodziła jak lunatyczka. Ciotka Kathleen opiekowała się mną, karmiła, próbowała wypytać, co się stało, przytulała, kiedy nie mogłam przestać płakać. Gdy uznała, że nie powinnam być sama, przyprowadziła Larę i pomogła nam upiec ciasteczka. Chciała mi dać przyjaciółkę, jakby ktokolwiek mógł zastąpić Letty. Gdy spytałam, co się dzieje z mamą, dlaczego nie chce do mnie zejść, odpowiedziała po prostu:

- Hanno, ty i twoja mama przeżyłyście coś bardzo złego, ale ona nie radzi sobie tak dobrze jak ty. Musimy dać jej więcej czasu.

Więc dała jej go trochę, potem jeszcze więcej, a potem chyba uznała, że już dość.

- Mama i ja utniemy sobie małą pogawędkę - zapowiedziała. - Zostań z Larą i Yoshiko i pilnuj psa.

Nie wiem, o czym rozmawiały. Wypłynęły na łodzi ciotki, a gdy wróciły, mama wyglądała trochę lepiej. Podeszła do mnie i wzięła mnie w ramiona. Poczułam się, jakby mnie zauważyła po raz pierwszy od dłuższego czasu.

- Mamo, tak mi przykro! - zaszlochałam. Była tak chuda, że mogłam wyczuć jej kości.

Miała zmieniony głos.

- Kochanie, to nie twoja wina. Zrobiłaś, co należało. To ja popełniłam błąd.

Ja jednak wiedziałam, że gdybym nie pokłóciła się z Letty przy Stevenie... gdyby Letty nie powiedziała, że nie chce jechać na wakacje... Nagle strasznie za nią zatęskniłam. Nie mogłam uwierzyć, że nie żyje.

- Chcę, żeby była tu z nami! - płakałam.

Mama też załkała. Przycisnęła mnie mocniej do piersi.

- Ja też, kochanie - powiedziała miękko - ja też.

Mama powiedziała, że mam nic nie mówić. Powiedziała, że to bardzo ważne, ale ja byłam tak podniecona perspektywą wycieczki tylko z mamą i Letty, całymi tygodniami śmiechu i tymi wszystkimi rzeczami, które można robić z mamą, a których babcia Villiers tak nie lubiła...

- Nie chciałam jej powiedzieć - wyszeptałam. Mama mnie przytuliła. Jej oczy były błękitne jak niebo, rzęsy lśniły od łez jak gwiazdy.

- Nie jesteś winna śmierci twojej siostry, rozumiesz? - spytała ostro, jakby mnie karciała, ale w oczach miała łagodność. - Nie ma w tym cienia twojej winy. Musisz teraz zapomnieć o tym, co się stało.

Kilka tygodni później, w poniedziałek wieczorem po herbacie, miałyśmy ceremonię żałobną za Letty. Na morzu. Tylko ja, mama, ciocia Kathleen i Milly. Wy płynęłyśmy na *Izmaelu* do - jak twierdzi ciotka - najpiękniejszego zakątka Australii. Wokół baraszkowały delfiny, słońce zachodziło krwawo za chmurami.

Ciotka Kathleen podziękowała za życie Letty i powiedziała, że choć je

steśmy na drugim krańcu świata, nie ma wątpliwości, że dusza Letty jest z nami. Miałam nadzieję, że może podpłytnie do nas jakiś delfin, może wystawi głowę, jakby dawał znak, ale choć wypatrywałam, żaden się nie zbliżył.

Gdy rozpakowałyśmy drugą torbę, mama znalazła kryształowe delfiny Letty. Musiała je zapakować naprawdę ostrożnie, bo nawet małe plectwy się nie odłamały. Trzymała jednego w dłoni bardzo, bardzo długo. Potem westchnęła i podała mi go.

- Dbaj o nie - powiedziała. - Trzymaj je... w bezpiecznym miejscu.

To była jedna z ostatnich rozmów na temat Letty. Ale ja ją bardzo pamiętam! Trzymam w głowie wspomnienia, jak budowałyśmy namioty w sypialni albo jak w ogrodzie polewałyśmy się wodą ze szlauchu, albo jak zasypiałyśmy razem. Mam jej dwa zdjęcia w szufladzie, ale gdybym nie patrzyła na nie co wieczór, nie pamiętałabym twarzy siostry, jej szczerbatego uśmiechu, jej grymasów, gdy ssała kciuk i drapała się po nosie. Inne rzeczy wolałabym zapomnieć. Na przykład tę noc, gdy mama przytuliła nas mocno zaraz po wyjściu babci Villiers i powiedziała, że szykują się pewne zmiany. Pamiętam, jak przyłapałam ją na pakowaniu i cieszyłam się, że nie zapomniała o moim flanelowym psie Spike'u, bez którego nie mogłam zasnąć. Mama powiedziała, że nie możemy się zdradzić przed tatą i babcią, bo to ma być dla nich niespodzianka. Myślała, że nie patrzę, ale ja widziałam nawet, gdzie schowała torby. Pamiętam purpurowe sińce na jej ramionach podobne do moich, po tym jak Steven rozgniewał się na mnie, bo huśtałam się na krześle. Pamiętam, byłam tak podniecona jak przed Gwiazdką i po prostu musiałam powiedzieć Letty, chociaż obiecałam...

Potem obejrzałyśmy na wideo „Pinokia”, mimo że to nie była sobota. Kiedy Steven wrócił do domu, czuć było od niego alkohol, ale mama i tak naląła mu dużą szklanekę wina i patrzyła na niego z uśmiechem, aż powiedział, że wygląda jak idiotka. Podając kolację, zerkała na niego ukradkiem, jakby na coś czekała.

A później Letty i ja pokłóciłyśmy się o ulubioną zieloną kredkę, znacznie ładniejszą niż druga, zgniłozielona, i ja wygrałam, bo byłam silniejsza, a Letty zaczęła płakać i powiedziała, że nie chce z nami jechać, a Steven zapytał: „dokąd?”. Spojrzał na mamę i tak przez kilka minut patrzyli na siebie, potem minai ją i poszedł na górę. Słyszałam, jak sprawdza szuflady. Gdy wrócił na dół, był tak wściekły, że schowałam się z Letty pod stół.

- Gdzie paszporty?! - krzyknął jakoś tak bełkotliwie.

Zamknęłam oczy i słyszałam, że ktoś się bije, a gdy je otworzyłam, mama leżała na podłodze, a Steven sięgnął pod stół po Letty. Ona płakała, a on powiedział, że wyjedzie stąd po jego trupie. Próbowałam złapać siostrę za rękę, ale odepchnął mnie mocno i wziął ją pod pachę jak worek ziemniaków, a ona krzyczała i krzyczała. Potem mama wstała, usłyszałam samochód na zwirowanym podjeździe, a mama zaczęła płakać i nawet nie zauważyła, że leci jej krew, a ja przytuliłam się do niej, bo bałam się o Letty.

Nie wiem, jak długo to trwało.

Pamiętam, jak zapytałam, gdzie jest Letty, a mama przytuliła mnie i odpowiedziała, że „niedługo wróci”.

Kłamała. Bałam się, bo czułam, że jak Steven wróci, będzie naprawdę wściekły.

Myszę, że ten telefon zadzwonił dopiero kilka godzin później. Mama siedziała roztrzęsiona na podłodze, nawet nie opatrzyła głowy, a ja podniosłam słuchawkę i to była babcia Villiers. Miała zmieniony głos. Powiedziała: „chciałabym rozmawiać z twoją matką”, jakbyśmy się w ogóle nie znały. Potem zaczęła krzyczeć na mamę -wiem, bo słyszałam jej głos w słuchawce, a mama poszarzała na twarzy i jęknęła. Trzymałam ją za nogi, żeby tak nie drżały.

- Co ja zrobiłam? - powtarzała w kółko.

To była najdłuższa noc w moim życiu. O świcie mama obudziła mnie - zasnęłam na podłodze, zdrętwiałam z zimna i niewygody

- Gdzie jest Letty? - spytałam, a ona odpowiedziała, że Steven miał wypadek i Letty zmarła w szpitalu, i że to wszystko wina mamy. Szczękała zębami, jakby dopiero co wyszła z basenu.

Nie pamiętam za dobrze, co było później - wsiadłyśmy do taksówki, potem do samolotu. Płakałam, nie chciałam nigdzie jechać, ale mama powiedziała, że to jedyny sposób, żeby mnie ochronić. Pamiętam, że płakałam za każdym razem, jak mama szła do toalety, bo bałam się, że zniknie i zostanę sama. A potem pamiętam ciotkę Kathleen czekającą na nas na lotnisku. Tak w ogóle to nie wiedziałam jeszcze, że to moja ciocia, ale uścisnęła mnie, jakby mnie znała, i zapewniła, że wszystko będzie dobrze, chociaż nie było. Cały czas chciałam zapytać mamę, jak możemy zostawić Letty, przecież ona czeka, aż ją zabierzemy ze szpitala! Nie mo

zemy zostawić jej tak daleko i nawet nie odwiedzić jej grobu.

Chciałam, żeby Letty wiedziała, że nadal ją kochamy, ale milczałam, bo przez długi, długi czas mama nie odezwała się ani słowem.

To wszystko opowiedziałam Mike'owi po wyjściu mamy - tego dnia, kiedy zastałam ich trzymających się za ręce. Nigdy przedtem nie byłam w stanie o tym rozmawiać, nawet z ciocią K. Teraz miałam jednak poczucie, że coś się zmieniło i że mama nie miałaby nic przeciwko temu.

Nigdy przedtem nie widziałam, jak dorosły mężczyzna płacze.



RS

Rozdział 21



Mike

Rankiem następnego dnia, gdy Srebrna Zatoka była jeszcze pogrążona we śnie, a morze znieruchomiało pod błękitnym niebem, niecałe dwadzieścia kilometrów dalej w szpitalu w Port Summer Nino Gaines przebudził się ze śpiączki.

Kathleen siedziała przy jego łóżku oparta ciężko o wyściełaną poręcz fotela. Pojechała tam od razu po obiedzie - później tłumaczyła, że chciała opowiedzieć najstarszemu przyjacielowi, co się wydarzyło tamtej nocy. O świcie dopadło ją zmęczenie. Zdrzemnęła się chwilę, potem przejrzała gazetę z poprzedniego dnia, czytając na głos co ciekawsze fragmenty, między innymi - artykuł o wspólnym znajomym, który otworzył restaurację.

- Jasna cholera, to będzie porażka - wychrypiał Nino. Kathleen była tak wyczerpana wydarzeniami ostatniej nocy, że dopiero po kolejnych dwóch zdaniach zorientowała się, co usłyszała.

Choć słaby i trochę oszołomiony, mimo białej szpitalnej koszuli, rurek i przyrządów, wciąż był tym samym Nino Gainesem. Cała Srebrna Zatoka dziękowała za to opatrności. Lekarze poddali go setkom testów - narzekał, że to „cholerna strata czasu” - zlecieli tomografię i EKG, zwołali konsylium i wreszcie orzekli, że ma się zadziwiająco dobrze jak na mężczyznę w tym wieku, po tak długiej śpiączce. Pozwolili mu wstawać,

odłączyli od kroplówek, a sznur gości szybko zmienił się w lawinę. Kathleen dostała zgodę, by siedzieć przy łóżku bez przerwy - przywilej udzielany zazwyczaj tylko żonom - pod warunkiem, że nie będzie podnosić mu ciśnienia.

- Podnosi mi ciśnienie od pięćdziesięciu lat - powiedział pielęgniar-kom w jej obecności - i dzięki temu jestem w formie.

Kathleen uśmiechnęła się. Odkąd otworzył oczy, uśmiech nie scho-dził z jej twarzy.



Niewielu jest na świecie szczęściarzy, którzy wcześniej odkrywają swoje powołanie. Rozpoznanie przychodzi zwykle późno, czy będzie to religia, sztuka, tworzenie opowieści czy walka o święte krowy. Ja pozna-łem swój cel rankiem u progu australijskiej wiosny, gdy jedenastoletnia dziewczynka wzięła mnie za rękę i wyjawiała swój sekret. Od tej chwili rozumiałem, że całą swoją energię poświęcę na ochronę jej i jej matki.

Gdy myślę o tych kilku dniach, zdaję sobie sprawę z wewnętrznego rozdarcia, jakie mi wtedy towarzyszyło. Byłem szczęśliwy, że kocham Lizę - po raz pierwszy w życiu naprawdę kogoś kocham - i że mogę wreszcie dać temu wyraz. Wyglądało na to, że i ona mnie kocha. Powie-działa mi o Letty chociaż bała się, że uznam ją za bezmyślną, podstępną albo co gorsza - za morderczynię. Poszedłem do jej pokoju. Siedziała

zrozpaczona przy oknie. A kiedy udało mi się uspokoić (Hanna objęła mnie, gdy płakałem, co wzruszyło mnie jeszcze bardziej), zamknąłem drzwi, klęknąłem obok

Lizy i przytuliłem ją w milczeniu, z nadzieją, że moja obecność wystarczy za słowa. Dużo, dużo później zrozumiałem, dlaczego mi wszystko powiedziała.

- Karzesz się za coś, czemu nie jesteś winna. Skąd miałaś wiedzieć, że tak zareaguje? Że rozbije samochód? Na litość boską, byłaś ofiarą przemocy. Można uznać, że... - zawahałem się - byłaś chwilowo niepoczytalna. Słyszałem takie orzeczenia w podobnych przypadkach.

- Na dobrą sprawę zabiłam własną córkę - jej oczy, choć mokre od łez, były pełne determinacji. - Być może też jej ojca. Oddam się w ręce policji i wykorzystam rozgłos, żeby opowiedzieć, co się tutaj dzieje.

- To może być zmarnowany gest. O katastrofalnych skutkach.

- Więc pozwól mi porozmawiać z twoją specjalistką od mediów. Będzie wiedziała, czy to pomoże.

- Nie rozumiesz, Lizo. Jeżeli... jest tak, jak mówisz, pójdiesz do więzienia.

- Myślisz, że o tym nie wiem?

- Jak Hanna poradzi sobie bez ciebie? Czy nie dosyć już straciła? Wytarła nos.

- Lepiej, żeby straciła mnie teraz na kilka lat, póki ma jeszcze Kathleen. Potem zaczniemy od nowa. Mogę zacząć od nowa. Może ktoś nas wysłucha.

Wstałem z kolan i zacząłem krążyć po pokoju.

- Lizo, to błąd. A jeżeli nie powstrzymasz budowy? Ludzie będą ci współczuć, ale to nie oznacza, że projekt ulegnie zmianie.

- Mamy inne możliwości?

Tu trafiła w sedno.

- Mike, przez łąta żyłam na pół gwizdka. - Wzięła mnie za rękę. - Oszukiwałam się, ale to była nędzna wegetacja, pełna lęku. Nie chcę, żeby Hanna w tym dorastała. Chcę, żeby mogła jechać, dokąd chce i z kim chce, żeby miała szczęśliwe dzieciństwo wśród ludzi, którzy ją kochają. Co to dla niej za życie? A tak nie może nawet opuścić Australii. Jeśli zobaczą jej paszport, trafią na nasz ślad. Nie może nawet wyjechać ze Srebrnej Zatoki.

Pochyliła się. Mówiła, jakby słowa dojrzywały w niej latami, jakby stale obracała je w głowie, czekając na tę chwilę.

- Żyjemy jak w dryfujących sieciach. Cała ta historia, Letty Steven... może i uciekłam na drugą stronę świata, ale to wszystko wciąż jest na mnie. Dławi mnie, ściągą na dno. Od lat. - Odgarnęła włosy za ucho, ujrziałem małą bliznę na policzku. - Jeżeli budowa dojdzie do skutku, będziemy musieli się przeprowadzić. Dokądkolwiek pojedziemy, wszystko powlecze się za nami.

Ukryłem twarz w dłoniach.

- To moja wina. Gdybym tu nie przyjechał.:. Boże, postawiłem cię w takiej sytuacji...

Dotknęła mojej głowy.

- Nie mogłeś wiedzieć. Jak nie ty, byłby to ktoś inny Nie jestem aż tak naiwna, to nie mogło trwać wiecznie. - Przełknęła ślinę. - Myślałam

o tym całą noc. Jeżeli oddam się w ręce władz, Hanna odzyska wolność i zwrócę uwagę opinii publicznej na wieloryby. Ludzie będą musieli mnie wysłuchać. - Uśmiechnęła się ostrożnie - Będę wolna. Musisz zrozumieć, Mike, że muszę się od tego uwolnić. Na tyle, na ile zdołam.

Spojrzałem na nią. Poczułem, jakbym już ją tracił.

- O jedno cię proszę - wyciągnąłem rękę - zaczekaj, aż z kimś porozmawiam.



Następnego dnia wieczorem zadzwoniłem do siostry. Wymusiłem na niej przysięgę milczenia i opowiedziałem historię Lizy.

Milczała przez dłuższą chwilę.

- Chryste, Mike, ale ty masz nosa do dziennikarstwa! - Usłyszałem, że notuje. - To sprawdzone, tak? Nie zmyśla?

- Nie, nie zmyśla. Wyjdzie z tego materiał?

- Żartujesz?! Naczelnicy chyba się posika! - Trzeba... - skoncentrowałem się. - Moniko, jeżeli to pójdzie, przedstaw ją w jak najlepszym świetle. Ludzie muszą zrozumieć, dlaczego znalazła się w takiej sytuacji. Gdybyś ją poznała... gdybyś wiedziała, jakim jest człowiekiem, jaką matką...

- Chcesz, żebym ja to napisała? - W głosie mojej siostry zabrzmiało niedowierzanie.

- Nikomu innemu nie ufam. Nie od razu odpowiedziała.

- Dziękuję. Dziękuję ci, Mike. Ja... - sprawiała wrażenie roztargnionej, jakby przeglądała notatki - chyba mogę to zrobić. Pogadam z adwo-

katem. Oczywiście żadnych nazwisk! Zobaczą, jak to wygląda od strony prawnej. Nie chcę napisać czegoś, co może wpłynąć na proces.

Spojrzałem na słuchawkę. W słowach Moniki usłyszałem prawdę o sytuacji Lizy, której nie chciałem przyjąć do wiadomości. Domyśliłem się, co to oznacza.

-Jak sądzisz... czy mogłaby nagłośnić sprawę wielorybów?

-Gdyby jednoznacznie stwierdziła, że oddaje się w ręce sprawiedliwości także dlatego, że leży jej na sercu los wielorybów, ludzie pewnie będą się z nią solidaryzować. Opinia publiczna uwielbia wieloryby, a jeszcze bardziej ekscentryków. Zwłaszcza piękne blondynki.

-Gdybyś sama przeprowadziła z nią wywiad, mogłabyś przedstawić ją we właściwym świetle, bez niedopowiedzeń i nadużyć.

-Mike, nie jestem potworem, nie będę się nad wami pastwić. Ale musisz z nią pogadać, czy na pewno chce to zrobić. Jeżeli jej historia jest prawdziwa, nie mogę zagwarantować, co się stanie po publikacji. Inne gazety podchwycą materiał i przedstawią fakty po swojemu. Ucieczka przemawia na jej niekorzyść.

-Dowiedziała się, że młodsza córka nie żyje, a partner jest w stanie krytycznym. Musiała chronić Hannę.

-Nawet jeżeli ja i cała reszta zrobimy z niej anioła, i tak mogą ją aresztować i skazać. Zwłaszcza jeżeli ten facet też umarł. Gdyby prokuratura zdołała udowodnić, że podała mu te pastylki, wiedząc, że będzie prowadził samochód, to niestety w najlepszym wypadku wygląda mi to na nieumyślne spowodowanie śmierci.

-W najgorszym na zabójstwo?

- Nie wiem, nie siedzę w sprawach kryminalnych. Ale nie uprzedzajmy faktów. Podaj mi jego nazwisko, sprawdzę, co się da, i oddzwonię.

Miło byłoby powiedzieć, że fortuna zaczęła sprzyjać reszcie mieszkańców Zatoki tak jak Nino Gainesowi, jednak tak się nie stało. Konsultacje społeczne w sprawie budowy nie przyniosły spodziewanych efektów. Prasa pisała o projekcie jak o sprawie postanowionej. W dodatku wokół działki budowlanej wyrosły billboardy obiecujące „nowe inwestycje w budowę dwu-, trzy- i czteropokojowych domków letniskowych - wymarzonych na letnie wakacje”.

Czytałem własne slogany i robiło mi się niedobrze. Lśniące, wysokie tablice szpeciły pustą plażę. Przy ich wymuskanej nowości hotel „Srebrna Zatoka” wyglądał jeszcze biedniej - farba łuszczyła się, pociemniałe obicia na ścianach wyglądały jak medal za zasługi. Stał przy zniszczonej szopie niczym niemy pomnik minionej epoki, czasów, kiedy hotel był po prostu schronieniem, tymczasowym adresem, nie unikatowym obiektem rekreacyjnym czy inwestycją.

Pewnego ranka, gdy obserwowałem kolejny zespół - ludzi z notesami rozmawiających przez komórki, Kathleen stanęła obok. Pomyślałem, że dla niej to prawdziwa inwazja. Po czasach, gdy miała morze za jedyne towarzystwo, otwierała się przed nią perspektywa ciągłych najazdów turystów.

Nic nie mówiła, tylko obserwowała. Widziałem jej ostry profil. Odezwała się, nie odwracając wzroku od budowy:

- To kiedy mamy spakować walizki? Ścisnęło mnie w dołku.

- To jeszcze nie koniec, Kathleen. Nie odpowiedziała.

- Nawet jeżeli przegramy walkę o budowę, mamy wiele możliwości, by zminimalizować wpływ na twój hotel. Zrobię biznesplan. Możemy pomyśleć o modernizacji...

Położyła mi dłoń na ramieniu.

- Bardzo cię szanuję, Mike'u Dormerze, ale szanowałabym cię bardziej, gdybyś po prostu był ze mną szczery.

Cóż mogłem powiedzieć? Yoshiko kontaktowała się z organizacjami ekologów, które próbowały przyspieszyć publikację sprawozdania o szkodliwym wpływie hałasu na ssaki morskie. Poprosiła, by uwzględnili informacje o silnikach motorówek i skuterów wodnych. Naszą petycję podpisało około tysiąc siedemset osób. Mieliśmy stronę internetową, kilkaset wizyt dziennie i wyrazy poparcia z całego świata. Inni obserwatorzy wielorybów również ślali listy protestacyjne.

Po lekcjach Hanna pisała mejle do innych szkół, starała się włączyć w tę akcję inne dzieci. Mój komputer należał już właściwie do niej. Ja przekonywałem mieszkańców miasteczka, by przyłączyli się do protestów. Idąc za radą siostry, próbowałem zainteresować opinię publiczną w kraju i za granicą. Na próżno. Im bardziej się starałem, tym większy ruch panował na budowie. Przyjeżdżało więcej ludzi w garniturach, więcej inżynierów w kaskach ochronnych. W lokalnej gazecie pojawiły się ogłoszenia o nowym projekcie i zachęty dla lokalnych handlowców, by skontaktowali się i „wzięli udział w wielkiej przygodzie”. Właściciele dwóch okolicznych sklepów zamknęli interes i wystawili budynki na sprzedaż. Być może mieli nadzieję, że cena nieruchomości wzrośnie.

Potrząsnąłem głową.

- To jeszcze nie koniec - starałem się przekonać samego siebie.

Odeszła powoli w stronę hotelu.

- Coś cienko śpiewasz - rzuciła przez ramię.



Duma Hanny zatonała, tak jak przewidywano. Wysokie fale zalały pokład, ciężkie sieci wokół rumpla ściągnęły ją na dno. Gdy patrzyłem na ocean, czułem się przytłoczony jego pustką. Morze pochłaniało wszystko w całości, bez śladu. Nie było małych łódek, sieci, umiatających stworzeń. Nikt nie mówił o żaglówce, odkąd zatonała. Greg chyba czuł się niezręcznie ze względu na rolę, jaką mimowolnie odegrał w wypadku Hanny, podobnie jak ja. Nie trzeba było wiele wyobraźni, by zobaczyć inny, równie prawdopodobny rozwój wypadków - z Hanną na dnie morza.

A potem nagle Liza oznajmiła przy śniadaniu, że rozgląda się za nową łódką dla córki.

- Co takiego? - zdziwiła się Hanna.

- Myślę, że jesteś dość duża. Poprosiłam Petera Sawyera, żeby czegoś poszukał. Małej żaglówki, takiej jak ma Lara. Tylko masz chodzić na kurs. A jeżeli kiedykolwiek przyłapię cię na wodzie bez pozwolenia, koniec z pływaniem.

Hanna upuściła łyżkę, zerwała się i objęła matkę za szyję.

- Nigdy nie wypłynę bez pozwolenia - obiecała. - W ogóle nic nie zrobię bez pytania. Naprawdę będę grzeczna. Dziękuję, mamo.

Liza próbowała zachować surowy wyraz twarzy.

- Ufam ci - powiedziała.

- Czy mogę zadzwonić do Lary? - spytała Hanna. Jej oczy błyszczały z wrażenia.

- Zobaczysz się z nią w szkole za pół godziny.

- Proszę!

Wahanie matki wystarczyło za odpowiedź. Popędziła do holu, a po chwili usłyszeliśmy jej pełen przejęcia głos.

Liza wpatrzyła się w talerz jakby zawstydzona swoją woltą. Kathleen i ja nie spuszczaaliśmy z niej wzroku. Nie jestem pewien, czy nie rozdziawiłem ze zdumienia ust.

- Mieszka nad morzem - usłyszeliśmy jeszcze. - Musi się kiedyś nauczyć.

- Święte słowa. - Kathleen odwróciła się do kuchni. - Peter znajdzie jej coś dobrego.

- Poza tym - dodała Liza, zerknąwszy mi w oczy - to jedyne rozsądne wyjście. Nie będę mogła zawsze nad nią czuwać.



Nie rozmawialiśmy z Lizą „o nas”. Przez kilka tygodni mieliśmy niepisaną umowę, by nie okazywać uczuć przy Kathleen, Hannie i wielorybnikach. Rozpoczęła się właśnie migracja na południe i choć wieloryby rzadko się pokazywały, czasami, gdy chciałem zrobić sobie przerwę, wypływałem z Lizą na morze. Siedziałem na pokładzie i podziwiałem w milczeniu jej pewność siebie i precyzję za sterem. Lubiłem jej barwne

opowieści o zwyczajach ssaków morskich, pełną roztargnienia czułość, z jaką drapała Milly za uszami, nie wypuszczając z ręki steru, okrzyki radości na widok znajomych wodotrysków. Byłem wyjątkowo wyczulony na każdy jej ruch, podobała mi się łatwość, z jaką poruszała się na łodzi, jakby stanowiły jeden organizm. Ironia losu sprawiła, że protest napędzał wielorybnikom klientelę, Liza wypływała rano i po południu z kompletem pasażerów, ale za każdym razem widziałem tylko ją, tylko ona się liczyła.

Ona i Hanna. Kochałem Hannę tak jak jej matkę. Czułem także przemożną potrzebę, by ją chronić przed traumą, której doświadczyła zbyt wcześnie. Zrozumiałem Lizę, pojąłem, dlaczego poświęciła wszystko dla bezpieczeństwa córki. A ona wiedziała o nas. Nic nie mówiła, tylko czasem rzucała mi konspiracyjny uśmiech albo ukradkiem chwytając mnie za rękę. Jej milcząca aprobatą napawała mnie dumą. Gdybym miał dziecko, chciałbym, żeby było takie jak Hanna. Chciałem na stałe zagościć w jej życiu, o ile Liza mi pozwoli.

Nie mówiliśmy o miłości, ale czułem ją każdym nerwem ciała, otaczała mnie jak mgła. Z zachowania Lizy, jej uśmiechów i rumieńców odgadywałem, że i ona czuje podobnie. Nie musiałem jej nakłaniać do wyznań jak Vanesse. Ta kobieta straciła prawie wszystko, zaufała i została zawiedziona, a jednak wpuściła mnie do swojego życia i pozwoliła zajrzeć w głąb duszy. Każdej nocy wślizgiwała się do mojego pokoju, a ja odchylałem koc i wpuszczałem ją do łóżka. Gdy dotykała opuszkami palców mojej twarzy z powagą i odrobiną niedowierzania, wiedziałem, że na mojej twarzy gości podobny wyraz.

Nigdy wcześniej nie byłem taki szczęśliwy. Samo wyczekiwanie, słuchanie rozmów na dole z Kathleen i Hanną, życzenia dobrej nocy, skrzypnięcie drzwi do łazienki - to wszystko mówiło, że niedługo będzie moja.

Kathleen chyba się domyślała, ale była zajęta panem Gainesem, żeby poświęcać nam zbyt wiele uwagi. Wszyscy uważaliśmy, że trzeba wykorzystywać każdą chwilę szczęścia, którą zesłał los, choćby na krótko.

Liza była moim szczęściem. Wszystko w niej wprawiało mnie w zdumienie: kochałem jej włosy, zawsze rozczochrane, jakby dopiero co wróciła z rejsu, jej skórę pachnącą solą morską, blade blizny, których historię już znałem, piegi, oczy - ciemne i pełne zadumy, to znów pełne namiętności. Gdy się kochaliśmy, patrzyłem w nie bez końca, a kiedy dochodziłem, czułem, jakbym w nich tonął. Moja Liza. Wiedziałem o tym i byłem za to wdzięczny.

Pewnej nocy, gdy leżeliśmy, rozmawiając cicho, powiedziała mi, że dziecko przynosi największą miłość i największy lęk, jaki można odczuć. Teraz to rozumiałem, bo gdy ją odnalazłem, nie mogłem znieść myśli o rozstaniu. Leżałem bezsennie, patrząc, jak śpi, próbowałem wyobrazić ją sobie w więzieniu w zimnym, szarym kraju na drugim końcu świata, otoczoną wrogimi twarzami. Nie mogłem. To zupełnie do niej nie pasowało. Zaśmiała się, kiedy jej o tym powiedziałem.

- Dam sobie radę. - Przytuliła się do mnie. Ciężar jej ciała był dla mnie błogosławieństwem.

- Nie wyobrażam sobie ciebie z dala od morza.

- Nie jestem wielorybem. Przetrwam na stałym lądzie - usłyszałem uśmiech w jej głosie.

Nie wiem dlaczego nie byłem tego taki pewien.

- Pomogę zaopiekować się Hanną - powiedziałem - jeżeli chcesz.

- Nie oczekuję, że zostaniesz.

- Zależy mi na niej.

- Nie wiem, jak długo mnie nie będzie.

- Tym bardziej mam powody, żeby zostać. Słyszałem jej oddech.

- Nie chcę... - zaczęła po chwili drżącym głosem - żeby Hanna utraciła kolejną osobę. Nie chcę, żeby się do ciebie przywiązała, a potem straciła. Możesz uznać, że to za wiele. Że za długo musisz czekać.

- Naprawdę myślisz, że byłbym do tego zdolny?

- Czasem nie sposób przewidzieć, jak się zachowamy. - Urwała na chwilę. - Wiem lepiej niż ktokolwiek inny, że nie zawsze stajemy na wysokości zadania. A to nie jest zwyczajna sytuacja.

Rozważyłem w milczeniu jej słowa.

- Zrozumiem, jeżeli zechcesz wyjechać - dodała cicho. - Byłeś dla nas... dobrym przyjacielem.

- Nigdzie nie jadę.

Gdy to powiedziałem, atmosfera uległa zmianie, poczuliśmy jakąś stałość. Rozumieliśmy się bez słów - moje uczucia były widoczne jak na dłoni. Wzięłem ją za rękę i delikatnie pogłaskałem. Odwzajemniła uścisk.

- Hanna będzie potrzebować dobrych przyjaciół. Po drugiej stronie korytarza Milly pisnęła przez sen.

Może była niespokojna, że pani gdzieś poszła.

Jeszcze przez moment trzymałem Lizę w ramionach. Wiedziałem, że zmusza się, by nie myśleć o córce, że przygotowuje się na rozstanie, że chce postąpić słusznie. Chętnie sam wziąłbym na siebie ten ciężar.

- Nie musisz tego robić - powtórzyłem chyba po raz setny.

Uciszyła mnie pocałunkiem.

- Wiem, że trudno to zrozumieć, ale po raz pierwszy czuję, że biorę życie w swoje ręce, że wreszcie coś ode mnie zależy. Że mam nad nim kontrolę. - Uśmiechnęła się w ciemności. - Jestem u steru.

- Moja sterniczka. - Przytuliłem ją.

- Przynajmniej próbuję - westchnęła i oplótła mnie nogami.



Siostra oddzwoniła kwadrans po trzeciej nad ranem. Nigdy nie pamiętała o różnicy czasu. Liza poruszyła się przez sen, a ja sięgnąłem po telefon.

- Chcesz najpierw dobrą czy złą wiadomość? Oparłem się na łokciu.

- Nie wiem - mruknąłem sennie. - Wszystko jedno.

- Dobra wiadomość jest taka, że znalazłam faceta. Przeżył. Trochę to trwało, bo zastrzegł informacje i zdaje się, przyjął nazwisko żony Starsza pani nie żyje. To dobrze, bo nie będzie mogła zeznawać na jego korzyść. Krótko mówiąc, twoja dziewczyna nie zostanie oskarżona o morderstwo.

Urwała. Starąłem się poczuć ulgę.

- A zła: on jest radnym. Szanowanym członkiem społeczeństwa. Żonaty, dwoje dzieci, spokojne życie, nieposzlakowana opinia, działalność charytatywna, tego typu klimaty Chce startować w wyborach do parlamentu. Ma dobrą prasę, a to ściska dłoń komisarzowi policji, a to przekazuje czek na jakiś zbożny cel. To wam nie ułatwi sprawy.



Rozdział 22



Liza

Mike pracował dniami i nocami nad powstrzymaniem budowy, czasami tak ciężko, że bałam się o jego zdrowie. Posiłki zносиłam mu na górę do pokoju, siadałam obok i robiłam, co mogłam, ale nie potrafię rozmawiać z ludźmi. Kręciło mi się w głowie, gdy słyszałam, jak przekonuje i uwodzi, przedstawia fakty jako niepodważalne. Nie bał się rozmów z nikim. Gdy gdzieś dzwonił, zawsze chciał rozmawiać z górą, a gdy trzeba, z samym jej wierzchołkiem. Miał świetną pamięć do liczb - wplatał statystyki w rozmowę, jakby trzymał przed sobą raport, wszystkich rozmówców przestrzegał przed zgubnymi skutkami hałasu i zanieczyszczenia, kosztów i strat dla lokalnej przedsiębiorczości. Wyjaśniał, że klienci przestaną odwiedzać miejscowe bary, restauracje i małe hotele. Pokazywał, kto zyska na budowie i że nie będzie to Srebrna Zatoka.

Jednak to nie wystarczało. Namówił Yoshiko, żeby poprosiła przyjaciół z uniwersytetu o zbadanie wpływu hałasu na ssaki morskie, ale powiedziała mi, że na to potrzeba czasu. Nie można ot tak wrzucić wieloryba do basenu i włączyć muzykę na cały regulator, czekając, aż zareaguje. Migracja na południe była w toku, pod koniec listopada wieloryby miały opuścić nasze wody i na badania za późno. Gdy mu to przekazałam, wyglądał, jakby nie usłyszał, i zaczął dzwonić na nowo.

Chyba myślał, że jeżeli powstrzyma budowę w inny sposób, nie pojedzie do Anglii i wszystko jakoś się ułoży. Zapowiedziałam mu, że zrobię to, co zamierzałam, niezależnie od obrotu sprawy. Nazwał mnie masochistica. Rzeczywiście, bałam się, że moja historia niewiele pomoże wielorybom.

Mike przekazał wielorybnikom petycje dla turystów do podpisania, próbował też zorganizować protest, gdy w hotelu „Błękitna Ławica” wystawiono model nowej inwestycji. Okazało się to trudniejsze, niż myślał - wielu ludzi uznało, że sprawa jest już przegrana i myśleli tylko, jak wyciągnąć z budowy jakiegokolwiek korzyści. Nawet na przeciwników nie zawsze można było liczyć. Mieszkańcy Srebrnej Zatoki nie należeli do agitatorów. Morze tak na nas działa - życie blisko czegoś, nad czym nie mamy kontroli, wytwarza w człowieku swego rodzaju-fatalizm.

Najbardziej wspierała go Hanna. Ona i Lara wymalowały bannery informujące, że szkoła nie chce pieniędzy ani nowych budynków od sponsorów projektu. Pisały petycje, mobilizowały kolegów, nawet wystąpiły w lokalnym radiu i opowiedziały o zwyczajach i charakterach delfinów ze Srebrnej Zatoki. Kathleen i ja pękałyśmy z dumy, jak usłyszałyśmy głos Hanny. Mike założył jej skrzynkę mejlową, więc mogła korespondować ze wszystkimi organizacjami ekologicznymi, które wyszukała w Internecie. Dzięki temu szybciej zapomniała o dryfujących sieciach. W dzień sprawiała wrażenie innej osoby, pewniejszej siebie, pełnej optymizmu i determinacji.

Nocą jednak nadal często przychodziła do mnie do pokoju - jak wtedy, gdy miała sześć lat.

Powiedziałam córce prawdę najszybciej, jak mogłam. Pewnego piątkowego popołudnia zabrałam ją po szkole na lody. Usiadłyśmy na Przystani Wielorybów z nogami w wodzie. Małe, srebrne rybki skubały nas w palce, a Milly tarabaniła się na kolana. Dowiedziałam się od mojej prawniczki, że jeżeli wrócę, sprawa trafi do sądu i będę musiała złożyć zeznania. Istniała możliwość, że Hanna również zostanie przesłuchana i będzie musiała powiedzieć prawdę, tak jak Mike'owi.

Siedziała nieruchomo, z nietkniętym lodem.

- Będę musiała wrócić i zamieszkać ze Stevenem? - spytała.

Na samą wzmiankę o nim zrobiło mi się zimno.

- Nie, kochanie. Zostaniesz z Kathleen. Jest twoją najbliższą krewną oprócz mnie.

Nie po raz pierwszy podziękowałam Bogu, że Steven i ja nie wzięliśmy ślubu, że przynajmniej do Hanny nie mógł rościć sobie żadnych praw.

- Pójdiesz do więzienia? - spytała.

Nie chciałam okłamywać córki, więc odpowiedziałam, że to możliwe. Dodałam, że przy odrobinie szczęścia sędzia uzna, że byłam emocjonalnie niezrównowazona albo działałam w warunkach silnego stresu, więc może dostanę niską karę, może nawet wyrok w zawieszeniu.

Poprzedniego dnia rozmawialiśmy z prawniczką. Mike, poszarzały na twarzy, trzymał mnie za rękę.

- Czy pani rozumie, że to nie była jej wina? - pytał raz po raz, jakby to ją miało przekonać. Potem dotarło do mnie, że przeprowadzał wstępne rozpoznanie, chciał sprawdzić, jaką reakcję wywoła moja opowieść na

kimś mniej życzliwie nastawionym. Była zimną rybą - mimo zapłaty za jej czas. Jedyne, co zdołał z niej wydobyć, to że sytuacja jest istotnie „niefortunna”. Stwierdziła, że ocena nie należy do niej - tonem, który sugerował, że już wyrobiła sobie zdanie na mój temat.

Powiedziałam Hannie z wymuszonym uśmiechem, że liczy się tylko jedno - gdy to wszystko się skończy, będę wolna i będziemy mogli żyć normalnie: wyjeżdżać, dokąd chcemy, rozmawiać o Letty i pomagać delfinom i wielorybom.

- Wiesz co? - dodałam. - Może nawet będziesz mogła jechać na Nową Zelandię ze swoją klasą? Co ty na to?

Patrzyła na drugi kraniec Zatoki, więc nie widziałam jej twarzy. Potem odwróciła się. Była tak przerażona, że doznałam wstrząsu.

- Nie chcę jechać na Nową Zelandię - odpowiedziała, powstrzymując płacz. - Chcę, żebyś ze mną została.

Nie słuchała moich zapewnień. W jej oczach były tylko strach i desperacja, a ja znienawidziłam się za to, że jestem ich przyczyną.

- Wszyscy mnie opuszczają - szepnęła.

- Nie, kochanie, to nieprawda...

- A teraz ty pojedziesz i nie będę miała nikogo. Płakała przez dłuższą chwilę. Wyrzuciłam loda i przytuliłam ją mocno, powstrzymując łzy. Prawda jest taka, że na myśl o rozłące z córką czułam się po prostu chora. Trzymałam ją w ramionach, nie ot tak, dla przyjemności, tylko żeby zostawić na ciele jej ślad. I patrzyłam na Hannę, żeby wypalić sobie na powiekach jej obraz, przygotować się na miesiące, może lata rozłąki.

Ta perspektywa nie pozwalała mi spać po nocach. Myślałam, że trudny okres dorastania moja córka będzie przechodzić samotnie. Kim się stanie? Czy mi wybaczy? Czy wybaczy sobie? Zamknęłam oczy, wdychając zapach jej włosów, czując echo obecności mojej utraconej Letty. Gdy zdałam sobie sprawę, że cała się trzęsę, rozluźniłam uścisk.

Hanna uspokoiła się. Jej odwaga i samokontrola złamały mi serce. Otarła oczy i przeprosiła.

- Nie chciałam płakać - dodała.

- Teraz jest nam trudno, ale będzie lepiej - obiecałam, starając się przekonać nas obie. - Możemy do siebie pisać i rozmawiać przez telefon i zanim się obejrzysz, znów będziemy razem. - Wyciągnęłam źdźbło trawy, które wplątało mi się we włosy.

Pociągnęła nosem.

- Co najważniejsze - dodałam - zawsze gdy będę mówił o Letty, powiem też o delfinach. I wielorybach.

- Myślisz, że to powstrzyma budowę?

- Może. Dzięki temu z jej śmierci wyniknie coś dobrego.

Siedziałyśmy w milczeniu, patrząc na wodę. Hanna nie chciała mi powiedzieć oczywistej prawdy - myliłam się, że śmierci Letty nie mogło wyniknąć nic dobrego. Odwróciła się do mnie.

- Czy ona ma grób w Anglii? Można gdzieś złożyć kwiaty?

Musiałam jej odpowiedzieć, że nie wiem. Nie miałam nawet pojęcia, czy została pochowana, czy skremowana.

- Nieważne, gdzie jest - stwierdziła. Może zauważyła mój niepokój. - Zawsze jest tutaj - położyła dłoń na sercu. Z jej oczu i zaciśniętych

szczęk wyczytałam resztę: „tak jak i ty”. Nie wiedziałam, czy to obietnica, czy oskarżenie.

Kathleen nie lubiła przyjęć. Choć prowadziła hotel i siłą rzeczy wciąż była między ludźmi, nie znałam drugiej tak mało towarzyskiej osoby. Woląca samotność w kuchni lub na łodzi niż rozmowy o niczym z gośćmi i przyjaciółmi. Między innymi dlatego tak dobrze się rozumialiśmy. Tym bardziej się zdziwiłam, gdy dwa dni po rozmowie z Hanną oznajmiła, że gdy Nino Gaines wyjdzie ze szpitala, ona zamierza wyprawić przyjęcie na wolnym powietrzu, by mógł poczuć zapach morza i zobaczyć się z przyjaciółmi.

- Lance, nie musisz wytrzeszczać gał. Najwyższy czas na odrobinę zabawy w tej smutnej norze - powiedziała na widok zdumionych min wielorybników. - Tak czy inaczej, jeżeli załatwimy to od razu, nie będą go zanudzać w domu przez kolejne tygodnie. Nic tak nie psuje nastroju jak banda dobroczyńców u progu.

Trzy dni później ciepłym popołudniem zwiastującym nadejście lata siedzieliśmy pod markizami. Samochód Kathleen zatrzymał się na podjeździe. Po kilku minutach Frank pomógł ojcu wysiąść.

- Witaj w domu! - krzyknęliśmy. Hanna pobiegnęła go uściskać. Był dla niej prawie dziadkiem.

Wyprostował się z trudem. Był wychudzony - kołnierzyk wisiał luźno wokół szyi - i tak słaby, że chodził o lasce. Przytrzymał się drzwi i spojrzał na nas z uśmiechem.

- Ci żałośni przedstawiciele rodzaju ludzkiego to najlepszy komitet powitalny, na jaki cię stać, Kate? Zabierzcie mnie z powrotem do szpitala. - Udał, że wraca do samochodu, a ja nie mogłam powstrzymać uśmiechu.

- Niewdzięczny stary cap - odpowiedziała, sięgając po torbę.

- Masz mnie rozpieszczać - stwierdził - bo w każdej chwili mogę wyciągnąć kopyta.

- Jak nie przestaniesz wykorzystywać sytuacji, osobiście tego dopilnuję. - Trzasnęła drzwiami.

- Panie Gaines, będzie pan siedział koło mnie. - Hanna chwyciła go za rękę. - W specjalnym fotelu.

- Pewnie bez siedziska, co? - mruknął i dziewczynka zachichotała.

- Nie, z poduszkami.

- W takim razie w porządku - odpowiedział. Mrugnął do mnie. Podeszłam go uściskać.

- Witaj w domu, Nino.

- No, no, Lizo, ktoś musi mieć oko na twoją ciotkę, prawda? Nie można pozwolić, żeby zardzewiała.

Trochę za bardzo nadrabiał miną, ale rozumiem dlaczego. Mężczyźni pokroju Nino Gainesa nie chcą, by traktowano ich jak inwalidów.

To było piękne popołudnie. Załogi wzięły wolne i wszyscy postanowiliśmy, że nie będziemy rozmawiać o nowej inwestycji i o tym podobnych sprawach. Mówiliśmy o pogodzie, wynikach meczów, okropnym szpitalnym jedzeniu i wielorybie, którego po południu ktoś widział niedaleko Wyspy Eleonory Piliśmy i obserwowaliśmy Hannę, Larę i Milly biegnące beztrąsko po plaży, Lance'a i Yoshiko tańczących przy muzyce z płyty Rybacy, sąsiedzi i dalecy krewni Nina wpadli na kilka piw. Mike siedział obok i co jakiś czas chwycił pod stołem moją dłoń. Jego uścisk, silny, a zarazem delikatny, sprawiał, że myślałam o rzeczach nieodpowiednich na rodzinne przyjęcie o piętnastej trzydzieści.

„Proszę, proszę, czy to naprawdę ja?” - zastanawiałam się, patrząc na mężczyznę, który tak nagle wtargnął w moje życie. Ze mną byli Hanna, Kathleen, Nino Gaines i załogi statków obserwacyjnych. Przez lata dali mi więcej przyjaźni i wsparcia niż niejeden krewny. Miałam rodzinę. Co by się nie działo, chociaż moja córka odeszła na zawsze i zostawiła po sobie pustkę, miałam rodzinę. Ta myśl napełniła mnie niespodziewanym szczęściem. Mike chyba to zauważył, bo podniósł brew jakby w niemym zapytaniu. Uśmiechnęłam się, a on podniósł moją dłoń do ust i pocałował na oczach wszystkich.

Nino Gaines też uniósł brwi.

- To jak długo spałem? - spytał Kathleen.

- Nie pytaj - machnęła dłonią - ja nie nadążam za tymi młodymi.

- Gdzie jest Greg? - spytała Hanna z drugiego końca stołu. - Powinien już tu być.

- Rano zachowywał się tajemniczo - odpowiedziała ciotka. - Widziałam go na targu. Powiedział, że ma misję.

- Od kiedy to się nazywa misja? - Nino naciągnął kapelusz na oczy i rozłożył się w fotelu. - Boże, dobrze być znów w domu, Kate!

Ku mojemu zaskoczeniu pochyliła się i pocałowała go w czoło.

- Dobrze, że wróciłeś, stary durniu.

Zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć, usłyszeliśmy samochód Grega. Podjechał pod hotel i zatrzymał się przed wejściem.

- Przepraszam, że przeszkadzam. - Miał na sobie uprasowaną koszulę i był świeżo ogolony, rzadkość jak na Grega. Wyglądał na wyjątkowo z siebie zadowolonego. - Pomyślałem, że powinniście się dowiedzieć. Za pół godziny wpadnijcie do mojej szopy przy przystani. To ważne.

-Jakbyś nie zauważył, jesteśmy w trakcie przyjęcia -Kathleen oparła ręce na biodrach - i miałeś tu być dwie godziny temu.

-Naprawdę bardzo przepraszam, ale to ważne.

-Greg, co jest grane? - spytałam. Próbował powstrzymać uśmiech jak uczeń, który zamierza zrobić komuś kawał.

-Muszę ci coś pokazać - zwrócił się do mnie, jak zwykle ignorując Mike'a. Odkąd zrozumiał, że jesteśmy parą, udawał, że Mike nie istnieje. Spojrzał na swoje stopy, potem znów na Kathleen. - Yoshiko, załatwione?

Kiwnęła głową.

-Dobra. Muszę wam coś pokazać. Dobrze znów pana widzieć, panie Gaines. Chętnie znów wyskoczę z panem na piwo. - Uchylił czapki i nawet jak na swoje standardy chwiejnym krokiem podążył do samochodu. Zawrócił na podjeździe i z piskiem opon odjechał na wybrzeże.

-Znów jedzie na bursztynowej benzynie? - Nino patrzył za Gregiem.

Yoshiko i Lance wymienili spojrzenia. Wiedzieli o czymś, ale nie ulegało wątpliwości, że nie zamierzają nas wtajemniczyć.

- Znasz Grega - Kathleen wzruszyła ramionami - zawsze nas czymś zaskoczy.

Hanna uśmiechnęła się szeroko, a mnie serce zamarło w piersi. Miałam nadzieję, że to nie nowa łódka.

Nie musieliśmy długo czekać. Nino został w hotelu z Hanną, ale reszta podążyła niespiesznie nad morze, korzystając z pięknego słońca. Ku naszemu zdziwieniu przed szopą Grega gęstniał spory tłumek. Zauważyłam reporterów i fotografów i zastanowiłam się, jakie to uczucie sta-

nać w błysku fleszy Widziałam to na filmach. Czy na schodach sądu też zbiorą się dziennikarze? Czy będę miała ochronę? Zadrżałam mimo ładnej pogody i starałam się myśleć o czymś innym.

- Yoshiko? - zagadnęłam ją, ale udała, że mnie nie słyszy.

Próbowałam coś z niej wyciągnąć już wcześniej, ale nic nie powiedziała, Lance również.

-Może powinnam wrócić do Nina? - martwiła się Kathleen.

-Przyda mu się pięć minut spokoju - odparł Milce. -Pewnie jest trochę zmęczony.

- Naprawdę tak myślisz?

-Jak coś się stanie, Hanna nas zawoła - uspokoiłam ją. - Świetnie się bawi. Szczęśliwy jak Łazarz.

-Dobrze wygląda, prawda? - spytała ciotka i nie wiadomo dlaczego dodała: - Stary głupiec.

Greg stanął przed szopą z papierosem. Patrzył na zgromadzony tłum, jakby się upewniał, czy wszyscy już przyszli. Rzucił pod nosem kilka żartów w kierunku rybaków. Nigdzie nie widziałam jego samochodu. Wreszcie rzucił niedopałek i przydeptał go obcasem. Potem otworzył kłódkę i ciężkie drewniane drzwi. Zajrzeliśmy do wnętrza. Greg ściągnął brezentową płachtę ze skrzyni samochodu, żeby pokazać nam swoją zdobycz - wielkiego żarłacza tygrysięgo o wciąż niezmaconym oku i otwartej paszczy pełnej ostrych zębów. Tłum westchnął. Rekin, chociaż martwy, wciąż robił wrażenie.

- Rano wypłynąłem na ryby - Greg zwrócił się do dziennikarzy, poklepując potwora po lśniącej skórze -do ujścia zatoki. Często można tam złapać coś dobrego. Najpierw myślałem, że to marlin błękitny, ale to był

rekin! Nieźle się z nim naszarpałem. Tony, wycofaj trochę! - krzyknął do kolegi.

Samochód wyjechał z szopy. Błysnęły flesze.

- Poprosiłem was, bo żarłacze tygrysie dotychczas się u nas nie pojawiały, a ja chcę ostrzec wszystkich, żeby nie puszczali dzieciaków na wodę. Tym potworom nie można ufać, są złośliwe i agresywne, a jak wiadać na przykładzie dryfujących sieci, prawie wszystko może podpłynąć niemal do linii brzegowej.

Poklepał rekina z dumą.

- Zawiozłem go na targ rybny, gdzie zidentyfikowano go i zmierzono. Podobno to niejedyny okaz widziany na naszych wodach.

Widok rekina zmroził mi krew w żyłach. Wciąż wyobrażałam sobie Mike'a i Hannę w ciemnej, mętnej wodzie, przypominałam sobie, jak mówił, że coś otarło mu się o nogi.

Możliwe, że też o tym pomyślał, bo chwycił moją dłoń i uścisnął ją mocno.

Yoshiko wystąpiła z tłumu i zaczęła rozmawiać z reporterami.

- Żarłacze tygrysie to istne morskie hieny. Być może ten został zwabiony do zatoki dryfującą siecią i martwymi stworzeniami, które się w nią zaplątały. To oznacza jednak, że prawdopodobnie nie był sam. Inne mogą przebywać w okolicznych wodach jeszcze przez dłuższy czas. Nie są wybredne, żywią się czym popadnie: rybami, żółwiami, ludźmi... - urwała, a gapie zaczęli zerkać nerwowo na boki. - Ale proszę nie sugerować się tylko moją opinią. Spytajcie w wydziale ochrony środowiska, dowiedziecie się, że nie są szczególnie pożądanym towarzystwem.

- Potrzebne nam sieci ochronne jak na innych plażach! - zawołał ktoś z tłumu.

- Chcecie zamontować sieci w zatoce, w której żyją delfiny? - spytał ostro Greg. - Po moim trupie.

- Skoro tak trzeba - zaśmiał się ktoś kolejny.

- Rekiny są inteligentne - wtrąciła Yoshiko. - Jeżeli zamontujemy sieci, przepłyną nad nimi albo pod nimi. Zasadniczo liczba śmiertelnych ataków jest stała niezależnie od sieci.

- Niepotrzebnie panikujecie - odparował jeden z hotelarzy. Wiedziałam, że nie będzie zachwycony taką reklamą tuż przed rozpoczęciem sezonu. - Wszyscy wiedzą, że statystycznie rzecz biorąc, prawdopodobieństwo śmierci z powodu ataku rekina jest mniejsze niż od uderzenia pioruna.

- Myślisz, że ten tutaj myślał o statystykach? - Greg oparł się nonszalancko o olbrzymie cielsko. - Może liczył, jaka jest szansa, że połknie czyjąś przynętę.

Tłum zarechotał.

- Proszę uważać na rekiny, zapewne podpłyną do wybrzeża za żółwiami - ciągnęła Yoshiko. - A są wytrwałe. Nie przypominają żarłaczy białych, wracają w miejsce poprzednich łowów.

Hotelarz potrząsnął głową. Greg zauważył ten gest i podniósł głos.

- W porządku, Alf. Idź popływać. Ja tylko ostrzegam, to mój obowiązek.

- Rekiny atakują ostatnio coraz częściej - dodała Yoshiko. - To powszechnie znany fakt. Jest kilka rozwiązań. Można wytyczyć strzeżone kąpieliska i ogrodzić je siecią. Tylko nie mogą być duże. Jestem pewna, że straż przybrzeżna się tym zajmie.

- Póki co - Greg nasunął czapkę na oczy - radzę trzymać się z dala od wody. Zawiadomimy straż przybrzeżną, jeżeli zauważymy ich więcej, rybacy zrobią tak samo.

Wśród zgromadzonych rozległ się pomruk niepokoju. Niektórzy odeszli z komórkami przy uchu, inni chcieli dotknąć rekina. Pomyślałam o Hannie i naszej rozmowie o żaglówce. Nie sądziłam, że ktokolwiek wypuści dzieci na wodę w zatoce pełnej rekinów. Ale złamanie obietnicy nie przyszłoby mi łatwo. Gdy zastanawiałam się nad tym, Kathleen wyszła z tłumu i spojrzała na martwe zwierzę na skrzyni.

- Rekin, co? - zmarszczyła brwi, zakładając ręce na piersi.

- Kto jak kto, ale ty chyba wiesz? - Greg podciągnął swoją zdobycz na linie, żeby fotografowie mieli lepszy widok.

- To gdzie go złapa...?

- Panowie, oto sławna Pani Rekinów, Kathleen Whittier Mostyn! - Greg przerwał jej w pół słowa. - Przed półwiekiem zловиła jeszcze większego rekina piaskowego, największego w Południowej Walii, prawda, Kathleen? Byłby z tego niezły materiał, co?

Zmierzyła go takim wzrokiem, że na miejscu Grega rzuciłabym się do ucieczki. Już wiedziała, że specjalnie ją tu ściągnął. On jednak nie zwracał na nią uwagi.

- Szanowni państwo, Srebrna Zatoka znów gości populację rekinów. Przedstawiciele organizacji ekologicznych będą zachwyceni, ale chciałbym raz jeszcze ostrzec przed zapuszczaniem się na wodę, pływaniem, surfowaniem i innymi sportami wodnymi, dopóki istnieje zagrożenie atakiem rekina.

Reporterzy otoczyli Kathleen. Wycelowali w nią notesy, mikrofony i obiektywy. Greg pozował obok rekina. Lokalne gazety zyskały drugi do-

bry materiał w ciągu dwóch tygodni, więc dziennikarze uwijali się zadowoleni.

- Zapomniałem dodać, że rekin jest oczywiście na sprzedaż - dodał Greg - świeżo odłowiony. Świetnie nada się na sushi.

- Myślałem, że rekiny i delfiny nie występują na tych samych wodach - powiedział Mike, gdy wracaliśmy do hotelu. Było piękne słoneczne popołudnie, morze połyskiwało w słońcu. Wypiłam kilka piw i zjadłam wyjątkowo dużo jak na siebie. W oddali widziałam Hanne i Larę tańczące dla Nino Gainesa. Upadły ze śmiechem na piasek. Od czasu do czasu w dni takie jak ten, potrafiłam na chwilę uwierzyć, że ten świat jest dobrym miejscem.

- Czasami myślę, że cała planeta zwariowała - odparłam, odgarniając włosy z twarzy. Spojrzałam na Mike'a, chciałam go pocałować. Bez przerwy chciałam go całować.

„Muszę zapamiętać ten widok” - pomyślałam. Przez chwilę pożałowałam, że nie jestem jak telefon, że nie mogę zapisać w pamięci wszystkich cennych chwil i odtworzyć ich w przyszłości.



- Nie jedź - powiedział Mike tej nocy. Stał w łazience z ręcznikiem na biodrach i szczotkował zęby. Weszłam tam tylko na chwilę, żeby napić się wody.

- Dokąd? - spytałam, napełniając szklanekę. W myślach planowałam

następny dzień. Miałam wiele drobnych spraw, o które musiałam zadbać zawczasu, jak szkolne mundurki dla Hanny na najbliższe lata, pełnomocnictwa, uwspólnienie konta Kathleen i mojego. Adwokat poradziła mi, żeby zadbać o to zawczasu, a lista zadań była tak długa, że kręciło mi się w głowie.

- Nie rób tego, to szaleństwo. Zastanowiłem się i uważam, że to szaleństwo. - Patrzył na moje odbicie w lustrze. Cały dzień wydawał mi się spięty, a sztywne linie karku były znakiem, że mam rację.

Przez kilka godzin niemal się nie odzywał, choć z drugiej strony wyjątkowo dziś zaczepny Greg i pijane załogi nie ułatwiały zaczęcia rozmowy. Myślałam, że to przez Grega, który wciąż go prowokował.

- Bez urazy - powtarzał ironicznie po każdej zaczepce, a Mike uśmiechał się zaciśniętymi ustami. Wciąż słyszeliśmy z dołu odgłosy zabawy, chociaż Nino, bohater wieczoru, dawno pojechał do domu.

- Mike, nie chcę teraz o tym rozmawiać - westchnęłam. Chciałam cieszyć się tym dniem, zapamiętać każdy szczegół i iść spokojnie spać.

- Nic nie powstrzyma budowy - powiedział i wypluł pastę - znam Beakera. Widzi w tym duże pieniądze, a gdy Dennis Beaker zwącha zysk, nic go nie powstrzyma. Sprawy zaszły za daleko, a ty zmarnujesz życie swoje i Hanny bez powodu.

- Jak to bez powodu? Czy mój i jej spokój ducha to nie jest wystarczający powód?

- Przecież jesteście bezpieczne, obydwie. - Miał pastę na brodzie, ale coś mi mówiło, że nie podziękowałby, gdybym mu zwróciła na to uwagę. - Może nie możecie robić wszystkiego, na co miałybyście ochotę, ale

kto może? Hanna jest szczęśliwa, otaczają ją ludzie, których kocha. Ty jesteś szczęśliwa, a na pewno szczęśliwszej cię nie widziałem. Ten facet, Steven, nadal żyje, ma żonę i dwójkę dzieci, więc może nawet on jest szczęśliwy. Nikt cię nie rozpozna, zwłaszcza po tylu latach. Możemy być razem, zostać tutaj i... zobaczymy, jak sprawy się ułożą. Po co ryzykować utratę tego wszystkiego, skoro możemy przegrać?

- Mike, rozmawialiśmy już o tym nieraz. To jedyna szansa, żeby uratować wieloryby. Zresztą nie chcę teraz do tego wracać. Możemy po prostu iść do łóżka?

- Dlaczego zawsze powtarzasz to samo? Dlaczego nie teraz?

- Jestem zmęczona.

- Wszyscy jesteśmy zmęczeni.

- No to sam rozumiesz, że nie mam siły na taką rozmowę. - Zirytował mnie, bo miał rację. Nie chciałam o tym mówić, bo wtedy zaczynałam myśleć i bałam się, że wobec odpowiednio trafnych argumentów mogę zmienić zdanie.

Na dole Greg zaczął śpiewać. Słyszałam śmiechy pozostałych i pogwizdywanie Lance'a.

- Ta decyzja dotknie nie tylko ciebie.

- Myślisz, że o tym nie wiem? - warknęłam.

- Hanna nie odstępowała cię prawie na krok. Dziś wieczorem dosłownie przylepiła się do ciebie.

Spojrzałam na niego ostro.

- Nie musisz mnie informować o reakcjach mojej córki. - Byłam wściekła, że to powiedział, że zauważył lęk Hanny.

- Ktoś powinien z tobą porozmawiać. Nawet nie powiedziałaś Kathleen.

- Powiem jej, gdy będę gotowa.

- Nie chcesz z nią rozmawiać, bo wiesz, że powie to, co ja. Czy zdajesz sobie sprawę, co to jest więzienie?

- Nie traktuj mnie z góry

- Przebywanie w zamknięciu dwadzieścia cztery godziny na dobę? Z piętnem dzieciobójczyni, wśród innych skazanych? Myślisz, że przetrwasz?

- Nie będę o tym teraz rozmawiać. - Zebrałam ubrania.

- Jeżeli nie potrafisz znieść tej rozmowy, jak poradzisz sobie w sądzie? Na policji? Z ludźmi, którzy chcą cię skrzywdzić? Myślisz, że obchodzi ich, co się naprawdę wydarzyło?

- Dlaczego mi to robisz?

- Bo nie sądzę, że to naprawdę przemyślałaś. Myślę, że nie wiesz, dlaczego się poddajesz.

- Potrafię zadbać o siebie.

- Skąd wiesz? Nigdy nie musiałaś. Spojrzałam mu w oczy

- Chodzi o Grega, prawda?

- Nie, nie chodzi o Grega. Chcę porozmawiać o...

- Chodzi o Grega. Prowokował cię przez cały wieczór i przypominał, że nie jesteś jedynym mężczyzną, z którym byłam. A teraz wyżywasz się na mnie. Jeżeli chcesz walczyć, to po prostu...

Usiadł naprzeciwko i zamknął oczy, jakby chciał mnie lepiej wysłuchać.

- To po prostu uciekniesz? - wszedł mi w zdanie. - Wiesz co? Mam wrażenie, że tu już nie chodzi o wieloryby

- Co takiego?!

- Chcesz za wszelką cenę ukarać się za śmierć Letty. Ten projekt zmusił cię do konfrontacji z przeszłością i teraz chcesz po prostu pokuty - Śpiewy na dole umilkły. Nie zamknęliśmy okna, ale było mi wszystko jedno. - To bez sensu. Już zapłaciłaś za to, co się stało, Lizo. Zapłaciłaś tysiącrotnie.

- Chcę mieć czyste konto. Musimy też...

- Ratować wieloryby. Wiem.

- Więc dlaczego wciąż do tego wracasz?

- Bo jesteś w błędzie. I robisz to z niewłaściwych powodów.

- Kim, do cholery, jesteś, żeby oceniać moje powody?!

- Nie oceniam. Musisz jednak o tym pomyśleć, Lizo. Musisz wiedzieć, że...

- ...że ty musisz przestać się wtrącać!

- ...że jak się na to zdecydujesz, pociągniesz za sobą Hannę.

Aż mnie zatkało. Nie mogłam uwierzyć, że to powiedział. Gdyby jego słowa tak mnie nie zraniły, pewnie bym nie odpowiedziała.

- A kto, do cholery, postawił nas w tej sytuacji, Mike?! Zapytaj się o to następnym razem, kiedy będziesz mnie oceniał. Jak mówiłeś, byliśmy spokojne i szczęśliwe.

No cóż, jeżeli Hanna i ja spędzimy następnych pięć lat w rozłące, zastanów się dobrze, kto tu zawinił.

Tak w pokoju, jak i za oknem zapadło milczenie. W jednej chwili. Słyszeliśmy morze, po chwili cicho skrzypnęło krzesło i ktoś na dole zaczął cicho zbierać naczynia.

Spojrzałam na poszarzałą twarz Mike'a i pożałowałam, że nie mogę cofnąć tych słów.

- Mike... Podniósł dłoń.

- Masz rację - powiedział. - Przepraszam.

Wtedy w bolesnym przebłysku świadomości zrozumiałam całą prawdę - nie chciał mnie zranić, po prostu nie mógł znieść myśli, że mnie utraci.



RS

Rozdział 23

Monika

Mój brat w ciągu ostatnich miesięcy poważnie mnie zaskoczył. Gdyby jeszcze przed rokiem ktoś spytał, jak potoczą się jego losy, odpowiedziałabym, że w lutym poślubi Vanesse, ona zajdzie w ciążę, a on będzie się piął po śliskich szczeblach kariery w swojej korporacji. Eleganckie mieszkanie, dom letni w jakimś ciepłym kraju, nowy samochód, narty, drogie restauracje, bla, bla, bla... Najbardziej radykalną decyzją w jego życiu była dotąd zmiana płynu do golenia, ewentualnie odcienia krawata.

Teraz nie miałam pojęcia, co zrobi i gdzie będzie -w Australii, w Nowej Zelandii, może będzie budował jachty na Galapagos. Może zapanuje drety. Może będzie chronił uciekinierkę i jej dziecko, a w wolnych chwilach ratował wieloryby. Gdy oględnie powiedziałam rodzicom o jego nowym związku - musi mi wybaczyć, nie mogłam się powstrzymać - tata o mało nie zakrztusił się sztuczną szczęką.

-Jak to, rzucił pracę?! - gorączkował się, a mama krzyczała, żeby pamiętał o swoim wysokim ciśnieniu. -Jak długo chce zostać w Australii? Samotna matka? Co się, do cholery, stało z Vanessą?!

Myślałam, że może Milce przeżywa kryzys wieku średniego, a Liza jest jego pierwszą prawdziwą miłością, dlatego trochę wariuje.

A potem zadzwonił i opowiedział mi tę historię. Nie będę kłamać - w

pierwszej chwili wcale nie pomyślałam, jak ją chronić, to był zbyt dobry materiał: bita partnerka ambitnego polityka, która uciekła z kraju po nieumyślnym zabójstwie własnego dziecka. W tej historii było wszystko: wątek kryminalny, sekrety i kłamstwa, tragedia, zmarłe dziecko, piękna blondynka. Cholera, nawet delfiny i wieloryby! Powiedziałam mu, że brakuje tylko psa i będzie komplet. Nie roześmiał się. Powiedział, że jest i pies, nazywa się Milly.

Tylko coś tu nie grało. Sprawdziłam materiały prasowe na temat byłego partnera, nawet po zmianie nazwiska. Przeszukałam wszystkie dostępne bazy danych. Spędziłam prawie tydzień na weryfikacji faktów, irytując kolegów po fachu, bo nie mogłam im zdradzić szczegółów. Wciąż coś się nie zgadzało.



Rozdział 24



Mike

Milly źle się poczuła. Mało jadła i źle spała, była czujna, niespokojna i drażliwa. Dwa razy skompromitowała się na *Izmaelu*, warcząc na pasażerów, a raz pobrudziła dywan w salonie. Chodziła za Lizą krok w krok jak mały czarno-biały cień. Z nieomylną psią intuicją wyczuwała, że jej pani chce wyjechać i bała się, że jeżeli nie będzie jej pilnować, to zniknie.

Wiedziałem, co czuła. Niepokój. Bezradność. Od czasu przyjęcia nie wracaliśmy do tematu planów Lizy. Pracowałem ciężiej, po części dlatego, że tylko w ten sposób mogłem powstrzymać ją od wyjazdu, po części dlatego, że coraz trudniej mi było spędzać z nią czas. Nie mogłem na nią patrzeć, dotykać jej i całować, nie myśląc, że ją stracę. Ujmując rzecz w kategoriach czysto finansowych - nie chciałem inwestować w coś, co było skazane na stratę.

Kathleen wiedziała już o zamiarach Lizy, ale podeszła do sprawy praktycznie, jak to miała w zwyczaju. Nie poruszaliśmy tego tematu - nie czułem się do tego upoważniony - widziałem jednak, że więcej uwagi poświęca Hannie, planuje dla niej rozrywki i wycieczki, na swój sposób próbuje się przygotować na to, co nieuniknione. Pan Gaines bywał u niej prawie codziennie, gdy Hanna wychodziła do szkoły, siadali razem

przy kuchennym stole, prowadzili długie rozmowy szeptem albo spokojnie czytali gazety i słuchali radia. Cieszyło mnie ich porozumienie, byłem rad, że Kathleen nie będzie z tym sama, trochę zazdrościłem im tego szczęścia. Liza zasługiwała na to samo, a jednak miała znowu ponieść karę.

Wybaczyła mi mój wybuch. Traktowała mnie czule, od czasu do czasu głąaskała po twarzy, patrząc ze współczuciem. Nocami była coraz bardziej namiętna, jakby i ona chciała nasycić się każdą wspólną chwilą. Czasem musiałem jej odmówić - byłem zbyt smutny i wściekły na los, nie potrafiłem zmusić się do miłości.

Nigdy nie słyszałem od niej słowa skargi. Obejmowała mnie chudymi ramionami, wtulała twarz w moje plecy i leżeliśmy tak w ciemności bezsenni i świadomi, że drugie też nie śpi.

Kilka razy spytała, kiedy spodziewam się wiadomości od siostry na temat wywiadu. Starła się rzucić to lekkim tonem, ja jednak domyślałem się, że chciała tylko wiedzieć, ile jeszcze ma czasu. Na początku bagatelizowałem sprawę, potem próbowałem skontaktować się z Moniką, ale za każdym razem odpowiadała mi tylko automatyczna sekretarka. Nie ukrywam, że odczuwałem ulgę z tego powodu.

Szybkie tempo prac na budowie pogorszyło tylko mój fatalny nastrój. Kończyły mi się pomysły, nie miałem już sił i mimo starań nie zdołałem zorganizować demonstracji w dniu prezentacji projektu. Właściciel hotelu „Błękitna Ławica” zadzwonił i powiedział, że szczerze solidaryzuje się z naszą walką, ale „nie chce żadnych awantur”, bo akurat odbywa się u niego przyjęcie z okazji chrzcin. Sprawiał wrażenie sympatycznego gościa, a ja nie chciałem zakłócać rodzinnego święta, więc odwołałem pro

test. Kathleen zaśmiała się sucho, gdy jej o tym powiedziałem, i dodała, że byłby ze mnie nie lada rewolucjonista. Nie wspomniałem, że i tak tylko garstka ludzi wyraziła gotowość przyjścia.

Liza wypłynęła na *Izmaelu*, Hanna była w szkole. Próbowałem gdzieś zadzwonić, a gdy to się nie udało, poszedłem do „Błękitnej Ławicy”. Mimo woli cieszyły mnie piękna pogoda, błękitne niebo, ciepła morską bryza. Srebrna Zatoka znów wydawała mi się najpiękniejszym miejscem na ziemi. Krajobraz był bliski i znany, wulkaniczne wzgórza na horyzoncie kojące, skromna zabudowa przyjazna, zaś wizyty w małych sklepach stałym punktem każdego spaceru. „W tym niewielkim zakątku jest wszystko, czego człowiekowi potrzeba do życia” - pomyślałem. Jednym z niewielu pewników, które napełniały mnie otuchą, była decyzja o pozostaniu. Chciałem pomóc Kathleen utrzymać hotel i opiekować się Hanną do powrotu Lizy.

Czułem, że to mój obowiązek.

Kiedy wszedłem do „Błękitnej Ławicy”, w holu nikogo nie było. Recepcjonistka chyba mnie poznała, bo wskazała kciukiem westybul, gdzie stały tablice informujące o korzyściach dla lokalnej społeczności i makietę wielkiego przedsięwzięcia Dennisa w pleksiglasowej gablocie.

Cztery budynki otaczały eleganckie baseny i korty tenisowe z zadaniem przypominającym linię wzgórz na horyzoncie. Hotel miał być biały i lśniący, nieskazitelny i drogi. Z łatwością można było sobie wyobrazić ludzi nad basenem oraz spacerowiczów wracających z plaży do własnych pokoi. W części przeznaczony do sportów wodnych, sięgającej w głąb zatoki, rozmieszczono małe plastikowe modele łódek, a nawet

dwa skutery, włącznie ze spienionymi kilwaterami. Przy Przystani Wielorybów cumowały luksusowe białe jachty i katamarany. Piasek był biały, budynki lśniące i pełne światła. Wzgórza okalające hotel pokrywały ciemnozielone krzewy kosodrzewiny, morze miało odcień turkusowy. Musiałem przyznać, że to miejsce wyglądało jak raj. Tylko nigdzie nie zauważyłem hotelu Kathleen ani Muzeum Wielorybnictwa. W ich miejscu był tylko biały piasek.

- Wygląda niczego sobie, prawda? - Reilly patrzył na gablotę z pleksi. Miał na sobie koszulę z krótkim rękawem i przewieszoną przez ramię marynarkę, jakby nie oczekiwał, że dzień będzie tak ciepły. - Chyba jesteś dumny.

Wyprostowałem się.

- Zastanawiam się, skąd bierzecie te wszystkie miniaturowe modele - dodał.

- Zajmują się tym specjalistyczne firmy - odparłem krótko. - Robią je na zamówienie.

- Mój syn uwielbia modele pociągów - ciągnął, kucając przy makiecie.

- Powinienem mu zamówić kilka takich modeli. Byłby zachwycony.

Nie odpowiedziałem. Wciąż patrzyłem na miejsce, gdzie powinien stać hotel Kathleen.

- Dopiero w trzech wymiarach można to sobie wyobrazić - zauważył.

- Myślałem, że plany wystarczą, ale to co innego.

- To był błąd - zepsułem mu dobry nastrój. - Katastrofa dla okolicy Reilly spowaźniał i wstał.

- Słyszałem, że zostałeś lokalnym patriotą, Mike. Zaskoczyłeś mnie,

zważywszy, jak walczyłeś o to miejsce.

- Zrozumiałem, co stracie - odpowiedziałem - i nie chciałem brać w tym udziału.

- Nie sądzę, że coś stracimy.

- Tylko delfiny i wieloryby.

- Trochę przesadzasz, kolego. Posłuchaj, straż przybrzeżna dobrała się do skóry tym hałaśliwym motorówkom. Od ponad dziesięciu dni żadna się tu nie pojawiła. Ich właściciele zrozumieli, że to nie żarty.

- Do czasu kiedy ruszy budowa.

- Mike, nie ma żadnych dowodów, że budowa na łądzie zestresuje zwierzęta.

- Za to sporty wodne na pewno.

- Beaker obiecał surowy regulamin.

- Myślisz, że osiemnastolatka na skuterze obchodzą zakazy? Wszystko się skumuluje. Jeszcze bardziej zestresuje wieloryby.

- Nie mogę się z tym zgodzić - odpowiedział. - W tym tygodniu zauważono przynajmniej dwa hum-baki, norma o tej porze roku. Obserwatorzy znów wypływają. Delfiny są na miejscu. Przykro mi, ale naprawdę nie rozumiem, skąd twój opór.

Staliśmy naprzeciwko siebie po dwóch stronach makiety. Chciałem go uderzyć, co było do mnie zupełnie niepodobne. Szkoda, bo w innych okolicznościach pewnie bym go polubił. Odetchnąłem głęboko i kiwnąłem ręką w stronę modelu.

- Proszę, bądź tak uprzejmy i powiedz, co widzisz, gdy patrzysz na ten model.

Włożył ręce do kieszeni.

- Oprócz tego, że sam chętnie bym się tam zatrzymał? Widzę zatrudnienie. Widzę ożywienie w jak dotąd sennej okolicy. Widzę nowy autobus i bibliotekę szkolną, i handel. Widzę możliwości. - Uśmiechnął się kwaśno. - I wiesz, Mike, dostrzegłem to dzięki tobie.

- To ja ci powiem, co sam widzę - odpowiedziałem. - Facetów, którzy wypili o jedno piwo za dużo i rozbijają się motorówkami po zatoce. Ranne delfiny, które nie zdążyły zejść z kursu. Motorówki-dyskoteki korzystające z okazji do zarobku i zbyt wielu obserwatorów ssaków morskich. Oszołomione wieloryby wypływające na tę bielutką plażę. Potem migracja zmienia szlak, populacja wielorybów maleje, a ludzie, dla których rejsy obserwacyjne były dotąd źródłem utrzymania, tracą pracę. I widzę cholernie wielką dziurę w miejscu, gdzie przez ponad siedemdziesiąt lat stał rodzinny hotel.

- Nie ma powodów, żeby „Srebrna Zatoka” nie mógł istnieć obok nowego kompleksu.

Wskazałem na makietę.

- A gdzieś go tu widzisz?

- Nie możesz oczekiwać, że uwzględnię całą lokalną zabudowę.

- Lubisz hazard? Założysz się ze mną o pięćset dolarów, że rok po zakończeniu budowy hotel nadal będzie stał na swoim miejscu?

Przez chwilę milczeliśmy obaj. Starsza para stanęła w progu, obserwując nas z niepokojem. Zdałem sobie sprawę, że podniosłem głos. Reilly kiwnął uspokajająco głową w ich stronę i odwrócił się do mnie.

- Muszę ci powiedzieć, że mnie zaskoczyłeś. To się nazywa zmienić front. - Jego głos wciąż brzmiał przyjaźnie. - Wytłumacz mi coś, Mike.

Teraz jesteś przeciwko budowie, ale kiedyś musiałeś widzieć w niej korzyści. Musiał być jakiś powód, dla którego tak bardzo chciałeś mnie przekonać. Możesz mi go wyjawić? Gdy przyjechałeś kilka miesięcy temu, gdy chciałeś tego projektu, co tak naprawdę widziałeś, patrząc na plany?

- Pieniądze. - Wzruszyłem ramionami. - Tylko pieniądze. Naprawdę tego nie zauważyłeś?



Gdy wróciłem, Hanna siedziała w moim pokoju przy komputerze. Okno było otwarte, jasne światło padało na pobielone deski podłogi, wyblakłe wzory na perskim dywanie i piasek, który wniosłem ze sobą po porannym bieganiu. Na zewnątrz ktoś słuchał muzyki w samochodzie, a w oddali na plaży słychać było silnik łodzi. W pokoju panował lekki przeciąg. Rzadko zamykałem teraz drzwi, bo nie mieliśmy żadnych gości, a Kathleen traktowała mnie jak domownika. Nawet nie pozwalała, żebym jej płacił.

- Mike! - ucieszyła się Hanna. Obróciła się na krześle i pokazała mi mejl od jakiejś kobiety z Hawajów, która powstrzymała podobny projekt. - Wyśle nam listę organizacji, które jej pomogły - dodała. - Może pomogą i nam.

- To wspaniale! - starałem się podzielać jej entuzjazm. - Dobra robota.

- Piszemy z Larą, do kogo popadnie. To znaczy do wszystkich. Dzwono

nił ktoś z „Głosu Południowej Zatoki”, bo chce nam zrobić zdjęcia z powodu petycji.

- Co na to twoja matka? - spytałem.

- Powiedziała, że mam spytać ciebie. - Rozpromieniła się. - Zrobiłam listę wszystkiego, co dzisiaj załatwiłyśmy. Jest w niebieskim folderze. Teraz idę na hokeja, ale jak wrócę, będę działać dalej. Wybierasz się ze mną i z mamą?

- Hmm? - Wciąż myślałem o Reillym. Powiedział, że konsultacje zakończą się za trzy dni, ale tak między nami to sprawa jest klepnięta.

- Mama powiedziała, że możemy popłynąć na *Izmaelu* tylko we trójkę, pamiętasz?

- Och - spróbowałem się uśmiechnąć - pewnie! Założyła szkolny sweter i rzuciła mi gazetę. - Widziałeś zdjęcie cioci K. z rekinem? Jest wściekła.

Mówi, że wypruje Gregowi flaki i zrobi z nich podwiązki.

Nagłówek głosił: „Pani Rekinów ostrzega przed powrotem żarłaczy”. Pod spodem widniało zdjęcie Kathleen, którą fotograf uchwycił w momencie, gdy zbliżała się do Grega z miną równie groźną jak rekin. Obok w mniejszym formacie umieszczono jej słynną fotografię sprzed lat.

- Zeskanowałam je. Muszę oddać panu Gainesowi gazetę, ale nie mogę powiedzieć cioci, że ją kupił, bo wbije w niego harpun. Zostawiam ci na pulpicie, jakbyś chciał przeczytać, razem z artykułami w „Wartowniku” i „Nowinach Zatoki”, ale ich zdjęcia nie są tak dobre jak to.

Biedna Kathleen! Miała rację, rekin będzie ją prześladował do samej śmierci...

Hanna zebrała rzeczy, pomachała mi radośnie i zbiegła ze schodów. Chyba wyparła ze swoich myśli wyjazd matki. Może niektóre rzeczy są zbyt trudne do ogarnięcia, gdy ma się jedenaście lat. A może tak jak ja liczyła na boską interwencję?

Słyszałem jej ożywiony głos, gdy szły z koleżanką w stronę miasta. Po raz kolejny przeprosiłem ją w myślach.

Wtedy właśnie zadzwonił telefon. „Monika?” - pomyślałem, spoglądając na zegarek. W Anglii była druga nad ranem.

- Jak idzie? - spytała Vanessa.

Moją pierwszą reakcją było zdziwienie, drugą irytacja. Vanessa musiała wiedzieć, że mój sprzeciw wobec projektu nie na wiele się zdał.

- Zależy, o co pytasz - burknąłem.

- Jak tam życie? Ogólnie. Nie o budowę.

- Wszystko w porządku.

- Słyszałam, że nadal siedzisz w Australii - powiedziała. - Rozmawiałam niedawno z twoją matką.

- Wciąż walczę z wiatrakami jak Don Kichot.

Usłyszałem jakiś hałas po jej stronie i nagle przypomniałem sobie nasz apartament, nowoczesny płaski telewizor w kącie, wielkie sofy pokryte zamszem, drogie meble. Wcale mi ich nie brakowało.

- Tata ma folder z wycinkami - poinformowała mnie. - Wszystkie artykuły związane z twoją opozycją. Codziennie coś dorzuca.

- Dlaczego mi o tym mówisz?

- Sama nie wiem. Może, żebyś wiedział, że to, co robisz, nie idzie tak całkiem na marne.

- Ale to go nie powstrzyma. Chwilę milczała.

- Nie.

Na drzewie pod oknem wylądowało stado papug. Patrzyłem na nie jak zawsze zdumiony, że istnieją na świecie miejsca, gdzie te ptaki wcale nie mieszkają w klatkach.

- Tina odeszła z pracy.

Chciałem zapytać: „No i co z tego?”. Zamknąłem oczy. Byłem taki zmęczony. W ciągu dnia walczyłem z nieuniknionym, wciąż rozważając różne możliwości i pułapki, nocą leżałem bezsennie, patrząc na Lizę - nie chciałem stracić nic z ostatnich chwil spędzonych razem.

- Tęsknię za tobą - wyznała Vanessa. Nie odpowiedziałem.

- Nigdy cię takim nie znałam, Mike. Zmieniłeś się. Jesteś silniejszy, niż myślałam.

-No i?

- No i... zastanawiałam się. - Wzięła głęboki oddech. - Mogę go powstrzymać. Wiem, że mnie wysłucha.

Nie mogłem uwierzyć, że to powiedziała.

- Co takiego?

- Jeżeli tyle to dla ciebie znaczy, powstrzymam go. Ale proszę cię, spróbujmy jeszcze raz.

Odebrało mi oddech.

- Ty i ja?

- Dobry był z nas zespół, prawda? - spytała niepewnie, wręcz błagalnie. - Może być nam jeszcze lepiej, teraz to rozumiem. Dzięki tobie.

- Ach tak - powiedziałem cicho.

- Zraniłeś mnie, Mike, nie będę udawać, że nie, ale ojciec mówi, że z Tiny była niezła zdzira, a ty nie jesteś osobą, która by mnie oszukała rozmyślnie, więc... Chyba nie chcę stracić tego, co było między nami. Byliśmy dobrym zespołem.

Wbiłem wzrok w podłogę. Gdy przemówiłem, zaschło mi w ustach z wrażenia.

- Mówisz, że jeśli do ciebie wrócę, powstrzymasz budowę?

- Dość bezwzględnie to ująłeś, Mike. Tęsknię za tobą. Nie wiedziałam, że to dla ciebie takie ważne, więc chcę wszystko naprawić. I moglibyśmy ubić naprawdę dobry interes na którejś z alternatyw.

- Jeżeli będziemy razem.

- No cóż, raczej nie zadam sobie tyle trudu dla kogoś, na kim mi nie zależy. - W jej głosie zabrzmiało zniecierpliwienie. - Czy to taka straszna perspektywa spróbować jeszcze raz? Kiedy ostatnio rozmawialiśmy, myślałam...

Potrząsnąłem głową, starałem się skoncentrować.

- Mike?

- Vanesso, naprawdę... zaskoczyłaś mnie. Posłuchaj, teraz muszę kończyć, ale oddzwonię do ciebie. Dobrze? Zadzwoń później. Rano. Według twojego czasu - powiedziałem, gdy zaczęła protestować.

Odłożyłem słuchawkę i usiadłem. Szumiało mi w uszach. Nie miałem do kogo się zwrócić. Vanessa Beaker naprawdę była jedyną osobą na świecie, która mogła powstrzymać budowę.



W końcu wymówiłem się od wycieczki. Powiedziałem, że boli mnie głowa i że muszę jeszcze podzwonić. Fakt, że wymyśliłem dwa powody, chociaż jeden zupełnie by wystarczył, nie uszedł uwagi Lizy. Od razu odgadła, że przyczyna leży gdzie indziej. Hanna była rozczarowana i prosiła, żebym się jeszcze namyślił, jej matka tylko spojrzała na mnie bez słowa. Zastanawiałem się później, czy pomyślała, że specjalnie się od niej oddalam, że próbuję się chronić.

- Zobaczymy się, jak wrócicie - powiedziałem bez troski.

- Jak chcesz - odparła Liza. - Będziemy za parę godzin.

Pies czekał już na nie na pomoście.

Nie chciałem zostawać sam, ale musiałem pomyśleć. Liza i ja byliśmy tak wyczuleni na wzajemnie nastroje, że przejrzwałyby mnie na wylot. Pomachałem im na pożegnanie, dopóki nie zniknęły mi z oczu. Potem usiadłem na piasku i ukryłem twarz w dłoniach, niepomyślnie, że ktoś może mnie zauważyć.

Tak zaczęło się najdłuższe popołudnie w moim życiu. Nie byłem w stanie wrócić do hotelu, więc wstałem i przez kilka godzin błąkałem się po wydmach, nie wiedząc, dokąd idę. Musiałem być w ruchu, żeby nie przygniótł mnie ciężar myśli.

Szedłem z rękami w kieszeniach i spuszczoną głową. Kłaniałem się tym, którzy mnie pozdrawiali, i udawałem, że nie widzę pozostałych. Mimo nierówności terenu mój krok był równy jak u konia pociągowego. Łaziłem po piasku, tak jak wyszedłem - bez kapelusza, bez portfela, bez celu. Słońce świeciło mocniej, niż myślałem, i spiekłem się na twarzy. Zanim doszedłem do lasu przy drodze do Newcastle, skóra na nosie za-

częła swędzieć. Nie czułem zimna ani zmęczenia mimo bezsennej nocy. Szedłem i myślałem, a każde rozwiązanie wydawało się gorsze od poprzedniego.

Ja, Michael Dormer, gość znany z trafnych decyzji, umiejętności adekwatnej oceny plusów i minusów każdej sytuacji, teraz chciałem upaść na kolana jak mały chłopiec i płakać. A jedyną osobą, którą mógłbym poprosić o radę, była ta sama, którą musiałem chronić przed tym, czego się dowiedziałem.



Gdy wróciły, czekałem na Przystani Wielorybów. Chyba sprawiałem wrażenie, jakbym się wcale stąd nie ruszał. Pozwoliłem sobie wypić kilka piw i nagle zdałem sobie sprawę, że mam brudne nogawki i butelkę w dłoni. Chętnie założyłbym bejsbolówkę, ale bałem się, że zostanę Gregiem.

Patrzyłem na *Izmaela* nadpływającego od strony przylądka. Najpierw był tylko małym punktem na horyzoncie, ale rósł w oczach. Kosze obserwacyjne miał rozpięte, Hanna zapewne siadała to w jednym, to w drugim, żeby cały czas być jak najbliżej delfinów. Gdy podpłynęły bliżej, zobaczyłem ją w kapoku narzuconym na kostium kąpielowy i szorty, stąpającą pewnie po pokładzie. Milly stała przy sterze obok Lizy, jakby wyczekiwała powrotu na ląd z taką samą niecierpliwością, z jaką wypływała codziennie na morze. Wyglądały pięknie i radośnie i w każdych innych okolicznościach na ten widok serce skakałoby mi z radości.

Hanna stanęła z cumą na dziobie. Pomachała na mój widok tak gwałtownie, że na chwilę straciła równowagę. Jej nogi były jeszcze po dziewczęcemu szczupłe, ale powoli zaczynały przybierać kształty jak u matki.

- Widziałyśmy Brolly! - krzyknęła. Gdy podpłynęły bliżej, zawołała, przekrzykując hałas silników i uderzenia fal o kadłub: - Wszystko w porządku! Nie ma żadnych szram, nic. To jednak nie ją uwolniłeś, Mike. I wiesz co? Była z dzieckiem!

Córka i matka uśmiechały się. Wstałem, nagle żałując, że z nimi nie popłynąłem, że nie mogłem przeżyć wspólnie z nimi tych chwil prostego szczęścia.

Oczywiście miały też inne przygody Widziały humbaka, chociaż z daleka, i kilka naprawdę dużych żółwi morskich, i wyłowiły kawałek fiszbinu, ale Milly zżarła część, gdy nie patrzyły, i zagryzła ciastkami.

- Szkoda mi tamtego delfina - trajkotała radośnie Hanna, wyskakując na brzeg, podczas gdy łódź przybijała do nabrzeża. - Ale pewnie go uratowałeś, prawda, Mike? Jakoś się wydostał. I jestem taka szczęśliwa, że z Brolly wszystko w porządku. Jestem pewna, że mnie poznała. Mama pozwoliła mi usiąść w koszu i Brolly płynęła obok bardzo długo.

Liza wyskoczyła lekko na przystań i zaczęła wiązać cumę. Miała na głowie czapkę, więc nie od razu zobaczyłem jej twarz.

- Gdy ją zobaczyłam, nie mogłam uwierzyć - paplała Hanna, ganiając się z Milly. W końcu złapała suczkę i przytuliła. - Nie mogłam uwierzyć.

- Widzisz? Czasami zdarzają się dobre rzeczy - powiedziała Liza z twarzą zaróżowioną z wysiłku, zaciskając węzły - jeżeli się w nie wierzy.

Nie odpowiedziałem. Przypuszczam, że promienny uśmiech Hanny pomógł mi podjąć decyzję i nie byłem już pewien, czy miała rację.

Tej nocy spałem samotnie - a raczej siedziałem w zniszczonym skórzanym fotelu, a moje myśli biegały własnymi drogami, aż splątały się jak węzły Lizy. Nie musiałem jej się tłumaczyć - pod wieczór Hanna nagle posmutniała, jakby przyszło jej zapłacić za szczęśliwe popołudnie, i poszła na noc do pokoju matki. Gdy wyjrzałem przez okno, wypatrując świateł kutrów rybackich, usłyszałem jej płacz i pocieszające szepty Lizy. Nad ranem wstałem zrobić sobie herbaty i zastałem w kuchni Kathleen w szlafroku. Spojrzała na mnie i potrząsnęła głową.

- Bardzo jej ciężko - powiedziała. Nie byłem pewien, kogo ma na myśli.

Niektórzy twierdzą, że matka jest genetycznie zaprogramowana, by chcieć uspokoić swoje płaczące dziecko. Tej nocy zrobiłbym wszystko, żeby pocieszyć Hannę, i chociaż nigdy nie uważałem się za szczególnie uczuciowego, tej nocy czułem się podle. Łzy tej dziewczynki nie wzruszyłyby chyba tylko człowieka bez serca.

Gdy w końcu zasnąłem, już prawie świtało. Od kilku godzin łkania Hanny umilkły, najwyraźniej zasnęła. Czułem jednak, jak kruchy jest jej sen, tak jak czułem obecność Lizy w pokoju po drugiej stronie korytarza i wiedziałem, że ona także nie śpi.



Następnego dnia, gdy wróciła do domu, czekałem na nią na parkingu na tyłach hotelu, gdzie była najmniejsza szansa, że ktoś nas zobaczy.

- Hej, przystojniaku! - zawołała. Jej uśmiech był pełen ulgi. - Dobrze cię widzieć. - Wsiadła z samochodu i zamknęła drzwi.

- Przejdź się ze mną kawalek - poprosiłem. Spojrzała na mnie podejrzliwie.

- Co się dzieje?

Żadne z nas nie wykonało najdrobniejszego gestu w kierunku drugiego. Zwykle już trzymałbym ją w ramionach, nie mógłbym się oprzeć, przyciągnąłbym ją do siebie...

-Mike?

Zmusiłem się, by zachować obojętny wyraz twarzy

- Mam wiadomość. - Opuściłem ramiona. - Powstrzymam budowę. Rozmawiałem z... z kimś ważnym i chyba uda mi się ich przekonać, żeby się przenieśli.

Ośłoniła oczy przed słońcem, żeby móc spojrzeć mi w twarz. Była blada ze zmęczenia, miała podkrążone oczy.

- Co?

- Myślę, że zdołam ich powstrzymać. Nie, nie myślę, wiem o tym.

- Tak po prostu? - Zmarszczyła brwi. - Bez konsultacji? Tak nagle?

Przełknąłem ślinę.

- Tak mi się wydaje.

- Ale jak? - Uśmiech igrał na jej wargach, jakby nie śmiała w to uwierzyć.

- Nie chcę, żebyś to ogłaszała, dopóki się nie upewnię. Lecę do Londynu.

- Do Londynu? - Uśmiech zniknął.

- Ale dzięki temu ty możesz zostać, Lizo - powiedziałem powoli. - Nie musisz nigdzie jechać.

Spojrzała na mnie, potem na swoje stopy i na morze. Wszędzie, tylko nie w moje oczy.

- Wiesz, że teraz nie chodzi tylko o budowę, Mike. Muszę zacząć od nowa z czystym kontem. Muszę przestać uciekać.

- Więc zrób to, ale jak Hanna będzie starsza. Kiedy nie będzie cię aż tak potrzebować.

Widziałem, jak na jej twarzy odbija się każda z wątpliwości, które stały się i moim udziałem. Czuła ulgę, że może zostać, ale z drugiej strony podjęła już decyzję i trudno jej było się wycofać. A jeszcze trudniej będzie podjąć ją po raz kolejny. W końcu spojrzała mi w oczy.

- Mike, co się naprawdę dzieje?

- Staram się zapewnić ci bezpieczeństwo - odpowiedziałem. - Chcę, żeby Hanna dorastała z matką.

Długo na mnie patrzyła pytającym wzrokiem. Potem zauważyła, że się nie uśmiecham - a powinienem był się cieszyć swoim osiągnięciem. Wiedziałem, jakie będzie następne pytanie. Kopnęła mały kamyk.

- Wrócisz, kiedy załatwisz tę sprawę?

- Prawdopodobnie nie - odpowiedziałem. Już wiedziała.

- Myślałam, że chcesz... że chcesz być z nami. Milczałem. Nie miałem nic do dodania.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

- Musisz mi zaufać.

- Ale nie wrócisz, tak? Potrząsnąłem głową.

Zacisnęła zęby. Wiedziałem, że chce mnie zapytać, jak mogę to robić, skoro ją kocham. Wiedziałem, że ma tysiące pytań. Wiedziałem, że chce mnie prosić, abym został. Jednak chciała też jak najdłużej być z córką.

- Dlaczego ze mną nie porozmawiasz? Nie ufasz mi?

„Bo nie mogę pozwolić ci dokonać wyboru - pomyślałem. -I bez tego jest wystarczająco ciężko”.

- Zawsze tyle pytasz? - odpowiedziałem żartobliwie. Nie zaśmiałem się jednak. Podszedłem bliżej i objąłem ją. Poczułem, że zeszywniała w moich ramionach i że serce mi pęka.



W Srebrnej Zatoce noc zapada szybko i jak w każdym małym miasteczku, w sobie tylko właściwym rytmie: ptaki ogłaszają koniec dnia wzmożoną aktywnością, potem milkną, parkują samochody, rodzice wołają dzieci na kolację, a te niechętnie wracają, gdzieś w oddali mały piesek ostrzega histerycznie przed końcem świata. W Srebrnej Zatoce były jeszcze cztery zwiastuny: brzęk naczyń dobiegający przez otwarte okna kuchenne, po-skrzypywanie zardzewiałych zawiasów, szelest opon na piasku, gdy rybacy zjeżdżali na plażę przed wieczornym połowem, i do-broduszne nawoływania z odpływających kutrów. Potem słońce zachodziło powoli za wzgórzami, zatoka rozbłyskiwała jego światłem, gdzie-niegdzie na horyzoncie zamajaczył przepływający tankowiec. Jeszcze chwila i widać było tylko ciemność - pogłaśniającą pieśń niewidocznego wieloryba i uderzenia serca, straszącą długą niechcianą przyszłością.

Siedziałem przy oknie w skórzanym fotelu. Vanessa podniosła słu

chawkę po drugim sygnale. Wyrzuciłem przez okno i opuściłem roletę o wiele gwałtowniej, niż zamierzałem.

- Mike - westchnęła głęboko - nie wiedziałam, kiedy zadzwonisz. - W jej głosie brzmiała niepewność. Zastanawiałem się, jak długo czekała. Obiecałem, że zadzwonię o kilka godzin wcześniej, ale nie mogłem się zmobilizować, żeby wystukać numer. - Mike?

- Nadal mnie chcesz?

- A ty mnie? Zamknąłem oczy.

- Wiele przeszliśmy - odpowiedziałem. - Zraniliśmy się nawzajem, ale spróbuję. Naprawdę chcę spróbować.

Gdy nie odpowiedziała, niemal poczułem ulgę.

- Kiedy wracasz do domu? - spytała.



Rozdział 25

Monika

Nie powiedziałam Mike'owi o moich zamiarach. Bałam się sprzeciwu z jego strony, nie chciałam, żeby kazał mi trzymać się pierwotnych ustaleń, a nie przejmować szczegółami. Domyślałam się, że był na mnie wkurzony, bo zostawiał coraz bardziej niecierpliwe wiadomości na poczcie głosowej. Wczoraj wieczorem zadzwonił chyba ze sto razy i bez przerwy powtarzał, że mam się z nikim nie kontaktować, dopóki nie porozmawiamy

Nie mogłam jednak oddzwonić, przynajmniej dopóki nie sprawdziłam kilku rzeczy. Nie chciałam z nim rozmawiać, zanim nie zrozumie, co się właściwie dzieje. Nie jestem najlepszą dziennikarką na świecie, ale wiem, kiedy coś po prostu nie gra - tak jak w tym przypadku. Przypominam brata przynajmniej pod jednym względem: jestem wnikliwa. Właśnie dlatego wzięłam wolne, pojechałam do Surrey, złapałam taksówkę i kazałam się zawieźć pod wskazany adres. Wkrótce stałam przed dużym domem w Virginia Water.

- Ładna chata - zauważył taksówkarz, wyglądając przez okno, i wypisał rachunek.

- To prawda. Szukam atrakcyjnych lokali do filmu porno - odpowiedziałam. - O ile wiem, ci tutaj mają korzystne stawki.

Uśmiechnęłam się, gdy odjechał - to był taki mój mały prezent ode mnie dla dziewczyny Mike'a.

Wkrótce zrozumiałam, że nie zdołam się dyskretnie rozejrzeć. Budynek był oddalony od ulicy, otaczały go wysokie żywopłoty. Gdybym poszła bliżej drzwi, niepotrzebnie zwróciłabym uwagę mieszkańców. Pozostało mi więc tylko zacząć się za drzewem przy wjeździe na posesję i czekać.

To był wielki dom stylizowany na epokę Tudorów, z oprawionymi w ołów oknami - ziszczony sen księgowego. (Może nie doceniam księgowych albo domów w stylu Tudorów, ale w końcu mieszkam w dwupokojowym mieszkaniu nad barem szybkiej obsługi i - jak twierdzą znajomi - nie mam gustu). Trawniki i grządki były tak wypielegnowane, że domyśliłam się stałego nadzoru ogrodnika. Pięć albo sześć sypialni, jak uznałam, patrząc na front budynku. Przynajmniej trzy łazienki. Dużo dywanów i drogich zasłon. Na podjeździe stało luksusowe volvo, a w ogrodzie drogie, drewniane meble. Zadrżałam z zimna, choć miałam na sobie gruby płaszcz. Mimo wrażenia dostatku w tym domu było coś odpychającego. Mike opowiedział mi, co tam się działo. Wyobraziłam sobie młodą kobietę wyglądającą przez okno i planującą ucieczkę.

Kilka samochodów przejechało obok, kierowcy oglądali się za mną. Takie osiedla zazwyczaj nie są terenem do spacerów. Gdy obmyślałam, jak by tu się wtopić w tło, przez okno klatki schodowej zauważyłam postać kobiety w pastelowym swetrze i schludnej fryzurze typu „bob” - prawdopodobnie żonę. Zastanawiało mnie, czy powiedział jej o swoim wcześniejszym życiu, czy ona także planowała ucieczkę, czy może traktował ją dobrze jak to w małżeństwie osób o równym statusie. Potem

pomyślałam o opowieści Lizy - czy to możliwe, żeby kłamała? Jak inaczej wyjaśnić luki i nieścisłości w jej historii?

Stałam tak niepewna, co robić dalej. Zza węgła domu wyszła dziewczynka w grubym granatowym swetrze i dżinsach. Chyba nie zamknęła drzwi, bo usłyszałam monotonne brzęczenie radia i płacz dziecka. Wskoczyłam za drzewo. Dziewczynka podeszła do bramy i wyjęła listy ze skrzynki. Wtedy wyszłam z mojej kryjówki i skierowałam się w stronę bramy, jakbym tylko przechodziła obok.

- Dzień dobry Czy pan Villiers jest w domu? - spytałam. Mój oddech zostawiał w powietrzu maleńkie obłoczki pary

- W sprawach służbowych ojciec przyjmuje w piątki.

- W piątki?

Kiwnęła głową.

- W biurze powiedziano mi, że dziś będzie w domu. -Nie wiem, dlaczego skłamałam. Może miałam nadzieję, że jeśli nakłonię ją do rozmowy, dowiem się czegoś więcej.

- Jest w Londynie - odpowiedziała. - Jak zawsze w czwartki wieczorem.

- No cóż, pewnie coś pokręciłam. - Uśmiechnęłam się. - Nadal pracuje w banku, prawda?

- Tak.

- Czytałam o nim w gazecie. Jest ważną osobistością. Dziewczynka wyciągnęła listy i przejrzała je pobieżnie.

- Mogę pani dać jego numer telefonu, jeżeli pani chce.

Zerknęłam do notesu.

- Mam go, ale dziękuję.

Mogłam ją poprosić, żeby mnie wpuściła, ale nie miałam pojęcia, co powiedzieć jego żonie. Nie wymyśliłam dobrego pretekstu. „Dzień dobry pani, jestem dziennikarką. Chciałam zapytać, czy pani mąż naprawdę jest agresywnym socjopatą? Czy nad panią też się znęca i czy panią zdradza? Czy to prawda, że jest współodpowiedzialny za śmierć własnego dziecka? A tak przy okazji, ma pani piękne zasłony..”

- Zadzwońię do biura. Bardzo ci dziękuję. - Zdecydowałam, że pojedę do miasta i wypiję kawę. W razie czego zawsze mogę wrócić. Może da się zaczepić żonę. Może udam, że jestem z miejscowej gazety i chcę napisać o nich artykuł. W rozmowie sam na sam przy filiżance herbaty może uda mi się coś z niej wyciągnąć. - To do widzenia.

- Do widzenia. - Dziewczynka odgarnęła włosy za ucho i ruszyła powoli w stronę domu. Wtedy właśnie zauważyłam, że dość mocno utyka i poczułam dziwne piknięcie w sercu.

W takich sytuacjach mówi się zwykle, że „zawalił mi się świat”. Ale nie znoszę utartych frazesów. Gdy piszę, zawsze staram się ich unikać. Jednak teraz to właśnie zdanie tłuło mi się po głowie.

Odstawiłam torbę na chodnik i wpatrzyłam się w dziewczynkę.

- Przepraszam cię bardzo! - krzyknęłam. Odwróciła się i powoli poszła.

- Słucham? - Przechyliła głowę na bok. Wtedy to zauważyłam. Czas stanął w miejscu.

-Jak... jak masz na imię?



Rozdział 26



Kathleen

Gdy szykowałam z Hanną obiad, trzasnęły drzwi. To nic nadzwyczajnego w domu, w którym mieszka pies, nastolatka i goście, a wszyscy uważają, że drzwi „same się zamkną”. Tym razem jednak uderzenie było tak silne, że zakląłam pod nosem. Mike - nie ułomek - najwyraźniej czymś poruszony sadził po schodach niczym rozjuszony bawół. Okno w pokoju najpewniej zostawił otwarte, bo przeciąg trzasnął kolejnymi drzwiami nie gorzej od wejściowych. Budynek aż zadrżał.

-Jeszcze nie wyburzamy hotelu! - krzyknęłam za nim, wycierając ręce o fartuch. - Jak mi go rozwalisz, będziesz płacił!

Grało radio, więc na początku nie zrozumiałam, co krzyczał, ale obydwie przerwałyśmy pracę, słysząc hałasy dobiegające z jego pokoju.

- Myślisz, że znów się z kimś kłóci? - spytała Hanna.

- Zajmij się pracą domową, panienko - odpowiedziałam, ale wyłączyłam radio.

Budynek był stary, drewniany, więc w kuchni było doskonale słychać, co się dzieje na górze. Mike przyciągnął fotel spod okna w stronę biurka i opadł na niego tak gwałtownie, jakby właśnie wyzionął ducha.

- Może ugryzła go czarna wdowa? - zainteresowała się Hanna.

- Moniko! - wrzeszczał. - Prześlij je zaraz! Prześlij je zaraz!!!

Wymieniłyśmy spojrzenia.

- To jego siostra - usłyszałam.

„Ta dziennikarka” - pomyślałam z niepokojem.

Robiłam właśnie omlet serowy, więc z wściekłością zaczęłam ubijać jajka. Odkąd Liza wyjawiała mi swoje plany, gotowałam więcej niż kiedykolwiek, a hotel lśnił czystością. Szkoda, że nie mieliśmy żadnych gości, bo załapałoby się na pięciogwiazdkową obsługę. Pochyliłam głowę i ubijałam jajka tak energicznie, że w końcu zapomniałam, o czym myślę, a piana zrobiła się lekka jak puch. Dopiero po kilku minutach dotarło do mnie, że na górze zapanowała cisza. Nie słyszałam nawet zwykłych kroków, szurania krzesłem czy skrzypienia łóżka.

Hanna pobiegła odrabiać lekcje, ale mnie cisza nie dawała spokoju. Zdjęłam patelnię z ognia i podeszłam do drzwi.

- Mike, czy wszystko w porządku? - zawołałam. Milczenie.

- Mike? - odstawiłam patelnię i weszłam na schody.

- Kathleen - jego głos zadrżał - lepiej tu przyjdź. Gdy weszłam do pokoju, kazał mi usiąść na łóżku.

Był tak blady, tak niepodobny do siebie, że nie od razu się zgodziłam. Podeszedł i ukląkł przede mną, jakby się oświadczał. Potem powiedział dwa słowa, a ja poczułam, jak krew odpływa mi z twarzy. Myślał - co później przyznał - że dostanę wylewu jak Nino Gaines.

„Głupiec - pomyślałam tą częścią umysłu, która była jeszcze zdolna do myślenia. - Głupiec albo szaleniec. Udzieliłyśmy gościny psychopacie”.

- Co ty, do cholery, wygadujesz?! - spytałam, gdy odzyskałam głos. - To jakiś żart?

Nagle ogarnęła mnie furia, a on bezceremonialnie machnął ręką, jakby chciał mnie uciszyć i otworzył klapę laptopa. Nie zważając na moje protesty, przeszukał skrzynkę mailową. Już chciałam wyjść, gdy otwo-

rzył plik ze zdjęciem. To była ona. Niewiarygodne. W kolorze. Patrzyła na nas ze zdumieniem równym mojemu. Ręce zaczęły mi drżeć.

- Monika zrobiła dzisiaj to zdjęcie. Wygląda jak ona, prawda?

Zamarłam z otwartymi ustami i dłonią przyciśniętą do serca. Nie mogłam oderwać wzroku od twarzy na ekranie. Opowiedział mi w urywanych zdaniach, co powiedziała mu siostra.

- Hanna - wychrypiałam - trzeba powiedzieć Hannie.

Nie trzeba było jej wołać. Każda jedenastolatka ma w głowie mały radar i dobrze wie, kiedy coś się dzieje. Gdy oderwałam wzrok od ekranu, stała już w drzwiach z długopisem w dłoni. Patrzyła to na mnie, to na Mike'a.

- Hanno, kochanie - podniosłam drżącą dłoń i wskazałam ekran - musisz coś zobaczyć. Powiedz mi, proszę, czy to... czy ona nie wygląda jak...

- Letty - Hanna podeszła do komputera i dotknęła nosa siostry na ekranie. - To Letty!

- Ona żyje, skarbie - powiedziałam przez łzy. Głos uwiązał mi w gardle. Poczułam na ramieniu wspierającą dłoń Mike'a. - Dzięki Bogu, żyje.

Bałam się o Hannę, bałam się, że będzie jeszcze bardziej wstrząśnięta ode mnie. W głowie miałam zamęt, serce ścisnęło się na widok tego dziecka, którego nigdy nie poznałam, choć jego życie i śmierć odcisnęło piętno na moim domu, jakby była moją własną córką. Jak, na litość boską, Hanna miała sobie z tym poradzić?

Ona jednak jedyna z nas nie płakała.

- Wiedziałam - oznajmiła z uśmiechem. - Wiedziałam, że nie umarła, jak delfiny. Nie czułam jej śmierci. - Odwróciła się z powrotem do ekranu i zastygła wpatrzona w zdjęcie. Były tak podobne, jakby patrzyła w lustro. Trudno uwierzyć, że wątpiałam choć przez chwilę.

Mike podszedł do okna, masując sobie kark.

- Sukinsyn! - warknął, najwyraźniej zapominając o obecności Hanny.

- Jak mógł ukrywać przed nią prawdę przez tyle lat? Jak mógł jej to zrobić? Jak mógł to zrobić własnemu dziecku?

- Plugawy drań! - też nie wytrzymałam. - I ta stara ku...

- Kutwa? - podsunął Mike, unosząc brew.

- Kutwa - potwierdziłam, zerkając na Hannę. - Tak, kutwa. Widać niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Nagle pomyślałam o Starym Harrym, moim działku harpunnicznym z Muzeum Wielorybnictwa. Wiem, że moi bliscy byliby wstrząśnięci, gdybym go użyła. Czułam jednak, że myśli Mike'a biegną podobnym torem.

- Nadal mam siostrę - przemówiła nagle Hanna. Radość w jej głosie uciszyła nas oboje. - Spójrzcie, mam siostrę! - Przysunęła głowę do powiększonego zdjęcia, żebyśmy mogli zobaczyć podobieństwo.

Mike i ja spojrzeliśmy na siebie.

- Liza! - zawołaliśmy w jednej chwili.

Nie mieliśmy pojęcia, jak jej powiedzieć, od czego zacząć, jak ją przygotować. Wypłynęła na morze, a wiadomość była zbyt ważna, zbyt wstrząsająca i zbyt intymna na rozmowę przez radio. Nie mogliśmy się doczekać na powrót Lizy. W końcu pożyczaliśmy kuter Sama Grady'ego, Mike i Hanna stanęli na dziobie, ja za sterem i wypłynęliśmy za wyspę Złamany Nos. Wiał lekki wietrzyk, morze było spokojne i po kilku minutach otoczyły nas stada delfinów, skacząc radośnie wokół łodzi. Hanna wychyliła się za burtę, żeby im powiedzieć o swojej radości.

- One już wiedzą! - śmiała się. - Przyplłynęły, bo wiedzą!

Nie zaprzeczałam. Kim jestem, by wydawać wyroki? Skąd pewność, że te stworzenia nie czują więcej niż ja? Teraz już nic nie mogło mnie zdziwić.

Wtedy ją zauważyłam - stała u steru z Milly przy boku. Kierowała się w stronę lądu. Miała komplet pasażerów, głównie Tajwańczyków. Turyści wychylali się za burtę z ciekawością, niektórzy wciąż nie wyłączyli kamer, inni zaczęli robić zdjęcia, widząc towarzyszące nam delfiny.

Gdy nas dostrzegła, stała pod słońce, a jej włosy wyglądały jak luna po pożarze.

- Co tu robicie? Stało się coś?! - krzyknęła. Zapomniała nawet rozgniewać się na Hannę, że jest bez kapoka. Gdy zobaczyła nas płynących kursem równoległym, wiedziała, że stało się coś niezwykłego.

Spojrzałam na Mike'a, a on kiwnął głową. Zaczęłam wołać, jednak głos odmówił mi posłuszeństwa, a z oczu popłynęły łzy. Dopiero po kilku próbach, gdy Mike podał mi swoją wielką chustkę, zdołałam przemówić:

- Ona żyje. Letty żyje.

Liza wodziła wzrokiem ode mnie do Mike'a. Dwie mewy krążyły nad naszymi głowami, krzycząc prześmiewcza

- To prawda! Letty żyje! Siostra Mike'a ją widziała! Naprawdę! - Pomachałam wydrukowanym zdjęciem, ale wiatr obrócił je w drugą stronę. Zresztą Liza i tak była za daleko.

- Dlaczego tak mówisz? - spytała głosem pełnym bólu. Zerknęła na pasażerów obserwujących nas z zaciekawieniem. Zbladła. - Co masz na myśli?

Walcząc o równowagę, rozwinęłam zdjęcie nad głową jak sztandar.

- Spójrz! - krzyknęłam. - Spójrz, okłamali cię! Ci dranie cię okłamali! Nie zginęła w wypadku. Letty żyje i wraca do domu.

Turyści umilkli. Kilku Tajwańczyków, jakby wyczuwając, że stało się coś niezwykłego, zaczęło spontanicznie bić brawo. Czekaliśmy z niecierpliwą radością, aż i do niej to dotrze. W końcu, gdy mewy odfrunęły w sobie tylko znanym kierunku, Liza podniosła wzrok ku niebu i straciła przytomność.



Mike powiedział, że dopiero tego dnia zrozumiał, jak bardzo kocha swoją siostrę. Podczas trzygodzinnej rozmowy - Liza, choć wciąż zszokowana i blada, cały czas siedziała przyciśnięta do jego ramienia i łowiła każde słowo - Monika opowiedziała wszystko. Umówiła się na spotkanie ze Stevenem Villiersem w jego biurze.

Powiedziała, że pisze artykuł o szanowanym radnym, który rozmyślnie okłamał swoją dziewczynę, że jej córka nie żyje, po to by je rozdzielić. O człowieku, który bił swoją partnerkę tak, że musiała uciekać w obawie o swoje życie, ale po ucieczce zrobiła obdukcję i zachowała jej wyniki. Tak, to był blef, ale skuteczny. Monika Dormer zaczynała mi się podobać.

Nie mogliśmy uwierzyć, że Steven Villiers poddał się bez walki. Najpierw długo milczał, potem spytał: „Czego pani chce?”. Wyszło na jaw, że się ożenił i miał dwóch małych synów, a Monika zapowiedziała, że Letty tak czy inaczej dowie się prawdy. Wtedy odgadła z jego tonu -on spodziewał się tej rozmowy już od pewnego czasu. Dobili targu - dziecko wróci do matki i sprawa zostanie w rodzinie. Zgodził się aż nazbyt chętnie, odniosła wrażenie, że między ojcem a córką nie jest najlepiej.

To jednak nie wszystko. Okazało się, że od lat wiedział, gdzie jest Liza - może dzięki znajomościom w policji, może wynajął prywatnego de-

tektywa. Jak na ironię i jemu, i Lizie zależało na tym samym - aby siedziała cicho na drugim końcu świata. Jego matka skłamała o śmierci Letty po części dlatego, że naprawdę jeszcze nie było wiadomo, czy przeżyje, a po części z czystej podłości. Gdy odkryli miejsce pobytu Lizy, uznali, że pozwolą jej w to wierzyć i będą mieć problem z głowy Jak tykająca bomba zagrażała karierze Stevena, jego przyszłości, mogła też zrujnować jego nowy związek z elegancką ciemnowłosą Deborą, którą oczywiście też okłamali. I dopięli swego.

- Przynajmniej wyglądał na zawstydzonego - powiedziała Monika.

Tonem człowieka, który chce zachować pozory kontroli, zażądał prawa do widywania córki, ale siostra Mike'a zapowiedziała, że to zależy tylko od Letty, nie od niego.

Potem w towarzystwie prawnika i psychologa dziecięcego - Monika potrzebowała pomocy, bo sama nigdy nie miała do czynienia z dziećmi - poszli powiedzieć małej, że wyjedzie na wakacje. Sprawy nabrały tempa - baliśmy się nawet, czy nie za dużego. Trudno przecież przewidzieć, jak zareaguje mała dziewczynka, kiedy całe jej życie znowu stanie na głowie. Monika przyznała też niepewnie, że dopóki nie wyjechały z posesji, bała się, że Villiers zmieni zdanie.

Pomyślałam o Letty z niepokojem. Będzie musiała przestać wierzyć w tak wiele kłamstw, odkryć tyle tajemnic. Siostra Mike'a powiedziała jednak, że dziewczynka jest bystra i ciekawa wszystkiego. Teraz w Anglii była noc i spała, ale rano, czyli dla nas wieczorem, Monika zadzwoni i Liza będzie mogła po raz pierwszy od pięciu lat porozmawiać ze swoją młodszą córką, którą już pochowała.



Gdy wypuściłam Milly na ostatni wieczorny spacer, w muzeum zauważyłam światło. Domyśliłam się, kto tam jest. Zwykle zostawiam je otwarte - nie ma tam nic ciekawego dla złodzieja, poza tym Milly ostrzegłaby nas przed obcymi.

Liza i Hanna czuwały przy telefonie i chciały zostać same, więc zabrałam kilka piw i wyszłam z domu. Mike pewnie czuł się podobnie, trochę jak intruz - to był czas Hanny i Lizy. Mogliśmy cieszyć się ich radością, ale osobno - nie znaliśmy Letty i nie byliśmy w stanie w pełni zrozumieć uczuć matki i obu sióstr. Pozostanie w domu wydawało się świętokradztwem jak podsłuchiwanie kochanków.

Poza tym byłam ciekawa tego, czego dowiedziałam się poprzedniego dnia od Lizy, zanim poraziła nas wiadomość o Letty - że budowa być może nie dojdzie jednak do skutku. Dodała, że to jeszcze nic pewnego i miałam nic nie mówić, dopóki nie dostanę oficjalnego potwierdzenia, ale wszystko zależy teraz od Mike'a. Powiedziała z poszarzałą twarzą, że on jutro wyjedzie na zawsze. Potem zamilkła na dobre.

Nie od razu mnie usłyszał. Siedział na spróchniałej ławce *Maui II* oparty na ramieniu, przygarbiony, jakby dźwigał wielki ciężar. Trochę mnie to zdziwiło, bo miał prawo być zmęczony, niespokojny, ale nie przygnębiony

Milly wybiegła przede mnie, machając ogonem. Podniósł wzrok.

- O, cześć - powiedział. Siedział prawie pod lampą, twarz miał schowaną w cieniu.

- Pomyślałam, że może będziesz miał ochotę. - Podałam mu piwo, usiadłam na krześle nieopodal i otworzyłam drugą puszkę dla siebie.

- To do ciebie niepodobne - zauważył.

- Dziś nic nie jest jak zwykle.

Sączyliśmy piwo w przyjaznej ciszy Drzwi były otwarte, w ciemności widzieliśmy linię brzegu, odległe światła samochodów, przygotowania do nocnego połowu. Życie w Srebrnej Zatoce biegło spokojnie ustalonym torem jak od przeszło pięćdziesięciu lat. Wciąż nie mogłam uwierzyć w to, czego się dowiedziałam - że Mike może nas zatrzymać nad przepaścią. Nie mogłam uwierzyć, że dostaniemy więcej czasu.

- Dziękuję ci, Mike - powiedziałam cicho. Podniósł wzrok znad piwa.

- Dziękuję za wszystko. Nie wiem, jak tego dokonałeś, ale dziękuję.

Opuścił głowę i zrozumiałam, że coś jest nie tak. Miał ściągniętą, smutną twarz. Przyszedł tu nie dlatego, że chciał zapewnić Lizie przestrzeń, tylko dlatego, że sam jej potrzebował.

Siedziałam nieruchomo. Wiem z doświadczenia, że spokój i cisza gwarantują lepszy połów.

- Nie chcę wyjeżdżać - zwierzył się w końcu - ale tylko w ten sposób powstrzymam budowę.

- Nie bardzo rozumiem...

- Dano mi wybór... i nie mogłem jej nim obarczyć. I tak musiała już podjąć wiele trudnych decyzji.

Zaczęłam już rozumieć, skąd ten ciężar, który w nim wyczuwałam. I on musiał podjąć trudną decyzję. Trzymał tyle w sobie, że ledwo się poruszył.

- Chcę, żebyś o tym wiedziała, Kathleen. Cokolwiek o mnie usłyszysz, ważne, by Liza wiedziała, że naprawdę ją kochałem. - Wpatrywał się we mnie gorączkowo z taką siłą, aż poczułam się nieswojo. - Nie myśl o mnie źle - dodał z trudem, krztusząc się piwem - ale złożyłem obietnicę...

- Naprawdę nie możesz mi powiedzieć, o co chodzi? Pokręcił głową. Nie nalegałam. Może jestem staroświecka, to jednak dla mnie norma, że mężczyzna nie lubi, kiedy ktoś go zmusza do rozmowy o uczuciach.

- Mike - powiedziałam w końcu - ocaliłeś Lizę. Uratowałeś obie moje dziewczynki. To mi wystarczy, nie muszę wiedzieć nic więcej.

- Będzie szczęśliwa, prawda? - Unikał mojego wzroku. Przeczynałam dlaczego.

- Dość szczęśliwa. Zostaną jej córki.

Wstał i przeszedł się powoli po sali odwrócony do mnie plecami. Zdałam sobie sprawę, jak bardzo żałuję jego wyjazdu. Wynagrodził nam z naddatkiem całe wyrządzone przez siebie zło. Nie jestem romantyczką - Nino Gaines świadkiem - ale w przypadku jego i Lizy liczyłam na szczęśliwe zakończenie. Wiedziałam, że jest przyzwoitym człowiekiem, a takich nie ma zbyt wielu. Powiedziałabym mu o tym, tylko nie wiem, które z nas byłoby wtedy bardziej zażenowane.

Zatrzymał się przed zdjęciem Pani Rekinów. Gdy poczułam, że mogę podejść bliżej, podniosłam się i stanęłam obok niego.

Pożółkła fotografia w kolorze sepii wciąż w tych samych ramkach. Rekin podtrzymywany przez ojca i Brenta Newhavena na niewidocznych linach. Siedemnastolatka w kostiumie kąpielowym, która miała mnie prześladować do końca moich dni.

Odetchnęłam głęboko.

- Zdradzę ci tajemnicę. Nie złowiłam tego cholernego rekina.

Zaskoczyłam go. Spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

- Złowił go wspólnik ojca. Powiedział, że lepiej rozgłosić, że to byłam ja, bo hotel zyska lepszą reklamę. - Upiłam piwa. - Nienawidziłam kłamać. Nadal tego nienawidzę. Teraz jednak rozumiem, że gdyby nie to, hotel nie przetrwałby pierwszych pięciu lat.

- Albo przez ostatnich dwadzieścia mógłby rozrosnąć się do sześciu pięter - zauważył z goryczą Mike.

Odwróciłam zdjęcie do ściany

- Czasami kłamstwo to jedyny sposób, żeby oszczędzić wszystkim bólu.

Położyłam dłoń na ramieniu Mike'a Dormera i czekałam, aż będzie gotów znów spojrzeć mi w oczy. Kiwnął głową w stronę drzwi, jakby chciał powiedzieć, że na nas już czas. Spojrzeliśmy na dom, na światło w pokoju Lizy.

- Wiesz co? Nigdy nie widziałam żarłacza tygrysięgo w tej zatoce. Nigdy - dodałam z naciskiem, wstępując w mrok.

- Greg widział - odparł, zamykając drzwi.

- Nie słuchasz - powiedziała Pani Rekinów.



Rozdział 27



Mike

W mojej walizce i niewielkiej torbie było tyle wolnego miejsca, że niemal mógłbym włożyć jedną w drugą. Ta pustka zdawała się odbiciem stanu mojego umysłu. „Będę chyba jedynym pasażerem, który zapłaci za niedobagaż” - pomyślałem. Jakimś cudem podczas pobytu tutaj pozbyłem się połowy ubrań. Teraz chadzałem na zmianę w dwóch parach dżinsów, kilku podkoszulkach i szortach, gdy było naprawdę ciepło. „Niezbyt wiele jak na przełomowy okres w moim życiu” - uznałem, zamykając walizkę. Ale skoro miałem tyle miejsca, będę mógł kupić rodzicom sporo prezentów w strefie bezcłowej.

Nie wziąłem ze sobą sztormiaka - był zbyt związany z moim pobytem tutaj i nie chciałem, żeby wisiał w nieodpowiednim otoczeniu. Garnitury już jakiś czas temu oddałem do sklepu z używaną odzieżą. Nie zabrałem też podkoszulka, który miałem na sobie, gdy Liza po raz pierwszy przyszła do mnie w nocy, ani swetra, którym ją otuliłem, gdy siedzieliśmy na dworze do drugiej nad ranem - miałem nadzieję, że może zechce go zatrzymać. I nie brałem laptopa - Hannie bardziej się przyda. Poza tym nie chciałem odbierać ani jej, ani Lizie cyfrowego zdjęcia Letty, mimo że wkrótce zobaczą ją na własne oczy.

Może to zabrzmie dziwnie, ale czułbym się, jakbym je na nowo rozdzielał. Obie godzinami siedziały przed ekranem, wspominały, porównywały twarze Letty i Hanny

Liza wypląnęła *na. Izmaelu* na ostatnią wycieczkę przed wyjazdem na lotnisko. Poprzedniego dnia praktycznie się nie widzieliśmy i chodziło mi po głowie, czy nie lepiej zniknąć niepostrzeżenie, bez pożegnania. Powtarzałem sobie, że przynajmniej mają zajęcie - tego dnia skończyły urządzać pokój Letty. Hanna nie poszła do szkoły i cały dzień malowały ściany, wieszaly zasłony i znosiły rzeczy, które mogłyby spodobać się dziesięciolatce. Hanna ustawiła delfiny Letty i teraz stała na środku pokoju z plakatami niepewna, czy przypadną siostrze do gustu.

- Myślisz, że w Anglii lubią ten zespół? Co lubią tamtejsze dziewczyny? - pytała mnie z niepokojem, jakbym miał o tym pojęcie. Jakby to robiło jakąś różnicę.

Patrzyłem z dystansu na ich szczęście, nie biorąc w nim udziału, zbyt pochłonięty perspektywą rychłego rozstania. Może zateśknę za mną trochę, ale miały zyskać nieporównanie więcej. Tej nocy tylko ja uroniłem łzę. Wyglądałem na małą zatokę, dalekie wzgórza i nieliczne dachy miasteczka. Słuchałem śpiewu ptaków, dalekich silników, muzyki w pokoju Hanny i czułem się, jakby wygnano mnie z domu. Do czego wracałem? Do kobiety, której nie potrafiłem pokochać, i miasta, które mnie dławilo.

Pomyślałem, że będę musiał poskładać do kupy swoje dawne życie, wrócić do niegdyś lubianych barów i restauracji z głośnymi znajomymi z City, przepychać się przez zatłoczone ulice, rozpocząć nową pracę w jednym z anonimowych biurów. Dennis pewnie nakłoni mnie do powrotu... Czy miałem wybór? Potem wyobraziłem sobie siebie w pociągu, w nowym garniturze, tęskniącego za widokiem Hanny bawiącej

się na plaży z Milly. Pomyślałem o uśmiechu Vanessy, jej perfumach i butach na obcasach, naszym eleganckim mieszkaniu, moim sportowym samochodzie, pułapkach poprzedniego życia i wiedziałem, że to nic nie znaczy. Chciałem być tutaj. Każda najmniejsza cząsteczka mnie chciała być tutaj.

Najgorsze, że wciąż dobrze życzyłem Vanessie. Wciąż pragnąłem jej szczęścia i chciałem być uczciwy. Dlatego musiałem dotrzymać obietnicy, tak jak ona dotrzymała swojej.

Powtarzałem to niczym mantrę kilkadziesiąt razy dziennie. Potem wyobrażałem sobie, co przyniosą kolejne miesiące, bezsenne noce, twarz Lizy, jej przelotny uśmiech i mądre spojrzenia z ukosa prześladowające mnie na jawie i w snach. Wyobrażałem sobie, że jestem z nią, wtulam twarz w jej podkoszulek, a potem Kocham się z kimś, kto do mnie nie pasuje.

„Weź się w garść! - powtarzałem sobie surowo, idąc do wynajętego samochodu. - Liza odzyskała córkę, a ja zabezpieczę ich przyszłość. Dwie trzecie sukcesu to całkiem niezły wynik”.

Podjechałem przed hotel. Siedziałem wpatrzony w tablicę rozdzielczą i naraz uświadomiłem sobie zupełną bzdurę - że wreszcie opanowałem dziwną skrzynię biegów, jakie mają tu w Australii.

Miałem wylecieć dopiero następnego dnia, ale uznałem, że muszę odjechać natychmiast i przenoćować w hotelu w mieście. Gdybym został choć godzinę dłużej, mógłbym zmienić zdanie. To oznaczało, że nie zobaczę siostry po jej przylocie, wiedziałem jednak, że Monika zrozumie. Gdybym został do jutra, gdybym choć przez pięć minut pozwolił sobie uwierzyć, że będę częścią nowej rodziny...

Gdy wysiadłem z samochodu, żeby pójść po swoje rzeczy, usłyszałem znajomy klakson. Terenówka Grega wjechała na podjazd i zahamowała o włos od mojego zderzaka. Boje i sieci przesunęły się na skrzyni.

Wysiadł, nasuwając czapkę na oczy.

- Słyszałem o tej małej. To nie do uwierzenia. Niesamowite.

- Wieści szybko się rozchodzą - mruknąłem. Hanna pobiegła poprzedniego wieczoru na przystań i powiedziała każdemu z osobna. Nie dowiedzieli się o wszystkim, tylko tyle, że Liza ma córkę, która mieszkała w Anglii, a teraz ma do niej wrócić. Tutejszym ludziom wystarczało rozumu, by nie drążyć zbyt głęboko. A w każdym razie nie wprost.

- Przyjeżdża jutro, prawda?

Kiwnąłem głową. Wyciągnął z kieszeni papierosy i zapalił.

- Dobra robota, stary. Nie będę udawał, że cię lubię, ale, cholera, jesteście w porządku.

Zaciągnął się głęboko. Przez chwilę obaj patrzyliśmy na Przystań Wielorybów. Cumowała tam tylko łódź Grega.

- Dziękuję - powiedziałem w końcu.

- Nie ma za co.

Za nami w hotelu zadzwonił telefon. Pewnie jakiś gość, bo Monika była jeszcze w samolocie. Kathleen zaproponowała jej gościnę tak długo, jak zechce. Oświadczyła z uśmiechem, że przynajmniej tyle jest jej winna.

Poczułem nagłą zazdrość. Jutro moja siostra będzie spać w pokoju, który już uważałem za swój. Srebrna Zatoka już wkrótce miała stać się dla mnie wspomnieniem, wizją lepszego życia, która mogłaby być faktem, gdyby sprawy potoczyły się inaczej.

Myśl o siostrze przypomniała mi o walizkach. Poszedłem po nie, a kiedy wróciłem, Greg wciąż tkwił na miejscu oparty o samochód. Spojrzał na bagaż, potem na mnie.

- Wybierasz się gdzieś?

- Do Londynu - odpowiedziałem, wrzucając walizkę i torbę do bagażnika.

- Do Anglii?

Miałem ochotę zapytać go, czy zna jakiś inny Londyn, ale się powstrzymałem.

- Na długo? - ciągnął.

Chciałem skłamać, ale po co? I tak wkrótce by się dowiedział. -Tak.

Widziałem, że coś pośpiesznie sobie kalkulował.

- Nie wracasz? -Nie.

Uśmiechnął się. Jego intencje były przejrzyste jak u dziecka.

- Więc nie wracasz. Szkoda. Znaczy dla ciebie. Zaciągnął się papierosem. W jego głosie zabrzmiało zadowolenie.

- Zawsze wiedziałem, że jesteś dziwny, stary. Teraz mam tego dowód.

- Psycholog z ciebie - mruknąłem, zaciskając szczęki. Chciałem, żeby stąd spływał.

- Opuzczasz nas, hę? Jestem pewien, że podjąłeś właściwą decyzję. Najlepiej na własnych śmieciach, wśród swoich, co? Liza na pewno przeboleje. Teraz będzie inną osobą. Znacznie szczęśliwszą. Nie martw się, dopilnuję, żeby nie zabrakło jej... uwagi.

Podniósł szyderczo brew. Na jego twarzy zagościł wyraz głupkowatego zadowolenia. Gdybym się nie obawiał, że Hanna zauważy nas przez okno, walnąłbym go w twarz. Wiedziałem, że do tego dąży. Od tygodni próbował mnie sprowokować.

- O ile pamiętam, Greg, nie była tobą zainteresowana - powiedziałem cicho.

- E, kolego! - Dopalił papierosa i splunął. - Liza i ja znamy się nie od dziś. Jeżeli o mnie chodzi, byłeś tylko kaprysem. Małym gównem na radarze. - Rozstawił palce na szerokość centymetra.

Na chwilę stracił czujność. Całe szczęście z hotelu wyszła Kathleen.

- Mike! - krzyknęła z niepokojem. - Co robisz z walizkami? Myślałam, że zostaniesz do jutra.

Podszedłem do niej.

- Czekam na telefon. Potem będę uciekał. Spojrzała na mnie, później na Grega.

- No co? - Z uśmiechem wzruszył ramionami. - Próbowałem go przekonać, że jest mile widziany.

- Wejdiesz na chwilę? - spytała.

- Nie przejmuj się mną - wtrącił Greg.

- Tobą nie zamierzam. Wszedłem za Kathleen do hotelu.

- Nie możesz teraz jechać - oparła ręce na biodrach -nie zobaczysz Letty Z nikim się nie pożegnałeś. Chciałam ci wyprawić pożegnalne przyjęcie.

- To bardzo miło z twojej strony, ale będzie lepiej dla wszystkich, jak pojedę.

- Nawet nie poczekaasz na Lizę? Nie pożegnasz się?

- Lepiej nie.

Wbiła we mnie wzrok, nie wiem, pełen współczucia czy irytacji.

- Naprawdę nie zostaniesz? Nawet na obiad? Próbowałem nie słyszeć muzyki z pokoju Hanny, jej głosu, nieco fałszywie wtórującego wokalistom. Podszedłem do Kathleen i wyciągnąłem rękę.

- Dziękuję za wszystko. Gdyby ktoś do mnie dzwonił, przekaż mu, proszę, mój numer komórkowy Zadzwoń, jak tylko dowiem się czegoś o budowie.

Spojrzała na moją dłoń, potem prosto w oczy. Nie mogłem wytrzymać jej wzroku. I uściśnęła mnie zadziwiająco mocno jak na osobę w jej wieku.

- Zadzwoń do mnie - poprosiła z twarzą przy moim ramieniu. - Nie musisz tak po prostu znikać. Nie musisz dzwonić w sprawie budowy. Po prostu zadzwoń.

Wyszedłem, zanim ból w jej głosie skłonił mnie do zmiany zdania.



Włokłem się drogą wzdłuż wybrzeża nie z powodu wybojów i nierówności, ale dlatego, że coś mi wpadło do oka i słabo widziałem. Otarłem je, gdy stanąłem przy Przystani Wielorybów, i wbrew nadziei zacząłem wypatrywać *Izmaela*, szczupłej postaci o rozczochranych włosach pod czapką i z psem u boku. Tylko ostatnie spojrzenie, zanim moje życie potoczy się swoim własnym torem na drugim krańcu świata.

Jednak dostrzegłem tylko migotanie wody, boje wyznaczające szlak żeglowny i wzgórza porośnięte kosodrzewiną w oddali.

Nie miałem pojęcia, co powie, kiedy wróci i mnie nie zastanie. Nawet nie byłem w stanie napisać jej listu -wyznanie uczuć równałoby się wyznaniu prawdy, a tego nie mogłem zrobić.

„To właściwa decyzja - powtarzałem sobie, oddalając się wzdłuż wybrzeża. Przynajmniej raz w życiu postąpiłeś jak mężczyzna”.



Od dwudziestu minut byłem już na autostradzie, gdy zadzwonił telefon. Włączyłem zestaw głośnomówiący i sięgnąłem do kieszeni.

- Mike? Tu Paul Reilly. Pomyślałem, że powinieneś dowiedzieć się pierwszy: projekt ostatecznie wycofano.

Udało jej się! Westchnąłem, nie wiem, czy z ulgi, czy z rezygnacji.

- No cóż - wielka ciężarówka wyprzedziła mnie, aż samochód zadrżał - wiem, że różniliśmy się w tej kwestii, ale cieszę się. Bundaberg naprawdę jest lepszą lokalizacją.

- Osobiście nie jestem przekonany. Sądziłem, że region naprawdę skorzysta na budowie.

- Paul, uwierz, macie w okolicy coś bezcennego. Kiedyś i ty, i połowa mieszkańców Zatoki zdacie sobie z tego sprawę.

-To dość niezwykle, że wycofali się w ostatniej chwili. W tym tygodniu wylano już fundamenty -W jego głosie brzmiała rezygnacja. - Ale ze sponsorami nie ma dyskusji.

- Beaker przeprowadził analizy kosztów - odpowiedziałem. -Jeżeli uznał, że Bundaberg jest lepszy.

- Beaker? To nie robota Beakera.

- Słucham? - Na autostradzie panował spory ruch, co chwila mijaly mnie inne samochody i nie dosłyszałem jego słów. - Co mówiłeś?

- To ci z Vallance zażądali zmiany lokalizacji. Zagrozili, że inaczej się wycofają.

- Nie rozumiem.

- Najwyraźniej przestraszyli się rekinów. Słyszeli o ostrzeżeniach i artykułach w prasie i zniechęcili się do lokalizacji. - Westchnął. - Słyszałem, że z ich punktu widzenia trudno będzie sprzedać sporty wodne, jeżeli ludzie będą myśleć, że w zatoce są rekiny. Ja uważam, że przesadzają. - Chyba był mocno rozczarowany. - Anglicy na hasło „rekin” przestają myśleć logicznie - dodał.

Dlaczego Vanessa zaczęła od Vallance?

- Zaskoczyłeś mnie - powiedziałem, myśląc intensywnie. - Dziękuję za telefon. Wybacz, ale muszę kończyć, mam rozmowę oczekującą.

Przez chwilę prowadziłem machinalnie, prawie nie widząc innych pojazdów. Potem chciałem sięgnąć po laptopa, ale przypomniałem sobie, że zostawiłem go w hotelu. Trochę zbyt raptownie zmieniłem pas i zawróciłem na najbliższym zjeździe.



- Dennis?

- Mike? Zastanawiałem się, kiedy zadzwonisz, stary draniu! Co, chcesz mi utrzyć nosa? - Mój były szef był po kilku, może po kilkunastu głębszych, jak zwykle po jedenastej wieczorem.

- Wiesz, że to nie w moim stylu. - Minąłem rondo i wjechałem na drogę do Srebrnej Zatoki. Pędziłem po *wyboistej drodze*, zastanawiając się, ile zapłacę za zniszczone amortyzatory.

- Nie, zapomniałem, że zrobiła się z ciebie cholerna Matka Teresa. Czego chcesz? Błagać o pracę?

Zignorowałem go.

- Więc na czym w końcu stanęło?

- Na małym miasteczku pod Bundabergiem - słyszałem, jak pije drinka. - Będzie nawet lepiej. Ci z Vallan-ce są zadowoleni, mamy stuprocentowe poparcie rady miejskiej. Wykorzystamy ten sam projekt, a zapłacimy niższe podatki. Szczerze mówiąc, wyświadczyłeś nam przysługę.

Przed hotelem było pusto. Wszedłem przez otwarte drzwi, minąłem hol i salon z telefonem przy uchu. Podszedłem do laptopa. Leżał tam, gdzie go zostawiłem. Na górze Hanna cały czas śpiewała. Chyba nawet nie zauważyła mojego odjazdu.

- Ja?! Ja wyświadczyłem wam przysługę?

- Strasząc sponsorów. Twój lobbysta słał do nich listy o rekinach.

Działo się tu coś dziwnego...

- Dennis, ja...

- Cholera, Mike, teraz możesz mi już powiedzieć jako kumpłowi. Jak to zrobiłeś? Zatrudniłeś fachowca z Greenpeace'u? - Zniżył głos. - Między nami, odwaliłeś kawał dobrej roboty z tymi artykułami o rekinach. Na początku nieźle się wkurzyłem. Mówię ci, przez cztery dni i noce byliśmy na nogach, żeby fundusz się nie wycofał. Teraz, jak o tym pomyślę, nic byśmy nie zarobili w miejscu, gdzie są rekiny. Na górnym wybrzeżu będzie znacznie lepiej. Mike, już po herbacie, więc możesz mi

powiedzieć: kto to załatwił i ile mu zapłaciłeś? Wiem, że profesjonaliści nie są tani.

Nie wspomniał o Vanessie. Gdy perorował, otworzyłem komputer i zerknąłem do skrzynki mailowej w nadziei, że jej zawartość pozwoli mi zrozumieć, co się stało.

- To jaki będzie twój następny ruch, Mike? Zajmiesz się tym zawodem? Wiesz, że dotrzymałem obietnicy. W City jesteś spalony

Zajrzałem do folderu „wysłane” i znalazłem e-maile do Vallance. Otworzyłem jeden z nich, zauważyłem ze-skanowane artykuły w załącznikach.

- Chłopcze - usłyszałem - jeśli jesteś bez pracy, może coś się dla ciebie znajdzie w ramach drobnej przysługi. Oczywiście za znacznie niższą pensję, sam rozumiesz.

Zacząłem czytać:

Szanowny Panie, w związku z planowanym projektem budowy hotelu w miejscowości Srebrna Zatoka informuję o niebezpieczeństwie ataku rekina...

Wróciłem do początku, potem przeskoczyłem dalej. W pewnym momencie wybuchnąłem śmiechem. I to wcale nie z „niebezpieczeństwa”.

- Mike?

Z błędem ortograficznym, ale ta mała dokonała tego, co mnie się nie udało! Gdy to zrozumiałem, rechotałem już na cały głos.

- Mike? Co ci tak wesoło?

Muzyka z pokoju Hanny była coraz głośniejsza. Usłyszałem śpiew i tak dla zabawy skierowałem telefon w jego stronę.

- Mike, co to za hałas, do cholery? - spytał Dennis, gdy przyłożyłem aparat z powrotem do ucha.

-Wyobraź sobie, że to twoja profesjonalna agitorka, przepłacona lobbystka, przeszkoda w realizacji milionowych inwestycji. Słyszysz ją?

- Co? Co ci odbiło?

- Dennisie - odpowiedziałem ze śmiechem - to jedenastoletnia dziewczynka.



Musiałem przeprowadzić jeszcze jedną rozmowę i wyszedłem z hotelu, bo chciałem mieć pewność, że nikt nam nie przeszkodzi. Zawahałem się, nim wybrałem numer. Stałem, chłonąc zapach morza, niezmienny od lat. Przy odrobinie szczęścia przetrwa kolejnych pięćdziesiąt. Nie byłem jednak spokojny, jeszcze nie.

- Zatem udało ci się, Ness - powiedziałem. Wciągnęła gwałtownie powietrze, jakby się mnie nie spodziewała.

- Mike? Tak. Już wiesz? Mówiłam, że to zrobię.

- Owszem.

- Och, wiesz, że zawsze dostaję to, czego chcę! - Zaśmiała się i zaczęła mówić o apartamencie, stoliku w restauracji zarezerwowanym na wieczór po moim powrocie, oczywiście w lokalu, do którego zwykli śmiertelnicy nie mają wstępu. Mówiła lekkim tonem, trochę za szybko, jak zwykle kiedy była czymś podekscytowana. - Pociągnęłam za sznurki i

mamy stolik na ósmą trzydzieści. Będziesz miał mnóstwo czasu, żeby się trochę przespać i wziąć prysznic. -Jak?

-Jak dostałam stolik? Po prostu trzeba znać odpowiednich...

-Jak namówiłaś ojca do zmiany stanowiska?

-Och, znasz tatę! Mogę go okręcić wokół małego palca, zawsze tak było. Lecisz liniami Quantas, tak? Urwę się wcześniej z pracy, to pojedę po ciebie na lotnisko. Chyba mam gdzieś szczegółowe dane lotu.

-To musiało jednak być trudne, skoro sam z ledwością nakłonił fundusz do tej lokalizacji.

-No cóż - w jej głosie wyczułem ślad irytacji -przedstawiłam mu wszystkie argumenty, które opracowaliśmy razem i w końcu uznał, że mają sens. Tata mnie słucha, Mike, i zawsze ma alternatywne rozwiązania, sam wiesz.

-Jaka była reakcja funduszu?

-Zgodzili się. Słuchaj, czy możemy pogadać o twoim locie?

-Nie ma potrzeby

-Nie chcesz, żeby cię odebrać? Zamierzałam zrobić ci niespodziankę, ale nie wytrzymam. Kupiłam ci nową, dwuosobową mazdę, tę, którą zamówiłeś! Udało mi się wytargować od dilerów cenę wyjściową. Spodoba ci się.

-Nie wracam, Ness. Zaczepnęła gwałtownie powietrza.

-Co takiego?

-Sprawdziłem przed chwilą maile wysłane od nas do ludzi z funduszu i sądzę, że już od dwóch, trzech dni wiedziałaś, że lokalizacja ulegnie zmianie. Ty nie musiałaś nic robić.

Nie odpowiedziała.

- Więc pomyślałaś - ciągnąłem - wykorzystam tę małą okazję, zrobię z siebie wybawicielkę i zyskam prawo do nieustającej wdzięczności Mike'a.

- To nie tak...

- Myślałaś, że się nigdy nie dowiem, że to nie twoja zasługa? Masz mnie za idiotę?

Zapadła długa cisza.

- Sądziłam... że zanim się dowiesz, będziemy szczęśliwi i tamto nie będzie już miało znaczenia.

- Nasz związek opierałby się na kłamstwie.

- I kto tu mówi o kłamstwie?! Ty i Tina, cały ten cholerny projekt...

- Wolałabyś, żebym wrócił, chciałaś wywrócić całe moje życie do góry nogami...

- Co takiego?! Wywrócić życie do góry nogami?! Przestań robić z siebie ofiarę, Mike! Nie zapominaj, kto tu kogo skrzywdził!

- I dlatego nie wrócę.

- Wiesz co? Nawet nie wiem, czy chciałam, żebyś wrócił. Pozwoliłabym ci wrócić i zaraz rzuciła. Jesteś bezwartościowym, kłamliwym zerem, Mike! - Straciła panowanie nad sobą. - Cieszę się, że wiesz! Cieszę się, że się dowiedziałeś! Zaoszczędziłeś mi cholernej podróży na lotnisko. I szczerze mówiąc, nie tknęłabym cię nawet palcem, gdyby...

- Powodzenia, Vanesso - odparłem lodowato. - Wszystkiego najlepszego.

Dzwoniło mi w uszach. Zamknąłem wieko telefonu. To był już koniec.

Spojrzałem na mały aparat w dłoni i rzuciłem go w morze, jak mogłem najdalej. Wylądował kilkanaście metrów dalej i morze zamknęło się nad nim. A ja ledwie się powstrzymałem od dzikiego ryku.

- Boże! - krzyknąłem. Chciałem w coś uderzyć. Przystawiać rydwany.

- Boże!!!

- Nie wiem, czy cię usłyszy - dobiegł mnie męski głos. Odwróciłem się.

Kathleen i pan Gaines siedzieli przy stole wielorybników. On miał na sobie niebieski sweter i stary kapelusz. Ona wyglądała jak zawsze. Oboje patrzyli na mnie spokojnie.

- Taki ładny telefonik! - Kathleen zwróciła się do Nina. - To młode pokolenie jest strasznie marnotrawne. Wszyscy, bez wyjątku.

- I źle wychowane. Za naszych czasów nikt się tak nie wydzierał - dodał pan Gaines.

- I nie wrzucał do wody czegoś, co się jeszcze może przydać - pokiwała głową.

Podszedłem do nich o krok.

- Mój pokój... - Starąłem się uspokoić oddech. - Czy byłaby szansa... zająć go na trochę dłużej?

- Chyba musisz sprawdzić rezerwacje, Kate. - Pan Gaines pochylił się do niej.

- No nie wiem, mamy ostatnio więcej klientów... W końcu jesteśmy jedynym hotelem w zatoce. Nie chcę się czepiać - dodała - ale jeśli codziennie będziesz urządzał takie sceny...

Stałem przed nimi, a moje serce uspokoiło się powoli. Byłem

wdzięczny za tych dwoje starszych ludzi i ich dobrotliwe przekomarzenia, za słońce, błękit zatoki, morskie stworzenia pływające gdzieś w od dali. Wdzięczny na myśl o beztroskiej młodej kobiecie w spłowiałej czapce, szukającej wielorybów.

Kathleen zaprosiła mnie gestem, żebym usiadł i podsunęła mi piwo.

Pociągnąłem pierwszy, pyszny łyk. Kochałem to piwo, hotel, małą zatokę. Odstawiłem na stół zimną butelkę. Kochałem perspektywę przyszłego życia, niewielkich dochodów, mieszkania z dwójką nawiedzonych nastolatek, źle wychowanym psem i trudnymi kobietami. Nie ogarniałem jeszcze tego, co się stało.

Kathleen wyczuła mój nastrój.

- Wiesz - zaczęła po kilku chwilach, podnosząc pomarszczoną dłoń do czoła - różni ludzie bronią ostatnio rekinów. Mówią, że nikt ich nie rozumie, że są produktem swojego środowiska. - Ściągnęła wargi. - Dla mnie rekin to rekin. Nigdy nie spotkałam takiego, który chciałby się ze mną zaprzyjaźnić.

- Święte słowa - przytaknął pan Gaines. Oparłem się o ścianę i przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Niedaleko widziałem plac budowy lśniące tablice informacyjne, już nieaktualne. Słyszałem muzykę z pokoju Hanny, warczenie odległego silnika, monotonne, konspiracyjne szmery sośniny „Zostanę, jak długo mi pozwolą” - ta myśl napełniła mnie największym zadowoleniem, jakie dotąd poczułem.

- Greg nie złapał tego rekina, prawda? - spytałem. Kathleen Whittier Mostyn, owiana legendą Pani Rekinów, zaśmiała się krótkim, urywanym śmiechem. Spojrzała na mnie ze stalowym błyskiem w oku.

- Mike, w moim siedemdziesięciokilkuletnim życiu nauczyłam się jednego: kiedy rekin chce cię dziabnąć, robisz, co możesz, żeby przeżyć.



RS

Rozdział 28



Hanna

Podróż ze Srebrnej Zatoki na lotnisko w Sydney zajmuje trzy godziny i dwadzieścia osiem minut. Znalezienie dobrego miejsca parkingowego to kolejne dwadzieścia minut. My potrzebowaliśmy jeszcze czterech piętnastominutowych postojów, żebym mogła spokojnie zwymiotować. Tak już mam, kiedy jestem zdenerwowana. Na wycieczkach obserwacyjnych było podobnie - nigdy nie mogłam przekonać Yoshiko, że nie cierpię na chorobę morską. Ciocia K. rozumiała. Powiedziała, że to nic wielkiego. Wychylałam się z samochodu głową w dół, a ona mówiła reszcie, że wzięła ze sobą osiem torebek i cztery ręczniki kuchenne, tak na wszelki wypadek. Ostrzegła też Mike'a, że warto wyjechać wcześniej.

Jechaliśmy w piątkę - Mike, mama, pan Gaines, ciocia K. i ja. Samochód nie był nasz - pożyczyliśmy siedmioosobowego vana pana Gainesa, bo Mike zwrócił mamie uwagę, że z powrotem będą z nami jechać dwie osoby więcej. Za nami ciągnął się szpaler traków wyładowanych sieciami i prawdopodobnie śmierdzących rybą, ale kierowcy starali się nie rzucać zbyt w oczy. Przy każdym postoju też się zatrzymywali, nikt jednak nie wysiadał. Siedzieli za kierownicą i udawali, że podziwiają widoki, a już na pewno nic ich nie obchodzi dziewczynka z głową w przy

drożnym rowie. W każdych innych okolicznościach umarłabym ze wstydu.

Nikt nie chciał podejżdzać za blisko, bo wszyscy wiedzieli, jaka jest mama, gdy idzie o prywatność. Wszyscy jednak chcieli z nią być. Mamie to nie przeszkadzało. Szczerze mówiąc, wątpię, czy zauważyłaby samą królową angielską, gdyby też tu była. Od dwudziestu czterech godzin prawie nic nie mówiła, patrzyła tylko na zegarek i od czasu do czasu ła-pała mnie za rękę. Gdyby Mike jej nie powstrzymał, koczowałaby w hali przylotów od dwóch dni.

Mike dokładnie wyliczył czas. Mimo dodatkowych postojów byliśmy na miejscu piętnaście minut przed przylotem.

- Najdłuższy kwadrans w naszym życiu - mruknął pan Gaines.

Kontrola paszportów i odprawa bagażu to kolejnych dwadzieścia minut - tak przewidywał Mike. Przez cały ten czas mama stała nieruchomo przy barierce ze wzrokiem utkwionym w drzwiach. Reszta próbowała rozmawiać. Raz mama ścisnęła moją dłoń tak mocno, że aż bolało. Mike musiał dwa razy chodzić do informacji i pytać, czy samolot nie spadł. Pewnie mieli go za wariata.

Wreszcie, kiedy myślałam, że znów zwymiotuję, pierwsza grupa pasażerów lotu QA2032 wyszła z hali odpraw. Patrzyliśmy na nich w milczeniu. A jeżeli nie przyjechała? Na samą myśl poczułam ukłucie paniki. A jeżeli wolała zostać ze Stevenem? A jeżeli będziemy tu stać i stać, i nikt nie przyjedzie? Albo jeszcze gorzej -co będzie, jak przyjedzie, a my jej nie poznamy?

Potem ją zobaczyliśmy. Moja siostra! Prawie tak wysoka jak ja, blondynka jak mama trzymała siostrę Mike'a za rękę. Miała na sobie dzinsy i różową bluzę z kapturem. Utykała lekko. Szła powoli, jakby się bała, co tu zastanie. Siostra Mike'a zobaczyła nas i pomachała. Nawet z daleka widać było, że uśmiecha się szeroko. Powiedziała coś do Letty, a ona kiwnęła głową i zaczęły iść szybciej.

Wszyscy płakaliśmy, zanim jeszcze podeszły do barierki. Moja matka zaczęła drzeć. Ciotka Kathleen łkała w chusteczkę: „dzięki Bogu, och, dzięki Bogu”, za mną łkała Yoshiko przytulona do Grega (nawet nie zauważyłam, kiedy się zjawili), nawet Mike objął mnie ramieniem i szlochał. Ale ja uśmiechałam się przez łzy, bo wiedziałam, że czasem na świecie jest więcej dobra, niż można sobie wyobrazić, i że wszystko się ułoży.

Gdy moja siostra podeszła bliżej, mama przeszła pod barierką i zaczęła biec. Nie zwracała uwagi, co ktoś pomyśli - spojrzenia jej i Letty przyciągały się jak dwa magnesy. Mama chwyciła ją w ramiona, a Letty, płacząc, przytuliła się do niej i wyglądało to tak, jakby każda z nich odzyskała część siebie. Ja przepchnęłam się i przytuliłam do nich, potem ciotka Kathleen i Mike, i widziałam jak przez mgłę, że ludzie patrzą na nas i pewnie myślą, że Letty jest po prostu dzieckiem, które wraca z wakacji do domu. Tylko ten dźwięk, który wydała z siebie mama, kiedy upadły na podłogę otoczone przez naszą resztę w pocałunkach, łzach i uściskach...

Bo ten dźwięk, który wydała z siebie mama, gdy kołysała Letty w ramionach, był niski, przeciągły i niesamowity, mówił o całej miłości i cierpieniu na świecie.

Nióśł się echem po hali przyłotów, odbijał od lśniącej podłogi i ścian, a ludzie zatrzymywali się, bo nigdy nie słyszeli niczego takiego. Był wspaniały i straszny zarazem. Ciotka Kathleen powiedziała później, że brzmiał jak pieśń humbaka.



RS

Epilog



Kathleen

Nazywam się Kathleen Whittier Gaines i jestem siedemdziesięciosześcioletnią panną młodą. Zdaję sobie sprawę, jak to brzmi. Tak, w końcu mnie złapał. Powiedział, że jak ma wyciągnąć kopyta, to chciałby wiedzieć, że jestem blisko, a ja uznałam, że to niewygórowane żądanie, zwłaszcza że kochał mnie przez całe życie.

Nie mieszkam już w hotelu, w każdym razie nie tylko. Nino i ja nie mogliśmy zdecydować - on chciał być blisko swoich win, a ja nie chciałam spędzić reszty życia w głębi lądu. Dzielimy więc tydzień między dwa domy. Reszta Srebrnej Zatoki uważa nas za parę starych durniów, ale nam to odpowiada.

Mike i Liza prowadzą hotel, który wiele na tym zyskał. Jest bardziej elegancki, a nawet bardziej przytulny i gościnny niż wtedy, gdy prowadziłam go samodzielnie. Mike macza palce jeszcze w innych interesach, na przykład prowadzi sprzedaż win Nina. Ma z tego zajęcie i trochę pieniędzy, ale w moim wieku pieniądze już nie są takie ważne. Jestem zadowolona, że mamy niezłą butelkę do kolacji. Od czasu do czasu Mike wpada na pomysł, jak zarobić więcej. Ja zawsze jestem przeciw, a reszta uśmiecha się, kiwa głowami i czeka, aż nasz rekin biznesu wyprztyka się z amunicji.

Będą nowe projekty i nowe zagrożenia, ale będziemy walczyć. Teraz jednak zrobimy to bez lęku. Nino Gaines - mój mąż - kupił starą posiadłość Bullena. To prezent ślubny dla mnie, tak powiedział. Zabezpieczenie dla dziewczynek. Wolę się nie zastanawiać, ile za nią zapłacił. On i Mike wciąż mają jakieś pomysły, jak ją wykorzystać, od czasu do czasu idą tam, coś mierzą i liczą, ale kiedy przychodzi co do czego, jakoś żaden nie chce nic robić. A ja robię to, co zwykle - prowadzę hotelik nad zatoką i jestem trochę nerwowa, jak mamy za dużo gości.

Migracja na południe toczy się zwykłym trybem. Codziennie słyszymy o stadach, matkach z młodymi, a na morze wypływa mniej więcej tylu obserwatorów, co w zeszłym roku. Wielorybnicy przychodzą i odchodzą, od czasu do czasu pojawi się jakaś nowa twarz, zabraknie kogoś z dawnych znajomych, ale słone opowieści, żarty i narzekania przy moim stole pozostają te same. Yoshi-ko wyjechała do Townsville na studia z ochrony ssaków morskich. Przynęcała, że wróci. Lance często mówi, że ją odwiedzi, ale wątpię, czy to zrobi. Greg zaleca się - choć w jego przypadku to zbyt łagodne określenie - do dwudziestoczteroletniej barmanki i wygląda na to, że oboje są sobie warci. W każdym razie spędza mniej czasu w hotelu. Mike'owi wyraźnie to odpowiada.

Letty kwitnie. Ona i Hanna trzymają się razem, jakby nie minęło pięć lat, a pięć dni. Kilka razy znalazłam je w jednym łóżku i chciałam zwrócić im uwagę, ale Liza mówi, żeby dać im spokój.

- Niech jeszcze pobędą dziećmi. Niedługo każda będzie miała swoje sprawy i nikomu nie pozwoli się wtrącić. - Jej głos jest tak beztroski, jakbym słyszała kogoś innego.

Pierwsze tygodnie były dziwne. Chodziliśmy wokół Letty na palcach. Baliśmy się, że wszystko, co przeszła, pozostawi w jej psychice trwałe ślady. Długo nie chciała oddalić się od matki, jakby w obawie, że znów ją utraci. W końcu zabrałam ją do muzeum i pokazałam moje działko harpunnicze. Powiedziałam, że ktokolwiek spróbuje skrzywdzić moje dziewczynki, będzie miał do czynienia ze Starym Harrym. Była trochę zaskoczona, ale chyba poczuła się pewniej. Nino mawia cierpko, że nie bez kozery nie mam własnych dzieci.

Poczuła się lepiej, gdy zadzwonił jej ojciec. Powiedział, że pozwoli jej tu zostać i uszanuje jej decyzję. Od tego czasu spała spokojnie - choć w łóżku siostry I to tyle.

Siostra Mike'a, tak jak obiecała, nie opublikowała swojego reportażu. Mike mówi, że to historia miłości -nie jego i Lizy, chociaż nigdy nie widziałam tak zakochanych w sobie ludzi, wystarczy spojrzeć na tych dwoje śmiejących się razem - ale Lizy i jej córek. Czasami dodaje, że największymi bohaterami jesteśmy ja i Nino -żartem, rzecz jasna.

Odpowiadam, że moim zdaniem jest inaczej. Kto przez całe życie patrzy na morze, na jego odsłony i kaprysy, zna wszystkie opowieści - o miłości, o niebezpieczeństwie, o tym, co wpada życiu w sieci. A także o tym, że czasami, choć to nie nasza ręka spoczywa na sterze, wszystko kończy się dobrze.

Prawie codziennie, kiedy Liza nie ma zbyt wielu gości, wypływają wszyscy razem na *Izmaelu* popatrzeć na wieloryby wracające na żerowiska. Najpierw myślałam, że Liza chce w ten sposób stworzyć więzi rodzinne, ale szybko zdałam sobie sprawę, że oni to po prostu uwielbiają. Mówią, że liczy się nie tylko to, co widzą, ale przede wszystkim to, cze-

go nie widzą. Dziewczynki patrzą na humbaki znikające pod wodą, wyobrażają sobie ich życie w głębinach, którego nigdy nie zobaczą. Te wszystkie wyśpiewane pieśni, miłości i rozstania, i wychowywanie młodych. Świat, w którym my i nasze bezmyślne potyczki nie mają znaczenia.

Mike najpierw wyśmiał tę ich fantazję, ale teraz wzrusza ramionami i przyznaje, że sam już nie wie. W końcu skąd mamy wiedzieć? Na świecie zdarza się tyle dziwnych rzeczy, a w naszym małym zakątku świata - jeszcze więcej.

A ja patrzę na ich czwórkę biegnącą w słońcu na Przystań Wielorybów i myślę o mojej siostrze. A czasem o ojcu, któremu spodobałaby się ta historia. („Myślałyśmy, że Letty jest z wami - mówię im, gdziekolwiek są - ale jeszcze nie teraz”). Oboje by zrozumieli, że ta historia mówi o kruchej równowadze. O prawdzie, z którą zmagają się każdy z nas, gdy zostanie pobłogosławiony widokiem tych wielkich morskich stworzeń albo gdy otworzy na nie serce - czasem można zniszczyć coś pięknego, gdy podejdziesz zbyt blisko.

I że czasem - jak dodaje stanowczo Mike - nie ma wyboru, jeżeli chce się żyć pełnią życia.

Oczywiście nigdy nie przyznaję mu racji. Nie mogę mu pozwolić postawić na swoim. Muszę jednak przyznać, że w tym przypadku wyjątkowo się z nim zgadzam.

